



Nowa książka autorki bestselleru
Jestem żoną szejka

LAILA SHUKRI

Perska namiętność

Prószyński i S-ka

P LAILA SHUKRI
erska
namiętność

Prószyński i S-ka

Copyright © Laila Shukri, 2017

Projekt okładki

Agencja Interaktywna Studio Kreacji

www.studio-kreacji.pl

Zdjęcia na okładce

© Subbotina Anna/Fotolia.com;

Wolfgang Zwanzger/Fotolia.com

Redaktor prowadzący

Michał Nalewski

Redakcja

Maria Talar

Korekta

Mirosława Kostrzyńska

Sylwia Kozak-Śmiech

ISBN 978-83-8097-283-4

Warszawa 2017

Wydawca

Prószynski Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Rozdział I

W poszukiwaniu siebie

Sara siedziała z zamkniętymi oczami na posadzce Świątyni Zęba w mieście Kandy uważanym za duchowe centrum Sri Lanki. W atmosferze buddyjskiego sanktuarium starała się odzyskać utracone parę miesięcy temu poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Przez jej rodzinny dom przeszedł bowiem huragan, który sprawił, że dla niej już nic nie było takie samo – po przyjeździe z wakacji ojciec przedstawił jej swoją drugą żonę! Mocno ugodziło to w buntowniczą naturę Sary. A później nastąpiła lawina wydarzeń – rozpacz matki i jej załamanie nerwowe, narastanie ekstremistycznych poglądów Fatmy, siostry Sary, i jej zafascynowanie ISIS, otwarta nienawiść i śmiertelne groźby drugiej żony ojca, plany wydania Sary za mąż jako trzecią żonę pewnego starca, a w końcu ucieczka z domu i pierwsze pełne, choć nie do końca chciane doświadczenie erotyczne. To wszystko zburzyło dotychczasowy świat Sary, który – być może z jej punktu widzenia nie był idealny, gdyż za bardzo ograniczał jej wolność – dawał poczucie komfortu i stabilności. Teraz już tego nie miała. Nie ufała ojcu, bo się przekonała, że mógł być zdolny do najbardziej zaskakujących zachowań, nie miała też wsparcia matki, która nie do końca wróciła do siebie po traumatycznych przeżyciach.

– Idziemy do hotelu? – zapytała szeptem Hana, przyjaciółka Sary.

– Nie, jeszcze tu zostanę. – W otaczającej ją aurze odwiecznych rytuałów, z namaszczeniem odprawianych przez ubranych w większość na białe wiernych, Sara starała się odnaleźć jakąś nitkę, której mogłaby się uchwycić i na nowo odzyskać swoją wewnętrzną równowagę.

– Ja już pójdę. Chcę pobyć trochę z mamą. – Hana podniosła się z posadzki.

– Dobrze. – Sara wciąż miała zamknięte powieki.

– Spotkamy się na kolacji. Poradzisz sobie sama? – Hana czuła się odpowiedzialna za przyjaciółkę.

– Tak, oczywiście.

– To do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

* * *

Propozycja Hany, aby Sara towarzyszyła jej podczas dwutygodniowego pobytu na Sri Lance, przysłała w samą porę. Ostatnio dziewczyna nie mogła się otrząsnąć z narastającego przygnębienia. Uczęszczała do szkoły, ale przychodziło jej to z ogromnym trudem. Wszyscy wiedzieli o tym, że nagle zniknęła na dłuższy

czas z domu, co w Kuwejcie było plamą na reputacji osiemnastolatki. Dawne koleżanki jej unikały – zapewne dostały zalecenia od swoich rodziców, żeby trzymać się od niej z daleka. Chłopcy na jej widok głupio się uśmiechali, a czasami składali jej niedwuznaczne propozycje. Nie było to dla Sary przyjemne. Nie chciała o tym mówić swojemu o rok starszemu bratu Nadirowi, który chodził do ostatniej klasy tej samej szkoły, bo obawiała się, że w obronie jej honoru nie zawaha się użyć noża, jak już raz zrobił. To znowu mogłoby ściągnąć na jej rodzinę bezmiar kłopotów, a tego Sara na pewno chciała uniknąć. Już dosyć dramatycznych wydarzeń w ich domu...

Sara, otoczona szmerem przesuwających się bosych postaci, ze wszystkich sił starała się wyrzucić natrętne myśli dudniące jej w głowie. Ty wiesz, co się kiedyś stało z kimś, kto ze mną zadarł?! – złowrogie zdania wykrzykiwane przez Larę rozbrzmiewały coraz głośniej i głośniej. – Skończył w wodach Zatoki Perskiej! A ty weszłaś mi w drogę! Nie daruję ci tego! Zapewniam cię, że twoje dni w tej rezydencji są policzone! Twoje dni w tej rezydencji są policzone... policzone... – Sara ukryła twarz w dłoniach. I znów ten ścisk gardła spowodowany strachem, którego mimo upływu czasu nie mogła się pozbyć. I przykre obrazy pijanej do nieprzytomności matki, leżącej w przesiąkniętej odorami brudu i alkoholu sypialni. I siedzący w salonie stary Kuwejczyk, który oglądał Sarę – kandydatkę na swoją trzecią żonę – jak towar. Wielki smutek znowu rozpostarł się w sercu i duszy dziewczyny. Smutek, z którym zupełnie nie umiała sobie poradzić.

To jej ciągle, przygniatające rozzalenie zauważyła Emily, mama jej przyjaciółki Hany.

– Saro, stało się coś? – spytała, kiedy przed wakacjami siedziały we trzy w pokoju Hany, popijając herbatę. – Znowu jakieś kłopoty w domu?

– Nie... – Sara nie chciała powiedzieć, że jej dom już nie był dla niej tym samym domem co kiedyś.

– To co się dzieje? – Mama Hany, Brytyjka, w przeciwieństwie do mamy Sary, zawsze żywo interesowała się problemami dorastających dziewcząt. Ojciec Hany, podobnie jak ojciec Sary, był Kuwejczykiem i Emily zdawała sobie sprawę z tego, że wychowywane na styku dwóch kultur dziewczyny mogą doświadczać licznych rozterek i mierzyć się z wieloma niełatwymi dla nich wyzwaniem.

– Nic takiego – posępnie odpowiedziała Sara, przypominając sobie powtarzające się od czasu do czasu kłótnie rodziców. Mamie Sary, Joannie, trudno było zupełnie zapomnieć o tym, że jej mąż przyprował do domu drugą żonę, i zdarzało się, że mu to głośno wypominała. Ich ostra wymiana zdań wywoływała u Sary jeszcze większą chandrę, która niekiedy bywała tak ogromna, że nagle wszystko traciło dla niej sens. Zdarzały się dni, że nie chciało jej się nawet podnieść z łóżka, i zostawała wtedy w swoim pokoju, symulując chorobę.

– Saro... – Mama Hany zwróciła się do dziewczyny łagodnym tonem. –

Jeżeli znowu masz jakieś problemy, to powiedz... Może będę mogła ci coś doradzić. – To właśnie Emily zachęciła Sarę, aby ta wspierała swoją matkę w najtrudniejszych dla niej momentach. I Sara przez kilka miesięcy robiła to z pełnym zaangażowaniem: zaraz po powrocie ze szkoły szła do sypialni matki, nie zważając na jej nieprzytomny wzrok, czerwoną i opuchniętą od nadmiaru alkoholu twarz oraz zwisające strąki dawno niemytych włosów. Potem, kiedy zrozumiała, że sama nie poradzi sobie z trudną sytuacją, poprosiła o wsparcie Angelikę, przyjaciółkę mamy. Angelika pomagała Joannie wydostać się z najczarniejszej otchłani, w którą ta wpadła, kiedy się dowiedziała, że w drugim skrzydle rezydencji będzie mieszkać *darral*. Później starała się powstrzymać matkę Sary od skandalicznych zachowań w objętym całkowitą prohibicją Kuwejcie, kiedy ta w pijanym widzie oddawała się orgii zakupów, tracąc w ciągu paru godzin kilkaset tysięcy dolarów. W tym czasie Sara nie mogła liczyć na wsparcie rodzeństwa. Dwa lata młodsza Fatma uległa wpływom ekstremistycznego islamu i krytykowała matkę za jej skłonność do alkoholu, a Nadir myślał tylko o sobie i swoim nowym ferrari, i ze względu na własne korzyści nie chciał konfliktu z ojcem. Ten trzymający Sarę w ciągłym napięciu gorzki okres odcisnął się bolesnym piętnem na psychice dziewczyny, odbierając jej całą radość życia. A zupełnie nowe dla niej gwałtowne przejścia, których doświadczyła podczas ucieczki, jeszcze bardziej wzmocniły jej poczucie zagubienia.

– Saro, kiedykolwiek nas odwiedzasz, to zawsze widzę na twojej twarzy... – mama Hany szukała odpowiedniego słowa – ... żal? – Brytyjka zakończyła pytaniem, mając tym samym nadzieję, że nastolatka się przed nią otworzy.

Sara poruszyła ustami, jakby miała zamiar coś powiedzieć, ale nie mogła wykrztusić ani słowa, a jej oczy wypełniły się łzami. Tak, nosiła w sobie żal, i to wielki żal. Do matki za to, że przez lata zajmowała się głównie swoimi przyjemnościami, podróżami i zakupami, do ojca, że śmiało wprowadził do ich rodziny drugą żonę, do siostry, że tak łatwo dała się zwieść perfidnym sztuczkom Lary, i do brata, że w pogoni za specjalnie wyposażonym ferrari nie wykazał krzty zrozumienia dla cierpiącej matki. Tego wszystkiego nie dało się tak łatwo wymazać z pamięci, więc kiedy mama Hany zapytała o żal, to uczucie z jeszcze większą intensywnością wzmogło nieustające cierpienie Sary. Po jej policzkach zaczęły płynąć duże, gorzkie łzy.

– Saro, nie płacz, przecież najgorsze masz już za sobą. – Emily pocieszała dziewczynę. – W końcu jakoś to się ułożyło, rodzina w komplecie... A już wkrótce wakacje, wyjedziecie gdzieś razem...

– Nie chcę z nimi nigdzie jechać! – wyrzuciła z siebie Sara jednym tchem.

– Ale wakacje z rodziną to dobra okazja... – zaczęła Emily.

– Nie! – krzyknęła głośno dziewczyna.

– Saro! – Hana zdziwiona spojrzała na przyjaciółkę, bo ta nigdy nie

zachowywała się w ten sposób w obecności jej mamy.

– Przepraszam – zreflektowała się Sara, starając się zatrzymać wierzchem dłoni wciąż lecące z jej oczu łzy.

– To jakie masz plany na wakacje? – zapytała Emily, podając Sarze chusteczkę.

– Nie wiem... – Dziewczyna wytarła mokre policzki.

– Jedziesz, jak zwykle, do Londynu? – chciała wiedzieć Hana.

– Nie... Chyba nigdzie nie jadę... – cicho stwierdziła Sara.

– Jak to nigdzie? – zdziwiła się Emily, bo młodzież z bogatych kuwejskich domów zazwyczaj spędzała wakacje w Londynie albo w innych miastach i kurortach europejskich bądź amerykańskich.

– Mama w miesiącach letnich planuje ekskluzywny rejs, ale wypłynię w niego sama z ojcem – wyjaśniła ponuro Sara. – Powiedziała, że po tych wszystkich przerażających chwilach, które miały miejsce w naszym domu, potrzebuje z ojcem długiej podróży tylko we dwoje. Stwierdziła, że musi to zrobić, aby odbudować swoje małżeństwo po wielkim kryzysie.

A Sara znowu będzie pozostawiona sama sobie. Niestety... – Mama Hany uważnie przypatrzyła się dziewczynie, z której twarzy biła bezdenne żalność, po czym z przykrością w duchu zauważyła: Jest dokładnie tak, jak już dawno przypuszczałam. Sara popada w coraz większą depresję.

– To może... Sri Lanka? – Hana spojrzała pytająco na mamę, która przyzwalająco kiwnęła głową. – Może pojedziesz z nami na Sri Lankę? – zwróciła się do przyjaciółki.

W pewnym momencie ich przyjaźń została wystawiona na ciężką próbę – Sara nie zwierzyła się bowiem Hanie ze swoich planów ucieczki, a później nie dawała żadnego znaku życia. Hana miała za to ogromny żal do Sary, pomimo tego jednak, od jakiegoś czasu dziewczyny znowu stały się nierozłączne. Hana nie mogła przejść obojętnie obok wyraźnie zgaszonej Sary, którą dodatkowo otaczała niezbyt przyjemna atmosfera w szkole. Po pewnym czasie przyjęła więc jej tłumaczenia, że nie poinformowała przyjaciółki o planach ucieczki nie dlatego, że jej nie ufała, ale z troski, że w przypadku policyjnego śledztwa, ta może się znaleźć pod zbyt silną presją i zdradzić miejsce jej pobytu.

– Myślę, że to dobry pomysł, Saro – zgodziła się z córką Emily. – Wyjedziesz i w nowym otoczeniu od razu nabierzesz do wszystkiego większego dystansu.

Emily z rozmysłem zabierała Hanę do różnorodnych zakątków globu, bo chciała pokazać jej, jak bardzo zróżnicowany jest świat. Żywiła głęboką nadzieję, że kiedy córka przekona się, że życie to nie tylko dychotomia między czarnymi abajami, hidżabami i nikabami a krótkimi spódniczkami, kusymi bluzkami i skąpyimi bikini, to będzie jej łatwiej odnaleźć własną drogę i tożsamość.

W Japonii Hana zobaczyła, jak wiele może być rodzajów kimon, których wygląd zależy od płci i statusu społecznego właściciela oraz okazji, na jaką są wkładane; w Szkocji przestały ją dziwić kilty, kraciaste spódniczki, które z chlubą nosili mężczyźni, a na Saharze ze zdumieniem odkryła, że to pustynni tuarescy wojownicy, a nie ich kobiety, zwyczajowo zakrywają twarze i dlatego, mówiąc o sobie, Tuaredzy określali się nazwą Kel Tagelmust, która oznaczała „ludzi noszących zasłony”.

– Saro, jedź z nami! Będzie super! – wykrzyknęła Hana pocrzepiona wsparciem matki. – Sri Lanka jest przepiękna!

– To prawda, jest tam mnóstwo niezwykle malowniczych miejsc – potwierdziła Emily. – Będziesz zauroczona!

Sara pomyślała, że mogłaby jechać wszędzie, byle jak najdalej od swojego rodzinnego domu.

– Tak, wszystko ci pokażę! – Hana była pełna entuzjazmu. – Wspaniałe krajobrazy, buddyjskie świątynie...

– Tylko musicie uważać na małpy! – zaśmiała się Emily, mając nadzieję, że tą uwagą uda jej się choć na chwilę rozchmurzyć Sarę.

– Małpy? – nie zrozumiała dziewczyna.

– No tak, małpy! – Hana szeroko uśmiechnęła się do przyjaciółki. – Porywają okulary!

– Małpy potrafią być niesamowicie podstępne – pogodnie wyjaśniała Emily. – Przybiegają szybko, wskakują ci na plecy albo wspinają się sprawnie po twoich nogach, jakby zachęcając do zabawy, a później, zanim się obejrzyś, okulary przeciwsłoneczne Prady, Chanel lub Yves’a Saint Laurenta są już w ich rękach!

– Ja też dostałam nauczkę. Pamiętasz, mamó? – Hana zwróciła się do matki.

– Trudno zapomnieć! – Emily z czułością spojrzała na córkę. – Najnowszy model okularów Diora przepadł, bo spodobał się małpce.

– Tak, kupiłaś mi je tuż przed wyjazdem i nawet nie zdążyłam się nimi nacieszyć – wspominała Hana. – Ale z drugiej strony, jakie to było śmieszne, pamiętasz, mamó?

– Oczywiście, że pamiętam! Żebyś widziała swoją minę, gdy małpa porwała ci zniecka okulary!

– A później próbowała je sobie założyć, krzywiąc się przy tym pociesznie! O, tak! – Hana zmarszczyła nos i wyduła usta.

– Ale nie bardzo jej to wychodziło!

– Nawet kiedy pomagała sobie nogą!

– Bo trzymała je odwrotnie, więc trudno, żeby jej się udało! – przypomniała Emily.

– Ale bardzo się starała!

– Była niezwykle wytrwała, a przy tym wyjątkowo komiczna!

Sara z zazdrością przysłuchiwała się żywej rozmowie matki i córki. Wspomnienia. Miały wspólne wspomnienia. Bardzo miłe wspomnienia. Najbardziej wyrazistym wspomnieniem Sary związanym z matką była jej krew na pociętych białych nadgarstkach. Czerwony krzyk rozpaczony będący finałem wielomiesięcznego dramatu rozgrywającego się w ich rezydencji.

– Dlatego, Saro, jeśli z nami pojedziesz, zaopatr się w kilka par... – Hana zamilkła, kiedy zauważyła, że oczy przyjaciółki znowu są pełne łez – ...tanich okularów – dokończyła ściszym głosem.

W pokoju na moment zapadła cisza. Po chwili Hana wzięła Sarę za rękę.

– Bo pojedziesz z nami, prawda? – zapytała z nadzieją.

– Pojadę – wyszeptała Sara. W duchu zaś pomyślała: Pojadę, byle daleko, bardzo daleko...

Początkowo rodzice Sary nawet nie chcieli słyszeć o jej wakacyjnym wyjeździe na Sri Lankę. Dopiero jej uporczywe prośby oraz rozmowa Emili z ojcem Sary, podczas której przekonywała, że będzie się opiekowała Sarą jak własną córką, skłoniły rodziców do zgody na plany dziewczyny. Kiedy decyzja już zapadła, Sara z niecierpliwością czekała na daleką podróż.

Podczas kilkugodzinnego lotu z Kuwejtu do Kolombo Hana zabawiała Sarę, opowiadając jej o kraju, do którego zmierzały.

– Wiesz, na wyspie jest mnóstwo atrakcji, więc nie sposób się nudzić. Pierwszy raz, gdy byliśmy tam z mamą, zwiedzałyśmy przede wszystkim parki narodowe, w których żyją dzikie, niektóre rzadko występujące na świecie zwierzęta. A słyszałaś, że jest tam wiele podgatunków, którym grozi całkowite wyginięcie?

Sara nie odpowiedziała, sprawiając wrażenie trochę nieobecnej.

– Należy do nich lampart lankijski, zwiny kocur o błyszczącej sierści usianej różnej wielkości plamami, którego wcale nie jest tak łatwo zobaczyć, ale nam się udało – ciągnęła Hana niezrażona milczeniem Sary. – I słoń cejloński, którego populację szacuje się obecnie na zaledwie niecałe pięć tysięcy osobników. I jeszcze żółwie morskie, które o wschodzie i zachodzie słońca wychodzą na plażę i można je karmić glonami. A kiedy wchodzi się do oceanu... Raz olbrzymi żółw wychylił głowę z fal, a ja mu wkładałam do pyska glony... Uwierz mi, niezapomniane przeżycie!

Sara nie wiedziała dużo na temat Sri Lanki, która głównie kojarzyła jej się z rzeszą pochodzących z niej służących i kierowców zatrudnionych w kuwejskich domach, mimo to nie do końca uważnie słuchała opowieści przyjaciółki. Zdecydowała się wyjechać z Haną na egzotyczne wakacje przede wszystkim dlatego, że zatliła się w niej niska nadzieja, iż nowe doświadczenia i obrazy, które pojawią się podczas wakacji, przysłonią nękające ją koszmary – patrzącego na nią

z obłęsnym pożądaniem starca, bezwzględnej Lary, z której ust sączył się śmiertelnie groźny jad, i wiecznie zamroczonej alkoholem, nieobecnej matki.

Niekiedy uciekamy, szukamy gdzieś czegoś, karmiąc się przeświadczeniem, że to coś skądś przyjdzie, ukoi naszą duszę i pozwoli wyzwolić się z bolesnych, szarpiących, raniących szponów rozpacz, wątpienia, beznadziei. A czasem zostaje tylko desperacja, która pcha nas ku ostateczności. Tak jak w przypadku Witkacego obwiniającego się o samobójczą śmierć swojej narzeczonej, która z bukietem kwiatów w ręku pojechała dorożką pod Skałę Pisaną, aby tam, odkładając kwiaty na bok, zakończyć swoje życie strzałem z rewolweru. Witkiewicz popadł w głęboką depresję i na Cejlonie² myślał o odebraniu sobie życia, gdyż jak sam wyznawał, „podróżowanie zamiast poprawiać mój stan, sprawia mi okropne cierpienie, ponieważ fakt, iż ja mogę oglądać piękne rzeczy, których Ona nigdy nie zobaczy, czyni mnie w najwyższym stopniu nieszczęśliwym. Jeszcze bardziej niż byłem poprzednio”³.

– Wiesz, Saro, że nazwa Sri Lanka oznacza w sanskrycie „olśniewający kraj”? A niektórzy nazywają wyspę „perłą Oceanu Indyjskiego”. – Hana chciała przekazać Sarze jak najwięcej wiadomości. Nie powiedziała jednak przyjaciółce, że ze względu na kształt i swoje położenie wyspa nazywana bywa najczęściej „łżą na policzku Indii”. Zbyt wiele łez widziała na policzkach Sary.

– Z lotniska od razu pojedziemy do Kandy. – Hana wyjęła z kieszeni znajdującego się przed nią fotela folder z mapą Sri Lanki. – O, tu, Saro, widzisz? – Wskazała na miasto usytuowane w środkowej części wyspy. – Kandy położone jest na płaskowyżu otoczonym górami, wiecznie zieleniącymi się lasami deszczowymi i plantacjami herbaty. W sercu miasta znajduje się rozległe sztuczne jezioro, które swą atrakcyjnością przyciąga zwolenników spacerów. Też będziemy tam chodzić. Bo przecież lubisz spacerować, prawda? – Hana starała się wymóc jakąkolwiek reakcję ze strony przyjaciółki.

– Tak, lubię. – Sara przypomniała sobie niekończące się spacerowanie brzegiem morza z Farah, kiedy to spowita mglistą mgiełką melancholii, zapatrzona w daleki widnokrąg, mogła iść przed siebie, zatracając poczucie teraźniejszości i czasu. Wspomnienie Farah wywoływało u Sary mieszane uczucia. Z jednej strony troska i opieka, którą ją otoczyła w najtrudniejszych dla niej chwilach, wzbudzała jej wdzięczność, z drugiej zaś strony nie tylko platoniczna czułość Farah, zakończona dla Sary mocnym, orgiastycznym przeżyciem, wywoływała zamęt w jej młodej głowie i ciele.

– Na pewno musimy też odwiedzić położoną na północ od jeziora, pokrytą złotym dachem, Świątynię Zęba, jedną z najważniejszych na świecie świątyni buddyjskich. – Hana była zadowolona, że Sara wreszcie się odezwała.

– A dlaczego nazywa się Świątynią Zęba? – Sara poczuła się w obowiązku porozmawiać z przyjaciółką, która z takim zaangażowaniem zabawiła ją podczas

długiego lotu.

– Bo przechowywana jest tam święta relikwia wyznawców buddyizmu, ząb samego Buddy. Związana jest z nim bardzo ciekawa historia. Opowiedzieć ci?

– Tak, Hano.

– Istnieje legenda, że podczas ceremonii palenia zwłok Buddy ząb ten został skradziony z tłącego się jeszcze stosu pogrzebowego przez gorliwego wiernego. Następnie w trzysta trzynastym roku księżniczka Himalala ukryła go w koku podczas ucieczki przed wojskiem hinduskim i potajemnie przewiozła z Indii na Cejlon. Księżniczka podarowała go panującemu wtedy na wyspie królowi, który postawił dla niego świątynię. Od tej pory ochrona relikwii przysługiwała tylko królom, w związku z czym święty ząb stał się symbolem władzy. Kolejni królowie budowali dla niego wyniosłe sanktuaria, a ostatnie z nich powstało właśnie w mieście Kandy. Sama zobaczysz, Saro, jak szczególne jest to miejsce. Myślę, że je bardzo polubisz.

I rzeczywiście tak się stało. Podczas pierwszych dni swojego pobytu na Sri Lance Sara spędzała wiele godzin w buddyjskiej świątyni, która działała kojąco na jej zagubioną duszę. Czasami przyłączała się do wyznawców buddyizmu, praktykując z nimi ich rytuały. Kupowała na straganie przed świątynią zachwycający swym doskonałym pięknem kwiat lotosu, lampki wypełnione olejem kokosowym, parę kadzidełek i szła za ubranymi na biało wiernymi, powtarzając ich pełne uduchowionego pietyzmu czynności.

Ofiarowanie kwiatów jest najważniejszym i najbardziej popularnym aktem czczenia Buddy na Sri Lance. Kwiat rozkwitający, kiedy padnie na niego światło, uważany jest za symbol osiągnięcia oświecenia, co bezpośrednio nawiązuje do Buddy, Oświeconego. Wyjątkową symboliką charakteryzuje się kwiat lotosu, o którym Sara przeczytała w tekście lamy Ole Nydahla: „Lotos jest symbolem absolutnej czystości; wyrasta z ciemnych bagien, ale pozostaje niesplamiony i niezanieczyszczony błotem. Nasiono lotosu wyrasta więc nie z ziemskiej gleby, lecz z wody, i dlatego jest mu przypisywane znaczenie boskie, spontanicznie powstałe. »Zrodzony z lotosu« oznacza w swej naturze czysty, nie jak nieskazitelna dziewica, która nigdy się nie kochała i niczego nie przeżywała, lecz czysty doskonałością przekształcenia autentycznych, różnorodnych doświadczeń, mających swe korzenie w prawdziwym życiu. Jest centrum zjawisk, prawdziwą energią, przyjmowaniem tego, co się pojawia, wykorzystaniem i transformacją”⁴.

Ze skąpanymi w przefiltrowanej wodzie kwiatami wyznawcy Buddy udawali się do jednego z bogato zdobionych pomieszczeń świątyni, gdzie znajdował się długi stół, na którego blacie piętrzyły się białe, żółte i różowe płatki lotosu. Wierni w skupieniu odrywali płatki, wypowiadając jednocześnie swoje prośby, a następnie modlili się o ich spełnienie. Sara czasami również przyłączała się do tego rytuału, jednak była tak wypalona w środku, tak poraniona i rozdarta, że nawet nie

wiedziała, o co prosić. Odrywała płatek za płatkim, po czym rzucała go na stos innych płatków, ludzkich pragnień, marzeń i tęsknot, nie wyrażając przy tym żadnych życzeń, żadnych nadziei. Tak jak gdyby już nigdy nic dobrego nie mogło jej spotkać. Jak gdyby nie miała prawa prosić o nic pomyślnego dla siebie, bo i tak nieznane, mroczne niewiadome nagle pojawi się nie wiadomo skąd w szkaradnej formie, po czym zniweczy jej wszelkie plany i marzenia.

Trzy razy dziennie setki pielgrzymów uczestniczyły w niezwykle efektownej ceremonii otwarcia dwupiętrowego pomieszczenia, w którym przechowywano relikwię. Przed nim po obu stronach, na wysokich podpórkach ustawiono kilka par kłów słonia. Postawni mężczyźni z odsłoniętymi, ciemnymi torsami, owinięci w białe i pomarańczowe sarongi, z udrapowanymi białymi nakryciami głowy, które całkowicie zasłaniały włosy, głośnymi, rytmicznymi uderzeniami w bębny ogłaszali rozpoczęcie ceremoniału. Podniosłą atmosferę potęgowały przenikliwe dźwięki fletów i rogów. Wierni w oczekiwaniu wpatrywali się w czerwoną tkaninę, na której pyszniła się wyszywana złota dagoba⁵. Po odsłonięciu materiału oczom zgromadzonych ukazywały się drzwi inkrustowane srebrem i kością słoniową, które otwierali ubrani na biało mężczyźni, pozwalając mnichom, z charakterystycznymi ogolonymi głowami i ubranym w pomarańczowe, długie szaty odkrywające prawe ramię, wejść do środka. Samej relikwii, zęba Buddy, wierni nie mogli zobaczyć. Na widok publiczny, w pobliżu stołu pokrytego kwiatami lotosu, tuberozy i frangipani, wystawiana była dość duża, obwieszona kosztownościami złota dagoba, w środku której znajdowało się sześć coraz mniejszych złotych dagob wysadzanych kamieniami szlachetnymi. W najmniejszej z nich przechowywana była relikwia. Złota dagoba ustawiona w zaciemnionym pomieszczeniu, w podświetlonej niszy na czerwonym tle świeciła swym cudownym blaskiem, skupiając rozmodlone spojrzenia wiernych, szczęśliwych, że znaleźli się w tak niezwykłym miejscu w pobliżu najświętszej relikwii. Rozmodleni, z roziskrzonymi oczami, zatopieni w duchowej ekstazie, ze złożonymi rękoma prosili o łaski, dziękowali, łączyli się w transcendentnym sacrum. Sarze udzielała się ta pełna wewnętrznego uniesienia atmosfera, w której zatapiała się bezwiednie, pozwalając, aby magia sanktuarium swą nadziemską mocą tłumiała wciąż mocno raniące ją doświadczenie ostatniego roku. Ukojona aromatami pachnących świec, kadzideł i kwiatów oraz szeptami modlitw całkowicie oddawała się sakralnej chwili.

* * *

Sara podniosła się z posadzki i skierowała w stronę wyjścia. Świątynia Zęba była niezwykle rozległa i składała się z wielu obszernych dziedzińców, kamiennych i drewnianych schodów, misternie rzeźbionych sklepień, balustrad, kolumn i krużganków oraz bogato przystrojonych pomieszczeń, w których

znajdowały się figurki Buddy z różnych krajów świata, takich jak Japonia, Chiny, Korea, Tajwan i Tajlandia. W bibliotece zgromadzone były zwoje, księgi i pisma buddyjskie liczące setki lat, a jedną z sal ozdabiały oryginalne freski, które w różnych scenkach przedstawiały złe uczynki ludzkie. Świątynia Zęba znajdowała się na obszarze olbrzymiego kompleksu królewskiego, w którego skład wchodziło kilka innych świątyń i pałaców oraz nastrojowy ogród. Do najważniejszych obiektów należały Łaźnie Królewskie, Sala Audiencyjna, która była unikatowym drewnianym pawilonem, upiękaszonym rzeźbionymi kolumnami z drewna tekowego, Muzeum Słonia Radży z wypchanym słoniem, który w dawnych czasach prowadził procesje, oraz Pałac Królowych, obecnie siedziba Muzeum Narodowego, eksponujący regalia i inne pamiątki z czasów przedkolonialnych. Całość otaczała głęboka fosa i rzeźbiony, pomalowany na biało, kamienny mur. Wieczorem, kiedy ściany białych budowli podświetlał łagodny, złotawy blask licznych iluminacji, historyczna posiadłość dawnych władców królestwa Kandy wywoływała przejmujące, niezapomniane wrażenia.

Sara wyszła poza mury kompleksu i skierowała się na hałaśliwą, kolorową, przesyconą mocnymi aromatami ulicę. Kiwnęła na pierwszego przejeżdżającego tuk-tuka, wsiadła do trójkołowego, niewielkiego czerwonego pojazdu i podała nazwę luksusowego hotelu, który zachwycał przepięknym położeniem wśród zielonych ogrodów tropikalnych nad urzekającym brzegiem najdłuższej rzeki Sri Lanki Mahaveli Ganga. W hotelu minęła recepcję, schodami weszła na piętro i zewnętrzną galerią podążyła w stronę pokoju. Tuż obok, na dużym dziedzińcu, pyszniła się strzelista, zachwycająca soczystą zielenią bujna roślinność, nieodparcie dając złudzenie, że jest się w środku lasu równikowego.

Sara otworzyła drzwi kartą magnetyczną.

– Hana! – zawołała od progu.

Przyjaciółki nie było w pokoju, ale Sara usłyszała szum wody w łazience. Dziewczyna usiadła na swoim łóżku i jej wzrok padł na porozrzucane niedbale na sąsiednim łóżku ubrania Hany. Tuż po przyjeździe mama Hany, obawiając się, że samotne przebywanie w pokoju może jeszcze pogłębić depresję Sary, zdecydowała, że przyjaciółki podczas podróży będą mieszkały razem. Choć nie było w tym nic nadzwyczajnego, to Sara czuła się nieco nieswojo. Nigdy się nie zwierzyła przyjaciółce, że podczas ucieczki schronienie znalazła w przesyconej erotyzmem nadmorskiej willi, w której ostro, bez żadnych zahamowań, bawiło się środowisko kuwejskich *boyat*⁶ i *ladyat*⁷. Sara pozwalała zakochanej w niej Farah na codzienne czułości, gdyż ta odrobina bliskości i tkliwości wynagradzała jej przeżyty w domu rodzinnym koszmar. Zainteresowanie i troska, które Farah okazywała Sarze, działały na nią jak zbawienny balsam. Sara u progu dorosłości musiała się zmierzyć z silnymi, niszczącymi falami problemów, którym często trudno było się jej przeciwstawić, i znaleźć się w centrum destrukcyjnego podmuchu tajfunu, który

w pewnym momencie rozbił jej rodzinę. Podsycona płomiennym uczuciem opieka Farah dawała jej moment wytchnienia po wyczerpującej walce o zdrowie mamy i przeciwstawianiu się znieawidzonej Larze. Kojący dotyk Farah wprowadzał ją w błogi nastrój, Sara bardzo jednak uważała, aby nie przekroczył on pewnych granic, po których zaczyna się nieokiełznana namiętność. Aż do tamtej nocy...

– O, jesteś już. – Hana wyszła z łazienki owinięta puszystym ręcznikiem.

Kropelki wody lśniły na odsłoniętych ramionach Hany, długie, jeszcze wilgotne włosy spływały w dół delikatnymi falami, a pod ręcznikiem wyraźnie odcinały się jędrne piersi. Sara odwróciła wzrok.

– Łazienka wolna. Jeśli chcesz się odświeżyć, to już możesz. – Hana usiadła na drewnianym krześle wyściełanym elegancką ciemnożółtą materią, z szuflady stojącego przy łóżku stolika wyjęła suszarkę, włączyła ją do kontaktu, przechyliła głowę w taki sposób, aby jej falujące pukle spadły na jedną stronę, i zaczęła suszyć włosy.

– Za pół godziny schodzimy na kolację! – przekrzyczała buczącą suszarkę.

– Dobrze, wezmę tylko szybki prysznic. – Sara udała się do łazienki.

Tam zrzuciła ubranie, weszła do kabiny i puściła zimną wodę. Wstrząsnęła się pod lodowatymi strugami, ale nie przekręciła kurka z ciepłą wodą. Chciała to z siebie zmyć. Tę zawstydzającą, mimowolną reakcję swojego ciała na drugą kobietę. Wtedy zadzwoniła po brata, aby ten zabrał ją z willi Farah, bo nie chciała być taka jak ona. Jednak coś się już zdarzyło. Coś się w niej obudziło, kiedy w ramionach kobiety przeżyła swój pierwszy w życiu, zaskakujący rozkoszną intensywnością długi orgazm.

Usłyszała niewyraźne pukanie do drzwi.

– Saro, mogę na chwilę?! – zawołała Hana. – Chcę tylko wziąć swoje kosmetyki!

– Tak, oczywiście – odpowiedziała Sara, odwracając się twarzą do ściany.

Drzwi się otworzyły i Hana zaczęła szybko zbierać swoje kosmetyki.

– Pospiesz się, Saro! – ponagliła przyjaciółkę Hana. – Mama już czeka na nas w restauracji.

– Dobrze, zaraz będę gotowa.

– To świetnie. – Hana zamknęła drzwi łazienki.

Sara dokończyła zimny prysznic, dokładnie się wytarła i włożyła hotelowy szlafrok. Kiedy wyszła z łazienki, Hana stała przed lustrem ubrana w jasną, podkreślającą talię sukienkę i w pełnym makijażu.

– Jak wyglądam? – zwróciła się do przyjaciółki.

– Dobrze... – Sara przełknęła ślinę. – Bardzo dobrze...

– Naprawdę? – Hana nadal zerknęła w stronę lustra. – Ale te włosy... Nie bardzo mi się ułożyły... Nie sądzisz?

– Nie... Dobre są...

- Tak myślisz?
- Tak...
- Jeżeli tak mówisz... – Hana poprawiła parę kosmyków. – Wiesz co, ja już idę. – Wzięła ze stolika torebkę. – Nie chcę, żeby mama siedziała sama.
- Jasne, zaraz do was dołączę.
- Będziemy czekać. – Hana wyszła, a Sara z ulgą zamknęła za nią drzwi.

Te wszystkie zachowania i interakcje, które zazwyczaj były normalne między przyjaciółkami, jeszcze bardziej rozbijały Sarę psychicznie. Kiedyś szczyła się swoim ciałem, lubiła przymierzać dopasowane bluzki i sukienki podkreślające jej wydatny biust, seksownie tańczyć sama w pokoju, a później eksponować swoje walory na szalonych, koedukacyjnych party, które młodzież potajemnie urządzała w restrykcyjnym Kuwejcie. Teraz jej ciało wydawało się obce, gdyż reagowało wbrew jej woli, wywołując zażenowanie i poczucie winy. Fakt, że Hana nic nie wiedziała o jej rozterkach, tylko wzmagał niezręczność całej sytuacji. Przyjaciółka zaproponowała jej wspólny wakacyjny wyjazd, aby Sara zapomniała o traumatycznych dla niej przeżyciach, a ona nie potrafiła odplacić jej całkowitą otwartością i szczerością. To ją jeszcze bardziej przygnębiało.

Sara otworzyła szafę, zdjęła z wieszaka pierwszą z brzegu sukienkę, włożyła ją, wsunęła klapki, opuściła pokój i zeszła na dół. Jedną z wielu hotelowych ekskluzywnych restauracji mieściła się na obszernym dziedzińcu, którego urok podkreślały wysokie drzewa o mocnych pniach, bujnych, soczystych koronach i liściach wyróżniających się oryginalnymi kształtami, palmy z lekko powiewającymi na wietrze pierzastymi pióropuszcami, krzewy obsypane paletą barwnych płatków i mocno pachnące kwiaty splewające obfitymi girlandami z otaczających go tarasów. Lekko falująca powierzchnia widocznego w oddali połyskującego, bładoniebieskiego basenu i migotanie gęsto porozstawianych wokół dużych i małych świec dopełniały nieodparty czar ciepłej, równikowej nocy.

– Ona jest taka... sama nie wiem, jak to ująć... – mówiła Hana do matki. – Ciągle jakby zamyślona... i zamknięta... Nie wiem, jak mogę jej pomóc.

– Kiedyś już ci mówiłam, Hano, że to depresja. – Siedząca tyłem Emily również nie zauważyła podchodzącej do stolika Sary. – Musisz być bardzo wyrozumiała... i cierpliwa... Sama wiesz, ile przeszła w ciągu ostatnich miesięcy.

Hana z mamą zamilkły, kiedy Sara odsunęła krzesło i dosiadła się do stolika.

– Jadłyście już? – zapytała jak gdyby nigdy nic.

– Nie, jeszcze nie. Czekałyśmy na ciebie – odpowiedziała Hana.

Emily kiwnęła na kelnera i po chwili przystojny Lankijczyk wręczył każdej z kobiet menu.

– Mają tu wyjątkowo bogatą ofertę – stwierdziła Emily. – Kuchnia indyjska, arabska, europejska, chińska, tajska, no i oczywiście lankijska. Jest z czego wybierać, dziewczyny! Saro, na co masz dzisiaj ochotę?

- Wszystko mi jedno.
- Ale Saro, wybierz to, co najbardziej...
- Wezmę to, co Hana – przerwała Sara i odłożyła kartę.

Emily westchnęła, po czym wraz z córką zajęła się wybieraniem dań, a Sara kątem oka obserwowała kobietę i mężczyznę, którzy przy sąsiednim stoliku prowadzili ożywioną rozmowę zapatrzeni w siebie, zaabsorbowani, zagadani, zafascynowani, zakochani...

Po paru minutach kelner przyniósł lokalne potrawy i sprawnie poustawiał je na stole, który rozświetlały migotliwe płomyki kolorowych świec i ozdabiały śliczne kwiaty rozsiewające zachwycające, egzotyczne wonie. Sara spojrzała na siedzącą obok parę i dopadł ją jeszcze większy smutek.

Bo cóż nam po pięknie tego świata, przepojonych liryzmem wzruszeniach, drgnieniach duszy poruszonej, zachwycie niebiańskim, adoracji wzniosłej, wyniosłej, kiedy nie możemy tych uniesień dzielić z kimś bliskim, najbliższym, najdroższym. Upajać się pięknem, ale tylko we dwoje... A wtedy i te aromaty nektarem słodczy odurzone, te smaki ambrozją nasiąknięte, obrazy doskonałe doskonałością doskonałą, dźwięki symfonią rajską grające, i aksamit dotyku w zatraceniu, zapamiętaniu, oddaniu...

Z głośników popłynęła następna romantyczna melodia wykonywana z przejęciem przez zespół, i siedząca nieopodal para wzniosła wypełnione szampanem kieliszki, patrząc sobie wymownie w oczy. Takie to banalne i wyrafinowane zarazem. Bo przecież w tym krzyżującym się spojrzeniu jest i przeszłość, i przyszłość, i podziękowanie, i obietnica, i wyczekiwanie, i nadzieja... To jest przecież takie intymne.

Sara przypomniała sobie, jak Oskar mocnym, męskim ruchem brał ją w ramiona, i nagle złapał ją nieprzyjemny skurcz brzucha. Przez jej twarz przeleciał spazm cierpienia.

- Saro, dobrze się czujesz? – Hana z niepokojem zapytała przyjaciółkę.
- Nie bardzo.
- A co się dzieje?
- Boli mnie...
- Co? Głowa?
- Nie... Brzuch...
- Brzuch? – Hana bezradnie spojrzała na mamę.
- A gdzie cię dokładnie boli, Saro? – chciała wiedzieć Emily.
- Tu... – Sara położyła rękę na środku brzucha. – A może tutaj... – Zjechała ręką nieco niżej. – Nie wiem dokładnie...

A może wiem... – pomyślała. – Nielojalność Oskara mnie boli, alkoholizm mamy mnie boli, egoizm brata mnie boli, niezrozumienie siostry mnie boli, bezwzględny cynizm Lary mnie boli, bezduszność ojca mnie boli.

– Masz tabletki przeciwbólowe. – Emily wyciągnęła z torebki lekarstwo i podała je dziewczynie. – Może ci pomogą.

Nie pomogą – przemknęło przez głowę Sary.

Muzyka rozbrzmiała głośniejszą skoczniejszą melodią i zgromadzeni na dziedzińcu goście jeszcze bardziej się ożywili. Słysząc było donośne toasty w różnych językach, krystaliczny dźwięk trącanych kieliszków, gromkie wybuchy śmiechu i prowadzone z zaangażowaniem burzliwe dyskusje. Siedząca niedaleko grupka Niemców w różnym wieku zamawiała kolejne drinki, rzucając przy tym niewybredne uwagi po angielsku do obsługujących ich lokalnych kelnerów. Z rozgrzanymi, zaczerwienionymi twarzami i lubieżnymi półuśmiezkami omawiali ich wygląd, komplementując śniadą, lśniącą skórę, gęste, ciemne włosy, czarne oczy, jasne zęby, pełne, mięsiste usta i wąskie biodra. Rozochoczone towarzystwo bez żenady oferowało kelnerom dalszą, wspólną zabawę.

– Pójdę do pokoju. – Sara nagle wstała od stolika.

– Już? – zdziwiła się Hana. – Nawet nie tknęłaś jedzenia.

– Nie jestem głodna.

– To chociaż posiedź z nami. Taka piękna noc... – Hana próbowała przekonać przyjaciółkę.

– Nie, dziękuję. Muszę się położyć.

– Ale Saro...

– Nie nalegaj, Hano – wtrąciła się Emily. – Jeżeli Sara źle się czuje, to niech odpoczywa. Saro – zwróciła się do dziewczyny – dobrze by było, gdyby ci się udało szybko zasnąć. Sen jest najlepszym lekarstwem. Mam nadzieję, że jutro obudzisz się pełna sił, bo mamy w planie mnóstwo atrakcji.

– Dobrze, postaram się zasnąć – zapewniła Sara.

– To do zobaczenia jutro rano.

– Do zobaczenia. – Sara szybko opuściła restaurację.

* * *

Nazajutrz Hana budziła przyjaciółkę.

– Saro, wstawaj! – Delikatnie odsunęła przykrycie. – Chcemy zjeść wczesne śniadanie, a później pojechać do sierocińca dla słoń.

– Nie, nie chcę... – Sara sama czuła się jak sierota.

– Saro, proszę cię, wstań!

– Nie chcę...

– To sama mam jechać do tych słoń?! – W głosie Hany słychać było wyraźną irytację.

– Przecież jedziesz z mamą.

– To nie to samo! Przyjechałaś tu ze mną... – zaczęła Hana z wyraźnym wyrzutem.

– Daj mi spokój! – krzyknęła Sara.

– To jak chcesz! – Hana poczuła się urażona. – Ale tak się nie robi!!!

Zdenerwowana Hana, rzucając się po pokoju, przygotowała się do wycieczki, a następnie wyszła, ostentacyjnie trzaskając drzwiami. Sara cała nakryła się kołdrą, po czym zapadła w niespokojny sen.

Obudziła się dopiero około południa. Włożyła szorty i bluzkę z krótkimi rękawami i udała się w stronę rzeki. Mahaveli Ganga, najdłuższa rzeka Sri Lanki, w tym miejscu miała niezwykle szerokie koryto porośnięte z obu stron bujną roślinnością. Sara usiadła na brzegu i zapatrzyła się w mętne, leniwie płynące wody, w których niewyraźnie odbijał się przybrzeżny pas zieleni. Wiedziała, że w rzece żyją groźne krokodyle, więc wystarczyło tylko wejść do wody... Pomyślała o matce. O tym momencie, kiedy ta, nie widząc już żadnego wyjścia z beznadziejnej sytuacji w domu, nad którym zupełnie straciła kontrolę, mocno pociągnęła pewnym ruchem po swoim nadgarstku. Jak gdyby nie miała żadnych wątpliwości...

Bywają takie chwile w życiu. Chwile, kiedy wieczorem zamykamy oczy i myślimy, że może byłoby lepiej, gdybyśmy się rano nie obudzili. Bo to byłoby wybawienie. Od kłopotów, trosk, spraw i obciążeń, które nas przerastają. Z którymi zupełnie nie umiemy sobie poradzić. Witkacy po dramatycznej śmierci narzeczonej prosił swojego przyjaciela Malinowskiego o cyjanek potasu. I nawet wyprawa na rajski Cejlon, która miała być jego ucieczką od rzeczywistości i nękających go wyrzutów sumienia, nie odciągnęła go od myśli samobójczych. I mimo że ostatecznie Witkacy samobójstwa na wyspie nie popełnił, to ten czas tam spędzony, choć krótki, bo zaledwie parodniowy, w nim tkwił. Dowodem tego są cztery prawie identyczne nokturnowe akwarele przedstawiające jezioro w Kandy, a namalowane aż osiem lat po pobycie artysty w tym mieście. Księżyc w pełni kładący się długą smugą na pomarszczonej tafli jeziora, plama wyspy z rosnącymi na niej drzewami, zarysy palm, jakaś spiczasta góra gdzieś w oddali, niebo świecące wyjątkowo jasnymi gwiazdami i ognisko na pierwszym planie na ciemnoniebieskim papierze. Prostota i głębia, jak większość naszego życia.

– Saro! Saro! – Zadyszana Hana mocno potrzęsała przyjaciółkę za ramię. – Ale mnie przestraszyłaś! od godziny cię szukam!

Zdrętwiała Sara z trudem odwróciła głowę.

– Saro! Słyszysz mnie?! – Hana z przerażeniem patrzyła na bladą jak płótno twarz koleżanki.

Sara ze zdziwieniem zauważyła, że zapadł już zmrok.

– Ciemno... – wyszeptała.

– Co? – nie zrozumiała Hana.

– Ciemno jest...

– No tak, ciemno... O mało zmysłów nie straciłam... Chodź, chodź już do

hotelu!

Zadzwoiła komórka i Hana nerwowo odebrała.

– Tak, mam, znalazłam ją... Nad rzeką... Nie, nic się jej nie stało... – Hana wyjaśniała urywanie. – Tak, wracaj już... do zobaczenia.

– To mama – powiedziała Hana do Sary. – Szukała cię na mieście, pytała ludzi...

Sarze trudno było iść i co chwilę się potykała. Hana podtrzymała ją i w ten sposób wolno dotarły do pokoju, w którym zaraz pojawiła się Emily.

– Saro! – zawołała od progu. – Ale nam napędziłaś strachu! Wszystko w porządku? – Dotknęła jej czoła.

– Tak... – cicho odpowiedziała Sara.

– Saro, jak mogłaś... – zaczęła Hana, ale Emily jej przerwała.

– To nie czas na wymówki. Saro, chcesz coś zjeść? Zamówić ci coś do jedzenia do pokoju?

– Nie, nie...

– Hano, zajrzyj do lodówki, powinny tam być jakieś czekoladki czy batoniki, podaj mi je, proszę – wydała polecenie Emily. – I zrób Sarze herbatę. Wszystko, co potrzebne, masz na tym małym stoliku przy ścianie.

– Dobrze, mam.

– Chcesz się wykapać, Saro?

– Nie, nie mam siły...

– To w takim razie przebierz się tylko w piżamę i wskakuj do łóżka.

Sara jak w letargu wykonała polecenie Emily, później zjadła podaną jej dużą tabliczkę czekolady i napiła się herbaty. Czuła się znużona, zgnębiona i obolała.

– Śpij, Saro, śpij. – Emily troskliwie okryła ją kołdrą. – Hano, zostań tutaj, zamówię ci kolację do pokoju.

– Oczywiście, mam.

Następnego dnia Sara, tuż po obudzeniu, wzięła długi, ciepły prysznic, podczas którego odpychała myśli, które podobnie jak wczoraj, wciskały się do jej głowy ze wszystkich stron jak nieproszeni goście: A jeśli ojciec znowu mamę zawiedzie? Odrzuci, zapomni, zdradzi? A mama tam sama na tym morzu... Krokodyle... W tej rzece są krokodyle... Wielkie, drapieżne gady, odznaczające się grubą skórą i silnymi, haczykowatymi zębami. To ludożercy. Jedno kłapnięcie i po tobie. Jeden taki wciągnął z brzegu do tej rzeki rybaka. Pożarł go w okamgnieniu. W hotelu ostrzegali nas, żeby nie podchodzić do rzeki bliżej niż na pięć metrów. A ja siedzę tuż nad brzegiem... Siedzę i czekam...

– Saro! Saro! – Hana zaczęła się dobijać do łazienki. – Jesteś tam?! Co robisz?! Saro! Odezwij się!

– Biorę prysznic!

– Wszystko w porządku?! Dobrze się czujesz?!

– Tak, tak... Nie martw się!

Łomotanie ustało, a Sara przepędziła z myśli sążnisty, łuskowaty ogon krwiożerczego gada. Po paru minutach wyszła z łazienki i zobaczyła Hanę siedzącą na jednym z foteli przy okrągłym stoliku, na którym stały dwie parujące filiżanki.

– Siadaj! – Hana zwróciła się do przyjaciółki. – W podręcznym zestawie hotelowym znalazłam pitną czekoladę i przygotowałam nam. Spróbuj, pyszna jest!

– Dziękuję. – Sara usiadła, wzięła do ręki filiżankę z gorącym płynem i ostrożnie pociągnęła z niej jeden łyk. – Rzeczywiście, jest bardzo dobra – stwierdziła.

– Cieszę się, że ci smakuje. – Tak naprawdę Hana była zadowolona z tego, że Sara przyłączyła się do niej, a nie weszła z powrotem do łóżka i popadła w jakąś trudną do przewidzenia apatię.

– I jak tam wycieczka do sierocińca słoń? – zagaiła Sara, bo nie chciała, żeby Hana wracała do jej wczorajszego nagłego zniknięcia.

– Chcesz wiedzieć, jak było? Bardzo niefajnie. Bardzo. I to chyba nawet dobrze, że tego nie widziałas.

– Dlaczego?

– Bo przykro było patrzeć na słonie skute łańcuchami...

– To oni je skuwają w łańcuchy?

– No tak, i te łańcuchy są owinięte wokół ich nóg, a następnie połączone grubymi ogniwami z łańcuchem okalającym ich szyję. A niby to jest placówka, która ma ratować słonie... Pomagać im... Ale dla mnie i mojej mamy to bardziej wygląda na wykorzystywanie tych biednych zwierząt, aby wyciągnąć więcej pieniędzy od turystów. Chcesz nakarmić słoń? Proszę bardzo, kupujesz dodatkowy bilet i dostajesz dla zabawy butelkę z mlekiem. A że słoń może niegłodny, bo już tego dnia karmiło go w ten sposób paru turystów? Nie szkodzi, pracownik sierocińca wytarga go umiejętnie za ucho, zmuszając do jedzenia.

– Aż tak jest tam źle?

– I jeszcze gorzej! Pracownicy chodzą z długimi kijami w dłoniach, których bezlitośnie używają, jeżeli słoń nie chce odpowiednio ustawić się do zdjęcia czy selfie z turystą.

– Ale przecież ich nie biją?!

– Dźgają, trącają, a i bicie też może się zdarzyć!

– A turyści na to nie reagują?

– No właśnie nie! Z przyklejonymi do ręki telefonami tylko czekają, aby być jak najbliżej słonika, złapać jak najlepszą fotkę i wysłać do znajomych. No wiesz, te wszystkie lajki... I w dodatku za te zdjęcia też trzeba płacić.

– Aż trudno uwierzyć!

– Ja i mama też byliśmy zszokowane. Bo wiesz, parę lat wcześniej oglądałyśmy tu słonie na safari w jednym z parków narodowych i to było zupełnie

co innego. One sobie normalnie tam żyły, tak jak na wolności, a ludzie pomagali im tylko w takim zakresie, w jakim było to niezbędne. Widziałam całe słoniowe rodziny swobodnie przemierzające ogromne, zielone połacie rezerwatu, skubiące trąbami liście i gałązki, beztrudnie kąpiące się i przyskające wodą na wszystkie strony. To były piękne widoki! A ten sierociniec... Według mnie zupełny koszmar!

– W takim razie dobrze, że tego nie widziałam.

– Z pewnością! A najgorsze były kije zakończone hakami, którymi tresuje się dorosłe słonie ku wątpliwej ucieście turystów. Słoń ma wejść do wody albo się w niej położyć, podnieść drewniany bal, odpowiednio pozować... A jak nie chce, to buch tym hakiem w najbardziej wrażliwe miejsca słonia, tak dotkliwie, że czasami krew się leje...

– Hano, przestań! – Sara nie chciała już więcej słuchać o cierpieniu zwierząt.
– Wystarczy!

– Przecież sama zapytałaś! – wykrzyknęła Hana, ale zaraz zniżyła ton, bo przypomniała sobie radę mamy, że ma być wyjątkowo wyrozumiała i cierpliwa w stosunku do Sary. – I jak, dobra czekolada? – zmieniła temat.

– Tak, wspaniała.

Przyjaciółki przez moment w milczeniu sączyły napój, po czym wzrok Sary padł na leżące na stoliku dość duże, kolorowe kartoniki.

– Co to jest? – zapytała.

– Bilety – odpowiedziała Hana.

– Do sierocińca słoni?

– Nie, na przedstawienie prezentujące tradycyjny taniec kandyjski.

– Na kiedy?

– Dziś po południu. Pójdiesz? Bo jeżeli ty nie idziesz, to ja zostanę z tobą.

Sara chwilę się zastanowiła. W zasadzie wolałaby nie ruszać się z pokoju i nigdzie nie wychodzić, ale z drugiej strony musiała przyznać rację przyjaciółce, która jej poprzedniego dnia wykrzyczała w złości, że „tak się nie robi”. Przecież nie może psuć wakacji Hanie i jej mamie bez względu na to, jak bardzo jest przybita. A teraz jeszcze Hana deklaruje, że dotrzyma jej towarzystwa, jeżeli ona nie pójdzie na przedstawienie. Pewnie po wczorajszym incydencie obawia się ją zostawić samą.

– Dobrze, pójdę – zdecydowała.

– Naprawdę?! – Hana wyraźnie się ucieszyła. – To cudownie!

Sara uśmiechnęła się do przyjaciółki i dokończyła swoją czekoladę.

Wkrótce Sara, Hana i jej mama zmierzały tuk-tukiem zatłoczonymi i hałaśliwymi ulicami Kandy do miejsca, gdzie miało się odbyć przedstawienie.

– Te tańce, które będziemy dziś oglądać, są niezwykle fascynujące i reprezentują bogatą tradycję kulturową regionu. Cieszę się, Saro, że się z nami na nie wybrałaś. – Emily nie ukrywała swojej radości. – Uważa się, że korzenie

kandyjskich tańców sięgają rytuałów egzorcystrycznych Indii. Istnieje legenda, która mówi o tym, że trzej szamani z Indii udali się na Cejlon, aby pomóc panującemu tam królowi wyleczyć tajemniczą chorobę. Król cierpiał na powtarzający się, dręczący go sen, w którym lampart otwierał paszczę i wystawiał w jego kierunku swój groźny jęzor. Panowało przekonanie, że ta nieprzyjemna przypadłość wywołana została przez pierwszą żonę, która zastosowała wobec króla elementy czarnej magii. Kiedy przybyli szamani wykonali swój rytualny taniec, rzucone wcześniej przekleństwo zostało zdjęte, król ozdrowiał, a sam taniec rozpowszechnił się wśród lokalnych mieszkańców.

– To interesujące – stwierdziła Hana. – Ciekawe, jak te tańce wyglądają.

Tuk-tuk podjechał do hali, gdzie zgromadzonych już było wielu turystów, głównie z Indii, Chin i Europy. Emily i dziewczęta pokazały przy wejściu bilety i weszły do środka.

– Dobrze, że przyjechałyśmy trochę wcześniej, to możemy usiąść bliżej sceny – stwierdziła Emily.

Na sali rozstawione były zwykłe, nienumerowane krzeselka i widzowie szybko zajmowali miejsca w pierwszych rzędach. Po sali chodzili sprzedawcy, oferując napoje i drobne przekąski.

– Kupić wam coś? – spytała Emily dziewcząt.

– Dziękuję, mam, ja nic nie chcę – odpowiedziała Hana.

– Ja też nie – odezwała się Sara.

– To w takim razie wezmę tylko parę butelek wody. Przedstawienie trwa prawie półtorej godziny, a tu jest dość gorąco.

Sala zapełniła się po brzegi i po kilkunastu minutach niecierpliwego oczekiwania zaczął się występ lokalnych tancerzy.

Widownię już od pierwszych donośnych uderzeń bębnow wciągnęła mistyczna atmosfera rytualnych tańców. Kolejne grupy tancerzy w interesujących choreografiach zabierały widzów do świata wierzeń i obrzędów. Wyszukane, niezwykle w swej egzotycznej barwności kostiumy, wzbogacone o liczne brzęczące ozdoby potęgowały atrakcyjność tradycyjnego pokazu, który przyciągał uwagę kolejnymi interesującymi odsłonami. Układy taneczne obrazowały różnorodne tradycje, do których należał między innymi starożytny rytuał oczyszczenia, pełniący funkcję przebłągalną. Wykonywany był wyłącznie przez mężczyzn ubranych we wspaniałe stroje, składające się z kilkudziesięciu elementów. Dolna, biała część kostiumu, wykończona czerwonymi i czarnymi lamówkami, przypominała długie, wielowarstwowe spódnico-spodnie z szerokimi nogawkami, odkryte torsy mężczyzn skąpo zakrywał ornament upleciony z małych muszelek i srebrnych koralików, a głowy zdobiły imponujące srebrne nakrycia ukształtowane w formie słońca z odchodzącymi od niego promieniami. Ponadto na ciałach mężczyzn pyszniła się bogata srebrna biżuteria artystyczna: grube

bransolety na ramionach i przedramionach, ciężkie naszyjniki na szyi i olbrzymie kolczyki całkowicie zasłaniające uszy. Nieco powyżej bioder Lankijczycy przepasani byli szerokimi pasami, z których pośrodku zwisała, zwężająca się ku dołowi i udekorowana grawerowanymi srebrnymi blaszkami w kształcie kół, czerwona ozdoba. Strój do tańca prześlągalnego uważany był za święty, szczególnie dotyczyło to nakrycia głowy, więc początkowo przechowywany był w sanktuarium. Współcześnie przeprowadzano specjalną ceremonię, podczas której tancerzom, po osiągnięciu odpowiedniego stopnia wtajemniczenia, pierwszy raz wkładano na głowę okazałe rytualne nakrycie.

Następnym nadzwyczajnie ekspresyjnym widowiskiem był „taniec diabła”, który miał uspokoić złe duchy wywołujące choroby. Taniec ten był swego rodzaju egzorcyzmem pomagającym ludziom przezwyciężyć groźne nadprzyrodzone siły. Tancerze zakładali maski przedstawiające różne postaci, takie jak ptaki, gady i demony, po czym w rytualnych figurach tanecznych starali się przepędzić dolegliwości i nieszczęścia spowodowane przez złe moce. Na lankijskich wsiach wierzono, że pewne choroby wywołane są przez tak zwane niewidzialne ręce, które należy odpędzić od pacjenta, aby doprowadzić do jego uzdrowienia. Szczególny strach u ludzi wywoływał demon cmentarny, więc tancerz, którego zadaniem było uspokojenie go, przebierał się za niedźwiedzia, a głównym akcentem jego stroju była straszna maska z wyszczerzonymi zębami, wielkimi uszami, przerażającymi, wytrzeszczonymi oczami i wystawionym językiem. Towarzyszący mu tancerze również nosili maski i w rytualnym tańcu, pełnym podskoków, gwałtownych ruchów oraz energicznych wymachiwań rąk i potrzasań głową, odstraszaali sięjącego zło demona.

Przedstawienie składało się z wielu sekwencji choreograficznych, podczas których na scenę wychodzili różni artyści, w tym również kobiety. Sarę urzekły zróżnicowane, kolorowe kostiumy oraz kunszt tancerzy, a zwłaszcza płynna, pełna urozmaiconych ruchów i figur praca ich rąk. Wszystkie tańce wykonywane były boso. Kiedy w finale na scenie, rozdając szerokie uśmiechy, pojawili się wszyscy tancerze, publiczność nagrodziła ich rześnistymi brawami i entuzjastycznymi okrzykami.

– I jak, podobało się? – spytała Emily.

– Bardzo! – zapewniła Hana.

– A tobie, Saro?

– Mnie też się podobało. – Żywe i niesłychanie plastyczne przedstawienie odciągnęło Sarę od ponurych myśli.

– A to jeszcze nie koniec. – Emily cieszyła się, że twarz Sary choć trochę się rozjaśniła.

– Jak to? – Hana wstała z krzeselka i podążyła za Emily w stronę wyjścia.

– Na zewnątrz czekają nas tradycyjne występy pokazujące władzę człowieka

nad ogniem.

Na placu, w pobliżu budynku, gdzie odbywało się przedstawienie, już gromadzili się widzowie ciekawi następnych atrakcji. Na środku stał niski, duży, prostokątny żelazny pojemnik, z którego buchały gorące płomienie. Słychać było zawodzące śpiewy i wybijany dłońmi przez ustawionych wkoło bębniarzy miarowy rytm, który nadawał tempo energicznym ruchom tancerzy, trzymających w obu rękach płonące pochodnie. Właśnie zapadał zmierzch i panujący półmrok uwypuklał figury kreślone żywym ogniem przez artystów.

– To kandyjski taniec ognia – powiedziała Emily w stronę dziewcząt.

Tymczasem mężczyźni przyspieszyli i można było odnieść wrażenie, że to sam ogień pogrążył się w rytualnym tańcu. Płaszące płomienie pojawiały się w coraz to innym miejscu, zmieniając kształty w zapamiętałym wirowaniu. Od czasu do czasu tancerze przykładali palące płomienie do swoich nagich torsów lub popisywali się mistrzostwem połykaczy ognia. W kulminacyjnym momencie ogień w żelaznym pojemniku wystrzelił do góry i tancerze przebiegali po znajdujących się w nim rozżarzonych węglach, nie zważając na sięgające im kolan szalejące jęzory.

– Wooow!!! – wyrwało się z ust najbliższych stojących.

– Zobacz, Saro, nawet im się te ich długie sarongi nie zapalają! – podzieliła się swoim spostrzeżeniem Hana.

Nastała noc i zahipnotyzowani widzowie wodzili wzrokiem za rozświetlającymi ciemność błyskami tańczących płomieni. Na koniec jeden z tancerzy rzucił się w żywiołowy taniec wokół własnej osi, wymachując jednocześnie płonącymi pochodniami. Brawurowy pokaz zakończył się głośnym aplauzem publiczności.

Zgaszono ogień i widzowie, komentując w różnych językach dopiero co obejrzone przedstawienie, zaczęli się rozchodzić.

– Mamo, świetnie, że nas tu zabrałaś. To był bardzo udany wieczór. Prawda, Saro? – Błyszczące oczy Hany dowodziły, że wciąż jest pod dużym wrażeniem egzotycznego spektaklu.

– Tak, masz rację – zgodziła się Sara.

– A co najbardziej ci się podobało?

– Nie wiem, trudno powiedzieć, w zasadzie chyba wszystko... – Sara chwilę się zastanowiła. – Ale gdybym miała coś konkretnego wymienić, to zwróciłam uwagę na dużo różnego rodzaju wyjątkowo wymyślnych strojów, urozmaicone tańce i choreografie, bardzo specyficzne, zupełnie nieznane mi wcześniej ruchy tancerzy... To wszystko było dla mnie zupełnie nowe.

– Mamo, pamiętasz, mówiłam dokładnie to samo po obejrzeniu opery japońskiej! – roześmiała się Hana.

– Tak, a szczególnie zaintrygowały cię kredowobiałe, zastygłe w bezruchu

maski tancerzy – dodała Emily.

– Niektóre z krwistoczerwonymi ustami... Też wtedy zastanowiło mnie, jak bardzo sztuka japońska różni się od wszystkiego, co znałam do tej pory – wspominała Hana.

– Pamiętajcie, że należy poznawać inne kultury i czerpać ze skarbnicy ich bogactwa i mądrości – z przekonaniem stwierdziła Emily. – O, mamy tuk-tuka. – Emily zatrzymała przejeżdżający tuż koło nich pojazd. – Wracamy do hotelu, pewnie jesteście już głodne. Wsiadajcie! – Emily przepuściła przed sobą dziewczęta.

– Mamo, kiedyś opowiadałaś mi bardzo romantyczną historię związaną z jedną z tutejszych tancerek. – Hana po drodze zwróciła się do matki. – Opowiedz ją Sarze, proszę, bo ja nie pamiętam szczegółów.

– Masz na myśli wielką sekretną miłość króla Toma i Loviny?

– Tak, dokładnie.

– To niezwykła historia... – ciepłym głosem zaczęła Emily. – Niektórzy uważają ją za najbardziej tajemniczą historię miłosną dziewiętnastego wieku...

– Posłuchaj, Saro, ile fascynujących sekretów kryje ta wyspa. – Hana zachęciła przyjaciółkę do uwagi.

– Działo się to w czasach, kiedy kontrolę nad Cejlonem sprawowali Brytyjczycy – ciągnęła Emily. – Pierwszym gubernatorem został sir Thomas Maitland. Ten pochodzący z arystokratycznego rodu czterdziestosześcioletni kawaler zakochał się do szaleństwa w lokalnej tancerce, która występowała w grupie zabawiającej brytyjską śmietankę towarzyską.

– Ale z tego, co pamiętam, to ta tancerka była w połowie Portugalką – wtrąciła Hana.

– Tak, to prawda – przytaknęła Emily. – Lovina miała portugalskie i syngaleskie korzenie, więc może dlatego odznaczała się olśniewającą urodą. Duże piwne oczy, długie, kruczoczarne falujące włosy, śliczna twarz, idealna sylwetka.... Sir Thomas zobaczył ją po raz pierwszy, kiedy zespół taneczny, któremu przewodził ojciec Loviny, wystąpił na uroczystej imprezie powitalnej na cześć nowego gubernatora.

Sir Thomas oczarowany urzekającym uśmiechem, wdziękiem i urokiem osobistym pięknej tancerki zapalał do niej gorącym uczuciem. Owładnięty nieodpartą obsesją, żeby jak najczęściej ją widywać, organizował bale maskowe, na których bawili się panowie w cylindrach i panie w spływających do ziemi sukniach, a grupa ojca Loviny zabawiała ich programami artystycznymi. Oczywiście było nie do pomyślenia, żeby na oczach wszystkich nawiązał się romans między gubernatorem a lokalną tancerką. Zbyt wielka była między nimi różnica społeczna. – Emily przerwała na chwilę, nad czymś się zamyślając.

– I co było dalej? – spytała Sara.

– Mówią, że Sir Thomas ujrzał cudną Lovinę kąpiącą się w falach oceanu i widok ten jeszcze bardziej rozpałił niepokonaną miłość i namiętność, którą darzył tancerkę – podjęła opowieść Emily. – Wtedy wybrał działkę niedaleko Kolombo, malowniczo położoną na wzgórzu od strony plaży lazurowego Oceanu Indyjskiego, i zbudował na niej okazałą wiktoriańską rezydencję.

– Ale przecież nie mógł oficjalnie zamieszkać w niej ze swoją ukochaną? – zauważyła Sara.

– Oczywiście, że nie! – potwierdziła Emily. – W związku z tym, już w trakcie realizacji projektu, zlecił zbudowanie sekretnego tunelu, który łączył podwórko skromnej chaty ojca Loviny z jego wspaniałą rezydencją.

– Słyszysz, Saro, do czego zdolny jest zakochany mężczyzna! – wykrzyknęła Hana.

– Tak, zakochany mężczyzna potrafi podjąć się niesamowitych działań... – zgodziła się Emily, po czym kontynuowała opowieść. – Tunel miał początek w studni, skąd pobierano wodę pitną, a koniec w piwnicy rezydencji, gdzie gubernator przechowywał wina. I dzięki temu wybiegowi szalona miłość brytyjskiego arystokraty i lokalnej tancerki mogła kwitnąć.

– Prawdziwa miłość zwycięży każdą przeszkodę... – Widać było, że Sara jest pod dużym wrażeniem romantycznej historii.

– Przez siedem lat Lovina pokonywała parusetmetrowy ciemny tunel, aby w tropikalne noce kochankowie mogli upajać się nieposkromioną miłością i nieokiełznaną namiętnością aż do brzasku... I ani tubylcy z Cejlonu, ani wysoko postawieni urzędnicy w Anglii nie byli świadomi tego łamiącego wszelkie konwenanse romansu.

– To piękna historia miłosna – stwierdziła Hana.

– Każda historia prawdziwej miłości jest piękna... – szepnęła Sara. – Szczególnie takiej, która trwa mimo wszystko...

– I skończyło się jak w bajce? – zapytała Hana. – Żyli długo i szczęśliwie?

– Niestety, nie – ze smutkiem powiedziała Emily. – To życie... W końcu skrzętnie skrywana tajemnica kochanków wydała się i zwierzchnicy sir Thomasa, króla Toma, jak go nazywano na wyspie, musieli oficjalnie wyrazić dezaprobatę wobec postępowania swojego urzędnika, które kłóciło się z wyznawanymi wówczas wartościami. Sir Thomas został odesłany do pełnienia funkcji na Malcie i oczywiście nie miał możliwości zabrania ze sobą swojej ukochanej. I to był koniec tej intrygującej historii miłosnej.

– A Lovina? – chciała wiedzieć Sara. – Co się stało z Loviną?

– Krążą różne wersje dotyczące jej dalszych losów. Jedna z nich mówi, że nieszczęsna dziewczyna, oddzielona od ukochanego, który ostatecznie złamał jej serce, wspięła się na klif niedaleko rezydencji, w której przeżyła najpiękniejsze chwile swojego życia, i rzuciła się w odmęty oceanu.

– Czy piękna miłość zawsze musi się kończyć tragicznie? – Twarz Sary znowu zasnęła się smutkiem.

– Może nie zawsze – odpowiedziała Emily. – Bo istnieje też inna wersja zdarzeń, według której Lovina pojawiła się w małym rybackim miasteczku z pieniędzmi, być może otrzymanymi od ukochanego, kupiła tam dom i żyła w nim do końca swoich dni.

– A sir Thomas? – zainteresowała się Hana.

– Pograżony w żal po stracie ukochanej, do śmierci wspominając idylliczne chwile spędzone ze swoją wielką miłością, nigdy się nie ożenił.

– A teraz w dawnej rezydencji do szaleństwa zakochanego gubernatora znajduje się hotel, prawda, mamó? – powiedziała Hana.

– Tak, miasto się rozrosło i w Kolombo jest teraz hotel Mount Lavinia, bo tak niektórzy nazywali piękną tancerkę. To niezwykle klimatyczne miejsce, traktowane jako symboliczny pomnik zakazanego, gorącego romansu, przyciąga wielu turystów, szczególnie nowożeńców, duchem dawnych wieków i wyjątkowej miłości. W jego wnętrzach kręcone były nawet niektóre zdjęcia do kultowego filmu *Most na rzece Kwai*. O, jesteśmy na miejscu. – Tuk-tuk się zatrzymał i Emily podała kierowcy kilkaset rupii. – Chodźcie, dziewczyny, pewnie marzycie o posiłku.

Po kolacji przyjaciółki poszły do swojego pokoju, gdzie jeszcze długo dyskutowały o kandyjskich tańcach i trwającym wiele lat sekretnym uczuciu tutejszej piękności.

Następnego dnia Emily obudziła Hanę i Sarę skoro świt.

– Wczoraj spodobały się wam tradycyjne występy, to dzisiaj na pewno zachwycicie się Złotą Świątynią Dambulla. – Emily poszła za ciosem, proponując sposób spędzenia czasu, który nie pozwoliłby Sarze pograżać się w czarnych myślach. – Wiem, Saro, że lubisz przesiadywać w Świątyni Zęba. Uważam, że ten liczący sobie dwadzieścia dwa wieki, bardzo dobrze zachowany kompleks klasztorny w Dambulla też przypadnie ci do gustu. Składa się z pięciu sanktuariów buddyjskich umiejscowionych w skalnych jaskiniach. Ktoś nas tam zawiezie.

– A kto? – Hana była ciekawa.

– Zaraz same zobaczycie. To co, zbierajcie się i spotkamy się na dole w hotelowym lobby. Za ile będziecie gotowe?

– Za piętnaście minut? – Hana spojrzała pytająco na Sarę.

– Tak, to wystarczy – stwierdziła Sara.

– Kto pierwszy do łazienki? – Hana wyraźnie odetchnęła z ulgą, że przyjaciółka postanowiła jej towarzyszyć.

– Jak chcesz, to ty idź pierwsza.

– Dobrze, dziękuję, uwinę się szybko. – Hana weszła do łazienki.

– To wy, dziewczyny, tu się szykujcie, a ja poczekam na dole.

Do zobaczenia za kwadrans. – Emily opuściła pokój.

Sara i tym razem wołałaby nigdzie nie jechać, szczególnie, że po usłyszeniu historii Loviny odezwało się bolesne wspomnienie Oskara i związanego z nim jej zawodu miłośnego. Jednak niezależnie, jak bardzo cierpiała w środku, postanowiła się przemóc i nie sprawiać trudności Hanie i jej mamie, które tak bardzo się o nią troszczyły. Wciąż pamiętała to okropne uczucie bezradności, kiedy codziennie wychodziła z sypialni pogrążonej w oparach alkoholu matki, której nie była w stanie w żaden sposób pomóc.

– Łazienka już wolna – oznajmiła Hana.

– Dobrze, dziękuję.

Po pół godzinie przyjaciółki zeszły do hotelowego lobby.

– Nareszcie! – wykrzyknęła Emily. – Myślałam, że już się nigdy nie wygrzebiecie! Przywitajcie się.

Z obszernej kanapy podniosła się niewysoka Lankijka ubrana w bluzkę z krótkimi rękawami i gustowną spódnicę do ziemi.

– Dzień dobry! – Uśmiechnęła się do dziewcząt.

– Dzień dobry! – Hana i Sara odpowiedziały prawie jednocześnie.

– Nie poznajecie? – zdziwiła się Emily.

Niewyraźne twarze dziewcząt mówiły, że nie wiedzą, z kim mają do czynienia.

– To Manisza – przedstawiła kobietę Emily.

Skonsternowane przyjaciółki spojrzały po sobie.

– Manisza pracuje w waszej szkole – podpowiedziała Emily.

– A, Manisza, dzień dobry – powtórzyła Hana, która dopiero teraz skojarzyła, że to pracująca w jej szkole sprzątaczką. Lub służącą, jak mówi się w Kuwejcie.

Sara natomiast zupełnie nie poznawała stojącej przed nią kobiety.

– Saro, to Manisza, pamiętasz, przynosiła mi czasem kostium do ćwiczeń od mojego kierowcy, który mi go dowoził, gdy zapomniałam wziąć z domu.

– A tak, rzeczywiście – powiedziała Sara, chociaż dla niej ta przebywająca w luksusowym hotelu dobrze wyglądająca kobieta tak naprawdę nie miała nic wspólnego ze służącą ubraną w granatowy uniform i ustępującą z drogi nawet najmłodszym uczniom elitarniej kuwejckiej szkoły.

– Moje wnuczeta – przedstawiła swoją rodzinę Manisza. – Anika. – Może siedmioletnia dziewczynka o ciemnej karnacji i czarnych włosach wstała z kanapy i powiedziała trochę nieśmiało „Dzień dobry”. – I Ravi. – Starszy chłopiec poszedł w ślady siostry.

– To dzieci mojej jedynej córki. – Twarz Maniszy emanowała wielką dumą.

– Też się uczą w bardzo dobrej prywatnej szkole.

– Wspaniale, Manisza – ucieszyła się Emily. – Ale teraz już chodźmy;

z tego, co wiem, stąd do Dambulli jest ponad siedemdziesiąt kilometrów, a przy tutejszych drogach przejazd zabierze trochę czasu.

– Tak, trzeba liczyć około dwóch godzin – potwierdziła Manisza.

– No właśnie, więc trzeba wyruszyć jak najszybciej. – Emily skierowała się w stronę wyjścia.

Przed hotelem Manisza kiwnęła na zaparkowany niedaleko niewielki biały busik. Samochód z kierowcą podjechał i wszyscy wsiedli do środka.

– Ten samochód należy do rodziny mojej córki – pochwaliła się Manisza. – Dałam jej go w posagu... I jeszcze dom, całe umeblowanie i wyposażenie... Bardzo dobrze wyszła za mąż. Jej mąż ma stanowisko, świetnie zarabia... Szczęśliwa jest...

– A ile lat pracujesz w Kuwejcie? – Emily w skupieniu przysłuchiwała się słowom Lankijki.

– Niedługo będzie trzydzieści. Moja córka była mała, kiedy musiałam wyjechać. Mój mąż zginął w wojnie domowej...

– Przykro mi. – Emily wyraziła swoje współczucie.

– To był straszny, długotrwały konflikt, który zaczął się na początku lat osiemdziesiątych. Skończył się dopiero w dwa tysiące dziewiątym roku, kiedy Tamilskie Tygrysy, według wielu organizacja terrorystyczna, zostały zdziesiątkowane i całkowicie pobite przez armię rządową.

– To był konflikt na tle etnicznym?

– Tak, walczyli Syngalezi, którzy są wyznawcami buddyzmu, z Tamilami, wyznawcami hinduizmu. Podaje się, że w wyniku wojny zginęło ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Dobrze, że to już przeszłość... Teraz nauczyliśmy się szanować odmienne wyznania współmieszkańców wyspy. Ale gdy zginął mój mąż, to zostałam sama z córką bez środków do życia, nie miałyśmy co jeść... Musiałam wyjechać. Na początku pracowałam przez lata w prywatnych domach, a dopiero dużo później zatrudniłam się w angielskiej szkole, gdzie były lepsze warunki. Ale moja córka jest szczęśliwa – podkreśliła po raz drugi Lankijka z wyrazem determinacji w oczach.

Manisza należała do dziesiątek tysięcy swoich rodaków, którzy na przestrzeni ostatnich dekad wyjechali do bogatych krajów Zatoki Perskiej, aby zapewnić podstawowy byt swojej rodzinie. Ceną za godną egzystencję najbliższych była prawie stała rozłąka z nimi i praca w niewolniczym systemie poddaństwa przez dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni w tygodniu. I całkowita rezygnacja ze swojego życia prywatnego. Z życia w ogóle. Po to, aby kiedyś móc powiedzieć: „Moja córka jest szczęśliwa”.

– To u was w zwyczaju jest dawanie dziewczynom posagów? Słyszałam, że taki obyczaj panuje w Indiach, ale nie wiedziałam, że na Sri Lance jest podobnie. – Poznawanie innych kultur było pasją Emily.

– Tak, i im wyższy posąg wnosi dziewczyna, tym większe ma szanse na dobre wyjście za mąż. Ja mojej córce dałam bardzo wysoki posąg – z satysfakcją wyznała Manisza.

Emily spozrzała na wnuki Lankijki, ich zadowolone, uśmiechnięte buzie, smartfony w rękach, buty Nike na nogach chłopca, charakterystyczny biały T-shirt z czerwonym sercem pośrodku napisu „I love Dubai”. Dzieci nie posiadały oznak niedożywienia. Mama Hany zauważyła nawet, że były nieco pulchne. A Sri Lanka należała do krajów, gdzie prawie jedna czwarta ludności do niedawna żyła poniżej granicy linii ubóstwa, którą wyznaczała suma mniejsza niż dwa dolary dziennie na osobę. Tak, tej kobiecie się udało – pomyślała Emily. – Udało jej się przełamać krąg biedy i sprawić, że jej rodzina żyje na odpowiednim poziomie, a jej wnuki będą mieć dobrą edukację. Tylko jakim kosztem to osiągnęła?

Dambulla przywitała podróżnych tłumem zwiedzających, gdyż od wieków Złota Świątynia cieszyła się ogromnym zainteresowaniem zarówno pielgrzymów, jak i turystów. Na tle błękitnego nieba odcinał się imponujący, wysokości trzydziestu metrów złoty posąg Buddy z rękami w geście mudry⁸ oznaczającej głoszenie doktryny. Poniżej był wielki napis po syngalesku i po angielsku „Golden Temple” oraz szeroko otwarta paszcza smoka mieszcząca drzwi wejściowe. Prowadziły do nich wysokie schody, a górną część ich obustronnej balustrady ozdabiały łapy smoka zakończone pazurami. Po obu stronach sylwetki Buddy znajdowały się białe wieże ozdobione galeryjkami, kolumnami i stożkowatymi, niebiesko-złotymi dachami. Na froncie rozłożystego, kilkupiętrowego budynku rozchodziły się na boki liczne dekoracyjne wstęgi, uformowane na kształt białych i różowych kwiatów lotosu. Na wysokości dachu, na występie skalnym, umiejscowione było kilkadziesiąt naturalnej wielkości figurek mnichów w pomarańczowych szatach zmierzających w stronę Buddy z darami.

– Schody na górę, prowadzące do świątyń, znajdują się tam. – Manisza wskazała na drogę po lewej stronie świątyni. – Ale przedtem musimy kupić bilety.

Trakt na początku wiódł wśród bujnej zieleni, później przechodziło się obok brązowych skał.

– O, zobacz, Saro, mamy nasze małpki. – Hana obserwowała biegające wkoło i dokazujące makaki. – Spójrz, jakie mają długie ogony!

– I w ogóle nie boją się ludzi! – spostrzegła Sara.

– Dlatego właśnie trzeba dobrze pilnować swoich rzeczy, bo porywają wszystko!

– Buty też?

– Gdyby mogły, to pewnie też! – zaśmiała się Hana.

Przed wejściem na wewnętrzny teren, gdzie znajdowały się sanktuaria, należało pozbyć się obuwia i dalej iść boso. Za niewielką opłatą można było zostawić buty w przydrożnej budce u pilnującego tego miejsca Lankijczyka. I tak

jak w przypadku innych buddyjskich świątyń, również i tu wymagane były odpowiednie stroje: kobiety musiały mieć zakryte ramiona, a ich spódnice lub spodnie powinny sięgać co najmniej za kolana, mężczyźni zaś powinni mieć długie spodnie.

Jaskinie w Dambulli od wieków były niezwykle ważnym ośrodkiem religijnym i wciąż funkcjonują jako klasztor. Sam kompleks pochodzi z trzeciego i drugiego wieku przed naszą erą, ale dopiero w pierwszym wieku przed naszą erą jeden z królów przekształcił go w świątynię w podziękowaniu za schronienie, jakiego udzielili mu mnisi podczas trwającego czternaście lat wygnania z jego królestwa. Istnieje przekonanie, że mnisi za pomocą swoich medytacji chronili go od niekorzystnych działań jego wrogów. Kiedy król odzyskał tron, w dowód wdzięczności dla mnichów z Dambulli zbudował wspaniałą świątynię. W następnych wiekach kolejni królowie ozdabiali jaskinie złotem i malowidłami oraz darowali następne posągi Buddy. Współcześnie w świątyni można podziwiać ponad sto pięćdziesiąt posągów Buddy w różnych pozach i rozmiarach, kolorowe freski na ścianach i sufitach oraz posąжки królów lankijskich i bóstw hinduskich.

Sara odłączyła się od towarzyszących jej osób i sama powoli chodziła od jaskini do jaskini. W środku każdej z nich panował półmrok, potęgując niespotykaną atmosferę historycznego skalnego sanktuarium. Lśniące złotem, zastygłe w znaczących kształtach figury oraz malowidła, z których wybijał się kolor czerwony, dodawały pomieszczeniom wyjątkowej powagi. Wierni w ciszy stawali przed okazałymi posągami Buddy i oddawali się medytacji. W jednej z jaskiń, świątyni Króla-Boga, prawie całą jej powierzchnię zajmował wyrzeźbiony w skale kilkunastometrowy posąg Buddy w pozycji leżącej, ze zwracającymi uwagę pięknie pomalowanymi podeszwami stóp. Wokół posągu znajdowały się wydzielające mocny aromat kwiaty lotosu ofiarowywane od rana przez modlących się wiernych.

Sara zatopiła się w myślach, próbując odnaleźć głęboko w sobie jakieś światło, które wskaże jej dalszą drogę. Wznięci nadzieję, obudzi pragnienia... Zasłoni swym blaskiem rany... Pomoże odzyskać chęć życia... Snuć plany... Odzyskać radość... Wyznaczyć cel... Uwierzyć... W siebie i w ludzi... W ludzi najbardziej...

– Saro, Saro... – szeptała Hana, delikatnie trącając przyjaciółkę. – Już bardzo długo tu jesteś. Czas wracać.

Dziewczyny wyszły z jaskini na zewnątrz, gdzie czekały na nie Manisza z wnuczkami i mama Hany.

– I jak się podobały nasze skalne świątynie, madame? – Manisza zapytała Emily.

To słowo „madame”, tak powszechne w krajach Zatoki Perskiej, w których Lankijczycy postrzegani są tylko jako służący lub kierowcy, do których należy

bezszerowe, ciągle wykonywanie poleceń pracodawców, zabrzmiało dla Sary zupełnie nie na miejscu.

Sara popatrzyła na uduchowioną twarz Maniszy i pomyślała, że na nowo odkrywa świat.

1 *Darra* (arab.) – druga żona w małżeństwie poligamicznym. Słowo to pochodzi od czasownika *darra*, które oznacza „wyrządzać krzywdę”, „krzywdzić”, „zaszkodzić”.

2 Cejlon – wyspa położona na Oceanie Indyjskim na południowy wschód od wybrzeży Indii; do 1972 roku dzisiejsze państwo Sri Lanka nosiło nazwę Cejlon.

3 Narzeczona Witkiewicza, Jadwiga Janczewska, popełniła samobójstwo bezpośrednio po kłótni narzeczonych, co wywołało u Witkacego stany depresyjne. Wiele osób z jego otoczenia również obwiniąło go o tragedię, w związku z czym jego przyjaciel Bronisław Malinowski, ojciec antropologii kulturowej, zaproponował mu udział, jako fotografa i rysownika, w wyprawie naukowej na Nową Gwineę. Po drodze zatrzymali się na kilka dni na Cejlonie, gdzie Witkiewicz był bliski samobójstwa. Powyżej fragment listu skierowanego do władz Cejlonu, w którym Witkiewicz wyjaśnia motywy swojej rozpaczliwej decyzji i prosi władze, aby jego przyjaciel, Bronisław Malinowski, nie miał żadnych kłopotów związanych z jego śmiercią.

4 Lama Ole Nydahl *Budda i miłość*, www.diamentowadroga.pl.

5 Dagoba – tu: relikwiarz buddyjski w kształcie wydłużonej kopuły, w którym przechowywana jest relikwia Buddy. Dagoba to również rodzaj budowli kultowej zwieńczonej czaszą o różnych kształtach z bogato rzeźbioną dekoracją, typ monumentalnego relikwiarza buddyjskiego na wyspie Cejlon, odpowiednik indyjskiej stupy, zbudowana głównie z cegły. Buddyści głoszą, że jej doskonała forma wyraża naturę umysłu i jest ona źródłem pokoju, szczęścia i powodzenia.

6 *Boyat* – określenie używane w Kuwejcie na *lesbian tomboys*, lesbijskie chłopczyce. *Boy* (ang.) – chłopak; -at – arabska końcówka liczby mnogiej żeńskiej.

7 *Ladyat* – określenie używane w Kuwejcie na *feminine lesbians*, kobiece lesbijki. *Lady* (ang.) – pani; -at – arabska końcówka liczby mnogiej żeńskiej.

8 Mudra – symboliczne gesty w medytacji. Jako specjalne układy dłoni i palców często stosowane są przez mnichów podczas rytuałów religijnych. Mudry znajdują zastosowanie przede wszystkim w buddyzmie ezoterycznym.

Rozdział II

Beach boys

Wyniosły paw przechadzał się dumnie po soczystej, zielonej trawie lasu deszczowego. Uwagę przyciągał efektowny, chabrowoniebieski kolor z metalicznym połyskiem, zdobiący jego głowę, szyję, piersi i brzuch, oraz kilkucentymetrowa, utworzona z piór i zakończona tą samą barwą korona.

– Spójrz na ten ogromny wachlarz, Saro! – zachwyciła się Hana, wpatrując się w szeroko rozłożony ogon ukraszony dekoracyjnymi oczkami – chabrowoniebieskie wewnątrz mieniające się w słońcu na beżowym tle otoczonym zieloną, pierzastą obwódką.

Sara podeszła bliżej sporego stadka dzikich pawi indyjskich.

– I jak ten paw potrafi wspaniale go prezentować! – zauważyła Sara, obserwując efektowny taniec ptaka, który obracając się powoli, majestatycznie eksponował swoje ponad metrowe, imponujące zielonożółte pióra.

– A pamiętacie tradycyjne tańce kandyjskie? – zapytała Emily. – Jednym z nich był taniec pawia.

– To pewnie był ten fragment przedstawienia, w którym kobiety ubrane w jasnoniebieskie, ozdobione pawimi oczkami kostiumy tańczyły w rytm bębnów, demonstrując figury do złudzenia przypominające kroczącego pawia, prawda, mamó? – Hana zwróciła się do matki.

– Tak, córeczko – potwierdziła Emily. – W tym układzie wyróżniała się bardzo wyrazista, harmonijna praca rąk oraz specyficzne ruchy głowy.

– Pamiętam – powiedziała Hana. – Pochylone tancerki szeroko rozkładały ręce na boki, wychylały głowę w przód, ściągały policzki i w takt muzyki imitowały tego pięknego królewskiego ptaka.

– A na głowach miały nakrycia uformowane na kształt jego korony – dodała Sara.

– Paw pełni niezwykle ważną funkcję w Sri Lance – wyjaśniła przysłuchująca się rozmowie Manisza. – U nas panuje przekonanie, że ptak ten posiada moc przemiany zła w dobro, ponieważ może się żywić jadowitymi wężami i pokarm ten mu nie szkodzi.

– To ciekawe – zainteresowała się Emily. – Szczególnie, że pawia czczono już od wieków i w wielu kulturach świata przypisywano mu niezwykle znaczenie. W starożytności symbolizował nieśmiertelność, gdyż wierzono, że jego mięso się nie psuje, a w kolistym kształcie rozpostartego trenu, upstrzonego pawimi oczkami niczym gwiazdami, widziano niebo, dokąd podążała dusza człowieka. W mitologii

hinduskiej występuje natomiast jako święty ptak i jest rumakiem boga wojny oraz bogini nauki i kreatywności, która równocześnie jest patronką literatury, sztuki i muzyki. – Emily podzieliła się swoją wiedzą.

– U nas niektórzy wierzą, że jest to święty ptak boga Kataragamy, bóstwa opiekuńczego – wtrąciła Manisza.

– W Persji paw był symbolem monarchii i władzy, zaś w Chinach dostojeństwa, godności i piękności – kontynuowała swój wywód Emily. – W czasach imperium pawie pióro było dowodem łaski cesarza. Pawia traktowano również jako dobry omen, który może odpędzić zło.

– A widziałyście w Sri Lance maskę pawia? – zapytała Manisza. – My wierzymy, że ta maska ma moc odganiania złych zjaw i duchów.

Sara pomyślała, że taka maska bardzo by się jej przydała. Kiedy tylko Manisza wspomniała o złych zjawach, od razu przed oczami Sary stanęła snująca się jak złowrogi upiór Lara, która bezwzględnie siała zło w jej rodzinnej rezydencji i o mało nie doprowadziła do nieodwracalnej tragedii.

– Tak – odpowiedziała Hana. – Rok temu znalazłyśmy się z mamą w sklepie pełnym różnych masek wytworzonych przez artystów rzemieślników i kupiłyśmy właśnie maskę pawia. Sprzedawca wyjaśniał, że przynosi ona pokój i harmonię.

– To prawda – zgodziła się Manisza. – Ma ona i taką moc.

To być może dlatego rodzina Hany jest taka szczęśliwa? – pomyślała Sara.

Może każdy z nas potrzebuje ochrony przed złem. Przed złem, które czai się w ukryciu, aby nagle się pojawić w najmniej oczekiwanym momencie i swą destrukcyjną siłą wywołać wokół nas niszczycielskie spustoszenie. Niekiedy nadchodzi ono jak rozszalały tajfun, który rujnuje wszystko, co napotka na swej drodze. Innym zaś razem niepostrzeżenie wpełza do naszego ustabilizowanego świata i narusza jego podstawy, a kiedy wreszcie dojrzymy czarny cień przybierający przerażające kształty, który swą diabelską potęgą deformuje zastany porządek, jest już dla nas za późno, żeby mu się z sukcesem przeciwstawić.

– A gdzie można kupić maskę pawia? – chciała wiedzieć Sara.

– Jest wiele sklepów z rękodziełem – powiedziała Manisza. – Nawet w pobliżu waszego hotelu znajduje się jeden z nich. Zaraz po wyjściu trzeba skręcić w lewo, a później...

– Babciu, babciu! – Anika bawiąca się z bratem na drugim końcu polany zawołała Maniszę. – Chodź tu do nas! Zobacz, co znaleźliśmy!

To już był drugi dzień, w którym Manisza zaproponowała Emily i dziewczętom wycieczkę swoim samochodem. Tym razem postanowiła zabrać je do lasu równikowego. Kierowca pojechał wąską, wijącą się drogą, wzdłuż której po obu stronach pięła się wysoko w górę bujna, soczyście zielona flora. Powietrze było gorące i mocno wilgotne, ale mimo tego, że sezon monsunowy już się zaczął, świeciło słońce i od rana nie spadła jeszcze ani jedna kropla deszczu. Sara

z zaciekawieniem przyglądała się gęstej, rozrośniętej, splecionej ze sobą roślinności, która powodowała, że w głębi lasu panował półmrok. Od czasu do czasu kierowca zatrzymywał pojazd i wyłączał silnik, a wtedy można było bardzo wyraźnie usłyszeć bogactwo naturalnych dźwięków, z których wybijał się, wśród brzęczenia licznych owadów, niezwykle przyjemny dla ucha śpiew egzotycznych ptaków. Skryte w gąszczu lian, pnączy i koron potężnych drzew dawały wirtuozowski popis urozmaiconego świergotu, gwizdów, krakania, skrzeków, pisków, terkotania i tryli.

Manisza udała się w stronę wnuków, a gdy już do nich dotarła, machnęła z daleka ręką, dając do zrozumienia, żeby Emily i dziewczęta również do nich dołączyły. Kiedy wszyscy znaleźli się po drugiej stronie polany, Anika pobiegła nieco w głąb lasu i tam, wskazując na gęstwinię, krzyknęła podekscytowana:

– Wąż! Wąż!

Sara wyteżyła wzrok, szukając egzotycznego gada, ale nie mogła go nigdzie dojrzeć.

– Hana, widzisz tu gdzieś węża? – zapytała przyjaciółki.

– Nie – odpowiedziała Hana.

– Ja też nie – stwierdziła Sara, wpatrując się w płataninę roślinności.

– Tu jest! Tu jest! – Anika wyciągnęła dłoń w stronę jednej z licznych gałęzi. Sara podeszła bliżej i dopiero wtedy udało jej się dostrzec węża bicza.

– Zobacz, Hana, jak on się świetnie zakamuflował! – zauważyła zdumiona. – Prawie go nie widać!

– Rzeczywiście! – zgodziła się Hana.

Gad trwał w bezruchu, a jego smukłe, bocznie spłaszczone ciało owinęło się wokół gałązki w esy-floresy. Zielonkawe ubarwienie z plamkami żółci i czerni układającymi się w regularny wzór pozwalało wężowi idealnie wtopić się w paletę barw i strukturę lasu. Trójkątna głowa z szerokim pyskiem wystawała nieco ponad gałąź i od czasu do czasu wysuwał się z niej długi, szybki jak błyskawica i rozdwojony na końcu zielony język.

– Czy ten wąż jest jadowity? – spytała Emily.

– Nie bardzo – odpowiedziała Manisza. – To znaczy może zaatakować, kiedy czuje się zagrożony, ale jego jad nie jest na tyle silny, żeby zabić człowieka. Należy jednak uważać... no właśnie, Aniko, cofnij się trochę, za blisko podeszłaś... – Manisza odsunęła wnuczkę od węża. – Należy uważać, bo jego ukąszenie może spowodować obrzęk i pęcherze. I oczywiście silny ból, który utrzymuje się przez dłuższy czas.

– Mamo, pamiętasz, w tym sklepie z wyrobami regionalnymi była też maska węża, która miała chronić jej posiadacza przed wszelkimi niebezpieczeństwami. – Hana znowu cofnęła się pamięcią do poprzednich wakacji.

– Nawet zamierzałam ci ją kupić, ale nie chciałaś – przypomniała sobie

Emily.

– Bo była taka jakaś... nieprzyjemna. Ten czerwony, wywalony jęzor między ostrymi zębami, wytrzeszczone oczy i uniesione do góry, kłębiące się liczne kobry zamiast włosów... W większości szare lub czarne, z rozłożonymi kapturami, gotowe do ataku... Brrrr... – wzdrygnęła się Hana.

– To Naga Raksha, czyli maska kobra – wyjaśniła Manisza. – Raksha znaczy demon i mamy wiele rodzajów tradycyjnych masek, których zadaniem jest odwracanie zła. Należy do nich również Gini Raksha, ogień demona, której zadaniem jest poskromić wroga oraz przynieść pokój i harmonię.

– Chyba wiem, jak ona wygląda – wtrąciła Hana. – Dominują w niej czerwone i żółte kolory, a włosy demona przybierają postać rozbuchanych płomieni.

– Dokładnie tak – potwierdziła Manisza. – Te maski często są używane do tradycyjnych ceremonii, procesji, tańców i rytuałów. Wierzymy, że potrafią oddalać zło.

– To pojawia się w wielu społecznościach od wieków. – Emily z pasją zbierała informacje o różnych kulturach i lubiła o nich opowiadać. – Prawie w każdym zakątku świata znajdziemy obrzędy i przedmioty magiczne, które mają charakter apotropeiczny.

– Co to znaczy apotropeiczny, mamo? – spytała Hana.

– To znaczy, że posiadają moc, która broni przed złymi duchami, chorobami, niedostatkiem, klęskami, urokami. Generalnie mają zapewnić ludziom bezpieczeństwo, dobrobyt i spokój.

Bo ludzie się boją – pomyślała Sara. – Lękają się nieznanymi złych sił, które znienacka napadają, dewastują, sprawiają ból i doprowadzają do czarnej rozpacz. – Sara znowu zobaczyła mamę leżącą bez czucia w swojej sypialni.

– Babciu, babciu, chodź, pojedziemy do słońków! – Anika straciła zainteresowanie węzłem i ciągnęła Maniszę za rękę w stronę samochodu.

– Dobrze, Aniko, w końcu słońce to jedna z największych atrakcji naszego kraju. – Manisza ruszyła za wnuczką.

– Jeśli mamy jechać do sierocińca słoń, to my już tam byliśmy... – Emily wymownie spojrzała na Lankijkę.

– Nie, nie, przejedziemy się kawalek do najbliższego zbiornika wodnego, tam też można zobaczyć, jak słońce zażywa kąpiel.

– W takim razie możemy jechać – zgodziła się Emily.

Całe towarzystwo przecięło polanę, żegnając wzrokiem stadko paw, po czym wsiadło do samochodu i udało się w dalszą drogę. Po kilkudziesięciu minutach jazdy busik zatrzymał się w pobliżu niedużej, wijącej się rzeki.

– Jest, jest słoń! – Uszczęśliwiona Anika szybko pobiegła w jego stronę.

Na piaszczystym brzegu stał niewielki słoń z małymi uszami, długim

ogonem i prawie sięgającą ziemi lekko zawiniętą trąbą. Jego szare zabarwienie urozmaicały jasnoróżowa barwa pośrodku trąby oraz plamy na nogach, uszach i wkoło oczu tego samego koloru.

– Słoń tańczy, słoń tańczy! – Podekscytowana Anika zaczęła klaskać w dłonie.

Rzeczywiście słoń kiwał się na prawo i lewo, nieznacznie ruszając przy tym trąbą. Rozochociona dziewczynka wyciągnęła wyprostowaną rękę przed siebie i zaczęła się bujać razem z nim. Emily przyjrzała się bliżej zwierzęciu i jej mina posmutniała.

– Myślałam, że spotkamy tu słonie żyjące na wolności – powiedziała, patrząc na łańcuchy, które skubały nogi zwierzęcia. W pobliżu stał jego opiekun, który tylko czekał na to, aby ktoś za parę rupii chciał pogłaskać słonia lub zrobić sobie z nim zdjęcie. – A ten słoń kiwa się, jakby miał chorobę sierocą – smutno zakończyła Emily.

– Teraz rozumiem, Hano, o czym mówiłaś, opisując słonie w sierocińcu – stwierdziła Sara, którą również raziły łańcuchy skuwające słonia.

– To biedny kraj, ludzie chwytają się różnych sposobów, żeby zarobić parę rupii. – Manisza zdawała się tłumaczyć postępowanie swoich rodaków.

Emily już chciała powiedzieć, że nie wolno tego robić kosztem więzionych zwierząt, ale zaraz przypomniała sobie o niewolniczej pracy Lankijczyków na rzecz mieszkańców bogatych krajów Zatoki i powstrzymała się od komentarza. Nie wolno zbyt pochopnie oceniać innych, szczególnie wtedy, kiedy nie do końca znamy wszystkie motywy ich postępowania.

– Ciekawy jest ten różowy kolor. – Emily, aby rozluźnić nieco atmosferę, zwróciła uwagę na niecodzienną barwę ssaka.

– Och, róż jest bardzo charakterystyczny dla naszych słoni – zaśmiała się Manisza. – Tak jak ludzie, kiedy się starzeją, to siwieją, tak słonie wraz z wiekiem dostają coraz więcej różowych plam na ciele.

– To ciekawe. – Emily uśmiechnęła się jak zawsze wtedy, kiedy dowiadywała się nowych dla niej rzeczy. – A kiedy mówimy, że słoń jest stary?

– Dojrzały wiek to piętnaście, dwadzieścia lat, ale jak w przypadku ludzi, u których w różnym wieku pojawiają się pierwsze siwe włosy, tak i słonie różnie zaczynają różowieć. Ale zazwyczaj trzydziestolatki mają już całkiem sporo różowych plam.

– Czyli ten osobnik to już senior – zauważyła Emily.

– Na to wygląda – potwierdziła Manisza.

Sara patrzyła na skute łańcuchami nogi słonia i pomyślała, że tak się poczuje, kiedy wróci do Kuwejtu. Te wszystkie zakazy, nakazy, restrykcje... Zazdrościła swojej siostrze Fatmie, która jako gorliwa muzułmanka przyjmowała te wszystkie ograniczenia w sposób naturalny i nie buntowała się przeciwko nim.

Wręcz przeciwnie, uważała, że wyznaczają one najlepszą drogę postępowania dla wiernych. Te masywne, prawie niemożliwe do przzerwania łańcuchy... Ciekawe, czy ten słoń jest świadom swojej niewoli – Sarze przyszło do głowy pytanie. – Czy może, ponieważ prawdopodobnie żyje tak od dzieciństwa, nie czuje krępujących go grubych kajdan, i tylko jakaś podświadoma tęsknota pcha go do nieustannego kiwania się, jakby chciał poszerzyć swoją przestrzeń...

– Anika, Ravi, przestańcie! – Manisza skarciła wnuki, które zaczęły się przyskać brunatną i dość mętną wodą z rzeki. – Chodźcie tu do mnie, zaraz odjeżdżamy!

– A gdy tylko wyjedziemy z lasu, to zapraszam was do restauracji – zadeklarowała się Emily. – Pewnie już wszyscy porządnie zgłodnieli.

Wieczorem, kiedy dziewczęta po kąpeli leżały już w łózkach, Sara zapytała Hany:

– Jakie mamy plany na jutro? Też Manisza nas gdzieś zabiera?

– Nie. – Zdziwiona Hana spojrzała na Sarę. – Przecież po kolacji już się z nią pożegnałyśmy i powiedziałyśmy, że zobaczymy się dopiero w Kuwejcie.

– Aha. – Pogrążona prawie przez cały czas we własnych myślach Sara nawet tego nie zauważyła.

– Mama chce, żebyśmy jutro odpoczęły, bo pojutrze czeka nas długa droga.

– Tak? A gdzie jedziemy?

– Do Bentoty.

– A to jest daleko?

– Tak, mama mówiła, że to prawie dwieście kilometrów, a poznałaś już tutejsze drogi.

– Rzeczywiście, nie da się na nich pędzić.

– No właśnie.

– Czyli droga może nam zająć dobrych parę godzin, prawda?

– Tak, według mamy nawet cztery godziny albo i jeszcze więcej.

– A ta Bentota to ładne miasto?

– Cudne! Znajdują się tam jedne z najpiękniejszych plaż w Sri Lance. Położona jest nad Oceanem Indyjskim w południowo-zachodniej części kraju, tuż przy ujściu rzeki Bentota Ganga.

– A ty już tam byłaś?

– Tak, w zeszłym roku z mamą. Mieszkałyśmy w bardzo dobrym, pięciogwiazdkowym hotelu tuż nad oceanem, który można było podziwiać z wychodzącego z pokoju w jego stronę balkonu.

– Brzmi świetnie. Zatrzymamy się w tym samym hotelu?

– Tak, bo byliśmy z niego z mamą bardzo zadowolone.

– To fajnie.

– A ty, Saro, widziałaś już kiedyś ocean?

- Nie, jeszcze nie.
- To cię zachwyci, zobaczysz.
- Mam nadzieję.
- Na pewno.
- A jutro co robimy?
- Zamierzamy spędzić z mamą czas nad basenem, trochę popływać... O ile oczywiście nie będzie padało cały dzień.
- Może nie.
- A ty popływasz z nami?
- Nie wiem jeszcze.
- Może się zdecydujesz. Śpijmy już. – Hana szeroko ziewnęła. – Zmęczona jestem po naszej wyprawie do lasu równikowego.
- Ja też.
- To dobranoc.
- Dobranoc.

Następnego dnia od rana padał ulewny deszcz, dlatego dziewczęta po śniadaniu zajęły się pakowaniem. Około południa przejaśniło się, więc Hana z mamą poszły na basen. Sara została w pokoju, bo znowu ogarnęła ją przejmująca melancholia. Rozmowy na temat zła uświadomiły jej, że zło nie tylko może atakować, ale również przez długi czas bezlitośnie zwyciężać, tak jak to się działo przez wiele miesięcy w jej rodzinnym domu. Co z mamą? Czy na pewno czuje się dobrze? Czy ułoży się jej z ojcem i znowu będą normalną rodziną? I czy po tak wielkim i nie ma co ukrywać, z punktu widzenia mamy wyjątkowo koszmarnym kryzysie można wrócić jeszcze do szczęśliwego małżeńskiego życia? I czy jeżeli coś pójdzie nie tak, mama poradzi sobie bez niczyjej pomocy? – te wątpliwości bez przerwy przewijały się z tyłu jej głowy, nie pozwalając na całkowite zapomnienie o niedawno przeżytych dramatycznych chwilach.

Sara usłyszała wyrazisty, jednostajny szum monsunowej ulewy. Wyjrzała przez okno. Z szaroniebieskich przestworzy lały się strumienie wody, obmywając liście widocznych w pobliżu wysokich palm i rozłożystych koron innych drzew. Jednak ściana wody była tak potężna, że dalszą roślinność już było widać tylko jak przez mgłę. Do pokoju wpadła cała przemoknięta Hana.

– Widzisz, co się dzieje?! – krzyknęła ze śmiechem. – Istny potop! – Odrzuciła kapiący ręcznik i została w samym jednoczęściowym, ponętnie przylegającym do jej zgrabnego ciała kostiumie kąpielowym.

Sara zamknęła oczy, udając, że śpi.

– Żebyś wiedziała, ile było śmiechu na basenie, kiedy tak nagle lunęło! Dobrze, że jest ciepło, prawie trzydzieści stopni... – Wzrok Hany padł na leżącą w łóżku Sarę. – Śpisz? – spytała ciszej.

Sara nie odpowiedziała, więc Hana poszła do łazienki wziąć prysznic. Po

paru minutach wyszła i usiadła na brzegu łóżka przyjaciółki.

– Saro, dobrze się czujesz? – Lekko się nad nią pochyliła.

Dziewczyna nie odpowiedziała, więc Hana delikatnie potrząsnęła jej ramieniem i powtórzyła pytanie.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, daj mi spać – mruknęła Sara jak przez sen, odwracając się na drugi bok.

Hana posiedziała jeszcze chwilę, po czym ubrała się i opuściła pokój. Wróciła po około dwóch godzinach i od razu zwróciła się do nadal leżącej w łóżku przyjaciółki.

– Saro, wszystko w porządku? – Popatrzyła na jej pograżoną w żałosci twarz.

– Tak... – smętnie odpowiedziała Sara.

– Bo tak leżysz tu cały dzień... Nawet obiadu nie jadłaś... Zamówić ci coś do pokoju?

– Nie, dziękuję, nie jestem głodna.

– To może przejdziemy się gdzieś? To nasz ostatni dzień w Kandy. Chcesz jechać do Świątyni Zęba?

– Nie... Nie chce mi się...

– To może... – Hana się zastanawiała, jak tu wyciągnąć przyjaciółkę z łóżka.

– To może pójdziemy kupić maskę. Taką przeciwko złu. Wczoraj wspomniałaś, że chciałabyś taką mieć.

– Maskę? – Sara się zainteresowała.

– No tak, maskę. Wybierzesz sobie którąś z tych, które odganiają złe moce.

Sara się zastanowiła. Jeżeli jest tak, jak mówiła Emily, że w każdej kulturze istnieje magia ochronna, to znaczy, iż magiczne rytuały i przedmioty naprawdę posiadają moc odwracania zła, więc wystarczy, że kupi odpowiednią maskę, i wtedy... I wtedy już żadne nieszczęście nie dotknie jej rodziny.

– Dobrze, pójdę – zdecydowała.

– Naprawdę?! To świetnie! – ucieszyła się Hana. – Ubieraj się szybko!

– Zaraz będę gotowa. – Sara podniosła się z łóżka.

Po pół godzinie dziewczyny wyszły z hotelu.

– Wiesz, gdzie jest ten sklep? – zapytała Sara.

– Tak mniej więcej – odpowiedziała Hana. – Trzeba iść w lewo, a później w prawo kawałek w las i... podobno wejdziemy wprost do sklepu.

Dziewczyny szły szybkim krokiem i już wkrótce znalazły się poza terenem hotelu na asfaltowej drodze, przy której po obu stronach w zieleni tonęły niewielkie domki lokalnych mieszkańców. Droga była pusta, czasami przebiegł nią jedynie jakiś wałęsający się, wychudzony pies.

– Żeby tylko nie padało. – Sara spojrzała w niebo.

– Pytałam w hotelu kelnerów i według nich dziś już nie będzie deszczu – stwierdziła Hana.

– To dobrze, nie chciałabym przemoknąć.

Po kilku minutach marszu dziewczyny usłyszały tuż za swoimi plecami męski głos.

– *Good morning.*

Przyjaciółki nawet się nie odwróciły, tylko przyspieszyły kroku. Mama Hany już w poprzednim roku ostrzegła ją przed lokalnymi lowelasami, którzy podrywają turystki dla korzyści materialnych.

– *Good morning, girls.*

Dziewczyny i tym razem nie zareagowały. Niespieszony mężczyzna zrównał się z nimi.

– Nie bójcie się. Widziałem, jak wychodziłyście z hotelu. Ja w nim pracuję jako kucharz. Właśnie skończyłem zmianę i wracam do domu.

Hana z Sarą spojrzwały w stronę mężczyzny, a następnie wymieniły spojrzenia i mimowolnie się uśmiechnęły. Niski, starszy Lankijczyk z lekką łysiną i niepełnym uzębieniem nie wyglądał na lokalnego playboya. Ubrany był tylko w kraciasty, kolorowy sarong, a w ręce trzymał parasolkę.

– Pójdę z wami, bo idę w tę samą stronę. I jak wam się podoba Sri Lanka? Pierwszy raz tutaj? A jak hotel? To jeden z najlepszych hoteli w okolicy. Bardzo luksusowy. Trudno w nim o pracę, ale ja jestem już tam zatrudniony od wielu lat. Skończyłem zmianę i wracam do domu – podkreślił raz jeszcze.

Mężczyzna zamilkł i cała trójka szła bez słowa, dziewczyny zaś co jakiś czas zerkwały na siebie, nie wiedząc, jak się zachować wobec nieoczekiwanego towarzysza. Po jakimś czasie droga asfaltowa się skończyła i zamieniła się w wąską dróżkę rozśpiewanego lasu.

– Hano, coś jest chyba nie tak. – Przez głos Sary przebijał lekki niepokój.

– Dlaczego tak myślisz? – Hana nie wyglądała na zdenerwowaną.

– Bo chyba nie znajdziemy sklepu w środku lasu.

– Ale mówiono mi, że właśnie tam jest ten sklep. Nie martw się, na pewno zaraz do niego dotrzemy.

Mężczyzna przysłuchiwał się rozmowie dziewcząt, ale nic nie powiedział. Minął następny kwadrans i nadal wkoło rozciągał się tylko las.

– Hana, mówiłaś wcześniej, że trzeba skręcić w prawo, a my cały czas zmierzamy prosto. – Sara była pełna obaw.

– No tak... – Hana rozejrzała się. – Widziałaś wcześniej jakąś drogę w prawo?

– Nie wiem, nie zwracałam na to uwagi, myślałam, że ty dokładnie wiesz, gdzie idziemy.

– Szukacie sklepu z pamiątkami? – wtrącił się Lankijczyk.

Przyjaciółki skrzyżowały niepewne spojrzenia, nie wiedząc, czy podjąć rozmowę z nieznajomym.

– Chyba nie mamy wyboru – szepnęła Sara w stronę Hany, a głośno potwierdziła.

– Tak.

– Ja wiem, gdzie on jest. Mogę was do niego zaprowadzić – mężczyzna zaproponował ochoczo.

– A to jest daleko? – Sara zapytała ostrożnie.

– Nie tak bardzo, ale musimy zawrócić, bo ominęłyście prowadzącą do niego ścieżkę.

– Dobrze. – Sara się zgodziła, bo pomyślała, że tą drogą mogą wrócić do hotelu.

Mężczyzna wyglądał na bardzo zadowolonego takim obrotem sprawy i z ożywieniem zabawiał dziewczyny rozmową.

– A długo jeszcze będziecie w Kandy? Bo w lipcu lub sierpniu odbywa się tu słynny festiwal, który ściąga do nas rzesze wiernych i turystów.

– Jaki festiwal? – Sara zapytała z grzeczności.

– Kandy Esala Perahera. Jest to wielkie święto, podczas którego odbywa się procesja w celu złożenia hołdu najświętszej relikwii, zębowi Buddy. Byłyście w Świątyni Zęba?

– Tak, oczywiście – przytaknęła Sara.

– To niezwykle wystawna uroczystość, podczas której przez dziesięć nocy Świątynia Zęba i całe miasto jest rześście oświetlone, a jego ulice przemierzają kolorowe, głośne pochody składające się z tradycyjnych bębniarzy, muzyków, śpiewaków i tancerzy, którzy dają oszałamiający popis swoich umiejętności. Ale najbardziej widowiskowa jest parada świątecznie przystrojonych od stop do głów słoni.

– Rzeczywiście to wygląda niezwykle. Widziałam zdjęcia – przyznała Hana.

– Słonie ubrane są w barwne, bogato haftowane tkaniny, a ponadto często ich tułowia, głowy, uszy i trąby świecą przyczepionymi do nich świecidełkami.

– A pod strojnym baldachimem na grzbiecie słonia idącego na czele procesji umieszczony jest srebrny albo złoty relikwiarz traktowany jako substytut świętego zęba.

– uzupełnił Lankijczyk. – O, tu jest ta ścieżka. – Wskazał na prawie niewidoczną wśród liści i krzewów dróżkę. – Chodźmy! – Mężczyzna żwawo wkroczył w gęsty busz.

Przyjaciółki się zawahały.

– Co robimy? – Hana spytała Sary.

– Sama nie wiem. Co myślisz?

– Ty zdecyduj. To ty chcesz kupić maskę.

Maskę, która odpycha zło... Po raz kolejny przed oczami Sary stanęły

bolesne przeżycia jej samej i jej najbliższych.

– A ty jak uważasz? – Sara wyczekująco spojrzała na Hanę.

– Jeżeli ci zależy na tej masce, to możemy iść. Ta droga prowadzi prosto do naszego hotelu, więc jeśli wkrótce nie znajdziemy się w sklepie, to cofniemy się tą ścieżką na drogę i będziemy wiedziały, jak wrócić. Poza tym ten dziadek nie wygląda na groźnego złoczyńcę – zaśmiała się Hana.

– Ale tak nieoczekiwanie się do nas przyczepił... – Sarę nagle opadły wątpliwości.

– Ach, na Sri Lance to normalne – tłumaczyła przyjaciółce Hana. – W tamtym roku ciągle ktoś do nas z mamą zagadywał. Wtedy hitem było pokazywanie rośliny owadożernej.

– Jak to? – Sara nie zrozumiała.

– Lankijczycy zaczepiają turystów i opowiadają im o swojej przyrodzie lub kulturze, aby w ten sposób zarobić trochę rupii. I rok temu ciągle ktoś pokazywał nam wydłużony, zielony dzbanek dzbanecznika, tak nazywa się ta roślina, który zjadał się owadami, na przykład mrówkami. Na początku to było nawet ciekawe, ale później...

– Idziecie? – Lankijczyk zawołał z głębi lasu. – Bo niedługo mogą zamknąć sklep.

– To co, idziemy? – upewniła się Sara.

– Chodźmy, w końcu jesteśmy we dwie, nic się nam nie stanie.

– Masz rację. – Sara odsunęła ręką rozłożyste liście i podążyła za Lankijczykiem.

Po pół godzinie Sara przystanąła.

– Hano, tego sklepu ani widu, ani słyhu – powiedziała lekko zirytowanym tonem.

Hana zatrzymała się przy przyjaciółce.

– Poczekaj, zaraz sprawdzę. Halo! – Hana zawołała w stronę Lankijczyka. – Daleko jeszcze?!

– Tylko parę minut! – Mężczyzna odkrzyknął, oddalając się.

Hana lekko popchnęła Sarę.

– Lepiej go dogońmy, bo zaraz go zgubimy i zostaniemy same w tej gęstwinie.

– Dobrze. – Sara podjęła wędrówkę. – Ale jeżeli po kwadransie nie dotrzemy do celu, to na pewno wracamy.

– Tak zrobimy – zgodziła się Hana, przyspieszając kroku.

Kiedy Sara już była blisko tego, żeby zawrócić, dziki gąszcz się przerzedził i oczom przyjaciółek ukazała się wielka polana.

– Jest! – triumfalnie wykrzyknął Lankijczyk, wskazując na duży, drewniany sklep i szczerząc niepełne uzębienie w szerokim uśmiechu, jakby odkrył Amerykę.

– No to jesteśmy! – powiedziała Hana z ulgą.

– Nareszcie! – zawtórowała jej Sara.

Sklep, a raczej wystylizowana, otwarta z kilku stron konstrukcja znakomicie wtapiała się w otoczenie bujnej roślinności: drzew chlebowych o wielkich jak bochny owocach, hurm hebanowych strzelających ku górze na wysokość ponad dwudziestu metrów, drzew sandałowych o smukłych pniach i powiewających na wietrze jak falbanki sukienek delikatnych, podłużnych liściach, masywnych drzew tekowych o szarych lub szaro-brązowych gałęziach, drzewiastych paproci z pióropuszami pierzasto rozdzielonych liści, długich, wijących się jak węże lian oraz licznych rozrośniętych krzewów, w tym kwitnących zachwycającymi kwiatami o wielkich, różnobarwnych kielichach. Sprzedawca wyszedł przybyłym na spotkanie i radośnie wykrzyknął:

– *Welcome! Welcome!*

Następnie wylewnie przywitał się z Lankijczykiem, który przyprowadził potencjalne klientki. Później mężczyźni zamienili kilka słów w swoim języku. Nie ulegało wątpliwości, że się doskonale znają.

– Proszę! – Sprzedawca szerokim gestem zaprosił dziewczęta do środka. – Wszystko mamy! Duży wybór masek również! – zachwalał swoje towary.

Dziewczęta weszły do środka i z zaciekawieniem zaczęły oglądać wystawione tam oryginalne wyroby artystyczne lokalnych rzemieślników. Niskie, długie stoły i stojące szafki uginały się od nadmiaru płaskorzeźb i rzeźb w drewnie, wśród których dominowały wizerunki bóstw i bogiń hinduskich, od najmniejszych do mających nawet metr i więcej wysokości, podobizny Buddy w różnych pozach i rozmiarach, najrozmaitsze figurki słoni oraz kwadratowe, prostokątne i okrągłe pudełka, w tym również te kolorowe i ozdobione bogatymi ornamentami, które były lakierowane rozpowszechnioną na Cejlonie specjalną techniką z wykorzystaniem wosku owadów.

– O, są i twoje maski! – Hana zwróciła uwagę na wyeksponowaną na jednej ścianie kolekcję masek. – Zobacz, są wszystkie, o których wczoraj rozmawialiśmy z Maniszą. Maski pawia, kobra, ogień demona...

Sara zapatrzyła się na różnej wielkości maski pokrywające sporą powierzchnię ściany. Przyciągały wzrok jaskrawymi kolorami, wybałuszonymi oczami, wywalonymi jęzorami... Odpędzające zła...

Sprzedawca stanął tuż za plecami Sary i wprost do jej ucha szeptał:

– Magia... na naszej wyspie od wieków wierzymy w jej moc... Wiemy, jak odganiać czające się demony... Znamy tajemne obrzędy przywołujące nadnaturalne siły... Przez pierwsze noce naszego corocznego festiwalu w Kandy prosimy o deszcz... od zawsze ludzie żywili przekonanie, że jeżeli pragnie się czegoś, to należy to imitować. W związku z tym bębniarze prowadzący pochod imitują odgłosy gromów; mężczyźni, którzy niosą zapalone suszonym kokosem

poходnie, naśladowują błyskawice, a słonie symbolizują deszczowe chmury.

– Słonie... chmury... Nigdy nie miałabym takiego skojarzenia – wyrwało się zdziwionej Sarze.

– Słonie są potężne, więc im więcej słoni maszeruje w paradzie, tym obfitszy spadnie deszcz – objaśnił Lankijczyk. – A przez ostatnie siedem nocy przeprowadzany jest złożony rytuał, którego celem jest poszukiwanie boskiej pomocy w odpędzaniu każdego rodzaju zła, mogącego mieć negatywny wpływ na wszystkich biorących udział w procesji. Przeciwno złemu oku, złym życzeniom, złym myślom...

– A te maski... – Im dłużej Sara się w nie wpatrywała, tym bardziej wierzyła, że posiadają tajemną siłę.

– Proszę sobie którąś wybrać – już głośno powiedział sprzedawca. – Ochroni przed nieprzychylnymi mocami.

– Poproszę... tę. – Sara wskazała na niebieską, która uosabiała pawia. – Miałaś rację, Hana – zwróciła się do przyjaciółki. – Jest chyba z nich najładniejsza... W każdym razie mnie się najbardziej podoba.

– Świetny wybór – pochwalił sprzedawca. – Zaraz ją zapakuję. Ale mamy jeszcze dużo ciekawych przedmiotów. Proszę się rozejrzeć... – Powiódł ręką po sklepie.

Dziewczyny odeszły, żeby pooglądać wystawione towary, a Lankijczycy cicho ze sobą rozmawiali.

– Zobacz, Saro, jaka fajna małpka – zauważyła Hana.

– Rzeczywiście, zabawna jest. – Sara zatrzymała się przy półce, na której siedząca w kucki małpa z założonymi na kolana rękoma podnosiła głowę do góry i patrząc szeroko otwartymi, ufnymi oczami, uśmiechała się przyjaźnie.

Sprzedawca, widząc zainteresowanie dziewcząt, od razu do nich podszedł.

– Ta małpa zrobiona jest z orzecha kokosowego. – Lankijczyk wziął wyrób do ręki i podał go Hanie.

– Myślę, że gdybym miała ją w swoim pokoju, to zawsze poprawiałaby mi humor. – Hana wyszczerzyła zęby do małpki.

– To kup ją sobie – odpowiedziała Sara. – Przyszłaś tu ze mną taki kawał drogi, to przynajmniej też będziesz miała jakąś pamiątkę.

– Dobrze, wezmę ją. – Hana oddała małpkę sprzedawcy.

– Znakomicie! Już ją pakuję! – Sprzedawca nie krył zadowolenia.

Przyjaciółki pochodziły jeszcze chwilę po sklepie, po czym podeszły do lady, żeby zapłacić.

– Może jeszcze coś mogę zaoferować? Mamy wspaniałe tkaniny wykonane techniką batik; o, chociażby poszewki na poduszki, nie są drogie, a niezwykle efektowne. – Lankijczyk położył na ladzie powłoczkę z wizerunkiem słonia.

– Dziękuję, może innym razem. – Hana już wyjmowała pieniądze. – A teraz

zapłacę za wszystko.

– Hana, ja zapłacę za swoją maskę. – Sara otworzyła torebkę.

– Nie ma nawet o tym mowy! Ja płacę! – Hana podała sprzedawcy pieniądze i spojrzała na przyjaciółkę. – To mój prezent dla ciebie.

Sara poczuła miłe ciepło w środku. To było podobne uczucie do tego, które pojawiało się wtedy, kiedy Farah okazywała jej troskę. Tak bardzo brakowało jej życzliwego zainteresowania ze strony kogoś bliskiego...

– Niech przyniesie ci szczęście! – Hana wręczyła Sarze podarunek.

– Dziękuję! – Sara poczuła wzruszenie.

– A teraz już szybko wracajmy, bo jutro czeka nas długa droga do Bentoty. Zaprowadź nas szybko do hotelu. – Hana zwróciła się do Lankijczyka, który służył im za przewodnika.

– A może jeszcze byście chciały zobaczyć coś interesującego? – zaproponował mężczyzna z dziwnym wyrazem oczu.

– Nie, dziękujemy, wrócimy do hotelu. – Hana z miejsca odmówiła.

– Niedaleko stąd jest mała buddyjska świątynia, w której mieszka kilku mnichów – kontynuował niezrażony Lankijczyk. – To nie zajmie długo, a możecie wiele zyskać.

– Gdybyśmy miały więcej czasu, to chętnie, ale musimy już wracać. – Hana udała się w stronę leśnej ścieżki, pociągając za sobą Sarę.

– Jeżeli bardzo wam na czymś lub na kimś zależy, to warto wstąpić do tego szczególnego miejsca – nalegał mężczyzna.

– Ale my już musimy iść. Mama na nas czeka. – Hana była stanowcza.

„Mama” – to słowo znowu uruchomiło przykre obrazy wywołujące u Sary bolesny ścisk serca. Przypomniała sobie moment, w którym próbowała ocucić krwawiącą, nieprzytomną mamę leżącą w sypialni jej śmiertelnej rywalki, Lary. Mama – to na pewno była osoba, na której jej bardzo zależało.

– A daleko jest ta świątynia? – zapytała Sara.

– Nie, nie, całkiem blisko – skwapliwie zapewnił Lankijczyk. – Droga nie zajmie dużo czasu. Musimy tylko pójść inną ścieżką. Jest tam, po drugiej stronie sklepu. – Wskazał dłonią kierunek.

Hana się zatrzymała.

– Sara, chyba nie chcesz chodzić teraz po lesie? – Z pytania Hany bił niepokój.

– Ale mama... Może właśnie teraz potrzebuje pomocy? – W oczach Sary załśniły łzy, bo w głowie zabrzmiały jej burzliwe kłótnie rodziców przed wakacjami.

Hana stała niezdecydowana.

– Już zapada zmierzch, po nocy chcesz chodzić?

– Mama... – Łzy spłynęły po policzkach Sary.

– A jeżeli to jest niebezpieczne? Przecież w ogóle nie znamy tego naszego przewodnika?

– Przecież sama mówiłaś, że to dziadek. Widać, że chce trochę zarobić, sama widziałam, jak dostał zwinięte rupie od sprzedawcy. A jeśli mogłabym w jakikolwiek sposób pomóc mamie...

– Dobrze, jeśli ci tak bardzo na tym zależy...

Przyjaciółki podążyły za Lankijczykiem i ponownie zagłębiły się w półmrok równikowego lasu.

Na jakie ryzyko i trudy jesteśmy w stanie się narażać w poszukiwaniu szczęścia? I zapewnienia tego szczęścia ukochanym osobom?

Buddyjska świątynia wyłoniła się z zieleni zupełnie niespodziewanie po jednym z licznych zakrętów wąskiej ścieżki. Położona była na lekkim wzniesieniu i prowadziły do niej nadszarpnięte zębem czasu schody.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił przewodnik. – Świątynia jest zamknięta, ale poproszę mnicha, żeby ją specjalnie dla was otworzył.

Sara poczuła się bardzo szczególnie. Oto tylko dla niej otwierane jest sanktuarium, w którym może złożyć swoje prośby. Może dzięki temu jej błagania będą miały większą siłę? I zostaną wysłuchane?

I koszmar, który dotknął jej rodzinę, już się nigdy więcej nie powtórzy?

Lankijczyk udał się do połączonego ze świątynią niewielkiego budynku i po chwili wrócił z ubranym w pomarańczowe szaty buddyjskim mnichem, który trzymał w ręce pęk dość dużych kluczy. Mnich łagodnie się uśmiechnął do przybyłych, po czym otworzył świątynię. Sara z biciem serca wspięła się po schodach. Znowu ogarnęło ją to wyjątkowe uniesienie, którego doznawała w Świątyni Zęba. Podeszła do wyeksponowanego na podwyższeniu Buddy, siedzącego w pozycji kwiatu lotosu. Usiadła przed nim. Zamknęła oczy. Starła się połączyć z tymi nieznanymi, wyższymi siłami, które mają wpływ na nasz los. Myślała i nie myślała, bała się i nie bała, wierzyła i nie wierzyła, miała nadzieję i ją traciła, podążała i nie podążała, wracała, kulała, błędziła. Modliła się i nie modliła. Była.

Wstała i mimowolnie skierowała się do stojącego z boku mnicha. Podeszła bliżej i podniosła na niego zbolące oczy.

– Jak ta osoba ma na imię? – zapytał mnich.

– Mama... To znaczy Joanna – poprawiła się.

– Joanna... – powtórzył mnich i poszedł do sąsiedniej małej salki.

Sara zatopiła się w tej chwili i wyobraziła sobie mamę roześmianą, żartującą, żyjącą. Szczęśliwą.

Mnich wrócił i zawiązał na prawym nadgarstku Sary białą nitkę.

– Kiedy spotkasz Joannę, to zawiąż jej tę nitkę na jej ręce – powiedział.

– Dobrze. Dziękuję.

Mnich się oddalił, a Hana wzięła Sarę za rękę i razem opuściły świątynię.

Weszły w wieczorny las – pełen cykania, świergotania, pukania, szumu, szurania, brzęczenia mnogości tropikalnych stworzeń. W dole panowała ciemność, a w górze zarysy koron drzew rysowały się wyraźnie na tle nieba. Nieba trochę błękitnego, trochę granatowego, trochę szafirowego, trochę różowego. Znanego i nieznanego. Sara pomyślała o mamie, która być może w tym samym momencie z pokładu statku patrzy gdzieś na to samo niebo. Dziewczyna dotknęła opuszkami palców zawiązanej przez mnicha nitki. Symbolu szczęścia, spokoju i sukcesu.

– Hano, chcę złożyć dotację na świątynię. – Sara zwróciła się do przyjaciółki.

– Oczywiście.

Dziewczyny skierowały się do świątyni i złożyły swój dar.

– Teraz możemy już iść do hotelu – powiedziała Hana do Lankijczyka, kiedy wyszły z sanktuarium.

– Dobrze, ale wrócimy rzeką – oznajmił mężczyzna.

– Rzeką! – prawie jednocześnie wykrzyknęły przyjaciółki.

– Tak, do brzegu rzeki nie jest stąd daleko. I to będzie dużo bezpieczniejsze niż przejście w nocy przez las.

– Bezpieczniejsze?! Przecież w rzece jest pełno krokodyli!

– Popłyniemy łodzią. Za niecałą godzinę będziecie w hotelu.

Przyjaciółki z wyrazem konsternacji na twarzach spojrzały po sobie.

– Chyba nie mamy wyboru – stwierdziła Hana.

– Raczej nie – zgodziła się Sara.

Lankijczyk znowu je poprowadził, a dziewczyny trzymały się blisko niego, aby nie zgubić się w gąszczu. Po kilkunastu minutach dość szybkiego marszu dotarli do brzegu rzeki. Ku zdziwieniu dziewcząt czekało już tam na nich trzech mężczyzn. Przywitali się z przewodnikiem i dość długą chwilę rozmawiali w swoim ojczystym języku. Wyglądało na to, że nad czymś debatują. W końcu przewodnik zwrócił się do dziewcząt:

– Zanim was zabierzemy, musicie zapłacić – oświadczył bez ogródek.

– No tak, oczywiście. – Hana była przygotowana na to, że Lankijczyk w którymś momencie zażąda pieniędzy. Tak jak wielu jego rodaków poświęcił swój czas dla turystek, aby na tym zarobić. – Ile to będzie kosztowało? – zapytała.

– Dziesięć tysięcy rupii – wypalił mężczyzna.

– Cooo?!!! – Hana nie mogła ukryć oburzenia.

– Dziesięć tysięcy rupii. Tyle kosztuje wasz transport – potwierdził Lankijczyk.

– Ale to o wiele za dużo – wyraziła swoje zdanie Hana. Skorzystanie z tuk-tuka nie przekraczało kilkuset rupii, a i ta suma była zawyżona specjalnie dla turystów.

- Taka jest nasza cena. – Przewodnik trwał przy swoim.
- Nawet nie wiem, czy mam przy sobie tyle pieniędzy. Możemy się potargować. – Mimo wszystko Hana nie bardzo sobie wyobrażała powrót do hotelu nocą przez las tylko z Sarą. Musiały się dogadać z przewodnikiem czy tego chciały, czy nie.
- Nie ma żadnych targów. – Lankijczyk był bezwzględny. – Albo płacicie dziesięć tysięcy rupii, albo wracacie same.
- Musimy się zastanowić i policzyć pieniądze. – Hana chciała mieć czas na zastanowienie się, jak wybrnąć z sytuacji. – Porozmawiam z przyjaciółką.
- Tylko szybko – ponaglił przewodnik. – Łódka nie będzie bez końca na was czekała.
- Hana z Sarą odeszły trochę na bok.
- To nie dziadek, tylko chytry lis. – Hana była zdegustowana. – Specjalnie nas tak wyciągnął, żeby stworzyć sytuację bez wyjścia.
- Masz rację. – Sara też uważała, że Lankijczyk przesadził z żądaniem. – Może w takim razie wrócimy do hotelu same?
- Ale jak znajdziemy nasz hotel?
- Hotel leży nad rzeką, więc możemy iść jej brzegiem.
- A wiesz, w którą stronę?
- Nie bardzo...
- Ja też nie... I jeszcze w rzece są krokodyle.
- No tak... Ostrzegali nas, żeby nie chodzić brzegiem, bo krokodyle wychodzą z wody i...
- To płyniecie czy nie?! – krzyknął zniecierpliwiony Lankijczyk. – Bo my zaraz odbijamy.
- Liczymy pieniądze! – odkrzyknęła Hana, żeby zyskać trochę czasu. – Saro, co decydujemy?
- Niestety, wygląda na to, że musimy się zgodzić.
- A ile masz pieniędzy przy sobie?
- Nie wiem dokładnie... Może kilka tysięcy, ale nie więcej niż pięć.
- Ja też mam kilka... To sprawdźmy dokładnie... – Hana wyjęła swój portfel.
- Łódka zaraz odpływa i nie będzie... – Przewodnik, który po chwili pojawił się obok dziewcząt, przerwał, widząc gruby plik pieniędzy.
- Ja mam pięć tysięcy i... – Hana przeliczyła ostatnie parę banknotów – czterysta rupii.
- A ja cztery tysiące i sto... dwieście... cztery dwieście... – zadeklarowała się Sara.
- Czyli razem dziewięć sześćset. Tylko tyle możemy zapłacić – powiedziała Hana w stronę przewodnika.

– Dziesięć tysięcy i żadnych targów. – Mężczyzna powtórzył swój wcześniejszy warunek.

– Ale my więcej nie mamy – zapewniła Hana.

– Poszukajcie dobrze. Może coś jeszcze znajdziecie. – Lankijczyk pożądliwie patrzył na pieniądze.

Dziewczęta zaczęły przeszukiwać torebki oraz kieszenie ubrań.

– Ja mam jeszcze sto rupii. – Hana dołączyła banknot do trzymanego w ręce pliku.

– I ja też. – Sara rozprostowywała wyjęty z kieszeni spodni zmięty papier.

– Razem dziewięć osiemset. Proszę... – Hana wzięła od Sary pieniądze, po czym całość wręczyła mężczyźnie.

– Miało być dziesięć tysięcy – mruknął Lankijczyk, ale wziął pieniądze i zaczął je skrupulatnie liczyć. – Dobrze, niech wam będzie. Chodźmy do łódki.

Przyjaciółki podążyły za przewodnikiem na brzeg Mahaveli Ganga, do której zejście prowadziło wprost z lasu. Przy samej wodzie był tylko wąski pas piasku, gdzie czekało już trzech mężczyzn. Przewodnik zaczął ponownie przeliczać pieniądze i każdemu z nich dawać stosowną działkę.

– Saro... – Głos Hany lekko zadrżał. – Ja tu nie widzę żadnej łódki.

– To co oni chcą z nami zrobić? – Sara przysunęła się bliżej Hany.

– Nie wiem, pieniądze już wzięli...

Nagle mężczyźni zaczęli się ostro kłócić i wrywać sobie nawzajem banknoty. Przez moment nie mogli dojść do porozumienia, prawdopodobnie chodziło o te brakujące dwieście rupii.

– Saro, oni się sprzeczą, może lepiej będzie, jeśli im uciekniemy – zasugerowała Hana.

– Ale nie wiemy, w którą stronę iść, i te krokodyle...

– To już sama nie wiem, co jest lepsze... – Hana też była zdezorientowana.

Mężczyźni trochę się uspokoiłi, a przewodnik powiedział do dziewczyn:

– Za chwilę odpływamy.

– Ale czym? – Hana zdobyła się na odwagę. – Nie widzę tu łódki.

– Jest schowana za krzewami. Zaraz ją wyciągniemy – zapewnił przewodnik.

Dziewczyny spojrzały po sobie z powątpiewaniem, ale niedługo potem rozległ się głośny plusk i Lankijczyk powiedział:

– Możemy wsiadać.

Przyjaciółki spojrzały na ciemne wody Mahaveli Ganga, lecz wydawało im się, że nie ma na nich żadnej łódki.

– No chodźcie, chodźcie – ponaglił przewodnik. – Już i tak straciliśmy mnóstwo czasu.

– Ale gdzie jest ta łódka?

– Jak to gdzie? – spytał zdziwiony mężczyzna. – Tu jest.

Dziewczęta podeszły bliżej i dopiero wtedy zobaczyły bujającą się na wodzie konstrukcję, która bardziej przypominała tratwę niż łódkę. Zbudowana z drewna, z prymitywnymi siedzeniami, bez żadnych zabezpieczeń po bokach, nie wydawała się bezpiecznym środkiem transportu na szerokiej, głębokiej i pełnej krokodyli rzece.

– I my tym mamy płynąć? – Hana spodziewała się przynajmniej prostej łódki z silnikiem.

– Pomogę wam wsiąść – zaoferował się przewodnik.

Trzech Lankijczyków sprawnie wskoczyło na tratwę, zajęło swoje miejsca i z wiosłami w rękach czekało na resztę. Później dołączył do nich przewodnik, który następnie wyciągnął rękę, aby pomóc dziewczętom.

– Wsiadajcie!

Pierwsza weszła Hana, a zaraz za nią, ze ściśniętym gardłem, Sara. Lankijczycy ruszyli tratwę, która mocno się zachybotwała, po czym popłynęła w stronę środka rzeki.

Mężczyźni równomiernie wiosłowali, sprawiając, że tratwa wolno posuwała się do przodu. Przestraszone dziewczyny siedziały przytulone do siebie na wąskiej ławeczce pośrodku tratwy, której prosta budowa sprawiała, że ciemne, zdradliwe wody Mahaveli Ganga były dosłownie na wyciągnięcie ręki. Dłuższy czas przyjaciółki milczały, tylko ich przyspieszone oddechy świadczyły o ogromnym lęku. Mimo że Lankijczyk uprzedził, że powrót potrwa kilkadziesiąt minut, dziewczyny z niecierpliwością wypatrywały na brzegu świateł swojego hotelu. Każda minuta wydawała się wiecznością.

Gdyby nie okoliczności – zupełnie niesprzyjające – można byłoby się zachwycać pięknem i bogactwem natury. Widziana w nocy ze środka rzeki przyroda, która od wieków otaczała rdzennych mieszkańców wyspy, potrafiła zachwycić swoim nieodpartym dostojenstwem. Płynąca leniwie, szeroko rozlana Mahaveli Ganga, pas gęstej nadbrzeżnej roślinności i rozmach usianego gwiazdami równikowego nieboskłonu skłaniały do całkowitego zjednoczenia się z majestatem egzotycznego świata. Zupełnie innego od tego, który Sara dotychczas знаła. W bardziej przyjaznych warunkach być może oderwałaby się od dręczących ją trosk i przeżytych traum. Ale teraz płynęła na prymitywnej tratwie z czwórką nieznanym jej mężczyznom i przepełniały ją paraliżujący strach i niepewność.

– Saro... – szepnęła Hana.

– Tak... – Głos Sary zabrzmiał nienaturalnie.

Hana zamilkła, jakby to, co chciała powiedzieć, nie mogło jej przejść przez gardło.

– Słucham, Hano.

– Nawet boję się głośno wypowiedzieć to, co przyszło mi do głowy. – Hana wzięła Sarę za rękę.

– Powiedz... – poprosiła Sara. – Ja też myślę o różnych strasznych rzeczach...

– Bo jeśli oni... – głos Hany się załamał. – Bo jeśli oni wrzuciliby nas do tej wielkiej rzeki... To nie ma nawet najmniejszych szans, żeby ktoś się domyślił, co się z nami stało.

– A powiedziałaś mamie, dokąd idziemy?

– Tak, ale mówiłam tylko o sklepie z pamiątkami. Przecież nie przewidziałam, że zagłębimy się w leśne ostępy z nieznanym mężczyzną.

– Chyba zrobiłyśmy największą głupotę...

Przyjaciółki przysunęły się bliżej siebie i z nadzieją wypatrywały na brzegu rześistego oświetlenia luksusowego hotelu.

Podróż ciągnęła się w nieskończoność. Hana i Sara nie ruszały się, bo miały wrażenie, że przez najmniejszy ruch tratwa straci stabilność i wszyscy wlecą do wody wprost w paszcze krokodyli. Powolny suw tratwy powodował tylko większe zdenerwowanie dziewcząt, które były coraz bardziej przekonane, że ta droga nigdy się nie skończy.

Mocno ścisnęły się za dłonie i dla dodania sobie nawzajem otuchy od czasu do czasu szeptały:

– Będzie dobrze, będzie dobrze...

Wreszcie, po prawie godzinie, w oddali pojawiła się charakterystyczna masywna bryła hotelu z przewyższającym go małym skupiskiem palm kokosowych po jego lewej stronie.

– Saro, dopływamy! – Hana lekko szturchnęła koleżankę. – Zaraz dotrzemy na miejsce!

Sara bez słowa wpatrywała się w światła hotelu, myśląc wyłącznie o tym, że już niedługo ona i jej przyjaciółka będą bezpieczne.

Jednak ku trwodze dziewcząt tratwa, jeszcze w dość dużej odległości od hotelu, nagle zwróciła się w stronę brzegu.

– Miałyśmy dopłynąć do hotelu. – Hana z wyrzutem powiedziała do przewodnika.

– Wyszadzimy was wcześniej. Dalej pójdziecie same – stwierdził Lankijczyk.

– Ale dlaczego? – chciała wiedzieć Hana.

– Bo tak. – Przewodnik nie zamierzał się tłumaczyć.

– Może chcą się odegrać za te brakujące dwieście rupii – zasugerowała Sara.

– Albo mają jakieś inne swoje powody – wyraziła przypuszczenie Hana.

Po paru minutach tratwa wreszcie dotarła do brzegu i dziewczyny z ulgą poczuły twarde łąd pod nogami.

– Hotel stąd widać, na pewno nie zabłądzicie – szybko rzucił przewodnik, a pozostali Lankijczycy zaczęli energicznie wiosłować i tratwa szybko się oddaliła.

– Co oni się tak błyskawicznie ulotnili? – zdziwiła się Sara.

– Może nie chcą, żeby ktoś zobaczył, że w taki sposób zarabiają na turystach – poddała myśl Hana.

– Chyba masz rację – zgodziła się Sara. – Ale tak naprawdę to teraz nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, że stąd już możemy same wrócić do hotelu.

– To chodźmy, mama na pewno bardzo się o nas niepokoi. – Hana wzięła przyjaciółkę pod rękę i raźno ruszyły przed siebie.

Po przyjsciu na miejsce pierwsze kroki skierowały do pokoju Emily, ale jej tam nie znalazły. Poszły więc do siebie, gdzie Hana od razu rzuciła się Sarze na szyję.

– Saro, tak bardzo się bałam! – Hana musiała dać upust narastającemu w niej od dłuższego czasu napięciu. – Jak dobrze, że nam się nic nie stało! – Spontanicznie pocałowała Sarę w policzek i mocno się do niej przytuliła.

Ten przyjacielski gest, tak naturalny w sytuacjach, kiedy się cieszymy, że my sami lub nasi bliscy wyszli z niespodziewanej opresji, wywołał u Sary falę gorąca. Czuła przez cienką bluzeczkę Hany jej jędrne piersi i to przywołało żarliwe wspomnienia o tym, jak Farah wprawnymi ruchami zaczęła pieścić jej piersi, całować ją w usta z żarliwością najlepszego kochanka, co wywołało u Sary poryw niepohamowanej namiętności, której nie potrafiła się oprzeć. Gwałtownie odsunęła Hanę od siebie.

– Idę się wykapać! – rzuciła ostro i zniknęła w łazience.

Hana była trochę zaskoczona nieoczekiwaną reakcją przyjaciółki, ale zrzuciła to na karb stresu, który dopiero co przeżyły. W tym momencie do pokoju wpadła Emily.

– Hana! – Przygarnęła córkę do siebie. – Co się z wami działo? W recepcji powiedzieli mi, że przyszłyście. Wszędzie was szukałam! Byłam nawet w sklepie z pamiątkami. Pokazałam sprzedawcy wasze zdjęcie. Powiedział mi, że kupiłyście maskę i małą, po czym udałyście się w dalszą drogę. Tak się o was martwiłam! Córeczko! – Emily pocałowała Hanę w głowę. – Ale gdzie wy tak naprawdę byłyście przez ten cały czas?

Hana usiadła na krześle i pokrótce przedstawiła mamie, co się wydarzyło.

– Córeczko, pamiętasz, ostrzegałam cię wielokrotnie przed takimi sytuacjami – przypomniała Emily po uważnym wysłuchaniu córki. – Uprzedzałam cię, że lepiej nie wdawać się w dłuższe rozmowy z przypadkowymi mężczyznami, którzy oferują towary do sprzedania czy zwiedzanie jakiegoś ciekawego miejsca. Tak do końca nigdy nie wiesz, na kogo trafisz... I tak dobrze, że tylko tak się to skończyło. Ale mam nadzieję, że chociaż wyniosłaś z tego zdarzenia jakąś przestrożę. Tak naprawdę każdy uczy się na własnych błędach – skonstatowała Emily.

Otworzyły się drzwi i z łazienki wyszła Sara.

– O, Saro, dobrze, że jesteś – ucieszyła się Emily. – Właśnie rozmawiamy z Haną o grasujących tu naciągaczach, a niekiedy wręcz oszustach. Krążą

opowieści o tym, jak Lankijczycy potrafią świetnie zagadać turystę przez godzinę lub dwie, aby później zniecka zaoferować mu na przykład wyjątkowo tanie szafiry, które już po zakupie okazują się zwykłymi szkiełkami. Albo *beach boys*... Przystojni, często bardzo młodzi mężczyźni, którzy tylko czekają na to, aż samotne turystki z Europy się nimi zainteresują. Jutro jedziemy nad ocean, więc musicie być na to bardzo wyczulone... No, ale dosyć kazań na dzisiaj. – Emily uśmiechnęła się do dziewcząt. – Myślę, że same wyciągniecie odpowiednie wnioski z dzisiejszej przygody... O ile to tak można nazwać... A teraz idźcie spać, bo jutro z rana wyruszamy. Dobranoc, dziewczyny. – Emily ruszyła do wyjścia.

– Dobranoc, mamo.

– Dobranoc. – Sara już wchodziła do łóżka.

* * *

Następnego dnia Emily i dziewczęta pojechały do Bentoty. Prawie całą drogę Sara miała zamknięte oczy, udając, że śpi. Wydarzenia poprzedniego dnia znowu wtrąciły ją w lochy przygnębienia. Nie lubiła siebie. Nie lubiła swojego ciała. Nie lubiła swoich reakcji na bliskość Hany. Chciała się gdzieś zapaść, zapomnieć, zniknąć. To wszystko przez ojca! Gdyby nie przyprowadził do domu drugiej żony, ona nie musiałaby uciekać i nie żyłaby w środowisku kuwejskich *boyat* i *ladyat*. Farah by jej nie uwiodła, a jej ciało nie zaznałoby smaku rozkoszy z inną kobietą. Jedynej pełnej rozkoszy, jakiej do tej pory doznała z drugim człowiekiem....

Hotel w mieście Bentota był rzeczywiście tak luksusowy, jak zapewniała Hana. Położony tuż nad oceanem, otoczony krótko przyciętym zielonym trawnikiem, odznaczał się niezwykłym komfortem, a jednocześnie przytulnością i miłą atmosferą – biały budynek z rozległymi balkonami, niektóre z nich miały stylowe zadaszenia z czerwonymi dachówkami.

– Zobacz, Saro, jak ciekawie złożony ręcznik! – wykrzyknęła Hana, kiedy dziewczyny znalazły się w swoim pokoju. – Tylko spójrz! Jak oni to zrobili!

Na każdym z łóżek znajdował się ukształtowany z białego ręcznika słonik, stojący na czterech nogach, z wyraźnymi uszami i długą trąbą.

– Faktycznie oryginalny sposób składania ręcznika – powiedziała Sara bez entuzjazmu.

– A tu mamy balkon! – Hana odsunęła duże szklane okno.

Sara wyszła na taras i po raz pierwszy usłyszała pomruk oceanu. Nadchodzący gdzieś z oddali, ale bardzo wyraźny, silny, niepozostawiający żadnej wątpliwości co do potęgi żywiołu. Sara przymknęła powieki i zasłuchiwała się w tę szemrzącą mocnymi tonami sonatę, przychodzącą ze światów, z zaświatów, z głębi.

– Przejdziemy się po plaży? – zaproponowała Hana.

– Może później – odpowiedziała Sara.

– A co chcesz robić?

– Zostanę na tarasie, cudny jest stąd widok.

– Dobrze, w takim razie pozwolisz, że pójde na spacer z mamą? To taka nasza mała tradycja, że zaraz po przyjeździe udajemy się na plażę i idziemy brzegiem oceanu, aż nam starczy sił... Można tak iść i iść... To do zobaczenia. – Hana opuściła pokój.

Sara była zadowolona, że Hana wyszła. Wolą być sama. Oparła się o balustradę i ponad rosnącymi przy hotelu krzewami i drzewami obserwowała ocean. Zlewał się z niebem pokrytym chmurami, razem tworzyły pejzaż zasnuty granatem, bielą, niebieskością w szarości. Na jego tle odcinały się wysokie, cieniutkie jak nitki, zakończone pierzastymi pióropuszcami palmy. Słońce tylko gdzieniegdzie prześwitywało, tworząc srebrzystą poświatę i grę światła na wodzie. Sara usiadła na leżaku i słuchała mrużenia oceanu, czasami wzbogaconego o mocniejszy akcent rozbijanych o brzeg fal, tak długo, aż sama stała się szumem.

– Saro, Saro, obudź się! – Hana potrząsała ramieniem przyjaciółki. – Cały dzień dzisiaj spałaś! Chodź przynajmniej na plażę przy hotelu! Szkoda czasu, Saro!

– Co, co się dzieje? – Sara nieprzytomnie otworzyła oczy, powracając z sennej podróży, podczas której siedziała przy stole z całą swoją rodziną w rezydencji i pokładała się ze śmiechu, bo ktoś z bliskich opowiedział zabawny żart.

– Zaraz wieczór! Warto, żebyś chociaż zamoczyła nogi w oceanie. Przywitała się z nim. – Hana się zaśmiała.

– Dobrze, dobrze, już się zbieram. – Sara nie chciała dłuższy czas zostać w pokoju sama z Haną.

Na plaży nie było dużo ludzi, na nieboskłonie kłębiło się więcej granatowych chmur, zanosilo się na deszcz. Przyjaciółki chodziły po miękkim, żółtoczerwonym piasku, zostawiając na nim wyraźne ślady stóp. Ocean obmywał plażę białymi grzywami fal i to w nich Sara spotkała się pierwszy raz z oceanem. Szła brzegiem, pozwalając wodzie sięgać jej kolan. Było niebo, był ocean, był piasek, była zieleń. I Sara.

Co jakiś czas do dziewcząt podchodzili przystojni, dobrze zbudowani młodzi mężczyźni w seksownych slipkach, w których mogli się pochwalić swoimi męskimi atutami, i z szerokimi uśmiechami próbowali zacząć z nimi konwersację.

– Jak masz na imię? Skąd jesteś? Pierwszy raz na Sri Lance? – To był rutynowy zestaw początkowych pytań.

Dziewczyny po doświadczeniach z poprzedniego dnia ignorowały tego typu zaczepki i szły dalej, nawet nie patrząc w stronę mężczyzn. Oni nie bardzo się tym przejmowali, tylko czekali na następne samotne białe kobiety, które z pewnością odpowiedzą na ich inicjatywę, w końcu po to tu przyjechały. Nawiąza kontakt

i wciągną się w egzotyczną, płatną miłość.

A później na profilach Facebooka i Instagramu pojawią się zdjęcia roześmianych białych kobiet w towarzystwie ciemnych Lankijczyków. Z plaż, dyskotek i klubów, z mężczyznami, którzy się do tych kobiet uśmiechają, obejmują je i przytulają. Widzicie, nie jestem sama, ktoś mnie chce, ja też mam męczyznę koło siebie, świetnie się bawię, jestem taka szczęśliwa, zobaczcie, nie jestem sama, interesują się mną, taki mężczyzna obok mnie, zobaczcie. To konwulsyjne, wieczne dążenie kobiet do szczęścia, które może zapewnić tylko mężczyzna. A że to szczęście, jeżeli w ogóle można to tak nazwać, jest ulotne, wymyślone, przywołane do życia niespełnionymi pragnieniami i brutalnie kupione, to już nie ma żadnego znaczenia. Jest na zdjęciu. Wszyscy widzą. Jestem szczęśliwa.

Ale jest i dużo ciemniejsza strona seksbiznesu na Sri Lance. To pedofilia i pornografia dziecięca. Europejczycy przyjeżdżają na biedną wyspę, aby wykorzystując dzieci, zaspokoić anormalne chucie, zadowoleni, że tak tanio i stosunkowo bezkarnie mogą się oddać zaspokajaniu swojej namiętności. Te dzieci zarabiają na chleb. Dla siebie i swoich rodzin. Chłopcy chodzą po plaży w kolorowych, dopasowanych slipkach, pod którymi zaznacza się dopiero co wykształcona męskość, aby przykuć uwagę bogaczy i niebogaczy z Europy. Te dzieci można wykorzystać, bo nikt się za nimi nie ujmie. Kto z nas zna choć jedno imię chłopca czy dziewczynki na Sri Lance? Nie ma imion, nie ma dzieci. Nie ma świata. Chyba że chcemy jechać i pobawić się lub pozachwycać przyrodą, oceanem, plantacjami herbaty lub wyprawą w gęstwinę lasu równikowego. Wtedy nagle ten świat się wyłania, ale tylko przez pryzmat naszej perspektywy. To takie ułudne. I znowu bogatsi mają głos. Mając pieniądze, można się bawić we wszystko. Ach, jak ja świetnie medytuję. Ćwiczę jogę. Rozwijam się. A to, że tuż obok dochodzi do haniebných czynów, których ofiarami są dzieci, i że tuż za ogrodzeniem wygodnego hotelu panuje nieopisana bieda, to już nie moja działka. O biedzie nie będę mówić. Bo bieda nie jest medialna, nie jest ładna ani ciekawa. Jest brzydka. I mnie nie dotyczy.

Następnego dnia przyjaciółki pojechały do buddyjskiej świątyni. Sara wraz z wiernymi zapalała świece, ofiarowywała kwiaty, prosiła o dobro. Znowu wierzyła, że zostanie wysłuchana. Wierzyła, że zło się odwróci. I że już będzie dobrze. Wierzyła jak każdy z nas.

Tyłu bogów na świecie. I tyle zła. Czy istnieje niezawodny sposób odróżnienia dobra od zła? I obrony przed nim?

Rozdział III

Zagubienie

Po powrocie ze Sri Lanki rodzinna rezydencja wydała się Sarze jakaś cicha i pusta. Z bliskich przebywała w niej tylko Fatma, bo Nadir hulał w Londynie ze swoimi kuwejskimi przyjaciółmi, a rodzice nadal odbywali rejs po egzotycznych morzach. Z młodszą siostrą Sara nie mogła porozmawiać na wiele frapujących ją tematów, bo uważała ją za jeszcze niedostatecznie na to dojrzałą, a z drugiej strony – zbyt religijną. Fatma nadal przyjaźniła się z konserwatywną Munirą i spędzała z nią wiele czasu. Dziewczyny zajmowały się swoimi sprawami, dość odległymi od problemów, które dręczyły Sarę. Jedynym wspólnym tematem absorbującym obie siostry była troska o samopoczucie i zdrowie mamy.

– Miałaś ostatnio jakiś kontakt z mamą? – zapytała Sara Fatmę przy pierwszym wspólnym śniadaniu.

– Rozmawiałam z nią kilka dni temu – odpowiedziała siostra.

– I jak ona się czuje?

– Dobrze, chyba dobrze...

– Dlaczego „chyba”?

– Znasz mamę... – Fatma westchnęła. – Nie kontaktuje się za często. Kiedy już wyjechała, to pewnie porwał ją wir rozrywek na statku, zwiedzanie nowych miejsc...

– A z ojcem? Jak jej się układa z ojcem? – Sara z niepokojem zadała to pytanie.

– Myślę, że dobrze...

– Nie wygląda na to, żebyś była całkowicie przekonana – oznajmiła Sara. – Mama coś wspominała na ten temat? Skarżyła się?

– Nie, w sumie nie...

– A jednak czuję, że nie mówisz mi wszystkiego – wyraziła swoją wątpliwość Sara.

Fatma się zawahała. Nie była pewna, czy może wszystko powiedzieć siostrze, która przed wyjazdem na Sri Lankę nie odznaczała się najlepszą kondycją psychiczną, a po powrocie też nie wyglądała na okaz szczęścia.

– Nie ma co ukrywać prawdy, i tak wcześniej czy później wszystko wyjdzie na jaw – stwierdziła Sara.

– No dobrze, powiem ci... Chociaż może to nic takiego...

– Wykrztuś wreszcie, o co chodzi.

– Raz, gdy mama dzwoniła, to była... no wiesz...

– Pijana? – zaniepokoiła się Sara. Powrót mamy do ciągłego picia to była najgorsza rzecz, jaka mogła się jej przydarzyć. Sara ciągle miała w pamięci niekontrolowane zachowania matki po alkoholu.

– No może pod wpływem...

– I co mówiła?

– Żaliła się, jak ojciec mógł jej zrobić taką straszną rzecz... Z tego, co zrozumiałam, to byli na wielkim balu na statku i tam była jakaś kobieta, która do złudzenia przypominała Larę, wiesz, te plastikowe lale wszystkie wyglądają tak samo, i matka zaczęła wyrzucać ojcu, że śmiał wziąć sobie drugą żonę i jeszcze przyprowadzić ją do domu...

– Jeżeli mama wróci do swoich dawnych zachowań, to znaczy ciągłych pretensji do ojca, to nici z ich małżeństwa – zauważyła Sara. – Ojciec tego nie znosi.

– Masz rację – zgodziła się Fatma. – Mama mówiła, że ojciec się zezłościł i od razu zabrał ją z tego balu. A później gdzieś poszedł i zostawił ją samą, więc przygnębiona do mnie zadzwoniła.

– Tylko raz miałaś taki telefon?

– Tak, więc miejmy nadzieję, że to był tylko pojedynczy incydent.

– Oby tak było...

Sara znowu posmutniała. Najgorsze są chwile, kiedy dzieje się coś niedobrego, a my nie mamy na to kompletnie żadnego wpływu.

– Fatmo, co chcesz robić przez resztę wakacji? – Sara zmieniła temat.

– Mamy z Munirą mnóstwo planów. Zapisaliśmy się na kurs recytacji Koranu, zostałyśmy też wolontariuszkami w szpitalu dla dzieci, będziemy chodzić do klubu na plażę nad morzem i pływać...

– Ty? Pływać? – Sara wiedziała, że jej siostra nigdy nie pokazałaby nawet skrawka swojego ciała w publicznym miejscu.

– Przecież są dni, kiedy nadmorski klub jest otwarty tylko dla kobiet. Zapomniałaś?

– No tak, rzeczywiście. – Kiedy tylko siostra wspomniała o plaży, Sara skojarzyła ją z tą nad oceanem, gdzie przechadzały się, mocno eksponując swoje wdzięki, Europejki i Azjatki.

– A ty, Saro? Jak zamierzasz spędzić wakacje?

– Nie wiem jeszcze. Może pojedę do Londynu...

– Przecież ojciec nie pozwoli ci jechać samej do Anglii.

– Emily mnie zaprosiła, więc jeżeli rodzice puścili mnie z Haną i jej mamą na Sri Lankę, to na pewno nie miałoby nic przeciwko temu, żebym pojechała z nimi do Londynu.

– Pewnie nie... – przyznała Fatma. – To kiedy byś wyjechała?

– Nie wiem jeszcze... Tak naprawdę, to nawet nie jestem pewna, czy

w ogóle się na to zdecyduję.

– Dlaczego?

– To skomplikowane. – Sara nie miała ochoty zwierzać się siostrze ze swoich rozterek, które ogarniały ją, kiedy przebywała zbyt blisko przyjaciółki.

– Coś się stało? Pokłóciłaś się z Haną? – chciała wiedzieć Fatma.

– Nie, to nie to... Widzę, że już skończyłaś śniadanie. – Sara podniosła się zza stołu. – Pójdę do siebie, mam parę rzeczy do zrobienia – rzuciła pierwszą z brzegu wymówkę.

– A ja zaraz jadę na lekcje recytacji Koranu. Kierowca mnie zawiezie.

– Dobrze, to do zobaczenia później.

– Do zobaczenia.

* * *

Sara poszła do swojego pokoju, usiadła na łóżku i skuliła się, obejmując kolana rękoma. Po raz kolejny poczuła coś w rodzaju zazdrości w stosunku do Hany, która doskonale umiała się odnaleźć w kuwejckiej rzeczywistości. Ona, Sara, tego nie potrafiła. Szczególnie po tym, kiedy na Sri Lance Emily zabrała dziewczyny do klubu nocnego, bo uważała, że jeżeli Hana ma niedługo studiować w Londynie, to powinna wiedzieć, jak wygląda nocne życie w krajach, które nie są tak restrykcyjne jak państwa muzułmańskie. Wiadomo, że młodzież w Wielkiej Brytanii ostro imprezowała, a o Iranach, które gdy tylko przyjechały do Europy na studia, „puszczały się na prawo i lewo”, jak mówiono, krążyły legendy.

Zabawa w klubie niewiele się różniła od tych, na które Sara i Hana chodziły w Kuwejcie, oczywiście poza tym, że na wyspie była całkowicie legalna. Dziewczyny nie musiały kręcić i stosując różne triki, wymykać się spod kurateli ojców.

Towarzystwo w rytm europejskiej i azjatyckiej muzyki tańczyło, piło i bawiło się na całego. Kobiety ubrane w krótkie spódniczki lub spodenki i w bluzki na ramiączkach albo sukienki z głęboko wyciętymi dekoltami, które pokazywały obnażone biusty, seksownymi ruchami starały się przyciągnąć uwagę mężczyzn. Azjatki pokazywały też swoje brzuchy, a kiedy były już mocno wstawione, nie stroniły od wyzywających zachowań. Europejki, które jak na warunki wyspiarskie dysponowały znaczną gotówką, taksowały wzrokiem szukających przygody i pieniędzy młodych Lankijczyków, a niektóre z nich już szalały z poznanymi wcześniej na plaży *beach boys*.

Sri Lanka jest dobrze znana jako kierunek turystyki seksualnej dla kobiet z Europy, które bez względu na wygląd czy wiek mogą spędzić cudowne chwile na rajskiej wyspie i znaleźć rozkoszne zadowolenie w ramionach przystojnych żigolaków. Z powodu biedy wielu młodych mężczyzn, już nawet w wieku osiemnastu lat, zaczyna swoją karierę jako *beach boys*, polując na szukające

seksualnych wrażeń Europejki. Ponieważ relacje te zazwyczaj trwają krótko, to mężczyźni starają się w zamian za swoje towarzystwo otrzymać jak najwięcej korzyści materialnych od zainteresowanych nimi kobiet. Do droższych prezentów mogą należeć rowery, motocykle, a czasem nawet samochody. Jeżeli kobiety nie decydują się na tak szczodre gesty, to zwykle wynagradzają swoich plażowych kochanków zakupami w postaci ubrań, butów i biżuterii lub fundują im kolacje w dobrych restauracjach, zabierają na ciekawe wycieczki albo zapraszają do spędzenia z nimi kilku dni w luksusowych hotelach. Zdarza się, że zapoczątkowana jako płatny seks znajomość przeradza się w dłuższy związek i wtedy kobiety finansują swoich kochanków przez lata, odwiedzając ich parę razy w roku.

Sara, patrząc na rozradowane białe kobiety, które adorowali uśmiechający się do nich atrakcyjni mężczyźni, miała mieszane uczucia. Z jednej strony zdawała sobie sprawę z tego, że jest to rodzaj transakcji „coś za coś”. Z drugiej strony zarówno Europejki, jak i Lankijczycy wprost tryskali szczęściem. Ich oczy błyszczały, twarze rozjaśniała nieukrywana radość, a dynamiczny taniec, namiętne pocałunki i pełne werwy i figlarności ruchy świadczyły o tym, że wszyscy mają się świetnie i spędzają naprawdę miłe, pełne niezapomnianych przeżyć chwile. Sara przypominała sobie ostro zakrapiane imprezy w nadmorskiej willi Farah, w której dokazujące do woli *boyat i ladyat* dawały się ponieść w rozpustny sposób porywom namiętności. Rozbudzone zmysły nie znały żadnych ograniczeń i prowadziły do coraz śmielszych czułości, które szybko zamieniały się w rozwiązłe orgie. Sara sama poznała siłę trudnego do poskromienia pożądania ogarniającego swym żarem całe ciało, które domagało się namiętnego dotyku i najbardziej wyrafinowanych pieścizot.

– Chodź, potańczymy trochę – Hana zaproponowała Sarze.

– Nie, może później – odmówiła Sara.

– To nasze ostatnie dni na Sri Lance. Pamiętasz, ile trudu kosztowało nas, żeby wyrwać się na party w Kuwejcie? – Hana za wszelką cenę chciała przekonać przyjaciółkę do wspólnej zabawy. – Te przebierania się w ciuchy na imprezę dopiero po wyjściu z domu, strach, żeby przypadkiem nic się nie wydało... I żeby nie było żadnego niespodziewanego nalotu policji... A tu możemy potańczyć całkiem legalnie... No, nie daj się prosić! – Hana zaczęła podrygiwać przed Sarą w rytm muzyki.

– Nie, nie mam ochoty.

– Ale Saro... – Hana pociągnęła przyjaciółkę za rękę.

– Och, daj mi spokój! – Sara z irytacją wyrwała dłoń. – Zostaw mnie! Idę się przejść!

Klub położony był tuż nad oceanem i Sara, niemalże biegnąc, ruszyła w stronę plaży.

Tym razem gwałtowna reakcja Sary dotknęła Hanę, która podzieliła się

swoimi odczuciami z mamą.

– Mamo, ja już zupełnie nie wiem, jak ja mam z nią postępować! Czasami naprawdę trudno z nią wytrzymać!

– Tłumaczyłam ci już tyle razy, że depresja...

– Ale to nawet nie o to chodzi...

– A o co?

– Sama nie wiem... Te jej dziwaczne zachowania...

– Co masz na myśli?

– Czasami jest dla mnie taka... taka nieprzyjemna! – z przykrością wyrzuciła z siebie Hana. – No nawet teraz, sama widziałas! Przyszłyśmy tu przecież po to, żeby potańczyć, a gdy ją zaprosiłam na parkiet, to gdzieś pognała jak oparzona!

Emily chwilę się zastanowiła.

– Wiesz, co ja myślę... – powiedziała poważnie.

– Co, mamo?

– Myślę, że wtedy, kiedy Sara uciekła z domu, coś istotnego się wydarzyło... Coś, z czym ona do tej pory nie może sobie poradzić. I dopóki to w niej będzie tkwiło, to nie wyjdzie z depresji.

– Ale co to może być?

– Trudno powiedzieć. Może ktoś ją w jakiś sposób skrzywdził... – Emily coś rozważała. – A ty wiesz coś więcej o tej jej ucieczce? – zapytała córki. – Gdzie Sara była? Co dokładnie robiła?

– Nie, ona nie lubi o tym mówić.

– To tylko potwierdza moją tezę, Hano – stwierdziła Emily. – Sarę coś poważnego dręczy i to jest przyczyną jej, jak to określasz, „dziwacznych zachowań”.

– Może masz rację... – przyznała Hana, ale to tylko wzmogło jej żal do przyjaciółki. Bo jeżeli Sara miała jakiś problem, to powinna się jej z tego zwierzyć, chyba na tym polega prawdziwa przyjaźń! A nie jakieś tajemnice, niedomówienia...

– I jeszcze ta jej ciągła troska o mamę, która... – Emily chciała coś dodać, ale nie mogła dokończyć, bo didżej podkręcił muzykę i powstały hałas uniemożliwił dalszą konwersację.

* * *

Po plaży przechadzały się pary, które korzystały z romantycznego tła szumiącego oceanu, chylących się w skłonach wysokich palm i prześwitującego przez chmury blasku księżyca. Sara minęła je i szybkim krokiem podążyła wzdłuż wybrzeża. Nie wiedziała, czy ucieka przed Haną, przed niekontrolowaną namiętnością, czy przed samą sobą. Chciała gdzieś dotrzeć, znaleźć się gdzieś, gdzie nie będzie ciągle poddawana ciężkim próbom, z którymi nie była w stanie się

zmierzyć. Po drodze przechodziła obok obściskujących się i całujących par, co tylko wzmagało jej nerwowe pobudzenie. Nagle tuż przed nią pojawił się dobrze zbudowany Lankijczyk, który niósł na rękach chichoczącą i piszczącą Europejkę. Mężczyzna, wśród zachwyconego chichrania się kobiety, wniósł ją wprost do fal oceanu. Parę kroków dalej Sara zobaczyła ciemne plecy tubylca i jego muskularną rękę obejmującą białą kobietę, która położyła głowę na jego ramieniu. Siedzieli tak zastygli, upajając się wspólną chwilą wśród przepięknej scenerii. Sara zatrzymała się, usiadła na piasku i zapłakała.

Po paru minutach do uszu Sary wdarły się głosy mocno już pijanych mężczyzn. Dziewczyna spojrzała w ich stronę i zobaczyła Niemca w średnim wieku i młodego Lankijczyka, którzy zataczając się, podśpiewując i wydając głośne okrzyki, przemierzali chwiejnym krokiem plażę. Oni też się doskonale bawili, tak jak większość odwiedzających Sri Lankę homoseksualistów. Wyspa znana jest z tego, że oferuje dla nich mnóstwo atrakcji, poczynając od gejowskich barów i klubów, saun i masaży, przewodników, a nawet całych hoteli. Międzynarodowe czasopisma i portale internetowe publikują listy kontaktów, dzięki którym homoseksualni turyści z Europy i reszty świata mogą sobie zapewnić za stosunkowo niską cenę wspaniałe rozrywki i miłe towarzystwo.

Niekiedy rozpoczęte dla czysto fizycznej przyjemności relacje przekształcają się w trwałe związki. Mężczyźni zapraszają swoich lankijskich partnerów na kilkutygodniowy pobyt do krajów europejskich, a później stale wspomagają finansowo. Remontują im domy, a czasem nawet budują nowe z zastrzeżeniem, że jakaś część będzie przeznaczona do ich wyłącznego użytku podczas wakacyjnego pobytu na Sri Lance. Czasami te wakacje mogą trwać nawet kilka miesięcy. Dla pochodzących z biednych rodzin Lankijczyków, których głównym zmartwieniem jest zapewnienie sobie codziennego wyżywienia, trwałe związki z mężczyznami z Europy stają się szansą na lepsze życie i to nie tylko jego samego, ale również jego bliskich. To samo dotyczy *beach boys*, którzy zabawiają Europejki. Czasami z tej męskiej prostytutki żyją całe rodziny, włączając ich żony i dzieci.

– Saro, tak daleko odeszłaś! – Emily usiadła na piasku obok dziewczyny i pograżyła się w milczeniu. Po chwili powiedziała z zadumą: – Saro... Czasami jest nam źle... bardzo źle... Ale to wszystko kiedyś rozwiewa się, ucicha... Trzeba zawsze mieć nadzieję... Nadzieję tak ogromną jak ten ocean... Poczuj jego nieprzemijający rytm...

Sara wsłuchiwała się w kojące pomruki fal oceanu. Przypomniała sobie, jak podczas ucieczki godzinami siedziała nad brzegiem morza w Kuwejcie i ogarnięta melancholią, zastygła w bezruchu, kontemplowała bezmiar wody i fascynującą grę światła.

Tyle mórz na świecie i tyle oceanów. Tyle wód. A u każdej wody człowiek.

* * *

W ostatnim dniu pobytu na Sri Lance Emily zabrała Sarę i Hanę na wycieczkę po rzece Bentota Ganga. Tym razem popłynęły motorówką w ciągu dnia, więc dziewczyny czuły się dużo bardziej bezpiecznie niż wtedy, kiedy przeprowały się nocą tratwą przez Mahaveli Ganga z nieznanymi mężczyznami.

– Saro, spójrz, krokodyl! – krzyknęła w pewnym momencie Hana.

Kilka metrów od motorówki z lekko szafirowych wód Bentota Ganga wyłaniał się jaszczurkowaty kształt ciała dużego gada. Widać było szeroką i wydłużoną głowę z wysoko osadzonymi nozdrzami i oczami oraz pokrytą łuskami, połyskującą srebrzyście grubą skórę grzbietu.

– Hano, on jest tak blisko nas! – Nietrudno było sobie wyobrazić otwartą paszczę krokodyla atakującą każdego, kto znajdzie się w pobliżu.

– Saro, kiedy sobie przypomnę nasz powrót do hotelu na tratwie, to przechodzą mi ciarki po grzbiecie. – Hana, wpatrując się w krokodyla, aż się wzdrygnęła.

– Dobrze, że skończyło się tylko na strachu – stwierdziła Sara, również nie mogąc oderwać oczu od nieruchomego gada.

Poprzedniego dnia przyjaciółki spędziły razem długi wieczór na tarasie wychodzącym z ich pokoju. Rozmawiały. Zachodziło słońce, tworząc na niebie i oceanie magiczne obrazy. Świecąca kula z jaśniejącą wokół żółtą aureolą i odchodzącymi od niej pomarańczowymi promieniami malowała na falach i nieboskłonie różowo-szafirowe refleksy. Im niżej było słońce, tym więcej rozblaskującej poświaty spowijało oceaniczne wybrzeże niezwykle, przezroczystym woalem.

– Pięknie jest – melancholijnie wyszeptała Sara.

– Cudnie – przytaknęła Hana. Starła się wyzbyć rozzalenia, które czasami ogarniało ją w stosunku do przyjaciółki. Mama ciągle jej tłumaczyła, że prawdziwe, bliskie relacje, w tym również przyjaźń, mogą czasami być gorzkie. Wymagające wyrzeczeń. Empatii. Zapomnienia o sobie. Bo tylko wtedy są autentyczne.

– Saro, jeżeli chcesz o czymś porozmawiać, to wiesz, że ja... zawsze... – zaczęła ostrożnie Hana.

– Jeszcze nie... Nie teraz... Może kiedyś... – powiedziała Sara, patrząc w dal na znikające w świetlistym welonie słońce.

– Rozumiem...

Nie zawsze wszystko jest proste i łatwe. W przyjaźni, miłości, życiu. Ale zawsze powinniśmy się starać, żeby niepotrzebnie nie komplikować tych aspektów spraw lub relacji, na które mamy wpływ.

Motorówka ominęła krokodyla i sunęła szerokimi wodami ujścia Bentota Ganga, na której brzegach rozciągały się lasy mangrowe. Rosnące w nich bujne

drzewa i krzewy w czasie odpływu odsłaniały sieć szczudłowatych korzeni, tworząc wraz z pnączami i lianami niesamowitą scenerię pełną tajemniczości i baśniowości. Motorówka wolno wpłynęła do ogarniętego półmrokiem przybrzeżnego zakątka, gdzie egzotyczna flora uformowała coś w rodzaju wielkiego, przepuszczającego światło baldachimu. Splątana i nieforemna, mistycznie odbijająca się w wodzie roślinność, przez którą czasami trudno było się przebić, przywoływała na myśl wspaniałą scenografię do filmu grozy. Hana i Sara niemalże wstrzymały oddechy, podziwiając mistrzowskie, pełne tajemnych obrazów dzieło natury.

Z półcieni, cieni i mroku motorówka ponownie wypłynęła na otwarte wody Bentota Ganga. Towarzyszący kierującemu motorówką Lankijczyk zrobił dla Emily i dziewcząt naturalne naszyjniki, w których duża, wodna lilia, z żółtym środkiem i licznymi białymi, nachodzącymi na siebie rozwiniętymi płatkami, spełniała rolę medalionu. Emily, Hana i Sara uśmiechnęły się do wiszących na ich piersiach kwiatów, do niebieskości rzeki i nieba, do zieloności lasów. Motorówka nadal płynęła wolno i dziewczyny mogły napawać się widokiem sporej wielkości okrągłych, jasnozielonych, lekko postrzępionych na brzegach liści, spośród których wystawały rozkwitające białe lilie wodne. Pokrywały one znaczny obszar rzeki tuż przy jej brzegu, gdzie dzika fauna – wśród niej dziesiątki gatunków pięknych ptaków, takich jak czaple, kormorany i kolorowe zimorodki – wzbogacała niezwykle wrażenia z tego wodnego safari.

Przewodnicy wypatrywali na brzegu masywnego prehistorycznego gada, który również miał tam swoje siedliska – warana paskowanego. Jest to jeden z największych żyjących obecnie na świecie jaszczurów, a najdłuższego osobnika, długości trzech metrów i dwudziestu jeden centymetrów, znaleziono właśnie na Sri Lance. Można go zobaczyć biegnącego szybko na mocnych, umięśnionych nogach zakończonych dużymi pazurami, pływającego w wodzie, wspinającego się na drzewo albo spacerującego lub siedzącego na brzegu rzeki. Niejednokrotnie, opierając się o swoje przednie kończyny, wyciąga wydłużoną szyję i wąską głowę, po czym, posługując się długim, rozwidlonym na końcu językiem, tropi swoje ofiary: ptaki, małe ssaki, jaszczurki, węże, żaby, żółwie, a nawet wiewiórki i małpy.

Lankijczykom nie udało się dostrzec i pokazać Emily oraz dziewczętom jaszczura, ale w zamian za to zawieźli je w miejsce, gdzie można było zobaczyć małe krokodyle. Dziewczyny z pewnym wahaniem brały do rąk wijące się maluchy długości kilkudziesięciu centymetrów, otwierające paszcze i szczerzące zęby, a następnie robiły sobie z nimi fotki, śmiejąc się od ucha do ucha. Później to były ulubione fotografie Sary z tej wyprawy.

W pewnym momencie przewodnicy skierowali motorówkę w stronę zalesionego brzegu, a potem poprosili Emily i dziewczęta, żeby zeszły na ląd. Tam

od razu przyjmujący turystów Lankijczyk, obwiązany tylko w pasie sięgającym ziemi kraciastym sarongiem, przywitał je orzeźwiająco wodą kokosową, którą piły przez rurkę wprost z otwartego przy nich młodego owocu kokosa. Później w ich włosy zostały wpięte przepiękne kwiaty hibiskusa z pięcioma dużymi aksamitnymi płatkami w kolorze intensywnej czerwieni. Wkoło rosło dużo egzotycznych drzew i krzewów, których nazw dziewczyny nawet nie znały. Ich ogromne, zazwyczaj podłużne, mięsiste liście i niezwykle kolorowe kwiaty o wymyślnych kształtach stanowiły wspaniałe tło do następnych zdjęć.

– Saro, chodź tutaj! – Hana zawołała przyjaciółkę. – Zrób mi tu fotkę, tylko tak, żeby było widać te ciekawe kwiaty. – Hana wskazała niski krzew, z którego zieleni wychylały się białe kwiaty o cieniutkich, spływających do ziemi długich płatkach, osadzone na kilku szypułkach wyrastających z paru dość grubych łodyg.

– Dobrze. – Sara podeszła do Hany i pstryknęła kilka zdjęć.

– Na pewno ujęłaś cały krzew? – chciała wiedzieć Hana.

– Tak, wszystko jest – zapewniła Sara. – A teraz ty chodź ze mną. – Sara przeszła kilka kroków. – Ja chcę zdjęcie tu. – Stała przy żółtych kwiatach, które widziane z oddali przypominały zwrócone w stronę słońca otwarte dłonie z wyraźnie widocznymi, rozczapierzonymi palcami.

– O, jest już – powiedziała Hana. – A teraz ja. – Przynęła się bliżej kwiatów.

– Zrobione! – zapewniła Sara i rozejrzała się wokoło. – Zobacz, Hano, jeszcze tamten krzew jest niezwykle malowniczy. Następna fotka do naszej supersesji najlepszych modelek! – zażartowała pierwszy raz od dłuższego czasu, przyjmując przy tym wyszukane pozy przy nieco przewyższającym ją, rozłożystym krzaku obsypanym gdzieś jak delikatną biżuterią sznurami rubinowych kwiatów.

Do robiących zdjęcia dziewcząt podszedł Lankijczyk w sarongu i gestem pokazał, żeby poszły za nim. Następnie zaprezentował im charakterystyczne dla tego regionu rośliny, z których uzyskuje się powszechnie stosowane przyprawy. Przyjaciółki zobaczyły korę cynamonowca, owoce muskatołowca, strączki wanilii, pąki goździkowca i nasienie owocu pieprzu czarnego. Za każdym razem Lankijczyk brał w dłonie kawałek rośliny i rozcierał go w palcach, więc dziewczyny mogły poczuć bardzo intensywne, dobrze znane aromaty. Chodząc od rośliny do rośliny, Lankijczyk zatrzymał się też przy wysokim drzewie kakaowca, którego owalne owoce wyrastały wprost z pnia lub starych gałęzi, a następnie przy bananowcu z wyjątkowo wielkimi liśćmi i licznymi kiściami zielonych bananów oraz ananasie, którego owoc, zakończony gęstym pióropuszem i rozwinięty na jasnozielonej, grubszej łodydze rosnącej prostopadle prawie tuż nad ziemią, sprawiał niezwykle wrażenie.

Potem przyszła pora na prezentację zółwi w małym brodziku, wyjątkowo

dużego kraba, jeżozwierza z długimi czarnymi igłami zabarwionymi na końcach na białą oraz szybko przemieszczających się w gęstwinie korzeni, lian i pnączy jaszczurek. Na sam koniec Lankijczyk zaprosił Emily i dziewczęta do niewielkiego sklepiku zapelnionego po brzegi wyrobami rzemiosła artystycznego.

– O, jesteście. Rozejrzyjcie się, może znajdziecie coś ciekawego dla siebie – powiedziała Emily, która dotarła tam już wcześniej. – Ja wybrałam taką oto filiżankę! – Z zadowoleniem podniosła do góry trzymane w rękach, wraz ze spodeczkiem, misternie wykonane naczynie. – Wyobraźcie sobie, że ona jest zrobiona ze skorupy orzecha kokosowego! Aż trudno uwierzyć! Mają tu całą kolekcję, spójrzcie tylko!

Na drewnianym stole, przy ażurowej ścianie wykonanej z cienkich zeschniętych gałązek, przez którą przeświecały promienie słoneczne i widać było las, stało kilkanaście ciemnobrązowych, z przebijającymi jaśniejszymi smugami, filiżanek na spodeczkach.

– Bardzo oryginalne – wyraziła swoje zdanie Sara.

– I są tu jeszcze inne wyroby – dodała Hana. – Do czego to może służyć? – Podniosła owalne naczynie z przykrywką, do której była przyczepiona łyżka zrobiona z tego samego materiału.

– Może do spożywania z niej zupy kokosowej? – zasugerowała Emily.

– Bardzo możliwe. A to? – Hana wskazała na naczynie w kształcie małej wazy.

– Myślę, że tego można użyć jako doniczki lub wazonu. – Sara przyłączyła się do rozmowy.

– Masz rację – zgodziła się Hana. – Kwiaty wyglądałyby w tym bardzo ładnie.

Na podłodze koło stołu, w dość sporej kupce, ułożono owalne kokosy pokryte grubą warstwą jasnobrązowych włókien – żeby nie było żadnych wątpliwości co do tego, z czego wykonano rzemieślnicze dzieła. Obok kokosów stał średniej wielkości słoń z otwartym pyskiem oraz wysoko podniesioną do góry i wywiniętą długą trąbą.

– Ten słoń też wygląda wspaniale. – Hana nadal oglądała wystawione na sprzedaż towary.

– Wykonany jest z czarnego hebanu – powiedziała Emily. – Wyjątkowo piękne drewno.

– A te figurki? – Hana pokazała ustawione na półkach wizerunki bóstw hinduskich w kolorze brązu lekko wpadającego w czerwień.

– Do ich wyrzeźbienia wykorzystano mahoń. – Emily była znakomicie poinformowana. – A wiecie, z jakiego drewna zrobione są te maski?

Wokół wyeksponowane były również doskonale już znane dziewczętom maski przeciwko złu.

– Nie mam pojęcia – stwierdziła Hana. – A ty wiesz? – zapytała Sary.
– Nie – odpowiedziała Sara.
– Z balsy, bardzo miękkiego i elastycznego drewna. W dodatku należy ono do najbardziej lekkich i kruchych – wytłumaczyła Emily.
– Skąd ty to wiesz, mamó? – zapytała Hana.
– Nie pamiętasz? – zdziwiła się Emily. – Przecież kiedy rok temu kupowałyśmy maskę dla ciebie, Hano, to sprzedawca szczegółowo nam ją opisał i wszystko wyjaśnił.

– Prawdę mówiąc, zupełnie sobie tego nie przypominam – oznajmiła Hana.

Emily z dziewczętami pochodziły jeszcze chwilę po sklepie, a po uiszczeniu należności za wybrane pamiątki wsiadły na motorówkę i udały się do hotelu.

Ten postój, tak samo jak i safari na Bentota Ganga, był typową lokalną atrakcją oferowaną licznie tu przybywającym turystom. Jednak ze względu na bezpośredni kontakt z dziką naturą, owiane tajemniczością wodne tunele lasów mangrowych i zapierającą dech w piersiach swoją niepowtarzalnością, precudowną podzwrotnikową faunę i florę, warto z niej było skorzystać.

Późnym wieczorem Emily zaprosiła dziewczęta na kolację do ekskluzywnej restauracji położonej na zewnątrz, prawie tuż nad brzegiem oceanu. Serwowano w niej ryby i owoce morza, które klienci mogli sobie sami wybrać z kilku znajdujących się w niej podświetlanych akwariów. Przy stoliku panowała natomiast prawie całkowita ciemność, gdyż jedynym światłem była niewielka biała świeczka umieszczona w ozdobnym szklanym świeczniku. Jedzenie podawano na białej zastawie, w której urokliwie odbijał się fragmentami płomień palącej się świeczki. Ten spowijający otoczenie czarnym płaszczem mrok sprawiał, że szum oceanu wydawał się dużo bardziej słyszalny i wyraźny. Ogromne wody mruczały rytmicznie, dopełniając swą nieokiełznaną mocą niezapomniany czar niepowtarzalnej tropikalnej nocy.

Panująca ciemność ośmieliła Sarę do wypowiedzenia paru szczerych słów.

– Ja... Ja chciałam wam bardzo podziękować, że mnie zabrałyście ze sobą w tę podróż... Zobaczyłam mnóstwo zupełnie dla mnie nowych rzeczy... wiele się dowiedziałam...

– Ach, Saro, nie ma za co dziękować. Cała przyjemność po naszej stronie – ciepło powiedziała Emily.

– No, nie do końca... To znaczy... – Głos Sary lekko zadrżał. – Ja przepraszam... Ja wiem, że nie zawsze byłam...

– Saro, w tym momencie to nie ma żadnego znaczenia. Jeżeli pobyt tutaj w jakimkolwiek stopniu, chociaż najmniejszym, i w jakimkolwiek sposób ci pomógł, to ja się z tego tylko bardzo cieszę – z przekonaniem stwierdziła Emily.

– Tak, na pewno... – Sara musiała przyznać, że mimo przeżywanych wielu rozterek, podróż w tropiki przyniosła jej chociaż krótkie momenty chwilowego

ukojenia i otworzyła ją na wiele nieznanych jej wcześniej światów. – Te buddyjskie świątynie... ludzie... przyroda... Tylko ja nie zawsze mogłam... umiałam...

– Nie jesteśmy zaprogramowanymi robotami... – Emily zawsze starała się jak najbardziej zrozumieć innych. – Jesteśmy ludźmi... którzy czują... przeżywają... i mają prawo do chwil słabości...

– Mają prawo... – cicho powtórzyła Sara, odnosząc wrażenie, że te słowa choć trochę usprawiedliwiają jej nie zawsze odpowiednie zachowanie.

– Każdy z nas przeżywa w życiu jakieś trudne momenty. – Emily doceniała to, że Sara potrafiła się zdobyć na poważną rozmowę. – I wtedy istotne jest, żeby był z nami ktoś bliski... ktoś, kto wysłucha, wspomocze... Więc jeżeli masz ochotę, to możesz z nami jechać na resztę wakacji do Londynu. Z tego, co zrozumiałam, twoi rodzice nie wrócą tak szybko z rejsu.

– Raczej nie...

– No właśnie... A nasz dom w Londynie jest zawsze dla ciebie otwarty. Prawda, Hano?

– Tak, oczywiście – zapewniła Hana. – Jeżeli, Saro, tylko zechcesz...

– Dziękuję... bardzo dziękuję... Pomyślę o tym... – Sara była wdzięczna przyjaciółce i jej mamie, że tak bardzo się o nią troszczyły.

* * *

W drodze powrotnej z Kolombo do Kuwejtu Emily z dziewczynami zatrzymały się na parę dni w Dubaju. Tym razem cała trójka zamieszkała w komfortowym apartamencie, należącym do rodziców Hany, z olbrzymim salonem, trzema obszernymi sypialniami oraz imponującym widokiem na najwyższy budynek świata Burdż Chalifa i znajdującymi się tuż koło niego tańczącymi fontannami.

– Wspaniałe miejsce – pochwaliła Sara, patrząc przez szklaną ścianę na imponującą, strzelistą architekturę nowoczesnego Dubaju.

– Tak, ja też lubię nasz apartament. Jest wygodny i dobrze zlokalizowany. – Hana nalała soku pomarańczowego do szklanki i podała Sarze. – Proszę!

– Nie, dziękuję.

– Ale wydaje mi się, że wasza rodzina również posiada w Dubaju apartament, prawda? – Hana napiła się soku i odstawiła szklankę.

– Posiadała – sprostowała Sara.

– To znaczy, że już go nie macie?

– Nie, ojciec go sprzedał, bo chciał kupić willę na Wyspie Palmie.

– I...

– W końcu go nie kupił, bo mama nie chciała.

– Dlaczego? To bardzo dobra lokalizacja. Koleżanka mojej mamy tam mieszka i często u niej bywałyśmy. Ten dom, a raczej pałac, jest wspaniały. Ma

chyba z osiemset metrów kwadratowych, sześć sypialni, w tym prawie wszystkie z łazienkami, duży basen, a zaraz przy nim prywatną plażę... Koleżanka mamy zawsze podkreśla, że świetnie jej się tam mieszka.

– Dużo ludzi tak mówi – potwierdziła Sara. – I ojciec był już zdecydowany na kupno czegoś dużego dla całej naszej rodziny na Wyspie Palmie, ale mama się uparła, że chce mieć podwodną willę.

– Też fajnie. Mieszkać w żywym, kolorowym podwodnym świecie... Pełnym wspaniałych stworzeń morskich... Bajka... – Hana się rozmarzyła.

– Tak, ale ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć... A mama się uparła... Jak oni się o to kłócili... – Sara wciąż pamiętała wrzaski rodziców roznoszące się po całej rezydencji. – A później pojawiła się ta... Ta obrzydliwa, wredna Lara... – na samo wspomnienie drugiej żony ojca Sarę przeszedł zimny dreszcz grozy, dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy Lara posłała jej mordercze spojrzenie, mówiąc wzrokiem „Już nie żyjesz!”.

– Na szczęście to już przeszłość – szybko powiedziała Hana.

– Mam nadzieję... – Sara nie była całkiem pewna co do tego, czy rodzicom uda się w pełni wrócić do normalnego rodzinnego życia.

– A teraz... Po Larze... Jak im się układa? – zapytała Hana.

– Myślę, że mama nie do końca to wszystko ojcu wybaczyła. Słyszałam, jak mu nieraz wypominała tę drugą żonę... – Sara od razu posmutniała.

– Nie martw się na zapas. Skoro wypłynęli razem w rejs, to pewnie po to, żeby sobie to wszystko jakoś na nowo poukładać. – Hana starała się pocieszyć przyjaciółkę.

– Pewnie tak... A wiesz co? – Sara wpadła nagle na pomysł. – Zadzwoń do cioci Angeliki. W końcu jeśli już jestem w Dubaju, to wypada mi się do niej odezwać. Tyle nam pomogła w najtrudniejszych chwilach...

– Myślę, że to świetny pomysł. – Hana poparła Sarę. – I powiedz jej, że twoja mama jeszcze nie zdołała wymazać z pamięci wszystkich przykrości, które ją spotkały ze strony ojca. Na pewno ciocia Angelika coś na to poradzi.

– Tak zrobię. – Sara sięgnęła po telefon i wystukała numer Angeliki.

Czekała dłuższą chwilę, ale nikt nie odbierał.

– I co? – Hana wpatrywała się w napiętą twarz przyjaciółki.

– Nie odpowiada. Albo jest w tym momencie zajęta, albo nie ma jej w Emiratach. Są wakacje, mogła wyjechać do Stanów, gdzie studiują jej dzieci.

– To nic, kiedy zobaczy twój numer, to oddzwoni.

– Zobaczymy...

– A ty też spróbuj się z nią jeszcze raz skontaktować.

– Dobrze. – Sara odłożyła telefon i od razu ogarnęło ją wielkie przygnębienie. Wspomnienie cioci Angeliki dotkliwie przywołało tę straszną chwilę, kiedy poczuła, że ciężar tego, co się dzieje w rezydencji, jest za wielki jak

na jej młode barki.

– Saro... Nie myśl już o tym... To minęło... To przeszłość... – Hana doskonale wyczuła czarne myśli przyjaciółki. – Nie możesz tak się ciągle zadreć. Teraz jest czas, żeby zacząć myśleć o sobie.

Sara milczała, ale jej posępny wzrok mówił sam za siebie.

– Chodź, wyjdziemy gdzieś. – Hana już wiedziała, że beczynność tylko pogłębia depresję przyjaciółki. – W końcu jesteśmy w Dubaju, mieście snów. Tu ciągle się coś ciekawego dzieje.

– A gdzie chcesz iść? – Sara spytała bez entuzjazmu.

– Gdziekolwiek... Chodźmy do Mall of the Emirates, a potem obejrzymy pokaz tańczących fontann. Bez względu na to, ile razy się je ogląda, zawsze robią duże wrażenie.

– Jak chcesz. – Z poczucia wdzięczności dla przyjaciółki Sara się zgodziła.

Dubaj jak zwykle był pełen turystów z różnych stron świata, tętnił życiem i oszałamiał wszechobecnym bogactwem oraz coraz to bardziej zaskakującymi bryłami architektonicznymi. Jednym z najnowszych ogłoszonych niedawno spektakularnych projektów była budowa Alladin City, Miasta Alladyna, którego ukończenie przewidziano na rok dwa tysiące osiemnasty. To zainspirowane Alladynem i Sindbadem – postaciami z *Baśni tysiąca i jednej nocy* – zbudowane na wodzie miasto ma się składać z trzech złotych wież w kształcie baśniowych lamp, połączonych klimatyzowanymi mostami dla pieszych przypominającymi wyglądem smoki i jaszczurki. Najwyższa z wież ma mieć trzydzieści cztery piętra, zaś pozostałe dwie – dwadzieścia pięć i dwadzieścia sześć pięter. Na powierzchni w sumie ponad stu tysięcy metrów kwadratowych zaprojektowano restauracje, sklepy, biura i hotele. Pomyślano również o parkingu, który pomieści ponad dziewięćset samochodów.

Inną niezwykłą, aktualnie wznoszoną budowlą jest Rama Dubaju, The Dubai Frame. Tworzy ją prostokątna struktura składająca się z dwóch wież wysokości stu pięćdziesięciu metrów połączonych stumetrowym mostem, z którego można będzie podziwiać panoramę miasta. Całość ma mieć wygląd ramy do obrazu. I tym obrazem, w zależności od tego, z której strony będzie się patrzeć, ma być stary lub nowy Dubaj. To jest ukłon w stronę jednego z najszybciej rozwijających się miast świata. Na parterze jednej z wież zaplanowano również muzeum, w którym można będzie prześledzić błyskawiczną transformację Dubaju z małej rybackiej wioski w światową metropolię.

Dubaj, którym zachwycają się tysiące międzynarodowych turystów, nie robił na Sarze aż tak wielkiego wrażenia. Wynikało to może z tego, że kiedy była mała, wielokrotnie przyjeżdżała do niego z rodzicami, a może z tego, że bogactwo miała również na co dzień w Kuwejcie.

Sara nie doczekała się telefonu od Angeliki, więc do domu wracała

w kiepskim nastroju. Siedziała w sali odlotów z kartą pokładową w ręce i zastanawiała się, czy przyjąć zaproszenie przyjaciółki i pojechać z nią do Londynu. Nie chciała spędzać reszty wakacji w Kuwejcie, ale z drugiej strony obawiała się, że mieszkanie w jednym pokoju z Haną znowu może ją postawić w niezręcznej sytuacji. Na decyzję nie miała dużo czasu, bo Hana z mamą wyjeżdżały już niedługo. Musiałaby też zapytać o zgodę ojca...

Rozważania Sary przerwało obwieszczenie z głośników, najpierw w języku angielskim, a później arabskim, proszące pasażerów klasy pierwszej i biznes na pokład samolotu. I wtedy Sara ich zobaczyła. Dziesiątki kobiet i mężczyzn z Indii i Sri Lanki, którzy zerwali się z miejsc i karnie stanęli w kolejce do wejścia do samolotu. Siedzący Kuwejczycy patrzyli na nich kpiąco i z ironią się uśmiechali. Ci ubodzy ludzie, nieznający ani angielskiego, ani arabskiego, myśleli, że to ich wzywa do samolotu donośny głos. Jechali na służbę. Do zupełnie obcego im kraju, do obcych im ludzi. Sara przypomniała sobie słowa Manisy: „Moja córka jest szczęśliwa”. Jechali, aby pracować jak niewolnicy, po to, aby kiedyś powiedzieć: „Moja rodzina jest szczęśliwa”. I ci ludzie, kosztem niekończącej się rozłąki ze swoimi bliskimi oraz bezwarunkowego podporządkowania się pracodawcom, obsługiwali wspaniałe rezydencje i pałace w krajach Zatoki oraz budowali, dosłownie własnymi rękoma, architektoniczne cuda.

A później, już w Kuwejcie, Sara dostrzegła coś, co jeszcze bardziej ją poruszyło. Wypatrując swojego bagażu, zauważyła, obok ekskluzywnych, dużych waliz znanych firm, niewielkie, niezgrabne tobołki, których wyszukiwali wzrokiem służący, po czym zabierali je i przyciskali do piersi jak największy skarb. Było to ich parę marnych ubrań, zwiniętych, pokrytych byle jaką folią i zawiązanych sznurkiem. To był ich cały dobytek, który zabrali ze sobą na kilkuletnią służbę.

Stojący obok Sary Kuwejczycy wskazywali czekającym bagażowym, pochodzącym głównie z Indii lub Sri Lanki, swoje wielkie walizy, aby ci załadowali je na wózki, po czym zawieźli je do ich samochodów. Ona sama zaś nie mogła oderwać oczu od poruszającej się taśmy z bagażami pełnej nędznych, nieforemnych tobołków. Te tobołki zobaczyła pierwszy raz.

* * *

Widzimy tylko to, co chcemy widzieć, albo to, co nam narzucają, żeby widzieć. O Europejczykach, którzy regularnie w biednych krajach wykorzystują dzieci w celu zaspokojenia swoich seksualnych żądz, niewiele się mówi na arenie międzynarodowej. I znów bogaty ma rację, chociaż to bogactwo nie jest aż tak wielkie i jest bardzo relatywne. Na Sri Lance można mieć dziecko do swojej całkowitej dyspozycji za zaledwie dwieście pięćdziesiąt rupii, co wynosi trochę ponad półtora dolara. Dzieci te w wielu przypadkach nie chodzą do szkoły, gdyż muszą pracować. Ten seksualny wyzysk trwa od dawna, a w ostatnich latach

wyraźnie się zintensyfikował. Raporty podają, że Sri Lanka jest, obok Tajlandii, jednym z krajów o najwyższym stopniu eksploatacji dzieci w seksturystyce i pornografii dziecięcej. Uważa się, że około czterdziestu tysięcy nieletnich prostytuuje się i dotyczy to przede wszystkim małych chłopców w wieku od siedmiu do piętnastu lat. Swoich klientów znajdują zazwyczaj na malowniczych plażach, niekiedy zaś sutenerzy oferują dzieci w slumsach, różnych miejskich zaułkach, lichych pokoikach lub sklepikach jako towar na sprzedaż. Niewolnictwo seksualne oparte na ogromnej krzywdzie dzieci z roku na rok szerzy się na coraz większą skalę. Władze Sri Lanki, dostrzegając narastający problem, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku zmodyfikowały prawo karne, które aktualnie mówi, że seks z nieletnimi poniżej szesnastego roku życia będzie sądzony jak gwałt lub jako nienaturalny akt seksualny i poważne nadużycie. Następnie ustanowiono karę dla przestępców wykorzystujących dzieci do dwudziestu lat więzienia. Jednak nie na wiele to się zdało. Porażające dane informują, że tylko w jednym roku zgłoszono ponad półtora tysiąca seksualnych przestępstw, z których ani jedno (!) nie zostało ukarane. Mężczyźni z Niemiec, Wielkiej Brytanii, Szwecji i innych krajów europejskich, *boymen*, jak ich lokalnie nazywają, nadal odnajdują na Sri Lance swój pedofilski raj.

Niektórzy Europejczycy osiedlają się na wyspie, zakładają biznesy obok biednych wiosek i bezkarnie wykorzystują mieszkające tam dzieci do zaspokajania swoich chorych seksualnych fantazji. Odurzają małych chłopców narkotykami i zmuszają do seksu grupowego lub innych dewiacyjnych praktyk. Zdarza się, że podczas uprawiania seksu przez dzieci robią im pornograficzne zdjęcia lub kręcą firmy porno, które później sprzedają na międzynarodowym rynku pedofilskim. Niekiedy małe dzieci, po uprawianiu ostrego seksu z dorosłymi, trafiają do szpitala w wyniku licznych obrażeń. Policja jest skorumpowana, więc przemyka oko na te i wiele innych seksualnych przestępstw. Za pieniądze, również te europejskie, można kupić wszystko.

No, może prawie wszystko. Sara miała bardzo bogatego ojca, ale nie była szczęśliwa. Po powrocie ze Sri Lanki zupełnie nie wiedziała, jak spędzić resztę wakacji. Nie chciała zostawać w Kuwejcie, który wydawał jej się ostatnio coraz bardziej restrykcyjny. Zauważyła na przykład, że w supermarketach, a nawet na lotnisku, nie było angielskojęzycznych czasopism sprowadzanych z zagranicy, które wcześniej można tam było bez problemu kupić, wybierając z szerokiej gamy tytułów.

* * *

Sara wstała z łóżka i przeszła się po swoim pokoju. Usiadła przy biurku i wzięła do ręki leżący na blacie telefon. Bezmyślnie zaczęła przeglądać portale plotkarskie i informacyjne. Przeczytała, że w Arabii Saudyjskiej aresztowano grupę

młodych ludzi za udział w party, na którym tańczyli i pili alkohol. W Arabii Saudyjskiej, podobnie jak w Kuwejcie, obowiązywała całkowita prohibicja oraz zakaz przebywania razem osób odmiennej płci, jeżeli nie były związane ze sobą więzami krwi lub małżeńskimi. Sara dowiedziała się, że w sieci pojawił się niespełna pięćdziesięciosekundowy film z organizowanej w Dżuddzie imprezy, na którym widać było kobiety ubrane w krótkie szorty oraz w kuse i dopasowane bluzeczki i spódniczki, seksownie tańczące z mężczyznami. Sara obejrzała ten film. Jedną ze zwykłych imprez, które legalnie organizowane są prawie we wszystkich krajach świata, na Sri Lance, w Wielkiej Brytanii, Ameryce czy gdziekolwiek indziej. Ale w Arabii Saudyjskiej takie party traktowane są jako przestępstwo przeciwko obowiązującemu prawu muzułmańskiemu, i jeżeli policja obyczajowa złapie ich uczestników, to grożą im ciężkie kary. Tak się stało w przypadku kilku kobiet i mężczyzn po donosie sąsiada, że w nadmorskiej willi odbywa się party. Aresztowani dostali karę trzystu batów publicznej chłosty i rok więzienia.

Tym razem uwagę stróżów moralności przykuł rozpowszechniony w sieci film. Impreza odbywała się na tarasie jednego z apartamentów i na podstawie widocznego w tle najwyższego na świecie masztu flagowego policjanci łatwo zlokalizowali jego położenie. Członkowie Komitetu Krzewienia Cnót i Zapobiegania Złu aresztowali jego właściciela za „głośną muzykę i nieprzyzwoite tańce”, po czym oddali go w ręce prokuratora. Zostały podjęte również działania w celu aresztowania pozostałych uczestników party.

W Arabii Saudyjskiej restrykcyjne reguły prawa muzułmańskiego obowiązują nie tylko Saudyjczyków, ale również przebywających w tym kraju cudzoziemców. Parę lat temu głośna była sprawa siedemdziesięcioletniego Brytyjczyka, który po dwudziestu latach pracy w Arabii Saudyjskiej w sektorze naftowym został aresztowany i skazany na publiczną chłostę w postaci trzystu siedemdziesięciu ośmiu batów za to, że w jego samochodzie znaleziono wino domowej roboty. Mężczyzna spędził ponad rok w saudyjskim więzieniu i tylko dzięki intensywnej kampanii jego dzieci oraz zaangażowaniu najwyższych brytyjskich władz państwowych został zwolniony i odstąpiono od wymierzenia kary chłosty. Występujący w jego obronie argumentowali, że starszy mężczyzna walczy z rakiem i jest chory na astmę, więc tak surowa kara kilkuset batów może go zabić.

Sara przypomniała sobie historię, która przydarzyła się jej koleżance ze szkoły niedługo przed wakacjami. Osiemnastolatka umówiła się ze swoim kolegą wieczorem w parku. Młodzi darzyli się dużą sympatią, więc w pewnym momencie chłopak objął dziewczynę. I wtedy nagle, nie wiadomo skąd, pojawili się przed nimi policjanci, którzy zaczęli wrzeszczeć i zarzucać im niemoralne zachowanie. Zabrali ich na komisariat, po czym, krzycząc na nich i obrażając, zadzwonili po ich ojców. Upłynęło sporo czasu do momentu, kiedy ojcowie się pojawili, a w tym

czasie młodzi poddawani byli szczegółowemu przepytaniu co do charakteru stosunków ich łączących. Przesłuchujący kładli przede wszystkim nacisk na fizyczną stronę ich relacji, co było wyjątkowo upokarzające i stresujące. Młodzi zostali zwolnieni i oddani pod opiekę swoich ojców dopiero wtedy, kiedy ci zapewnili, że podejmą w tej sprawie odpowiednie kroki w stosunku do swoich dzieci. Ojciec dziewczyny dostał wszystkie dane ojca chłopaka, wraz z jego miejscem pracy, aby mógł sam interweniować w razie konieczności.

Kiedy Sara pomyślała o tym, co musiała przeżywać jej koleżanka pod ostrzałem nieprzyjemnych zarzutów kilku policjantów tylko dlatego, że spotkała się ze swoim kolegą, to aż nią wstrząsnęło. Poczula, że ten świat nie jest dla niej. Potrzebowała wolności.

Do pokoju pogrążonej w rozmyślaniach Sary weszła Fatma.

– Dzwoni mama. Chce z tobą rozmawiać. – Fatma podała Sarze słuchawkę.

– Aż dziw, że sobie o nas przypomniała – z przekąsem zauważyła Sara. –

Halo!

– Saro! – Głos matki był lekko podniesiony, z czego Sara wywnioskowała, że jest już po swoim, kiedyś zwyczajowym, drinku. – Saro, córeczko, jak tam po wyjeździe? Jak ci się podobała Sri Lanka?

– Bardzo mi się podobała. A co u ciebie? Jak z ojcem? Wszystko dobrze?

– Dobrze! Dobrze! Świetnie po prostu! – Trudno było wyczuć, czy matka mówi prawdę, czy nie. – My tu sobie z ojcem jeszcze trochę popływamy, a wy...

– Mamo... – przerwała jej Sara.

– Z ojcem jest bardzo dobrze – powtórzyła Joanna i nie wiadomo było, czy chce o tym przekonać bardziej swoją córkę, czy siebie samą. – Bawimy się, wypoczywamy, a czasem schodzimy na ląd i zwiedzamy...

– Mamo, posłuchaj mnie! – powiedziała Sara podniesionym głosem.

– Saro! Czemu tak krzyczysz? – zapytała zdziwiona Joanna.

– Bo ja chcę stąd wyjechać! Nie będę tu siedziała całe wakacje!

– Przecież dopiero co wróciłaś ze Sri Lanki.

– Ale wakacje jeszcze się nie skończyły! I są długie! Nie będę tu siedziała w tym upale!

I w tych ograniczeniach! – dodała w myśli Sara.

– Fatma całe wakacje zostanie w Kuwejcie i jakoś nie narzeka – zauważyła z lekką irytacją Joanna.

– Fatma, Fatma! Fatma to co innego! – wyrzuciła z siebie ze złością Sara.

Jeśli jej dobrze w tym więzieniu, to niech sobie tu siedzi! – pomyślała.

– Saro...

– Mamo! Ja muszę stąd wyjechać! – Sara powiedziała to z taką determinacją, że znając swoją córkę, Joanna wiedziała, że i tak dopnie swego, nie zważając na to, co ona mówi.

- Dobrze, Saro, to w takim razie jedź do Londynu, tam jest Nadir i....
- Nie pojadę do żadnego Londynu! – zaproponowała Sara, bo już sobie wyobraziła Nadira pełniącego rolę jej strażnika.
- To gdzie chcesz jechać? – Joanna była już dobrze zezłoszczona. – Przecież wiesz dobrze, że ojciec cię nigdzie samej nie puści.
- To mogę jechać do Polski! – Nagle przyszło Sarze do głowy.
- Do Polski? Mówiłam ci przecież, że ojciec nie pozwoli ci jechać samej.
- To pojadę do wujka!
- Jakiego wujka?
- Do wujka Andrzeja. Nie pamiętasz już, że masz brata?!
- Do Andrzeja? – Joannę wyraźnie zaskoczył pomysł Sary. – Całe wieki z nim nie rozmawiałam.
- To porozmawiasz! I tak stąd wyjadę bez względu na to, czy mi pozwolicie, czy nie! – wykrzyczała buńczucznie Sara.
- Sara chciała jechać do Polski, o której tak naprawdę niewiele wiedziała.

Rozdział IV

Niespodziewana podróż

Polska latem podobała się Sarze, aczkolwiek w upalne dni brakowało jej w domu wujka Andrzeja klimatyzacji. Ciocia Agnieszka, bardzo pogodna kobieta, nie mogła tego zrozumieć i serdecznie się z Sary podśmiewała.

– Saro, dziecko, przecież u was jest teraz pięćdziesiąt stopni! A tutaj ledwie dochodzi do trzydziestu! To o jakim upale ty mówisz!

– Ale u nas, ciociu, wszędzie jest klimatyzacja, więc tej temperatury w ogóle się nie odczuwa.

– A ten wiatrak, który Jędrus kupił i zaniósł do twojego pokoju, nic ci nie pomaga? Nie jest ci chłodniej?

– Jest, ciociu, jest, dziękuję.

Wujostwo od samego początku przyjęli Sarę niezwykle życzliwie. Pierwszego dnia zgotowali jej wielkie przyjęcie, w którym uczestniczył ich dorosły już syn Marek z żoną i dwójką małych dzieci. Wszyscy dopytywali się o Joannę, Alego, Fatmę oraz Nadira i Sara czuła się trochę niezręcznie, bo zorientowała się, że wujek i jego najbliżsi nic nie wiedzą o kryzysie, który dopadł ich rodzinę w Kuwejcie.

– Opowiedz nam o mamie, tak dawno jej nie widziałem. – Widać było, że wujek Andrzej, jedyny brat mamy, stęsknił się za siostrą. – Jeszcze dopóki żyli nasi rodzice, to Asia częściej przyjeżdżała. A ty, Saro, pamiętasz, jak u nas byłaś? Bawiłaś się z Markiem... Mamy nawet gdzieś wasze wspólne zdjęcia. Aguś, idź i je przynieś, pokażemy Sarze – zwrócił się do żony.

– Daj spokój, Jędrus, nie teraz, mamy dużo czasu, niech nam lepiej Sara opowie o Asi.

– Masz rację, Aguś, no mów, Saro, jak tam Asia, jak się czuje, a gdzie teraz jest, jeszcze na tym rejsie?

– Tak, wujku, nadal z tatą pływają.

– No widzicie, jak się dziewczynie udało, ja to od początku polubiłem tego Alego. A jakie wesele jej tu urządził, do tej pory ludzie je pamiętają. Szkoda tylko, że ostatnio Asia w ogóle nie przyjeżdża do Polski...

Wyglądało na to, że wujek nic nie wiedział o tym, że rok temu Joanna była parę dni w Polsce, więc Sara też o tym nic nie mówiła.

– Kiedy Asia tak nagle, po tak długim milczeniu zadzwoniła, to nawet się przestraszyłem, że coś się stało. I jeszcze tak kiepsko było słyhać, bo ona na tym morzu... Ale na szczęście chodziło tylko o to, żeby cię przyjąć. Saro, nawet nie

wiesz, jak się ucieszyłem, i Agusia też, i Marek, i Monika, pamiętasz, to nasza córka, nie ma jej tu z nami, bo mieszka na drugim końcu Polski, wyszła za męża, pracuje, ma jednego syna, obiecała, że jak tylko weźmie urlop, to nas odwiedzi, żeby cię zobaczyć. – Wujek Andrzej chciał przekazać Sarze jak najwięcej wiadomości o jej polskiej rodzinie. – A Nadir i Fatma dlaczego z tobą nie przyjechali?

– Nadir jest w Londynie, po wakacjach zaczyna tam studia.

– To świetnie, świetnie, zdolne ma Asia dzieci. – Wujek Andrzej z podziwem pokiwał głową. – A Fatma?

– Została w Kuwejcie.

– Dlaczego? Nie lepiej jej było tu do nas przyjechać? U nas miejsca jest dość, dzieci się wyprowadziły, zresztą Marek też ma duży dom, a tak naprawdę to jest przecież dom twojej mamy, twój tata kupił jej go zaraz po weselu, ale ona i tak go nie potrzebowała, więc pozwoliła nam z niego korzystać. Na początku go wynajmowaliśmy, ale gdy Marek założył rodzinę, to się do niego wprowadził. I co z Fatmą? – powrócił do wątku wujek Andrzej.

– Ma w Kuwejcie swoje zajęcia, jakieś kursy, jest też wolontariuszką w szpitalu dla dzieci...

– Wspaniale. Widzisz, Agus, jakie ambitne dzieci ma Asia, świetnie, świetnie... – Wujek mówił z przejęciem. – A słyszałem, że ty byłaś na Sri Lance...

– Tak, niedawno wróciłam.

– Sama tam pojechałaś?

– Nie, byłam z koleżanką ze szkoły i jej mamą.

– I jak było?

– Fajnie, dużo nowych rzeczy zobaczyłam i się dowiedziałam.

– No tak, jak to mówią „podróże kształcą”, my też mamy w planach wyjazd i ty...

– Jędrus, nie teraz... – przerwała mężowi ciocia Agnieszka. – Dziewczyna dopiero co przyjechała, niech zje coś, odpocznie...

– Tak, tak, Saro, jedz, to jest nasza sałatka warzywna, twoja mama bardzo ją lubi, na pewno ci będzie smakowała. – Wujek nałożył na talerz sałatkę i podał Sarze. – Masz jeszcze chleb. Asia na początku, kiedy nas odwiedzała po swoim ślubie, to zawsze mówiła, że najbardziej jej tam brakuje polskiego chleba.

– Dziękuję, wujku. – Sara wzięła kromkę i przysunęła do siebie talerz.

– I jak, smakuje ci? – po chwili zapytał wujek.

– Tak, bardzo smaczne.

– I masz jeszcze pierogi ruskie. – Wujek nałożył parę sztuk pierogów na talerz i postawił koło Sary. – Agusia sobie przypomniała, że kiedy byłaś małą, to za nimi przepadałaś. Specjalnie je dla ciebie wczoraj robiła.

– Dziękuję, ciociu.

Sara jadła podstawiane jej specjały, a rodzina wspominała huczne wesele Joanny i Alego.

– A pamiętacie, jak mężczyźni poprzebierali się w prześcieradła i obrusy, bo chcieli być arabskimi szejkami? – roześmiała się ciocia Agnieszka.

– No jasne, a ich żony żartowały, że od razu stali się bardziej interesujący – dodał wujek. – I ta arabska piękność... Jak zatańczyła taniec brzucha, to goście oczu nie mogli od niej oderwać. To była, Saro, chyba jakaś kuzynka twojego taty. Ciekawe, co się teraz z nią dzieje, może coś wiesz na ten temat? – zwrócił się do siostrzenicy.

– Ale która kuzynka, wujku? Bo tata ma ich dużo.

– Nie pamiętam jej imienia. A ty, Aguś, przypominasz sobie?

– Nie, zupełnie nie.

– To nic, ale taka ładna była i tak tańczyła, że niejednemu tu w głowie zawróciła. A ty, Saro, też na piękną dziewczynę wyrosłaś.

– Dziękuję, wujku.

– Saro, jeszcze szarlotkę zjedz, bardzo ją lubiłaś w dzieciństwie, a jabłka z naszego sadu, papierówki, takie słodkie są, idealne do szarlotki. – Ciocia ukroiła dwa kawałki ciasta.

– Dziękuję, ciociu, ale już za dużo tego jedzenia, tyle pierogów zjadłam.

– To chociaż jeden kawałek zjedz, specjalnie dla ciebie tę szarlotkę upiekłam.

– W takim razie spróbuję.

– Na zdrowie, dziecko, na zdrowie.

– A pamiętacie, jak Sara i Fatma nie chciały chodzić po trawie? – przypomniał sobie wujek Andrzej. – Pamiętasz to, Saro?

– Nie bardzo.

– Ja pamiętam – wtrącił się Marek, który był siedem lat starszy od Sary.

– Jak to „nie chciały chodzić po trawie”? – spytała Irena, żona Marka.

– Sara i Fatma małe wtedy były... Ile mogły mieć lat, tato? – Marek odwrócił się w stronę ojca.

– Może ze dwa czy trzy latka, coś takiego...

– I nie chciały stawiać nówek w trawie, bo były w nich robaki – zaśmiał się Marek.

– Jakie robaki? – zdziwiła się Irena.

– Normalne żyjątka, których mnóstwo jest w trawie, szczególnie latem – wyjaśnił Marek. – Wiesz, jakieś biedronki, zuczki, trzmiele, chrząszcze, mrówki... I kiedy tylko Sara lub Fatma je zobaczyły, to od razu wskakiwały na mnie z piskiem...

– Dziwne, że one je tam dostrzegły... Dla mnie trawa to trawa, nie przyglądam się temu, co w niej żyje – stwierdziła Irena.

– Ja też dopiero wtedy odkryłem ten cały owadzi świat... Bo one zauważały nawet najmniejszego robaczka.

– Tylko że początkowo prawie z domu nie wychodziły przez te żyjątko – przypomniała sobie ciocia Agnieszka.

– Tak, a później, kiedy udało mi się je przekonać, żeby choć na chwilę wyszły, to co chwilę się zatrzymywały i tak śmiesznie podnosiły nogi do góry, żeby je ominąć – wspominał Marek. – Ciocia Asia mi wtedy tłumaczyła, że dziewczynki pierwszy raz zobaczyły taką naturalną trawę i dlatego tak się dziwnie według nas zachowywały.

– Tak, chyba ponad tydzień im zajęło, żeby się przyzwyczyły i zaczęły normalnie biegać po trawie. Pamiętasz coś z tego, Saro? – zapytała ciocia Agnieszka.

– Kiedy o tym opowiadacie, to coś mi się kojarzy... – Sara cofnęła się do mocno zatartych wspomnień z wczesnego dzieciństwa. – Mrówki... Raz oblażył mnie mrówki...

– Bo weszłaś w mrowisko – zaśmiał się Marek. – Kiedy już przestałaś uważać, to pech chciał, że trafiłaś na mrowisko.

– Po całej nodze mi chodziły... Brrr...

– A jaki wrzask wtedy podniosłaś! Wszyscy przybiegliśmy pędem, bo myśleliśmy, że jakąś krzywdę sobie zrobiłaś, skaleczyłaś się, czy co...

Pierwsze dni pobytu w domu wujostwa trochę Sarę przytłoczyły, przede wszystkim dlatego, że rodzina cały czas była blisko niej i chciała jak najwięcej wiedzieć o życiu Asi w Kuwejcie. Jeżeli mama nie zwierzyła się bratu ze swoich problemów, to ja nie będę mu o tym teraz mówić – myślała. – Oni tu sądzą, że mama żyje jak w bajce... A tu druga żona... Prawie alkoholizm... Klinika psychiatryczna... – Gdy sobie po raz kolejny uświadamiała, przez co jej mama musiała przejść podczas ostatniego roku, to aż jej się serce ścisnęło z żalu. W dodatku wszyscy tu byli jak najlepszego zdania o Alim, który po polskim weselu pożyczył wujkowi dużą sumę pieniędzy na rozkręcenie interesu. Dzięki tej pożyczce wujek założył hurtownię, która do obecnej chwili całkiem dobrze funkcjonowała i zapewniała rodzinie dostatnie życie. Pieniądzy tych wujek nigdy nie oddał, a Ali się ich nie dopominał, uznawszy je chyba jako prezent dla brata żony. Poza tym możliwości finansowe Alego były tak duże, że ta pożyczka nie była dla niego odczuwalna.

Atmosfera w domu wujostwa była bardzo ciepła i to się Sarze podobało. Małżonkowie nie zwracali się do siebie inaczej jak tylko „Aguś” i „Jędrus”, co niosło w sobie mnóstwo uczucia i świadczyło o silnych łączących ich więziach. Patrząc na codzienne relacje między wujkiem a ciocią, Sara odczuwała żal, że już od dawna nie widziała u swoich rodziców takiego zrozumienia i czułości. Nagle jej rodzinna, wielka, ekskluzywna rezydencja wydała się bardzo zimna.

Po około dziesięciu dniach pobyt Sary u polskiej rodziny spowszedniał i wszyscy w pełni wrócili do swoich obowiązków. Wujek prawie cały czas spędzał w hurtowni, a ciocia przez część dnia mu pomagała, a przez pozostałą zajmowała się domem i ogrodem. Marek pracował razem z ojcem, a jego żona była gospodynią domową opiekującą się małymi dziećmi. Sara nadal czuła troskę swojej rodziny, ciocia zawsze pytała, co jej ugotować na obiad, a wujek chciał wiedzieć, czy czegoś nie potrzebuje i co jej kupić, gdy będzie wracał z pracy. Wujostwo mieszkali w typowym niewielkim mieście, ale ich dom znajdował się na jego obrzeżach i nie wszystkie artykuły były dostępne w najbliższym sąsiedztwie.

Sara miała teraz więcej czasu dla siebie, pozbawiona była też tak ścisłej kontroli, jak to miało miejsce w Kuwejcie. Mogła się ubierać, jak chce, i wychodzić, kiedy i gdzie chce. To było dla niej nowe. Czasem prosiła wujka, żeby zawiózł ją do centrum miasta, i tam snuła się, obserwując życie jego mieszkańców. Kiedy chodziła po sklepach i ulicach, kilka rzeczy zwróciło jej uwagę. Dziwne jej się wydały stoiska w sklepach, a czasem nawet całe specjalistyczne placówki, w których sprzedawany był alkohol. Po restrykcyjnej prohibicji w Kuwejcie widok setek butelek z alkoholem w pełnym wyborze gatunków, które stały w biały dzień na półkach i każdy mógł mieć do nich dostęp, wydał jej się nie końca właściwy. Widziała też lokalnych pijaczków, którzy na ławkach i w parkach raczyli się różnymi trunkami, aby potem, z lekka się zataczając, wałęsać się po rynku oraz przylegających do niego uliczkach i zaczepiać niewybrednie przechodniów z prośbą o parę groszy na następną flaszkę.

Kiedy zapanowały trudne do wytrzymania upały, na ulicach zaroiło się od eksponujących swoje ciała kobiet. Takie w każdym razie Sara odnosiła wrażenie, patrząc na ich odsłonięte plecy, różnej wielkości i nie zawsze idealnego kształtu piersi, wprost wylewające się z głębokich dekoltów, bluzki na cienkich ramiączkach, spod których niekiedy wystawała codzienna bielizna, i sukienki tak obcisłe, że widać było wszystkie krągłości, zwłaszcza wtedy, kiedy kobiety nosiły stringi i chodziły bez staników. Na potajemnie organizowane w Kuwejcie imprezy Sara też lubiła wkładać krótkie sukienki lub spódniczki, ale obraz paradujących od rana do wieczora prawie gołych kobiet Sara, przyzwyczajona do w większości całkowicie zasłoniętych w miejscach publicznych Arabek, odbierała jako zupełnie nie na miejscu. Dziewczyna przypominała sobie słowa jednej z siostr ojca, cioci Najli, która niezmiennie powtarzała: „Kobieta powinna pozostać dla mężczyzny tajemnicą... Słodkim sekretem... Powinna zachować dla swojego wybranego cudowny dar, jakiś skarb, który zawsze go będzie intrygował. A jeśli on już do niego dotrze, i być może go zdobędzie, to powinno go uczynić tak szczęśliwym, że już na zawsze będzie pragnął go zachować tylko dla siebie”.

Potem przez Europę przelatała się burzliwa dyskusja dotycząca burkini, kostiumu kąpielowego, który okrywa całe ciało. Zaczęło się od incydentu, kiedy to

na jednej z plaż w Nicei muzułmanka została, w imię obowiązującego tam prawa, zmuszona do zdjęcia noszonego przez nią stroju. Sara, patrząc na zdjęcia z tego zdarzenia, czuła rodzaj przemocy w stosunku do kobiety, nad którą stali z groźnymi minami umundurowani i uzbrojeni policjanci. Mimo że Sara nie chciała tak jak jej siostra nosić hidżabu, to uważała, że decyzja w tej kwestii należy wyłącznie do kobiety. Sądziła, że tak jak nikt nie ma prawa zmusić kobiety do zakrywania całego ciała, tak i nikt nie może siłą spowodować, żeby się odkryła. Wychowana w kraju muzułmańskim, doskonale wiedziała, że wiele kobiet zakrywa się z własnej nieprzymuszonej woli i jest to wyrazem ich religijności i głębokiego przekonania, że właśnie tak powinny się ubierać. Nakazanie kobiecie, i to w obecności wielu gapiów, a przede wszystkim na oczach dzieci i członków rodziny, żeby się odkryła, było zamachem na jej godność osobistą.

Sara zastanawiała się również nad tym, czy w Europie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, jakie negatywne konsekwencje dla kobiety może mieć jej, dobrowolne lub nie, ubieranie się w skąpe stroje. Parę lat temu w Kuwejcie rozwódce odebrano prawo opieki nad dziećmi między innymi dlatego, że eksmałżonek pokazał w sądzie jej zdjęcia w bikini na jednej z zagranicznych plaż. Lokalne media podawały, że adwokat ojca dzieci argumentował, że zdjęcia te są dowodem na to, iż kobiecie brakuje skromności i moralności, w związku z czym nie jest w stanie prawidłowo wychować dzieci. Takiej matce nie można ufać – grzmiały lokalne autorytety.

Ostatecznie Najwyższy Sąd Administracyjny Francji wydał orzeczenie, które głosiło, że zakaz noszenia burkini „stanowi poważne i ewidentnie nielegalne naruszenie podstawowych swobód”. Sara całkowicie zgodziła się z tą decyzją, gdyż nie wyobrażała sobie, żeby ktoś na przykład jej siostrze zdejmował na siłę hidżab z głowy. Ona mogła tak się nie ubierać, ale nie widziała powodu, żeby zabraniać tego innym. Abaję i hidżab oraz preferowane przez muzułmanki obszerne stroje należało traktować jako elementy garderoby, które mogą być wybrane przez kobiety, jeżeli im z różnych powodów odpowiadają.

Potrzeby muzułmanek dostrzegły duże firmy zajmujące się kreowaniem trendów, w tym także marka H&M, zatrudniając do jednej ze swoich dużych kampanii modelkę noszącą hidżab, która ze stylowo okrytą dużą chustą głową i szyją prezentowała gustowne, luźne stroje. Spotkało się to z niezwykle pozytywnym odbiorem nie tylko wśród muzułmanek, ale również wszystkich tych, którym spodobała się różnorodność lansowana przez tego giganta mody. Ekskluzywną kolekcję hidżabów i abai z jedwabiu i szarmezy, wyjątkowo cienkiej i miękkiej tkaniny jedwabnej, stworzył również włoski dom mody Dolce&Gabbana. Bogato zdobiona koronkami oraz elementami kwiatowymi linia prezentowana była w kolorach, które twórcy nazwali „luksusowy czarny i piaskowy beżowy”. O muzułmankach nie zapominały również takie marki jak

Mango, Oscar de la Renta, DKNY, Tony Hilfiger i Armani, wypuszczając na rynek specjalne kolekcje z okazji ramadanu.

Życzliwość rodziny i dużo nowych wrażeń początkowo złagodziły smutek goszczący na stałe w duszy Sary. Czasami chodziła do ogrodu, siadała pod jabłonią, zamykała oczy i w rozgrzanym powietrzu wsłuchiwała się w letnie głosy polskiej przyrody. Najbardziej upodobała sobie śpiew skowronka, który wysoko w górze swym perlistym głosem złożonym z wysokich, wibrujących, świergoczących trelil umiłał jej leniwie płynący czas. Niekiedy wieczorem w ogrodzie zbierali się wszyscy bliscy i przy kolejnych herbatkach serwowanych ze świeżo upieczonym przez ciocię Agnieszkę lub Irenę ciastem rozmawiali o bieżących rodzinnych lub zawodowych sprawach. I chociaż poruszane tematy nie dotyczyły Sary, nie zawsze nawet rozumiała, o czym tak naprawdę była mowa, to ciepła atmosfera tych posiedzeń i serdeczność, jaką wszyscy ją nieustannie darzyli, sprawiały, że jej przygnębienie roztopiało się w gwarze rodzinnych spotkań.

Pewnego dnia przy obiedzie było trochę inaczej niż zwykle. Wujek z ciocią od czasu do czasu patrzyli na siebie znacząco, przekazując przy tym mimiką tylko sobie zrozumiałe znaki.

– Ty powiedz... – szepnęła w końcu ciocia.

– Lepiej ty... – odszepnął wujek.

Ciocia zrobiła wymowną minę, mówiącą, że znowu na nią spada załatwienie istotnej sprawy.

– Bo wiesz, Saro... – zaczęła.

– Tak, ciociu. – Sara podniosła głowę znad talerza.

– Jest taka sprawa...

– Coś z mamą? – wyrwało się Sarze.

– Z Asią? Co z Asią? – podchwycił wujek.

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie.

– U twojej mamy wszystko w porządku? – Wujek uważnie przyglądał się siostrzenicy.

– Tak, wujku... – Sara uciekła wzrokiem przed przenikliwym spojrzeniem wujka.

– Na pewno?

– Na pewno...

– To czemu tak od razu o nią spytałaś? – dopytywał wujek.

– Ja? – zmieszana się Sara. – Nie wiem... Bo ona na tym morzu, więc...

– Ale nie zapytałaś o rodziców tylko o mamę – zauważył wujek.

– O mamę? – Sara zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Z mamą wszystko w porządku, z tatą też, to zupełnie nie o to chodzi – rzuciła szybko ciocia Agnieszka, dając tym samym mężowi do zrozumienia, żeby już dłużej nie ciągnął tego tematu.

– To o co chodzi ? – Sara była wdzięczna cioci, że przejęła inicjatywę, bo przed chwilą się obawiała, że jeżeli wujek nie przestanie jej pytać o mamę, to ona nie da rady dłużej utrzymać w tajemnicy tragedii, jaka rozgrywała się miesiącami w jej domu rodzinnym. Rozplacze się w głos i o wszystkim opowie – o panoszącej się dziwce Larze, o nieczułym na prośby mamy ojcu, o samolubnym Nadirze, o stojącej po stronie drugiej żony Fatmie i o podciętych żyłach mamy...

– Dobrze się czujesz, Saro? – z troską spytała ciocia.

– Tak, dlaczego?

– Bo tak nagle zbladłaś...

– Nie, nic mi nie jest...

Przy stole znowu zapanowała długa cisza.

– Wiecie co? – ciocia Agnieszka odezwała się pierwsza. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli przełożymy tę rozmowę na później. – Ton cioci był stanowczy.

Wujostwo i Sara bez słowa dokończyli swoje dania.

– Dziękuję, ciociu, bardzo dobre było... Jak zawsze... Dziękuję... – cicho powiedziała Sara i wstała od stołu.

– Cieszę się. – Ciocia odprowadziła Sarę wzrokiem do drzwi.

– Mówiłam ci od razu, gdy Asia tak nagle zadzwoniła, że coś jest nie w porządku – półgłosem powiedziała ciocia Agnieszka.

Sara zatrzymała się za drzwiami i przysłuchiwała się rozmowie wujostwa.

– Ale Asia miała taki wesoły głos... Nic nie wskazywało...

– To jeszcze o niczym nie świadczy – stwierdziła ciocia. – Twoja siostra nie kontaktuje się z tobą od lat, a tu nagle dzwoni i oznajmia, że za tydzień przyjeżdża do nas jej córka. Nie wydaje ci się to trochę dziwne ?

– Czy ja wiem... – Wujek się zastanowił. – Przecież jesteśmy bliską rodziną... I każdy taki zalatany...

– A ja ci mówię, że u nich coś się zdarzyło... – Ciocia miała swoje zdanie na ten temat. – Nawet Sara...

– Co Sara? Spokojna, grzeczna dziewczyna...

– No właśnie! – Ciocia podniosła głos. – A nie pamiętasz, jaka była, kiedy wcześniej do nas przejeżdżała? Istny żywioł!

– Ależ Aguś! Z takich rzeczy się wyrasta – tłumaczył wujek. – Dojrzała może...

– Ja tam swoje wiem! – Ciocia nie dała się przekonać. – Ja ci mówię, że u nich coś się stało.

– Stało się czy się nie stało i tak teraz nic na to nie poradzimy – westchnął wujek. – Trzeba tylko pomyśleć, co zrobimy z naszym wyjazdem. Może po prostu go odwołamy?

– Jędrus, nawet o tym nie myśl! Przecież tobie należy się wypoczynek! Wyjazd od dawna zaplanowany, zapłacony...

- Za Sarę też już zapłaciłem...
- Sam widzisz... I dlatego z nami pojedzie.
- A jeśli nie będzie chciała?
- Będzie, będzie... Tylko dzisiaj nie tak przy tym stole wyszło.
- Bo mówiłem ci już dawno, że trzeba było jej wcześniej powiedzieć.
- Ale tak od razu, kiedy przyjechała? Nie wypadało! Jeszcze by mogła dziewczyna poczuć się jak intruz.
- Masz rację, Aguś. Ale jeśli nie będzie chciała z nami jechać, to co wtedy zrobimy?
- Samej raczej jej tu nie zostawimy... Polski dobrze nie zna... Karnację ma taką trochę ciemniejszą...
- To może u Marka zamieszka?
- Coś ty, Jędrus! Marka pewnie prawie w domu nie będzie, bo kiedy ty wyjedziesz, to cała hurtownia będzie tylko na jego głowie. A sam wiesz, że nawet we dwóch na co dzień ledwo dajecie radę.
- Jest Irenka...
- Irenka od rana do wieczora dziećmiakami zajęta. Poza tym... Ostatnio przy tych dzieciach taka nerwowa się zrobiła. A Sara potrzebuje spokoju.
- Dlaczego tak uważasz?
- Bo pójdzie do ogrodu, oprze się o tę starą jabłoń i siedzi tak godzinami... Jak w letargu jakimś... A to przecież młoda dziewczyna jest... Kiedyś taka energiczna była...
- To ja już, Aguś, sam nie wiem, co robić...
- Nic, Jędrus, jutro z nią porozmawiam i zaproszę ją na wspólny wyjazd.
- Dobrze, Aguś, dobrze.

Sara usłyszała odsuwane krzesła, więc szybko uciekła do swojego pokoju. Położyła się na łóżku i po uszy nakryła kołdrą. Wygląda na to, że wujostwo wybierali się na od dawna planowany urlop, a jej przyjazd mógł pokrzyżować ich plany. Tylko ciekawe, gdzie jechali. Do jakiejś turystycznej miejscowości w Polsce czy może za granicę? I co ona ma zrobić? Jechać z nimi czy zostać? Ale wujostwo raczej nie zostawi jej samej w domu. Pewnie mama przykazała wujkowi, żeby się nią dobrze opiekował. I co dalej z nią będzie? Myśli pędziły w głowie Sary jedna za drugą, dziewczyna doznała nagle uczucia, że nie ma swojego miejsca, że wszystko jest jakieś przelotne, ulotne, nie dla niej, a ona tylko tak przypadkowo, to tu, to tam, nagle wszystko zawirowało w szalonym chaosie i krwiożerczy krokodyl znalazł się pod pocziwą, lekko zmurszałą jabłonką.

Następnego dnia po śniadaniu wujek pojechał do pracy, a ciocia zaprosiła Sarę do ogrodu na następną filiżankę herbaty, takiej specjalnej, z własnoręcznie robionym przez nią sokiem z przydomowych malin.

- I jak tam, Saruś, jak się u nas czujesz?

– Dziękuję, ciociu, dobrze.

– Niczego ci nie brakuje?

Kochających się rodziców mi brakuje, dbającego o siebie nawzajem rodzeństwa mi brakuje, prawdziwej siebie mi brakuje – pomyślała Sara.

– Nie, ciociu, wszystko mam.

– Bo widzisz, Sara, twoja mama tak zniecka zadzwoniła, nie spodziewaliśmy się, to znaczy my się bardzo cieszymy, że przyjechałaś, ale... bo my już dawno to planowaliśmy, a Jędrus przemęczony jest, tylko pracuje i pracuje, więc... – Ciocia Agnieszka nie bardzo wiedziała, jak dobrać słowa, żeby nie urazić siostrzenicy. – I to już niedługo, a Jędrus taki przepracowany, od dwóch lat urlopu nie miał i dlatego... – Ciocia urwała, bo raptownie uprzytomniła sobie, że jeżeli to wypowie, to tak jakby wyrzucała z własnego domu gościa, naruszając tym samym świętą polską regułę. Może Jędrus miał rację, żeby teraz odwołać ten wyjazd? Mogą przecież pojechać w innym terminie, najlepiej zaraz po tym, gdy Sara wróci do Kuwejtu.

– I co, Sara się ucieszyła na ten Egipt? – zapytała Irenka, pojawiając się z dziećmi w ogrodzie.

Ciocia Agnieszka z wyrzutem spojrzała na synową.

– Myślałam, że już wie... – powiedziała skonsternowana Irena. – Przecież mama miała jej wczoraj o tym powiedzieć...

– Miałam, miałam... Ale nie wyszło... – Ciocia Agnieszka pierwszy raz wyglądała na niezadowoloną.

– To przepraszam... – Irena wołała nie wchodzić w konflikt z teściową.

– Tak jak słyszałaś, Saro, wykupiliśmy wczasy w Egipcie. – Postawiona pod murem ciocia Agnieszka nie miała wyboru i musiała poinformować Sarę o wakacyjnych planach. – Ale serdecznie cię z nami zapraszamy, będzie nam bardzo miło, jeśli z nami pojedziesz.

Nie po to wyjeżdżałam z kraju arabskiego, żeby zaraz do niego wracać – przemknęło Sarze przez głowę.

– I co, Saruś, zdecydujesz się? Wybierzesz się z nami?

– A gdzie dokładnie? – zapytała Sara, żeby tylko cokolwiek powiedzieć.

– Do Szarm el-Szejk, to piękny kurort nad Morzem Czerwonym, na pewno o nim słyszałaś.

– Tak, ciociu.

– Będziemy mieszkali w pięciogwiazdkowym Four Seasons Resort, mamy wygodny apartament w jednej z willi tuż przy morzu i basenie.

Na Sarze ani pięciogwiazdkowy hotel, ani basen przy willi nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Podróżując w wakacje, zatrzymywała się tylko w pięciogwiazdkowych hotelach, a basen miała od zawsze w swojej rodzinnej rezydencji.

Four Seasons Resort w Szarm el-Szejk kojarzył się Sarze przede wszystkim z historią przerażającego morderstwa, które zlecił jego właściciel, egipski multimilioner. Ta historia zapadła jej w pamięć, bo dowiedziała się o niej na jednej z barwnych, pełnych radości i tańców uroczystości, w których brały udział tylko kobiety. Sara miała wtedy około dziesięciu lat i ubrana w okazałą suknię z falbanami, którą dopełniała złota biżuteria w postaci łańcuszków, bransoletek, pierścionków i kolczyków, siedziała razem z mamą i Fatmą w gronie równie jak ona wystrojonych i roześmianych krewnych. To było wystawne przyjęcie zaręczynowe jednej z dalekich kuzynek ojca, leciała bardzo głośna arabska muzyka, a na środku sali rozbawione kobiety, potrząsając energicznie biodrami, pośladkami i biustami, demonstrowały swoje umiejętności w tańcu brzucha. Szczególnie młode dziewczyny bardzo się starały, mając nadzieję, że przypadną do gustu którejś z obecnych tam matek, babek, sióstr lub swatek mogących zaaranżować korzystne dla nich małżeństwo.

W bogato udekorowanej sali był również duży ekran, na którym pojawiały się gwiazdy śpiewające aktualne przeboje. W pewnym momencie Sara zobaczyła piękną, szczupłą kobietę z długimi, lekko falującymi włosami, której idealne kształty podkreślała leżąca się do samej ziemi, kusząca seksownym rozcięciem do połowy uda, srebrna kreacja na ramiączkach. Kobieta śpiewała niezwykle dynamiczny utwór, który od razu przyciągnął na parkiet więcej tancerek.

– Szkoda jej! – powiedziała z emfazą siedząca obok Sary ciocia Najla. – Jeszcze tyle pięknych piosenek mogła zaśpiewać!

– A już nie śpiewa? – spytała Joanna. – Zrezygnowała z kariery?

– Nie żyje – wyjaśniła ciocia. – Bestialsko podcięto jej gardło.

Sarę przeszedł zimny dreszcz po plecach. Popatrzyła na smukłą szyję jaśniejącej na ekranie piosenkarki i wyobraziła sobie spływające po niej strugi krwi.

– Jak to się stało?! – Joanna też była wstrząśnięta. – I kto to zrobił?

– Mordercą okazał się były oficer egipskiej policji, który pracował jako ochroniarz w hotelu Four Seasons w Szarm el-Szejk.

– I tam ją zamordowano? – Joanna spojrzała na ekran, gdzie pełna życia, zmysłowo ruszająca się w rytm wykonywanego przeboju piosenkarka podrywała do aplauzu zgromadzoną w studio publiczność.

– Nie, zamordowano ją w jej apartamencie w Dubaju.

– W Dubaju? Dlaczego akurat w Dubaju? A tak w ogóle to ona wygląda mi na Libankę – wysnuła swoje przypuszczenie Joanna.

– Tak, to jest... była... – poprawiła się Najla. – Libanka, Suzanne Tamim.

– Egipt, Emiraty, Liban... To jakaś bardzo skomplikowana historia – stwierdziła Joanna.

– Tak, to takie top story ze szczytów władzy, polityki, show biznesu,

a przede wszystkim ogromnych pieniędzy.

Jeżeli niezwykle bogata ciocia Najla mówiła o ogromnych pieniądzach, to naprawdę musiało chodzić o olbrzymi majątek.

– To była historia, którą emocjonowano się bardziej niż popularnymi arabskimi serialami – dodała ciocia Najla.

– A dlaczego ten ochroniarz z Szarm el-Szejk podciął jej gardło? – chciała wiedzieć Joanna.

Przysłuchująca się rozmowie Sara poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– To było zabójstwo na zlecenie – opowiadała ciocia Najla. – Zabójca dostał dwa miliony dolarów.

– Niezła suma – wtrąciła Joanna. – Ten zleconiodawca musiał być niezwykle bogaty.

– Rzeczywiście był. To Egipcjanin, potentat hotelowy, do którego między innymi należały wszystkie trzy hotele Four Seasons w Egipcie, to znaczy w Kairze, w Aleksandrii i w Szarm el-Szejk. Oprócz tego posiadał oczywiście mnóstwo innych nieruchomości i robił wielkie wspólne inwestycje z jednym z najbogatszych ludzi świata, księciem z Arabii Saudyjskiej, Al-Walidem ibn Talal ibn Abd al-Aziz Al-Su'udem. Pełnił też wysokie funkcje polityczne w parlamencie i był zaprzyjaźniony z rodziną egipskiego prezydenta Hosni Mubaraka.

– I taki bogacz posiadający nieograniczone pieniądze, władzę i wpływy posunął się do morderstwa? – zdziwiła się Joanna. – Pewnie mógł mieć wszystko, o czym tylko zamarzył.

– Do pewnego momentu pewnie tak, ale po tym, jak to, a raczej ją... – ciocia Najla zerknęła na śpiewającą na ekranie atrakcyjną piosenkarkę – ...stracił, to nie mógł tak łatwo się z tym pogodzić.

– Ale aż morderstwo?!

– Pewnie w grę wchodziła urażona męska duma... A może też pieniądze... Suzanne, zwana ze względu na swój talent i dużą popularność „arabską księżniczką pop”, w ciągu trzech lat ich związku otrzymała podobno od swojego egipskiego kochanka pieniądze, prezenty i biżuterię wartości siedmiu milionów dolarów. Ale wiedząc, że jego majątek szacowany był na osiemset milionów dolarów, to ja osobiście myślę, że suma ta mogła być dużo większa – wyraziła swoje zdanie ciocia Najla. – Z tego, co mówiono, wynika, że on po rozstaniu próbował nawet odzyskać te pieniądze, ale mu się nie udało. To doprowadziło go do wściekłości.

Na ekranie Suzanne Tamim skończyła swój występ i została nagrodzona rżęsistymi brawami. Aż trudno było uwierzyć, że ta młoda, zdolna artystka już nie żyła i swe życie zakończyła w tak tragiczny sposób.

– To Suzanne odeszła od egipskiego multimilionera – kontynuowała swoją opowieść ciocia Najla. – Osiedliła się w Londynie i związała się z mistrzem świata kick-boxingu irackiego pochodzenia, którego spotkała w Harrodsie. Ale porzucony

bogacz nie mógł się z tym pogodzić i różnymi sposobami próbował ją odzyskać. Oferował bajeczne pieniądze. Obiecał, że podaruje jej pięćdziesiąt milionów dolarów, jeżeli tylko wyjdzie za niego za męża. Mimo wizji otrzymania takiej fortuny, Suzanne mu odmówiła.

– To wtedy chyba powinien ostatecznie zrozumieć, że stracił ją na zawsze? – zasugerowała Joanna.

– Pewnie tak... Ale na nieszczęście stało się wręcz przeciwnie. Egipcjanina ogarnęła wręcz obsesja na jej punkcie. Chociaż... – Ciocia Najla się chwilę zastanowiła. – Nie wiem, czy tak naprawdę była to obsesja na punkcie tej kobiety, czy na punkcie osiągnięcia zamierzonego celu. Multimilionerzy i bilionerzy mają i mogą dostać wszystko. Dosłownie. Więc jeżeli sporadycznie zdarzy się, że coś pójdzie nie po ich myśli...

– To może prowadzić do makabrycznej zbrodni – dokończyła Joanna.

– Dokładnie – zgodziła się ciocia Najla. – Egipcjanin zaczął grozić Suzanne. Nękać ją. Straszyć. Aż w końcu zlecił to odrażające morderstwo.

– A może... może to była jednak nieokiełznana, niezaspokojona namiętność. Może on myślał, że jeżeli nie może jej mieć, to też nikt inny nie będzie jej posiadał.

– Jakiegolwiek były mroczne motywy jego działania, to musiały być okrutnie silne... Jeżeli on na szalę położył swoją pozycję, karierę, majątek...

– Z pewnością. To była długo planowana zbrodnia. Morderca przez pół roku śledził Suzanne w Londynie, a później poleciał za nią do Dubaju, w którym miała spędzić zaledwie pięć dni.

– Nie wiedziała, że leci po śmierć...

– Niestety. I to po upiorną śmierć. Sprawca nie tylko podciął ofierze gardło, ale też zadał kilkanaście ran kłutych i w bestialski sposób zmasakrował jej twarz. Podobno umowa była taka, że morderca przyniesie zleceniodawcy uciętą głowę jego byłej kochanki.

Mała Sara aż zwinęła się z przerażenia na krześle i złapała się za brzuch.

– I jak wykryto sprawców?

– Mimo że morderca działał szybko, z całą pewnością stwierdzono, że dokonanie przestępstwa zajęło mu zaledwie dwanaście minut, a kilka godzin później był już w Egipcie, to na miejscu zbrodni zostawił wiele śladów, które doprowadziły do jego ujęcia. Jednym z nich miał być odcisk buta odcisnięty w kałuży krwi znajdującej się tuż przy ciele martwej Suzanne. Od razu podjęto międzynarodowe działania i ujęto sprawcę.

– A on wskazał na multimilionera?

– Tak. Początkowo magnat wszystkiemu zaprzeczał, a sąd egipski wydał nawet oficjalny zakaz prasie i mediom, żeby znanego i szanowanego polityka i biznesmena nie łączyć ze sprawą zabójstwa gwiazdy pop, Suzanne Tamim.

– Czyli zbrodnia nie została ukarana?

– Morderca przedstawił niezbite dowody wskazujące na to, że działał na zlecenie, i były to między innymi taśmy z nagranyymi rozmowami ze zleceniodawcą. Egipcjaninowi został uchylony immunitet parlamentarny i obydwaj sprawcy zasiedli na ławie oskarżonych.

– Czyli sprawiedliwości stało się zadość?

– I tak, i nie.

– To znaczy?

– Początkowo multimilioner i zbrodniarz zostali uznani za winnych, po czym skazani na karę śmierci przez powieszenie.

– Sprawiedliwość zwyciężyła.

– Wszyscy tak myśleli. Wierzyli, że wreszcie ani niewyobrażalne pieniądze, ani koneksje z najbardziej wpływowymi ludźmi nie pozwolą uniknąć zasłużonej kary. Ale potem...

– Co potem?

– Odbyły się następne procesy i sąd drugiej instancji uchylił poprzednie wyroki.

– I...

– Multimilioner został skazany na piętnaście lat więzienia, a bezpośredni sprawca zbrodni na dożywocie. Znowu okazało się, że multimilionerzy są nietykalni.

– No tak... – krótko skwitowała Joanna, jakby ją to wcale nie zdziwiło.

Multimilionerom się nie odmawia. Multimilionerzy nie przyjmują odmowy. Multimilionerzy zawsze muszą dostać to, co chcą. Odrzuceni – mogą zabić. Jako mordercy wywiną się od pełnej odpowiedzialności za zbrodnię. Taki jest świat.

* * *

– Saro! Saro, to pojedziesz z nami do Szarm el-Szejk? – dopytywała ciocia Agnieszka.

– Co? – Sara spojrzała na ciocię nieprzytomnymi oczami.

– Szarm el-Szejk, zapraszamy cię, żebyś do nas dołączyła.

– A tak, oczywiście, ciociu, pojedę, dziękuję, pojedę. – Sara w duchu pomyślała, że tak naprawdę to jest już jej naprawdę wszystko jedno, gdzie się znajduje, może jechać nawet do puszczy amazońskiej. Wstała i poszła pod swoją jabłonkę.

– Widzi mama, Sara od razu się zgodziła, może niepotrzebnie było robić z tym takie ceregiele – wyraziła swoją opinię Irena.

– I to mnie właśnie niepokoi... – stwierdziła zamyślona ciocia Agnieszka.

– Co?

– Ach, nieważne, i jak tam dzieci, Irenko, Piotruś nadal tak często budzi się w nocy?

* * *

Po paru dniach Sara wraz z wujostwem siedziała już w samolocie lecącym do Szarm el-Szejk. Samolot był pełny i przeważały w nim kobiety. Były w doskonałych humorach i co chwila zamawiały u uwijających się stewardes drinki.

Siedzące za Sarą pasażerki zamówiły po jeszcze jednej buteleczce wina i ich rozmowa stała się głośniejsza.

– Dobrze, że dałaś się namówić na ten wyjazd, Ula. Bo ile można opłakiwać swojego byłego! od dawna ci mówiłam, że to jakiś beznadziejny dupek, ale byłaś tak zaślepiona, że nikogo nie słuchałaś!

– Nie przesadzaj, Iwonko, na początku nie był taki zły.

– Na początku to każdy jest dobry! Ale już na pierwszej imprezie nieźle ziółko z niego wylazło, kiedy zaczął się przystawiać do tej laski, a ty obok...

– Och, przestań już, nie chcę tego wspominać.

– Teraz to nie chcesz, a wtedy to byłaś tak w niego wpatrzona, że nic ci nie przeszkadzało.

– Przeszkadzało, ale miałam nadzieję, że się zmieni.

– Faceci się nie zmieniają, są, jacy są – stwierdziła Iwona z przekonaniem. – No, ale było, minęło. Dobrze, że w końcu zdobyłaś się na to, żeby go zostawić.

– Bo już dość miałam tych jego ciągłych wyskoków...

– I dobrze. Zapomnij o tym. Teraz to dopiero poznasz prawdziwych mężczyzn. Mówię ci, że nie pożałujesz. Oni są super! Mili, uroczy... potrafią zabawić kobietę... A w łóżku... Nie mają konkurencji... Takiego długiego jak ma Chalid to w życiu nie widziałam... I co on potrafi... Ach... – Iwona westchnęła zmysłowo.

– Ciiii... Nie tak głośno... – Ula zganiła koleżankę. – Jeszcze ludzie usłyszą.

– To co z tego! – Iwona zniżyła nieco głos. – To przecież nic nowego. Myślisz, że większość kobiet, które tam lecą, to po co? Po seks! Seks, seks i jeszcze raz seks! – śpiewnie powtórzyła Iwona. – Mówię ci, gdy kobieta przeżyje chociaż jedną szaloną noc z gorącym egipskim kochankiem, to będzie tam wracała jak pszczoła do miodu!

– No nie wiem, czy do miodu... – zażartowała Ula.

– I wreszcie rozumiałaś, o co chodzi! – parsknęła śmiechem Iwona.

Z niewielkiego lotniska Sara z wujostwem pojechali podstawionym bussem do hotelu Four Seasons. Po drodze Sara obserwowała księżycowy krajobraz poszarpanych, brązowo-pomarańczowych gór półwyspu Synaj. Suche łańcuchy górskie i bezkresna pustynia – jałowa kraina prawie pozbawiona roślinności. Dopiero intensywna rozbudowa bazy hotelowo-turystycznej wzdłuż wybrzeży Morza Czerwonego, która miała zapewnić odwiedzającym jak najlepsze warunki,

doprowadziła do zazielenienia nadmorskich obszarów. Teraz przybywający turyści mogli w kurortach cieszyć oko niezliczonymi palmami daktylowymi, różnorodnymi krzewami i roślinnością egzotycznych ogrodów.

– Tu jest fantastycznie! – Ciocia Agnieszka z zadowoloną miną wpatrywała się w leciutko pomarszczone wody Morza Czerwonego, iskrzące się refleksami odbijających się w nich promieni słonecznych.

Ciocia z Sarą wylegiwały się na leżakach na tarasie niezwykle komfortowego, usytuowanego na piętrze willi apartamentu składającego się z obszernego salonu, jadalni, kąpika kuchennego oraz dwóch dużych sypialni.

– Zobacz, jakie piękne morze! Ten nasycony błękit zlewający się na horyzoncie z jasnoniebieskim kolorem nieba! Przecudny widok! – zachwycała się ciocia Agnieszka.

Sara leżała z zamkniętymi oczami i nic nie mówiła. Na tarasie pojawił się wujek Andrzej.

– O, Jędrus! I jak się pływało? – spytała ciocia Agnieszka.

– Wspaniale! Bardzo ładny basen i otoczenie. – Wujek usiadł na leżaku. – Wiesz, Aguś, ja dopiero teraz czuję, jak bardzo potrzebowałem tego odpoczynku!

– Mówiłam ci, Jędrus. Przecież ty cały czas tylko pracujesz i pracujesz. Tak nie można. Trzeba od czasu do czasu pozwolić sobie na relaks.

– Masz rację, Aguś. Jesteśmy tu dopiero trzy dni, a ja się czuję jak nowo narodzony. Nowe siły we mnie wstąpiły!

– Bardzo się cieszę, Jędrus, bardzo. – Ciocia Agnieszka z czułością pocałowała męża w policzek.

– Wiesz, Aguś, co mi chodzi po głowie?

– Co, Jędrus?

– Żeby spróbować nurkowania.

– Co?!

– Nurkowania. W końcu Morze Czerwone słynie z bogactwa i różnorodności pięknych, kolorowych ogrodów koralowych.

– A to jest bezpieczne, Jędrus? Żeby tylko nic ci się nie stało!

– Nie bój się, Aguś, oni mają tu profesjonalne, prowadzone od lat szkoły. Pamiętasz Tomka z naszego działu marketingu?

– Tego wysokiego?

– Tak. Kiedy usłyszał, że jadę na urlop do Szarm el-Szejk, to powiedział, że koniecznie muszę zejść pod wodę. Opowiadał, że w tamtym roku kolega namówił go na nurkowanie i było to niezapomniane przeżycie.

– Ale schodzić w te głębiny? Aż strach bierze, Jędrus!

– Aguś, kochanie, to nie są aż takie głębiny! – zaśmiał się wujek Andrzej. – Schodzisz nie głębiej niż siedem, osiem metrów, a widoków nie zapomnisz do końca życia, tak mówił Tomek.

– To w takim razie zrób, jak chcesz, Jędrus. Jeśli sprawi ci to przyjemność...
– Na pewno chcę spróbować. Jutro rozejrzę się za jakąś dobrą szkołą nurkowania. – Wujek Andrzej podniósł się z leżaka. – Idę na plażę. Idziecie ze mną?

– Ja chętnie. – Ciocia Agnieszka też wstała. – A ty, Saro?

– Zostanę tutaj, ciociu – odpowiedziała Sara.

– Nie szkoda ci, dziecko, tak pięknego słońca, plaży, morza? – zdziwiła się ciocia.

– Ależ Agus, zapomniałaś, gdzie Sara mieszka? Przecież ona ma to wszystko u siebie na co dzień – zauważył wujek Andrzej.

– No tak, Jędrus, masz rację – przyznała ciocia Agnieszka. – Chodźmy już. Saro, jeżeli będziesz chciała do nas dołączyć, to znajdziesz nas na plaży.

– Dobrze, ciociu.

– To do zobaczenia później, Saro.

– Do zobaczenia, ciociu.

Wujostwo wyszli, a Sara została na swoim leżaku. Nie chciała robić przykrości cioci i wujkowi, ale pełne opalających się turystów plaże w Szarm el-Szejk nie bardzo jej odpowiadały. Mieszkając w willi Farah w Kuwejcie, miała bezpośredni dostęp do morza i spędzała na piasku całe godziny, bo czuła się tam tak jak na prywatnej plaży. Nikogo wkoło, cisza, spokój... A tu całe rodziny korzystające ze słońca i kąpieli, głośnie nawoływania, krzyki i piski dzieci...

Wieczorem Sara opuściła apartament i udała się do centrum rozrywkowego kurortu. Mijała liczne bary i restauracje, z których rozlegała się dynamiczna arabska lub europejska muzyka. Po deptaku przechadzało się międzynarodowe towarzystwo i widok mieszanych par nikogo nie dziwił. Sara minęła właśnie śliczną, opaloną dziewczynę z długimi blond włosami, ubraną w króciutką białą spódniczkę i jasnoróżową bluzkę, którą obejmował przystojny młody Egipcjanin w długich jasnobrązowych spodniach i białej koszuli, z podwiniętymi nonszalancko rękawami, podkreślającej jego ciemną karnację. Sara musiała przyznać, że para prezentowała się wyjątkowo atrakcyjnie. Tuż za nimi szedł inny młody Egipcjanin, trzymając za rękę wpatrzoną w niego Europejkę w średnim wieku. Niektóre pary siedziały w tradycyjnych arabskich kafejkach, powoli paląc nargile o mocnych, wschodnich zapachach. Atmosferę zabawy podkreślały migające neony o intensywnych barwach, które reklamowały znajdujące się w lokalach atrakcje. Sztuczne palmy lśniły kolorowymi oświetlonymi liśćmi i sznurami światełek owiniętymi wokół ich pni. Przed dyskotekami gromadzili się spragnieni nocnych szaleństw klubowicze, którzy już na ulicy poruszali się seksownie w rytm dobiegających ze środka przebojów. Rozochoczone kobiety uśmiechały się zachęcająco do mężczyzn, z którymi chętnie zawierały znajomość. Wysoka temperatura powietrza i wypite wcześniej drinki podgrzewały już i tak

gorącą, pulsującą erotyzmem arabską noc.

W niezliczonych kafejkach, restauracjach, barach i klubach widać było roześmiane, skąpo ubrane, chętne do zabawy europejskie kobiety, a obok nich rozgrzane, muskularne, ciemne ciała egipskich mężczyzn.

Nadmorski kurort kipiał namiętnością.

Rozdział V

Romantyczny habibek

Przystojny kelner przyniósł trzy kolorowe drinki i postawił je na kawiarnianym stoliku.

– Wasze zdrowie, dziewczyny! – Iwona wzniosła toast. – Mam nadzieję, że dzisiaj będziecie się lepiej bawić.

Ula i Sara podniosły swoje kieliszki do góry, stuknęły się z Iwoną i pociągnęły parę łyków. Iwona wypiła swojego drinka do dna, zawołała kelnera i zamówiła jeszcze raz to samo.

Poprzedniego wieczoru Sara zmęczona długim chodzeniem weszła do pierwszego z brzegu klubu, z którego rozbrzmiewała głośna muzyka. Lokal nie był wielki, więc na parkiecie było tłoczno i prawie wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Sara rozejrzała się po sali i w zaciemnionym rogu znalazła jedno wolne krzesło. Kiedy podeszła bliżej, okazało się, że przy okrągłym stoliku siedzi już samotnie młoda kobieta.

– Mogę się dosiąść? – zapytała Sara po angielsku.

– Proszę, siadaj – odpowiedziała kobieta w tym samym języku.

Miły głos wydał się Sarze znajomy.

– Chyba leciałyśmy z Polski tym samym samolotem? – Tym razem Sara usłyszała język polski.

Sara przyjrzała się bliżej kobiecie i rozpoznała w niej jedną ze współpasażerek, które siedziały za nią. Po wylądowaniu, kiedy wszyscy czekali na otworzenie drzwi samolotu i wyjście z niego, kobieta parę minut stała tuż obok niej.

– A, tak, rzeczywiście. Sara jestem.

– Ula – przedstawiła się kobieta.

– Miło mi.

– Mnie też.

Przez chwilę Sara i Ula siedziały w milczeniu.

– Idę do baru po drinka, przytrzymasz mi to miejsce? – Ula wstała z krzesła.

– Jasne.

– Przynieść ci drinka?

– Jeśli możesz...

– A co chcesz?

– Może campari z sokiem pomarańczowym.

– Dobrze.

Ula wróciła dopiero po dłuższym czasie.
– Proszę. – Postawiła szklankę przed Sarą.
– Dziękuję.
Dziewczyny sączyły powoli drinki i nic nie mówiły.
– Nie tańczysz? – po parunastu minutach zagaiła Ula.
– Jakoś nie mam ochoty. – Sarze nadal nie dopisywał humor.
– Ja też nie – powiedziała Ula. – Moja przyjaciółka namówiła mnie na ten wyjazd, ale teraz nie wiem, czy to był dobry pomysł.
– Dlaczego?
– Bo ona by tylko szalala z tym swoim Chalidem, to jej tutejszy facet, a mnie ciągle zostawia samą.
– To niefajnie.
– No nie. Tym bardziej że wcześniej miałam plany, żeby jechać do Tunezji, bo chciałam trochę pozwiedzać, coś nowego zobaczyć, ale pod wpływem Iwony, tak ma na imię moja przyjaciółka, zmieniłam je. I teraz chyba żałuję.
– Dlaczego?
– Jakoś nie mam nastroju do zabawy. Niedawno rozstałam się z chłopakiem.
– A długo z nim byłaś?
– Trochę ponad rok.
– To jest kawałek czasu.
– No tak. – Ula głęboko westchnęła. – I wiesz, ja chyba nadal coś do niego czuję, bo mi go bardzo brakuje.
– To przykre.
– Widzisz, ty to rozumiesz, a Iwona, gdy tylko wspomnę o Krzysztofie, to mój były chłopak, to na mnie wrzeszczy, żebym natychmiast o nim zapomniała, bo on nie jest mnie wart. A to nie jest takie proste.
– Rozumiem. – Sara przypomniawszy sobie, jak dzień i noc marzyła o Oskarze.
– I Iwona mnie krytykuje, a sama nie jest lepsza...
– Jak to?
– Jest zupełnie zaślepiona, jeśli chodzi o Chalida. Facet ciągnie z niej kasę, ile się da, a ona tego nie widzi.
– Naprawdę? – zdziwiła się Sara.
– No, mówię ci, dokładnie tak jest. Tylko że Iwona wierzy w te jego ciągle dziwne opowiadki...
– Jakie opowiadki?
Ula spojrzała na puste szklanki.
– Jeszcze po drinku?
– Chętnie. To teraz ja stawiam. – Sara podała Uli pieniądze.
– Dziękuję. Zaraz wracam.
Po kilku minutach Ula pojawiła się z nowymi koktajlami.

– Straszny tłok przy tym barze! – powiedziała zadyszana. – Ledwie się dopchałam.

Usiadła i wzięła parę głębszych oddechów.

– Ależ tu gorąco! – stwierdziła.

Do stolika podeszła przyjaciółka Uli.

– O, widzę, Ula, że sobie towarzystwo znalazłaś! – Iwona z zaciekawieniem spojrzała na Sarę.

– To jest Sara. – Ula przedstawiła nowo poznaną koleżankę. – Leciała z nami z Polski tym samym samolotem.

– Iwona! – Dziewczyna kiwnęła głową w stronę Sary.

– A gdzie Chalid? – spytała Ula.

– Poszedł do baru. – Iwona nie miała gdzie usiąść, ale jej to wcale nie przeszkadzało i lekko podrygiwała w takt muzyki.

– A wy, dziewczyny, co? – Iwona zaczęła zmysłowo kręcić biodrami, bo właśnie zabrzmiał porywający przebój. – Co tak tu smętnie siedzicie? Chodźcie potańczyć! *Habibi, I love you, I need you, Habibi, Ghannili wa Khallini Ma'ak* – zaczęła z zapalem nucić Iwona. – Wow! – krzyknęła rozochociona. – Lecę do Chalida, on uwielbia, jak tańczę do tej piosenki!

Klubowicze na parkiecie oszaleli. Niezwykle popularny przebój marokańskiego wokalisty Ahmeda Chawkiego, który razem z nim wykonywał również znany amerykański raper kubańskiego pochodzenia Pitbull, idealnie łączył zarówno w słowach, jak i w rytmach kulturę arabską i zachodnią. Rozbawione międzynarodowe towarzystwo na całe gardło powtarzało słowa refrenu *Habibi, I love you*, wodząc roziskrzonymi oczami za partnerami i partnerkami. Europejki w seksownych ruchach zachęcająco kręciły się wokół smagłych mężczyzn, którzy z wielkim uczuciem śpiewali dla nich arabskie fragmenty piosenki. Arabowie wychowani w restrykcyjnym społeczeństwie, w którym separacja płci była na porządku dziennym, nawiązanie legalnych kontaktów seksualnych przed ślubem niemożliwe, a zobaczenie chociaż skrawka kobiecego ciała nierealne, tu znajdowali się w otoczeniu prawie gołych kobiet prowokujących ich każdym ponętym ruchem czy gestem. A białe kobiety – Polki, Rosjanki, Brytyjki, Niemki i inne – które w ojczystych krajach ze względu na swoją nie najciekawszą urodę, średni wiek czy sporą tuszę były przezroczyste, tu postrzegane były jako zniewalające hurysy, boginie seksu. Egipscy kochankowie pełnymi pożądaniami, ciemnymi oczami wprost pożerali je wzrokiem i zmysłowo je adorując, szeptali im do ucha czułe słówka. To był raj.

– Nawet lubię tę piosenkę – powiedziała Ula, przekrzykując rozśpiewany tłum.

– Ja też – odkrzyknęła Sara, przypominając sobie, jak przebój ten rozpalał na imprezach u Farah kuwejckie *boyat* i *ladyat*.

– Chalid nam mówił, że arabski tekst zawiera piękne słowa o miłości. – W oczach Uli pojawiła się tęsknota za jej byłym chłopakiem.

– Zaśpiewaj dla mnie i pozwól mi zostać z tobą, kochanie, kocham cię, potrzebuję cię, kochanie, chcę być stopiony przez ogień twojej miłości – przetłumaczyła Sara.

– Znasz arabski? – zapytała Ula.

– Tak. Mój ojciec jest Kuwejczykiem – wyznała Sara.

– To ciekawe. A mieszkasz w Kuwejcie czy w Polsce?

– W Kuwejcie.

– I jak tam jest?

– Ach, dużo by opowiadać... – westchnęła Sara.

– A słowa piosenki rzeczywiście ładne – stwierdziła Ula.

– Tak, to prawda – przyznała Sara. – Jest jeszcze: „To wystarczy, jak bardzo oszalałem dla ciebie, mam nadzieję, że pozwolisz mi zostać przy tobie” i „Pokażę ci wszelkie szczęście. I polecimy, ja i ty”.

– Piękne... – rozmarzyła się Ula. – Bo Krzysztof... – W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

– Nie przejmuj się tak. – Sara ze współczuciem spojrzała na koleżankę. Sama wiedziała, jak jest trudno, kiedy duszę owiewają czarne tumany smutku i nic i nikt nie jest w stanie ich przepędzić.

– A co z tymi opowiastkami Chalida, o których wspomniałaś? – Teraz Sara wcieliła się w rolę pocieszycielki i próbowała odciągnąć myśli Uli od Krzysztofa.

– Słuchaj, przecież to od dawna wiadomo, że ci wakacyjni Egipcjanie to straszni finansowi naciągacze i...

– Jak to naciągacze? – Dla Sary wychowanej w bogatym kraju Zatoki Perskiej to zjawisko było zupełnie nowe. To przecież arabscy mężczyźni mieli obowiązek łożyć na kobietę.

– Mówiąc krótko, podrywają kobiety dla kasy... – wyjaśniła Ula. – Wiesz, w Egipcie bieda, dla tych chłopaków pracujących za grosze jako kelnerzy, masażyści, tragarze, kierowcy czy inni pracownicy obsługi hotelowej dobry związek z Europejką to wygrana na loterii.

– A wiesz co? – zastanowiła się Sara. – Coś podobnego jest na Sri Lance. Tam tacy mężczyźni nazywani są *beach boys*.

– Co ty mówisz? – zainteresowała się Ula. – Czyli seksturystyka kwitnie.

– Na to wygląda.

– A ty byłaś na Sri Lance?

– Tak.

– A kiedy?

– Niedawno wróciłam.

– Super masz! Tak sobie podróżujesz... – Ula z podziwem spojrzała na nową

koleżankę. – Pozazdrościć! Ja kocham podróże! Ale wiesz, wolę takie objazdowe wycieczki, wtedy jest dużo ciekawiej. Dlatego wybrałam Tunezję, tam był taki fajny program, dużo zwiedzania... Ale już przepadło. Trudno, może kiedyś jeszcze pojedę.

– Na pewno.

– A wracając do Iwony... – Ula pociągnęła duży łyk ze szklanki z drinkiem.

– Kiedyś to mnie naprawdę wkurzyła!

– Dlaczego?

– Bo powiedziała... – Głos Uli się załamał. – Powiedziała, że Krzysztof to gbur i cham. – Jej oczy się zaszkliły. – A mój Krzyś wcale taki nie był! – na policzkach Uli znowu pojawiły się łzy.

Sara wyciągnęła z torebki chusteczki higieniczne i podała je dziewczynie.

– Proszę!

– Dziękuję. – Ula otarła policzki.

– I jeszcze do tego... – Ula była wdzięczna, że ktoś ją z uwagą słucha. – Ciągle paplała o tym swoim Chalidzie... A mój habibek to, a mój habibek tamto... Słuchać już tego nie mogłam!

– Też bym miała dość! – Sara powiedziała to z empatią.

– No właśnie, bo ile można! „A mój habibek wysyła mi codziennie rano takie słodkie esemesy” – Ula zaczęła przedrzeźniać głos Iwony. – „Kocham cię, jesteś jedyna, jesteś światłem moich oczu, jesteś księżycem, jesteś moim życiem”. I ciągle tylko porównywała go do Krzysia i pytała: „A kiedy Krzysztof powiedział ci ostatnio jakieś miłe słowo?”. No dobrze, może mój Krzyś był trochę szorstki, ale nie musiała tak ciągle o tym gadać. A gdy ten jej habibek co trochę prosił o kilkaset dolarów, to jakoś jej to nie przeszkadzało! Wszystkie oszczędności na niego wydała, a teraz to się nawet zapożyczyła, żeby tu do niego przyjechać!

– Ale wygląda na szczęśliwą – zauważyła Sara.

– Bo zupełnie oszalała na jego punkcie! Żebyś ty wiedziała, co się działo rok temu, kiedy go poznała! Po pierwszej spędzonej z nim nocy od razu do mnie rano zadzwoniła, i jak nie zacznie opowiadać o tym, co to ona z nim wyprawiała, a ja w pracy, trzy koleżanki w pokoju, szefowa obok, a Iwona o namiętnej nocy z Egipcjaninem. A wiesz, jakie teraz są telefony, wszystko słychać, a Iwona nawija, jakiego on ma długiego, mówię ci, na punkcie tej długości to do tej pory ma bzika, i że taki twardy, i oni pięć razy w nocy, na wszystkie sposoby, i że jeszcze takich numerków nie znała, i że mu ciągle stawał na jej widok, a ona jak odleciała, to w jakimś kosmosie się znalazła, mówię ci, uciszyć jej nie mogłam, ile ja się wstydu najadłam... – Uli z przejęcia aż zabrakło tchu.

Sara wierzyła bez cienia wątpliwości opowieściom Iwony, bo w willi Farah przekonała się, jak namiętne i wyuzdane potrafią być gorące arabskie noce. Dobrze, że Ula nie działała na nią tak, jak Hana...

– Muszę się napić. – Ula podniosła szklanę, ale widać było w niej tylko dno. – Zaraz wracam – rzuciła szybko, wstała od stolika i podążyła w stronę baru.

Sara popatrzyła na parkiet. Roznamiętnione pary tańczyły w rytm nastrojowej piosenki libańskiego wykonawcy Ragheba Alamy *Nassini al-dunia*, „Spraw, żebym zapomniał świat”. Wtulone w ramiona przystojnych mężczyzn kobiety z anielskim wyrazem twarzy poddawały się wolnym rytmom i delikatnym pieszczotom kochanków. Odpowiednio dobrana świetlna iluminacja otulała romantycznymi pulsami, przenosząc obecnych w krainę najskrytszych marzeń. Był on i była ona... I te silne fluidy między nimi... Mężczyźni szeptali, śpiewali, kochali... „Spraw, żebym zapomniał świat, spraw, żebym zapomniał ludzi, rozplęnę się przy tobie, kochanie, i spraw, żebym powiedział ci najpiękniejsze słowa, jeżeli przemierzę świat, i przemierzę wszystkie lądy, to niemożliwe jest znalezienie takiej miłości jak twoja”. Te tęsknoty i te pragnienia, i ta odnaleziona bliskość, tak zwiewna, jak pustynny powiew dalekiego wiatru, jak powłóczyście szaty baśniowej Szeherazady.

Ula postawiła przyniesione drinki na stole i wsłuchiwała się w rzewną melodię. Co chwilę jej oczy robiły się wilgotne, z pewnością wspominała miłe chwile przeżyte z Krzysztofem. Sara nie odzywała się, pozwoliła koleżance na chwilę intymności, na przeżycie rozstania i straty po swoim. Kiedy piosenka się skończyła, Ula jeszcze długo w milczeniu popijała swojego drinka.

Do pogrążonej we wspomnieniach Uli podeszła mocno już wstawiona Iwona.

– Ula, my wracamy do hotelu, a ty zostajesz czy idziesz?

– Wracam z wami – zdecydowała Ula. – Saro... – zwróciła się do nowej koleżanki. – Miło cię było poznać... I fajnie się gadało... Może spotkamy się gdzieś jutro?

– Chętnie – odpowiedziała Sara, bo też polubiła Ulę.

– To gdzie i kiedy?

– Ja mieszkam w hotelu Four Seasons, możesz przyjść do lobby.

– Dobrze, o której?

– Mnie jest wszystko jedno. O której chcesz?

– Nie wiem... Szósta po południu?

– Może być.

– To do zobaczenia jutro.

– Do zobaczenia.

Ula z przyjaciółką jeszcze stały przy stoliku, kiedy do Iwony podszedł niezwykle przystojny Egipcjanin, który z pociągłą, smagłą twarzą i nieco dłuższymi, ciemnymi włosami kojarzył się z atrakcyjnym Włochem. Chalid objął Iwonę silnym ramieniem i patrząc jej głęboko w oczy, zaczął nucić fragment następnego wielkiego przeboju Ragheba Alamy *Alby aesheqha*, „Moje serce ją

kocha”, który rozbrzmiewał w tym momencie w lokalu, doprowadzając klubowiczów do tanecznego obłędu. Chalid z ustami zbliżonymi do ust Iwony powtarzał słowa piosenki, tłumacząc je szybko na angielski. „Ona jest moją radością i jękiem, ona jest czymś najcenniejszym w moim życiu, ona jest moim życiem i moim wspomnieniem, ona jest moją miłością do szaleństwa”. Zafascynowana Iwona, chłonąc każde słowo kochanka, powtórzyła po arabsku ostatni fragment *hija hubbi li-l-dżunun*, „ona jest moją miłością do szaleństwa”. Chalid wyszeptał *li-l-dżunun*, do szaleństwa, Iwona zamruczała *li-l-dżunun*, do szaleństwa, i przez chwilę oboje powtarzali na zmianę *li-l-dżunun*, do szaleństwa, do szaleństwa, do szaleństwa... Nagle pod wpływem niepohamowanego impulsu kochankowie z żarem połączyli się ustami i zaczęli całować z niecierpliwą namiętnością, nie zważając na obecnych w klubie gości. Ula wymownie spojrzała w stronę Sary, unosząc do góry oczy.

Kiedy nowo poznani znajomi wyszli z lokalu, Sara jeszcze kwadrans posiedziała sama przy stoliku, aby dokończyć drinka.

Była już późna noc, wracała szybkim krokiem do swojego hotelu, nie zważając na sporadyczne zaczepki Egipcjan, którzy łamanym angielskim próbowali ją poderwać. Sara ostro i krótko rzucała w ich stronę po arabsku, żeby dali jej spokój, więc mężczyźni jak niepyszni znikali w egipskich ciemnościach.

Ostatni odcinek do hotelu Sara przebyła nadmorską promenadą. Noc była niezwykle nastrojowa, morze, szumiąc lirycznie, obmywało spokojnymi falami malowniczą plażę, widoczny księżyc świecił nisko nostalgicznym blaskiem, rozstawione wzdłuż chodnika lampiony rozpraszały mleczne światło, a w licznych kafejkach i restauracjach wciąż tętniło życie, kojąc swoich rozmarzonych gości sentymentalnymi arabskimi melodiami. Niektóre pary spacerowały przytulone brzegiem morza, oddając się całkowicie tej czarownej chwili. Widok młodych Egipcjan obejmujących czułym gestem Europejki w średnim wieku nie był niczym szczególnym.

* * *

Rozpowszechniony w ostatnich latach trend do zawierania przez Egipcjan małżeństw ze starszymi od siebie Europejkami, które poznawali najczęściej w takich kurortach jak Szarm el-Szejk czy Hurghada, w arabskiej prasie nazywany jest niekiedy *zawadz as-sijahi*, czyli „małżeństwem turystycznym”. Młodzi mężczyźni chętnie wdają się w romanse z europejskimi turystkami, zapewniając im pełne erotycznych rozkoszy noce i nasycone romantycznymi uniesieniami chwile, aby w zamian za to cieszyć się określonymi materialnymi i finansowymi profitami, które uzyskują od swoich wybranek. Dla wielu z nich związki te są ucieczką od biedy, zawodowej stagnacji i braku jakichkolwiek perspektyw na poprawę swojego losu.

Jednym z największych zmartwień kawalerów są trudności związane z założeniem przez nich rodziny. W tradycyjnym społeczeństwie egipskim rodziny kobiet stawiają wyolbrzymione warunki ewentualnym kandydatom na męża. Wciąż panuje przekonanie, że o wartości panny świadczy suma, którą mężczyzna wyda na zaręczyny, wesele i rozpoczęcie nowego życia. Najczęściej przekracza ona możliwości większości młodych mężczyzn, a rodzina kobiety zazwyczaj twardo trzyma się swoich warunków, gdyż świadczą one o jej prestiżu i pozycji społecznej.

Egipcjanin musi się liczyć z wydatkami sięgającymi nawet piętnastu tysięcy dolarów, które obejmują kupno pierścionka zaręczynowego i ciężkiej złotej biżuterii, opłacenie uroczystości weselnych oraz zapewnienie nowo poślubionej żonie odpowiedniego lokum wraz z częściowym wyposażeniem. Ale koszty te mogą być znacznie wyższe, jeżeli rodzina kobiety żąda na przykład kupna na własność apartamentu, w którym młodzi będą mieszkali po ślubie. Wtedy mężczyzna powinien mieć majątek idący w dziesiątki tysięcy dolarów – poza zasięgiem większości młodych ludzi, których pensja może nie przekraczać stu dolarów miesięcznie!

Pracujący w nadmorskich kurortach Egipcjanie z biednych domów, w których panują tradycyjne normy religijne i kulturowe, nagle znajdują się w luksusowym, rozbawionym, kolorowym świecie dyskotek, drinków i chętnych na przelotne romanse kobiet. Turystki natomiast, z dala od swoich zawodowych, rodzinnych i społecznych środowisk, wyzbywają się wszelkich ograniczeń i spełniają swoje egzotyczne erotyczne fantazje. I dobrze, jeżeli kończy się na opłaconej przez kobietę kilkutygodniowej podróży na latającym dywanie do krainy baśni. Gorzej, jeżeli kobieta po kilkuletnim związku lub małżeństwie zostaje ze złamanym sercem, pustym portfelem, a nierzadko też z ogromnymi długami. Bo jej *habibi* znalazł sobie łatwy sposób na zarobienie większych pieniędzy.

Na forach zachodnich tego typu związki określane są słowem „bezness” pochodzącym od angielskiego słowa *business*, które niekiedy w dość adekwatny sposób określa charakter tych relacji. Kobiety z Niemiec, Austrii i innych krajów europejskich opisują swoje tragiczne historie związków z Egipcjanami. Nawołują przy tym, aby ofiary podobnych dramatów też się ujawniały w celu ostrzeżenia innych kobiet przed potencjalnymi oszustami. Powstają listy imion i nazwisk wakacyjnych kochanków, którzy wykorzystali wiele kobiet. Mężczyźni, manipulując kobietami i ich uczuciami, potrafili naciągnąć je na olbrzymie sumy pieniędzy, na które one zaciągały nawet kredyty bankowe. Jeżeli dochodziło do formalnego małżeństwa i Egipcjanie przyjeżdżali do Europy, mogli namawiać swoje żony do kupna nieruchomości lub założenia biznesu, których automatycznie stawali się współwłaścicielami. Później, stosując różne sztuczki, spieniężali wspólne własności i znikali. Kobiety zostawały z niczym, a niekiedy również

z długami. Smutne jest to, że kobiety piszą o wielkiej miłości do swojego wybranka i niewyobrażalnym cierpieniu, które on im na koniec zadał.

Mimo że fora te istnieją od lat, a historii są dziesiątki, o ile nie setki, to kobiety wciąż i wciąż dają się uwieść egzotycznym kochankom. Bo oni przede wszystkim potrafią mówić. I nie przeszkadza to, że ich angielski nie jest perfekcyjny, a te same frazy powtarzane do znudzenia. Jesteś moim życiem. Twoje oczy są jak gwiazdy. Jesteś idealna, tęsknię za tobą. Masz najpiękniejsze ciało. Będę cię kochał do końca swojego życia. Jesteś jedyna. I kobiety czują się adorowane, wielbione, pieszczone. Kochane.

Niekiedy arabska prasa przedstawia zupełnie inny obraz „małżeństwa turystycznego”. Pisze o tym, że młodzi mężczyźni sprzedają swoje ciała, aby uciec przed biedą i bezrobociem. Żyją w przekonaniu, że małżeństwo z cudzoziemką pozwoli im w przyszłości zbudować dom i kupić samochód. A nawet założyć rodzinę z Egipcjanką, bo na to również gromadzą środki uzyskiwane od swoich europejskich żon. Aby uniknąć codziennej bezradności i beznadziei, w desperacji wystawiają się na sprzedaż jak seksualni niewolnicy za tysiąc czy dwa tysiące dolarów w nadziei, że taka transakcja pozwoli im na lepszy byt. Niektórzy marzą o wyjeździe z Egiptu i uzyskaniu obcego obywatelstwa. Ale to nie zawsze jest proste i formalności mogą trwać latami. A czasem, nawet jeśli uda im się wyjechać do kraju żony, to finał też może być nie taki, jak sobie wymarzyli. Porzuceni przez żony i zmuszeni do powrotu do Egiptu, nie mają możliwości zobaczenia swoich dzieci, z którymi była żona ogranicza kontakty.

Arabskie gazety rozpisują się również o negatywnych społecznych skutkach relacji z cudzoziemkami. Do nich należy rozpowszechnianie się wielu chorób, takich jak syfilis czy AIDS. Zwraca się również uwagę na to, że bardzo wyraźny wzrost liczby zawieranych małżeństw Egipcjan z kobietami spoza ich kraju przyczynia się do zwiększenia grupy Egipcjanek, które zostają pannami.

Czasami przytacza się historie szczęśliwych mieszanych małżeństw. Cytuje wypowiedzi mężczyzn, którzy z wielu względów, i to nie materialnych, woleli pojąć za żonę cudzoziemkę. Według niektórych Egipcjan cudzoziemki są mądrzejsze i bardziej otwarte od Egipcjanek, więc związek z nimi daje możliwość ciekawszego, pełnego nowych idei i wydarzeń życia. „Egipcjanki po ślubie tylko gotują i jedzą. I tyją” – to stwierdzenie powtarza się wielokrotnie. Cudzoziemska żona może być natomiast dużo bardziej interesująca i zabawna. W małżeństwie można korzystać z bogactwa obu kultur i włączać do codziennego życia te elementy, które odpowiadają obu stronom.

Są i tacy, którzy kwestionują też skostniałe tradycje, które obligują mężczyzn do wydawania dużych pieniędzy na ślub z Egipcjanką. Mężczyźni nie chcą być postrzegani przez kandydatkę na żonę i jej rodzinę tylko przez pryzmat swoich możliwości finansowych, a nie tego, co w rzeczywistości sobą reprezentują.

Egipcjanie często w wywiadach podkreślają ogromną miłość do swoich cudzoziemskich żon i nawet różnica wieku nie ma dla nich najmniejszego znaczenia. Powołują się na proroka Muhammada⁹, który uważany jest za wzór idealnego męża. Prorok był niezwykle oddany i wierny swojej pierwszej żonie, Chadidży, pięknej księżniczce Kurajszytów, starszej od niego o prawie piętnaście lat. Nawet po jej śmierci wspominał ją z wielką czcią i estymą. Darzył Chadidżę miłością tak wielką, że jego późniejsza ukochana żona, śliczna Aisza, była bardzo zazdrosna o pierwszą, zmarłą żonę.

Z drugiej strony kobiety z Europy lub ze Stanów podkreślają, że otrzymują od arabskich mężów dużo ciepła, słodkich słów i czułych gestów. Porównują ich do mężczyzn ze swoich krajów – zdystansowanych, pełnych rezerwy i mało uczuciowych. Egipcjanie potrafią natomiast dać wybrance mnóstwo uwagi i adoracji, a tym samym w pełni zaspokoić jej potrzeby emocjonalne. Ciekawe jest to, że na forach internetowych, na których młodzi Egipcjanie ogłaszają się, wyrażając chęć poznania Europejki, w tym również w celach matrymonialnych, często w informacjach o sobie na pierwszym miejscu stawiają „romantyczny”, przed takimi przymiotami jak: wykształcony, dobrze zbudowany albo znający kilka języków. To obrazuje, jak bardzo są świadomi tego, czego tak naprawdę kobiety szukają w ramionach egzotycznych kochanków.

Każdego roku w Egipcie są zawierane tysiące małżeństw z cudzoziemkami. Można się zastanawiać, czy wszystkie te związki należy traktować w kategoriach biznesu. I czy zawsze jest to tylko konkretna wymiana handlowa, w której ona kupuje jego ciało i miłe słówka, a on życie, o którym bez niej nie mógłby nawet marzyć. Czy może ta osiągnięta pod wpływem najgłębszych i najmocniejszych pragnień bliskość kobiety i mężczyzny mogła się przerodzić w miłość, a może taka była od samego początku. Chyba trudno to z zewnątrz oceniać. Jaka jest prawda, wiedzą tylko on i ona.

W Egipcie powszechnie praktykowany jest jeszcze inny rodzaj małżeństw, który również określa się mianem „małżeństwa turystycznego”. I o ile zawieranie małżeństw Egipcjan ze starszymi od nich Europejkami dotyczy dorosłych ludzi, którzy samodzielnie podejmują swoje decyzje, o tyle ten drugi proceder, w którym udział biorą, i to często wbrew swej woli, młode dziewczyny lub wręcz dziewczynki, można nazwać handlem ludźmi lub dziećmi.

Co roku Egipt odwiedza tysiące mężczyzn z bogatych krajów Zatoki Perskiej, w większości z Królestwa Arabii Saudyjskiej, ale też z Kuwejtu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Przyjeżdżają dla rozrywki i zaspokojenia swoich seksualnych chuci, więc na okres pobytu szukają żon, które umiliłyby im wypoczynek. Zawierają z nimi krótkotrwałe „małżeństwa turystyczne” lub jak to nazywają inni, „małżeństwa wakacyjne”.

W tym wyjątkowo odrażającym zjawisku udział bierze wiele osób, w tym

ciąg pośredników, który prowadzi do rodzin, ojców lub matek sprzedających swoje córki bogatym Arabom z Zatoki Perskiej. Paru arabskim stacjom telewizyjnym udało się, za pomocą prowokacji i ukrytych kamer, nakręcić materiały na ten temat i wyłaniający się z nich mechanizm przeraża swoją bezduszną i okrucieństwem.

Bogacze, zazwyczaj są to starsi mężczyźni grubo po sześćdziesiątce, na początku rozmawiają z pierwszym w łańcuszku stręczycielem, który może być na przykład kierowcą taksówki lub pracownikiem luksusowego hotelu. Wtedy zainteresowany wyraża tylko chęć zawarcia małżeństwa, nie podając szczegółów dotyczących przyszłej żony. Zostaje zapewniony, że niedługo dostanie kontakt do następnej osoby, dzięki której otrzyma taką żonę, o jaką tylko poprosi.

Po pierwszej rozmowie telefonicznej z następnym pośrednikiem najczęściej dochodzi do osobistego z nim spotkania. Na tym etapie zainteresowany przedstawia swoje dokładne wymagania co do przyszłej żony. Mężczyźni z Arabii Saudyjskiej najczęściej proszą o bardzo młodą dziewczynę, niekiedy nawet jedenastoletnią dziewczynkę. Inni szukają dziewczyn w wieku od piętnastu do osiemnastu lat. Określany jest też czas, na który zawierane jest małżeństwo. Może to być zaledwie parę dni, tydzień, dwa, trzy tygodnie, miesiąc lub więcej. Każde wymaganie bogacza zostanie spełnione, wystarczy je tylko wypowiedzieć. Kiedy wszystkie detale dotyczące wyglądu żony, czasu trwania małżeństwa i jego ceny zostaną omówione, zostaje ustalenie terminu prezentacji kandydatek i wybór odpowiedniej.

Na tym etapie następnym pośrednikiem może być kobieta, która zajmuje się werbowaniem dziewcząt i rozmowami z jej rodziną. Określonego dnia do jej willi lub apartamentu przychodzą dziewczyny, najczęściej z matkami, aby mężczyzna mógł sobie wybrać spośród nich żonę.

Ten moment, ujawniony przez różne arabskie stacje za pomocą ukrytych kamer, był najbardziej wstrząsający. Do salonu wchodził starszy mężczyzna, którego wylewnie witali pośrednicy oraz prawnik, jeżeli również był obecny. Po wymianie paru grzecznościowych zdań do pokoju wprowadzano kilka, kilkanaście, a nawet dwadzieścia dziewcząt, aby zainteresowany mógł je sobie dokładnie obejrzeć. Mężczyzna z obleśnym mlaskaniem, niecnym uśmiechem i występny blyskiem w oku głośno wyrażał opinię na temat poszczególnych kandydatek. Urywane rozmowy toczyły się tylko między mężczyzną a pośrednikami. Dziewczęta traktowane były przez obie strony jak towar wystawiony na sprzedaż i nic nie mówiły, tylko od czasu do czasu na żądanie zainteresowanego lub sprzedających obracały się, aby mężczyzna mógł im się dokładnie przyjrzeć. Po kilkunastu minutach mężczyzna wybierał swoją żonę, która zostawała w pokoju, a pozostałe dziewczęta go opuszczały. Następowoło podpisanie aktu małżeństwa przy udziale prawnika, a następnie przekazanie pieniędzy. Dziewczyna należała już

w tym momencie do zupełnie sobie nieznanego mężczyzny, który niejednokrotnie mógłby być jej dziadkiem. Uczestnicy tego haniebnego procederu z zaangażowaniem gratulowali mężczyźnie udanego ożenku.

Akt małżeństwa... Tak nazywany, a w rzeczywistości nic niewart kawałek papieru, który ma z olbrzymią dozą hipokryzji uspokoić sumienia wyznawców islamu, w którym pozamałżeńskie stosunki seksualne uważane są za jeden z największych grzechów. Zawierane przez arabskich bogaczy małżeństwo może mieć dwie formy. Jedną z nich jest *zawadż urfi*, tak zwane małżeństwo zwyczajowe, nazywane też nieoficjalnym, gdyż nie jest rejestrowane w żadnym urzędzie. Kiedy mężczyzna znudzi się swoją młodą żoną, może po prostu podrzeć akt małżeństwa i nie ponosi żadnych konsekwencji zawartego wcześniej związku. Związek zawiera się też czasami w formie *zawadż mut'a*, uznawanego tylko przez szyitów „małżeństwa dla przyjemności”, w którym określa się czas jego trwania – nawet jeden dzień. Po upływie określonego w akcie terminu małżeństwo automatycznie ulega rozwiązaniu.

Cena za żonę może się wahać od pięciu tysięcy egipskich funtów, co stanowi równowartość około dwustu sześćdziesięciu dolarów, do stu pięćdziesięciu tysięcy funtów, czyli prawie ośmiu tysięcy dolarów. Sumy te dla mężczyzn z krajów Zatoki Perskiej są śmiesznie niskie. Zarobek dzieli się zazwyczaj po jednej trzeciej między pośredników, prawnika i rodzinę dziewczyny. Ona sama z reguły nie ma z tego nic.

Wartość żony zależy od jej wieku, urody i oczywiście tego, czy jest dziewczyną, czy nie. Dzieci bywają wielokrotnie wydawane za mąż. Często pochodzą z biednych wiosek, których mieszkańcy cierpią wielką biedę. Sprzedawanie dziewczynek jest sposobem na zarobienie pieniędzy i wyżywienie ich liczego rodzeństwa.

Trudno się zatem dziwić, że ustanowione w grudniu dwa tysiące piętnastego roku przez egipskie Ministerstwo Sprawiedliwości prawo, które stanowi, że każdy cudzoziemiec, który chce pojąć za żonę Egipcjanek młodszą od niego o dwadzieścia pięć lat, musi zdeponować w banku na jej imię sumę pięćdziesięciu tysięcy funtów egipskich, spotkało się z ogromną falą krytyki. Organizacje praw człowieka grzmiąły, że jest to usankcjonowanie prostytucji oraz handlu ludźmi. Egipskie instytucje broniące praw kobiet wprost mówiły, że jest to forma zalegalizowania niewolnictwa polegająca na sprzedaży egipskich dziewcząt bogatym Arabom, szczególnie z krajów Zatoki Perskiej. Proceder ten, tak uwłaczający dla Egipcjanek, miał zapewnić tylko kilka nocy seksualnej przyjemności wykorzystującym je mężczyznom. Krytycy nowego prawa zauważali, że pośrednicy, którzy powinni się wstydzić swego procederu, teraz mogli go uprawiać w świetle dziennym, bo istnieje prawo, które to dopuszcza.

Przy okazji tej dyskusji opisywane były wstrząsające przypadki niewinnych

dziewcząt, które sprzedane przez swoich ojców w celu krótkotrwałego seksualnego wykorzystywania ich przez obcych mężczyzn, potem przez lata nie mogły otrząsnąć się z doznanego upokorzenia oraz ogarniającego ich poczucia obrzydzenia. Samo słowo „małżeństwo”, które wcześniej kojarzyło się im z czymś pięknym, teraz wywoływało powracającą falę nienawiści. Dziewczęta czuły, że ich ciała zostały złożone w ofierze dla poprawienia bytu ich rodzin. Trauma z tym związana była tak wielka, że nie mogły już nigdy wrócić do normalnego życia.

Przedostające się z różnych źródeł fakty związane z tym odstręczającym procederem szokowały opinię publiczną. Mówiono o dzieciach, które wychowywane przez młode porzucone matki były pozbawione wszelkich praw i prawdopodobnie nigdy nie poznają swoich ojców. Mówiono o pośrednikach, którzy sami żenili się z dziewczętami, aby mając nad nimi pełną władzę, móc je później wielokrotnie sprzedawać, nie dzieląc się przy tym profitami z ich rodzinami. Mówiono o biznesmenie, który trzy dni po ślubie przyprowadził do żony jednego ze swoich kontrahentów i zmusił ją, aby go seksualnie zadowolila. Mówiono o bogatych Arabach, którzy wybierali dwie, a nawet trzy dziewczyny równocześnie. Mówiono o kolegach, z których każdy ożenił się z inną Egipcjanką, po czym zamieszkali w jednym apartamencie, a następnie wymieniali się żonami, ustalając wcześniej, który z nich którą w tym momencie bierze. Mówiono o Arabie, który przyszedł obejrzyć dziewczynę jako kandydatkę na żonę, a następnie, zobaczywszy towarzyszącą jej urodziwą matkę, ożenił się z obiema. Przerazająca skala uwłaczającego, przedmiotowego i nieludzkiego traktowania kobiet zdawała się nie mieć granic.

* * *

Sara szła promenadą i zastanawiała się nad słowami Uli, która wspomniała o dziwnych opowiadkach Chalida. Musiała przyznać, że para prezentowała się wspaniale – Iwona i jej Egipcjanin wyglądali tak, jakby byli dla siebie stworzeni. Łączące ich wzajemne ogromne zafascynowanie i gorąca namiętność były widoczne gołym okiem. Ale Ula wspomniała o tym, że Chalid wyciąga od Iwony pieniądze. Czy rzeczywiście jest z nią tylko dla dóbr materialnych? I czy Iwona jest jego jedyną dziewczyną? Po doświadczeniach z Oskarem, który jednocześnie interesował się nią i przebojową Libanką, Daną, wiedziała już, jak niewierni potrafią być mężczyźni.

– Saro, gdzie ty byłaś tyle czasu?! – Ciocia Agnieszka nie spała, tylko czekała na siostrzenicę męża w salonie. – Martwiłam się o ciebie.

– Wstąpiłam do klubu, ciociu – wyjaśniła Sara.

Ciocia badawczo przyjrzała się siostrzenicy i zauważyła, że Sara jest po paru drinkach.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak, ciociu.
– Na pewno?
– Na pewno, ciociu.
– Nic nie mówiłaś, że wrócisz później. Następnym razem chociaż powiedz nam, że gdzieś wychodzisz.
– Dobrze, ciociu.
– I tak sama po nocy, dziecko, wracasz. To może być niebezpieczne. – Ciocia Agnieszka była pełna obaw o Sarę.
– Nie jest. Wszędzie pełno ludzi. – Sara miała dość wymówek cioci. – Idę spać, ciociu, jestem zmęczona. Dobranoc.

– Dobranoc.
Wujek Andrzej, słysząc głosy w salonie, wyszedł ze swojej sypialni.
– I co, Aguś, Sara wróciła – bardziej stwierdził, niż zapytał.
– Tak.
– Mówiłem ci, Aguś, że nie ma się czym martwić. A gdzie była?
– W jakimś nocnym klubie.
– Normalne, Aguś, młoda jest, zabawić się chce.
– Ale w Polsce jakoś nie ciągnęło jej do klubów... – Ciocię Agnieszkę coś niepokoiło w zachowaniu Sary.
– Bo u nas w miasteczku nic ciekawego nie ma. A tu kurort...
– Mimo wszystko... W Polsce wołała ciszę, spokój... Godzinami mogła sama siedzieć pod jabłonką... Dla mnie, Jędrus, Sara jest jakaś taka... taka niestabilna – wyraziła swoje zdanie ciocia Agnieszka.
– Ach, Aguś, przesadzasz. – Wujek Andrzej nie podzielał opinii żony. – Chodź już, połóż się, środek nocy jest. A wiesz, ten klub nurkowania to nawet mi odpowiada, bo...

Następnego dnia Sara spała do południa, a później została w swoim pokoju, do którego poleciła obsłudze hotelowej przynieść sobie obiad. Ciocia Agnieszka zaglądała do niej parę razy, ale Sara udawała, że śpi. Dopiero po południu zamieniła z ciocią kilka słów i poinformowała ją, że może wrócić późno, bo wychodzi z koleżanką.

– Z jaką koleżanką? – Ciocia Agnieszka była ciekawa.
– Z Ulą, spotkałam ją wczoraj w klubie, leciała z nami samolotem z Polski.
– Aha, tylko uważaj na siebie, szczególnie gdy wracasz w nocy. Nigdy nie wiadomo, na kogo się natkniesz – przestrzegła ciocia.
– Dobrze, ciociu.

Przed szóstą Sara wzięła prysznic, ubrała się w turkusową, dopasowaną sukienkę przed kolana, włożyła jasne szpilki na wysokich obcasach, ozdobione błyszczącymi kamyczkami, i dobrała do nich niewielką torebkę w tym samym kolorze. Rozpuściła długie ciemne włosy i skropiła się perfumami o intensywnym

zapachu. Spojrzała w lustro i zadowolona z siebie udała się do lobby na spotkanie z Ulą.

– Cześć, świetnie wyglądasz! – Ula przywitała koleżankę.

– Cześć, dziękuję, ty też. – Sara odwzajemniła komplement.

Ula była niewysoką szatynką ze stylowo ściętymi krótkimi włosami i miłą buzią.

– To gdzie idziemy? – zapytała Sara.

– Iwona powiedziała, że do nas dołączy z Chalidem, umówiliśmy się w bardzo fajnej kafejce przy nadmorskiej promenadzie. Ale oni przyjdą dopiero później, więc będziemy miały czas, żeby same pogadać – powiedziała Ula.

– OK, świetnie. – Sara też chciała być sama z Ulą, a nie patrzeć na pełną gorących uczuć parę, która przywoływała jej rozbudzone, a niespełnione pragnienia.

Dziewczyny wolnym krokiem przemierzały promenadę zaczepiane od czasu do czasu przez Egipcjan. Sara niezmiennie spławiała ich po arabsku, z czego Ula była bardzo zadowolona.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię poznałam! – wykrzyknęła w pewnym momencie. – Bo sama nie dawałam sobie z nimi rady. Już nie wiedziałam, jak z nimi postępować. Jak nic nie mówiłam, to niezrażeni szli za mną cały czas, usiłując nawiązać kontakt. A jeśli powiedziałam chociaż jedno zdanie, nawet takie, że nie jestem zainteresowana żadnymi znajomościami, to od razu uznawali to za wstęp do dalszej rozmowy. Nigdy nie odpuszczali.

Wychowana w restrykcyjnym arabskim kraju Sara doskonale wiedziała, że dla Arabów spacerująca w miejscu publicznym w wyzywających ciuchach kobieta była tylko łatwą, szukającą seksu dziwką.

Dziewczyny dotarły do położonej tuż nad morzem klimatycznej kafejki, usiadły przy stoliku i zamówiły drinki.

– Wiesz, bo ja nie wiem, co zrobić z Krzysiem. – Widać było, że Ulę coś bardzo nurtuje.

– Przecież mówiłaś, że już się z nim rozstałaś – przypomniała Sara.

– Tak, ale...

– A kto skończył, ty czy on?

– Ja...

– Dlaczego?

– Bo ciągle oglądał się za innymi laskami. Nienawidziłam tego.

Sara bardzo dobrze to rozumiała. Pamiętała niemożliwą do przezwyciężenia, kłującą w sercu zazdrość, kiedy tylko Oskar zbliżał się do Dany.

– To potrafi bardzo boleć – stwierdziła smutno Sara.

– Tak, nie było łatwo. – Ula z sympatią spojrzała na koleżankę, która tak dobrze ją rozumiała.

– A rozmawiałaś z nim na ten temat?

– Tak, wiele razy.

– I co?

– I nic... Według niego nic takiego się nie działo.

– Jak to?

– Zaklinał się, że jest mi wierny i to jest najważniejsze. A że na imprezie zatańczy z tą czy inną dziewczyną, to nie ma żadnego znaczenia.

– No tak, typowe męskie myślenie.

– Tylko bardzo dla mnie przykre... Więc w pewnym momencie, gdy ostatnią imprezę prawie całą przetańczył z innymi, a do mnie podchodził tylko czasami, jakby z grzeczności, takie miałam wrażenie, to stwierdziłam, że dość, ja tego dłużej nie zniosę.

– I wtedy z nim zerwałaś?

– Tak, powiedziałam mu, że to nie ma sensu. I że jeśli chce się bawić, to proszę bardzo, tylko beze mnie.

– I co on na to?

Ula wypila prawie całego drinka i z szeroko otwartymi oczami przysunęła się do Sary.

– W ogóle nie rozumiał, o co mi chodzi! Wyobrażasz sobie! – Ula wychyliła do końca szklankę. – Ja siedzę jak głupia prawie całą imprezę sama jak ten kolek, a on nie wie, o co mi chodzi!!! I wiesz, co było najgorsze?! – Ula gestem dała znak kelnerowi, żeby przyniósł następne drinki. – Że on naprawdę niczego nie rozumiał! Jeszcze mi zrobił awanturę, że wszczynam aferę z niczego! Więc mu powiedziałam, że w takim razie w ogóle nie mamy o czym rozmawiać, i wyszłam.

– I dobrze zrobiłaś.

– A on wtedy zaczął do mnie wydzwaniać, przeproszać i zapewniać, że to się już więcej nie powtórzy. Mówił, że mu bardzo na mnie zależy i takie tam... Nawet jak na niego to był bardzo miły.

– A ty co na to?

– Nie dałam się przekonać, tylko... – Ula zamilkła na chwilę i zaczęła saczyć następnego drinka przyniesionego przez kelnera.

– Tylko co? – spytała Sara.

– Wydawało mi się, że dalej nie dam rady... To znaczy, że jeśli on dłużej będzie mnie przekonywał, żebyśmy jeszcze raz spróbowali, to się w końcu zgodzę. I dlatego chciałam wyjechać. – Ula pociągnęła następny spory łyk. – Wybrałam Tunezję ze względu na program, ciągle w ruchu z miasta do miasta, nie miałabym czasu myśleć. Ale Iwona wyciągnęła mnie do Egiptu. A teraz...

– Co teraz?

– Już sama nie wiem... Ciągle wysyła mi esemesy... A dzisiaj dostałam to. – Ula otworzyła telefon. – „Ula, nie mogę bez ciebie żyć. Twój Krzyś” – przeczytała

drżącym głosem. – I co ja mam teraz zrobić? – Ula pytająco spojrzała na koleżankę.

Sara nie wiedziała, co doradzić Uli. Z jednej strony ewidentnie facet zachowywał się źle, ale z drugiej strony widać było, że Uli na nim bardzo zależy. A jeżeli w grę wchodzi prawdziwe uczucie...

– Kochasz go? – zapytała Sara.

Ula nic nie powiedziała, ale po jej policzku spłynęły duże łzy. W tym momencie do koleżanek podeszła Iwona.

– Cześć! – Spojrzała na Ulę i wykrzywiła się z niesmakiem. – A ty pewnie znowu zanudzasz kogoś opowieściami o Krzysztofie. Ostrzegam cię, Saro, zamęczy cię tym.

Ula wstała pospiesznie, ocierając łzy, i szybko odeszła od stolika. Iwona wydała się Sarze zbyt obcesowa. W końcu każdy ma prawo do swoich osobistych przeżyć.

– Saro, w ogóle jej nie słuchaj. Pewnie ci mówi, jaki Krzysztof był wspaniały... A to taki gburowaty typ – stwierdziła Iwona.

Sara pomyślała, że Iwona jednak nie zna dobrze swojej koleżanki.

– A gdzie twój facet? – zapytała Sara.

– Przyjdzie później, jego mama jest chora.

Sara zastanowiła się, czy to nie jest jedna z tych opowiastek, o których wspomniała Ula.

– A ty masz kogoś? – Iwona była ciekawa.

– Nie.

– Tu jest tylu wspaniałych mężczyzn, na pewno kogoś sobie znajdziesz. – Iwonie wydawało się, że pocieszyła Sarę.

Ula wróciła bez śladu łez na twarzy.

– To co, dziewczyny, koniec smutków. – Iwona zawołała kelnera i zamówiła trzy drinki, które już wkrótce stały na stole. – Mam nadzieję, że dzisiaj będziecie się lepiej bawiły.

Dziewczyny stuknęły się szklankami.

– A Chalid gdzie? – spytała Ula.

– Pojechał do mamy. Jest chora. Ale powiedział, że to nie zajmie dużo czasu, więc niedługo powinien już tu być.

Ula z Sarą wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– To do którego klubu dzisiaj idziemy? Ten wczorajszy jak dla mnie był trochę za mały. Straszny tłok – stwierdziła Iwona.

– Tu wszędzie jest tłok – zauważyła Ula.

– W sumie to masz rację – zgodziła się Iwona i wtedy zadzwonił jej telefon.

– Chalid! – Jej oczy rozblęły. – Pewnie zaraz tu będzie.

Iwona rozmawiała przez chwilę przez telefon, powtarzając od czasu do czasu

Yes, habibi, yes, habibi, po czym zamknęła telefon i wstała od stolika.

– A ty gdzie? – zapytała zdziwiona Ula.

– Z mamą gorzej. Chalid nie może tu przyjść. Muszę jechać do niego.

– I pewnie zaraz habibek będzie potrzebował pieniędzy na lekarstwa dla mamy – rzuciła z przekąsem Ula, ale spiesząca się do ukochanego Iwona już tego nie usłyszała.

– Może ta mama rzeczywiście jest chora. – Sara dużo dała z siebie, żeby pomóc swojej mamie, więc trudno jej było uwierzyć w to, żeby inni mogli kłamać w tak wrażliwej sprawie jak zdrowie matki.

– Ale czwarty raz w ciągu dwóch miesięcy? – wyraziła wątpliwość Ula.

– Czasem tak się zdarza... – Sara stwierdziła posępnie.

– Twoja mama jest chora? – Ula wyczuła, że poruszyły jakiś ważny dla Sary temat.

– Tak, nie, to znaczy była... – zaplątała się Sara.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Ula chciała pomóc koleżance, która z taką uwagą jej wysłuchiwała.

– Nie, nie teraz, może później...

– Oczywiście, jak wolisz. – Ula nie chciała naciskać. Ona też nie zawsze miała ochotę mówić o swoich problemach. – A z Iwoną to było tak, że kiedy ona zaczęła mi jeździć po głowie, żebym zostawiła Krzysztofa, to ja poczytałam trochę o tych habibkach z Egiptu i się przeraziłam.

– Dlaczego?

– Bo oni to naciąganie do perfekcji doprowadzili. Czego nie wymyślają, żeby tylko im kobiety przysłały te parę dolarów. A to choroba jakaś, a to stracił pracę, a to chce w coś zainwestować na wspólną przyszłość albo go z mieszkania wyrzucili, bo nie miał czym zapłacić, albo mama czy siostra w szpitalu... A później słyszałam jeszcze poważniejsze historie, że kobiety mieszkania w Polsce sprzedawały, duże pożyczki brały, aby tylko spełnić finansowe wymagania swojego habibka. Szkoda nawet o tym wszystkim mówić... I wiesz co? Krzysztof jaki był, taki był, ale kasy to ze mnie nigdy nie wyciągał.

– I zwróciłaś na to wszystko Iwonię uwagę?

– Pewnie, ale ona tylko jedną miała na to odpowiedź: „mój habibek jest inny”.

– Pewnie każda tak mówi.

– Dokładnie. A on ją teraz coraz częściej o te pieniądze prosi.

– Ale kiedy się ich razem widzi, to wyglądają na bardzo zakochanych. – Sara nie mogła się oprzeć pewnemu poczuciu żalu, że to nie ona ma kogoś tak bliskiego obok siebie.

– Na pewno Iwona jest bardzo zaangażowana, ale on... – Ula nie dokończyła zdania.

Do stolika podszedł kelner i zapytał, czy goście jeszcze sobie czegoś życzą.
– Zamawiamy coś? – Ula zwróciła się do Sary.
– Ja już mam dość. Chyba wrócę do hotelu. – Wspomnienie o mamie znów wrzuciło Sarę w depresyjną głębię.

– To ja też już pójdę. Spotkamy się jutro.

– Jasne. To gdzie i kiedy?

– Może tak jak dzisiaj. A później zobaczymy, co dalej będziemy robić.

– Dobrze, to do jutra.

– Do jutra.

Dziewczyny wyszły z kawiarni i każda z nich udała się do swojego hotelu.

– Już wróciłaś, Saro? – Zaskoczona ciocia Agnieszka podniosła głowę z nad książki. – Mówiłaś, że będziesz późno.

– Ale rozboliła mnie głowa – powiedziała Sara i zniknęła w swojej sypialni.

– Mówiłam ci, Jędrus, że z tą dziewczyną jest coś nie tak – powiedziała ciocia Agnieszka do siedzącego na kanapie męża.

Tym razem wujek Andrzej nic nie odpowiedział, a ciocia zamknęła książkę i długo nad czymś rozmyślała.

Następny dzień przyniósł same wielkie rewelacje.

– Słuchaj, nie uwierzysz! – Ula była tak podekscytowana, że wyszła naprzeciw Sarze, kiedy tylko ta pojawiła się w lobby.

– Co się stało? – spytała zaintrygowana Sara.

– Chalid oświadczył się Iwonie!!!

– Co?!!!

– Ja też nie mogłam uwierzyć! Ale jest jeszcze coś lepszego!

– Co jeszcze?

– Ten ślub ma być dzisiaj!!!

– O czym ty mówisz?! Mama chora, a tu ślub?! I co, wczoraj się oświadczył, a dziś już będą małżeństwem?! Normalnie w naszych krajach to trwa miesiącami, o ile nie latami.

– Ja też nic z tego nie rozumiem. Iwona tylko powiedziała, że dziś mają iść do jakiegoś biura i tam zawrzeć związek małżeński.

– Wiesz, jeśli to się tak błyskawicznie odbywa, to pewnie chodzi o *zawadź urfi*.

– A co to jest?

– Małżeństwo zwyczajowe albo inaczej nieoficjalne.

– Jak małżeństwo może być nieoficjalne? – Ula nie rozumiała.

– Podpisuje się kontrakt ślubny, ale nie jest on zarejestrowany w żadnych oficjalnych urzędach.

– Z tego wynika, że to jest tylko zwykły papier.

– Według prawa muzułmańskiego to jest zawarcie małżeństwa.

– Dalej nie bardzo rozumiem. Ale wiesz co, chodźmy już, obiecałam Iwonie, że tam dojedziemy. – Ula wyjęła z torebki zmiętą kartkę. – Tu mam zapisany adres. Weźmiemy taksówkę.

Kiedy Ula z Sarą dotarły na miejsce, Iwona z Chalidem już tam czekali i wyglądali na bardzo przejętych. Obok nich stało dwóch innych Egipcjan.

– To nasi świadkowie – wyjaśniła Iwona.

– Iwona, czy ty na pewno wiesz, co robisz? – Ula poważnie spytała koleżankę.

– Wychodzę za mąż! – Iwona cała promieniała ze szczęścia.

– Iwona, posłuchaj mnie uważnie, Sara powiedziała, a ona na pewno wie, co mówi, że to małżeństwo nie jest do końca naprawdę... – „Formalne”, chciała dokończyć Ula, ale Chalid jej przerwał, mówiąc, że muszą już wchodzić do biura, bo prawnik na nich czeka, a jego czas jest cenny.

Sara spojrzała na arabski napis przy wejściu do budynku i było tam wyraźnie napisane, że znajduje się w nim biuro dla cudzoziemców.

Było to jedno z tych miejsc, w których para mogła zdobyć papier, który pozwalał im na większą swobodę poruszania się i przebywania razem. Oznaczało to, że kochankowie mogli w niektórych hotelach wynająć pokój (bo nawet nie wszystkie hotele uznawały *zawadz urfi*), wynająć wspólne mieszkanie lub bez przeszkód podróżować po Egipcie.

W biurze prawnika wszystko odbyło się bardzo szybko. Prawnik spisał dane, para wyraziła wolę zawarcia małżeństwa, a na koniec, wraz ze świadkami, złożyła podpisy. Iwona i Chalid byli już małżeństwem.

Sara wyszła z biura z bardzo mieszanymi uczuciami. Nie wiedziała, czy Iwona powinna traktować zawarcie tego małżeństwa poważnie.

I wierzyć Chalidowi. Z mężczyznami nigdy nie wiadomo.

9 Po polsku: Mahomet.

Rozdział VI

Tunezyjskie impresje

– Nie wierzę, normalnie nie wierzę, że ona to zrobiła! – Ula nie mogła ochłonąć po ślubie, który poprzedniego dnia zawarła Iwona.

– A co ona mówi po tym wszystkim? – Sarę też mocno zaskoczyła nagła decyzja Iwony.

– Nic nie mówi.

– Jak to nic nie mówi?

– Nie widziałam jej od wczoraj.

– Jak to od wczoraj?

– Ostatni raz widziałam ją tak jak i ty w biurze prawnika.

– Wiesz co? To jakieś dziwne jest... Ten ślub taki nagły, dosłownie z dnia na dzień, może on gdzieś ją wywiózł... – I sprzedał – Sara dodała w myślach, ale nawet bała się wypowiadać tego głośno. Iwona, szczupła blondynka z długimi włosami, piękną twarzą i dużymi niebieskimi oczami była marzeniem niejednego Araba. A mężczyźni z regionu za spełnienie swoich pragnień byli gotowi zapłacić dużo, bardzo dużo...

– Niby mieli jechać w krótką podróż poślubną... – Ula miała zatroskaną twarz. – To znaczy tak mi mówiła Iwona jeszcze przed ślubem...

– On ciągle nie ma kasy, a tu nagle podróż poślubna? – zdziwiła się Sara.

– Też jej tak powiedziałam.

– I co ona na to?

– Jakby w ogóle tego nie słyszała. Powtarzała tylko „Chalid, mój mąż, mój *habibi* mąż” i patrzyła na mnie takim oszalałym ze szczęścia wzrokiem...

– To może on jej jakieś dragi dał?

– A wiesz, że mi to też przyszło do głowy... – Ula martwiła się o koleżankę.

– A ta podróż poślubna to gdzie? Wspominała coś na ten temat?

– Tak, mówiła, że pojedą na parę dni do Kairu, bo od dawna jej największym marzeniem było zobaczenie piramid i jej *habibi* mąż Chalid, tak już go tylko nazywała, postanowił, że je dla niej spełni i to jak najszybciej, bo robi wszystko, żeby tylko ona była szczęśliwa.

– Brzmi pięknie... – rozmarzyła się Sara.

– I ten nagły ślub to podobno właśnie po to, żeby mogli bez problemów tam razem jechać.

– Ale mama chora, a on się żeni i wybiera na wycieczki? – nie rozumiała Sara.

– Też mnie to zdziwiło. Ale Iwona jak zawsze, jeśli chodzi o Chalida, na wszystko miała wytłumaczenie.

– To akurat trudno wytłumaczyć.

– Nie dla Iwony. Według niej Chalid stwierdził, że mama jest pod dobrą opieką, a to tylko parę dni, i ten przyjazd Iwony tylko utwierdził go w przekonaniu, że oni są dla siebie stworzeni, więc nie ma na co czekać, i on chce mieć pewność, że Iwona będzie tylko jego, więc i tak by się pobrali, w związku z czym im szybciej, tym lepiej, a Iwona niedługo wyjeżdża, a on chce spełnić największe marzenie swojej ukochanej. I dlatego tak szybko ten ślub.

Sara zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Wiedziała natomiast na pewno, że jeżeli Arab myśli o kobiecie poważnie, to od razu proponuje jej małżeństwo, choćby ją znał tylko jeden dzień. Wiedziała też, że zakochany do szaleństwa Arab jest w stanie dla swojej wybranki zrobić dosłownie wszystko, aby tylko ją uszczęśliwić. To było wyznacznikiem jego męskości. Pokazanie, że jego kobieta jest szczęśliwa. I to tylko dzięki niemu.

– I co ty o tym wszystkim sądzisz? – Ula zwróciła się do Sary.

– Prawdę mówiąc, zupełnie nie wiem.

– Bo chodzi mi o to, że ja nie wiem, czy powinnam już jej szukać, kogoś zawiadamiać... – Ula w zamyśleniu zmarszczyła brwi.

– A dzwoniłaś do niej?

– Oczywiście! Ale ty Iwony nie znasz! Kiedy ona jest z tym swoim habibkiem, to zupełnie odlatuje, jakby na innej planecie była! Nie ma jej dla normalnego świata.

– To może oni rzeczywiście tak się kochają... Gdy widziałam ich w klubie...

– Znowu jakaś bliżej nieokreślona tęsknota pojawiła się w sercu Sary.

– To co ja mam robić? – Ula była zdezorientowana.

– Myślę, że pozostaje ci tylko czekać i zobaczyć, co czas przyniesie. W końcu Iwona powiedziała ci, że wyjeżdża, więc pewnie nie sądzi, że będziesz się o nią martwić.

– Tak, chyba masz rację. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko czekać... – westchnęła Ula.

Sara i Ula znowu spotkały się o szóstej w lobby hotelu Four Seasons. Dziewczyny wyjątkowo dobrze czuły się w swoim towarzystwie. Ula miała poczucie, że Sara ją rozumie, jeśli chodzi o jej rozterki związane z rozstaniem z Krzysztofem, a Sarze spodobało się to, że Ula potrafiła być bardzo delikatna, gdy tylko pojawił się temat choroby jej mamy. I przy Uli nie odzywała się jej gorąca zmysłowość, tak jak to zdarzało się, kiedy była z Haną. Ula mogła być dla niej tylko i wyłącznie dobrą koleżanką.

Siedziały teraz w tej samej kawiarni co poprzedniego dnia i popijały kolorowe drinki.

– Zobacz, Saro, jak wszystko może się zmienić w ciągu zaledwie kilkudziesięciu godzin. Dwa dni temu o tej samej porze była tu z nami Iwona i miałyśmy się wybrać do klubu. A teraz... – Ula zrobiła minę wyrażającą największe zdziwienie. – Iwona jest mężatką? – Ostatnie słowo wybrzmiało z dużym znakiem zapytania. – I nawet nie wiadomo, gdzie się tak naprawdę znajduje...

– Tak... – Sara zgodziła się z Ulą. – Życie jest absolutnie nieprzewidywalne... – Przypomniała sobie, jak wróciła z wakacji i znalazła w swojej rodzinnej rezydencji drugą żonę ojca, co sprawiło, że jej cały dotychczasowy świat rozsypał się na drobne kawałeczki.

– A wiesz, co jeszcze się wczoraj stało? Jakby ta historia z Iwoną to było za mało?

– Co?

– Krzysio do mnie zadzwonił.

– Naprawdę?

– Tak. I powiedział, że musiał, bo tak bardzo się za mną stęsknił... – Wzruszona Ula zamilkła.

Ona go kocha – stwierdziła Sara.

– I co mówił? – zapytała.

– Przede wszystkim to, żebyśmy jeszcze raz spróbowali... I to, że jeśli jest prawdziwe uczucie, to nie należy się tak szybko poddawać... Nawet mnie zdziwiło, że to tak sformułował... – Ula poważnie spojrzała na Sarę. – I widzisz, Iwona wcale nie miała racji co do niego... Ona go po prostu nie lubiła i tyle.

Sara pomyślała, że Iwona rzeczywiście mogła się mylić, bo nie znała dobrze nawet swojej koleżanki.

– I co zamierzasz zrobić? – Dla Sary było jasne, że może i Ula przeżywała trudne chwile, kiedy była z Krzysztofem, ale kiedy była bez niego, to i tak ciągle o nim myślała i za nim tęskniła, co też nie było dla niej łatwe.

– Nie mam pojęcia. A co ty mi radzisz?

– Trudno mi powiedzieć... Nie znam go...

– Powiem ci szczerze, Saro, bardzo chciałabym z nim być, ale kiedy sobie pomyślę, że mam jeszcze raz przez to przechodzić...

Sara zastanawiała się, jak może pomóc koleżance.

– A powiedz mi... – zaczęła po chwili – czy oprócz tych jego zachowań, które były dla ciebie tak bardzo przykre, mieliście jakieś inne poważne problemy?

– Dobre pytanie... – Ula zamyśliła się na moment. – Nie, wiesz, że chyba nie... To znaczy wiadomo, były tam jakieś drobne sprzeczki, ale to nigdy nie było nic poważnego.

– A teraz... Kiedy Krzysztof dzwonił, to mówił coś o tych twoich zarzutach w stosunku do niego?

– Tak... To znaczy wspomniał, że on nic złego nie robił, i ja się od razu zdenerwowałam, kiedy to usłyszałam, ale zaraz dodał, że jeśli mi tak bardzo zależy, to już nie będzie tak więcej postępował...

– To może warto dać mu szansę? – zasugerowała Sara.

– Może... Ale nie jestem tak do końca do tego przekonana.

– To daj sobie więcej czasu, jesteś jeszcze tu parę dni, nie musisz decydować w tym momencie – Sara poradziła Uli.

– To dobry pomysł, może przez te kilka dni uda mi się o nim zapomnieć. – Ula gorzko zaśmiała się z własnego żartu.

– Jeśli ci się nie uda, to masz odpowiedź... – powiedziała ciepło Sara.

W następane dni dziewczyny spotykały się codziennie, piły po parę drinków, rozmawiały, spacerowały nad morzem. Na klubowe szaleństwa obydwie nie miały ochoty. Wolały swoje towarzystwo i niekończące się babskie pogaduszki. Sara nie opowiedziała Uli o traumatycznych przeżyciach, które dotknęły jej rodzinę, ale obecność koleżanki i ciekawe z nią dyskusje pozwalały jej na chwilowe zapomnienie o dramatycznych wydarzeniach.

Im bliżej było terminu wyjazdu, tym Ula bardziej się niepokoiła nieobecnością Iwony.

– Saro, to już nie są żarty, jutro mamy samolot, a jej ani widu, ani słyhu. – Ula była pełna obaw.

– I żadnego kontaktu telefonicznego? – spytała Sara.

– Żadnego. Ma wyłączoną komórkę.

– A może znasz jakiegoś kolegę tego Chalida? Albo wiesz, gdzie on pracował?

– Nie, nic o nim nie wiem. – Ula zniecierpliwiona zachichotała.

– Z czego się śmiesz?

– Ach, bo mi tak głupio coś przez głowę przeleciało.

– Co?

– Nic o nim nie wiem, oprócz jednego... Tego, że ma...

– Ach, nawet nie mów! – Sara też się zaśmiała. – Niestety po tym znaku szczególnym chyba go w Egipcie nie znajdziemy.

– Chyba nie... – Ula spoważniała. – Żarty żartami, ale powiedz mi lepiej, czy ja mam Iwony szukać, czy nie?

– A ona ci mówiła, ile ma trwać ta jej podróż poślubna?

– Tak dokładnie to już teraz nawet nie pamiętam, ona wtedy mnie tak zaskoczyła tą informacją o ślubie, i z takim przejęciem o tym mówiła, to był jakiś potok słów... Daj mi się zastanowić... – Ula na chwilę zamilkła. – Nie, wiesz, jakoś tego zupełnie nie kojarzę.

– W takim razie myślę, że alarm można podnosić dopiero wtedy, kiedy Iwona nie pojawi się w samolocie. Teraz i tak nikt ci nie pomoże, jest dorosła, więc

może robić, co chce.

– I znowu masz rację – przyznała Ula.

Na wakacjach z wujostwem Sara poznała smak tego, co to znaczy być dorosłą. Smak wolności. W porównaniu z tym, jak była ograniczana i pilnowana w Kuwejcie, teraz cieszyła się wręcz nieograniczoną swobodą. Mogła chodzić i robić, co chciała, wystarczyło tylko powiedzieć cioci, o której mniej więcej wróci. Pewnego dnia Sara zaprosiła Ulę na wspólny obiad z ciocią i wujkiem, którym nowa sympatyczna i spokojna koleżanka bardzo przypadła do gustu. Kiedy ciocia dowiedziała się, że Sara większość czasu spędza z Ulą, to przestała się martwić o siostrzenicę swojego męża.

Dzień przed wyjazdem Sara zabrała Ulę i wujostwo na tradycyjny suk arabski, aby wytargować się dla nich o lokalne suweniry. W urokliwych sklepikach Sara mówiła tylko po arabsku, co kilkakrotnie obniżało cenę tradycyjnych pamiątek. Wujek wybrał nargilę, którą zamierzał popalać czasami u siebie w ogrodzie, ciocię oczarowała zamknięta w przezroczystej butelce usypana z kolorowego piasku kompozycja przedstawiająca kroczące po pustyni wielbłądy, a Ula wybrała papirus z egipskimi hieroglifami.

Wszyscy byli bardzo zadowoleni z zakupów i wujek Andrzej zaproponował kawę w klimatycznej kafejce, która położona na klifie, powyżej plaży, zapewniała niezapomniany widok na Morze Czerwone. Wspaniały wystrój akcentował lokalne tradycje, zapraszając gości na miękkie, kolorowe, nisko położone siedziska wyłożone licznymi poduszkami, przy których stały niewysokie, okrągłe stoliki. W znajdującej się obok rozległej części umieszczony był namiot beduiński, który przynosił gości w klimat codziennego życia pustynnych nomadów. Na jednej z wysokich kamiennych ścian wykute były cztery posągi faraonów przypominające o potędze starożytnego Egiptu. Całość ozdobiona była tradycyjnymi lampionami, naczyniami oraz rozstawionymi gdzieś dekoracyjnymi, rzeźbionymi drzwiami.

Szczególne usytuowanie kawiarni sprawiało, że liście palm odcinały się na tle niebieskiego morza, a błękitne niebo różowiło się w dali promieniami zachodzącego słońca. Arabska muzyka, zawodząc romantycznymi nutami, znakomicie komponowała się ze szczególnym urokiem tego wyjątkowego miejsca. Goście, paląc nargile o różnych zapachach oraz popijając z małych filiżanek mocną kawę z kardamonem, leniwie rozkoszowali się przepięknym, wakacyjnym wieczorem.

– Dobrze mi ten pobyt tutaj zrobił – stwierdził wujek, paląc fajkę wodną o smaku jabłka. – od dawna nie czułem się tak wypoczęty.

– Mówiłam ci, Jędrus, od samego początku, że urlop ci się należy. Nie można żyć tylko samą pracą.

– Tak, Aguś, dopiero teraz to doceniłem. Dobrze mówiłaś, że trzeba od czasu

do czasu oderwać się od obowiązków i zrelaksować się, aby nabrać sił – przyznał wujek.

– A jak, wujku, udało ci się nurkowanie? – zapytała Sara.

– Nurkowanie to za dużo powiedziane. To było tylko jednorazowe zejście pod wodę – odpowiedział wujek.

– I jakie wrażenia? – Ula przyłączyła się do dyskusji.

– Fantastyczne! – Twarz wujka rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. – Niezapomniane przeżycia, trudne nawet do opisania.

– Jędrus, gdy tylko wrócił z tego nurkowania, to nachwalić się nie mógł, jak cudny jest podwodny świat, którego my w ogóle nie znamy – wtrąciła ciocia.

– Olśniły mnie przede wszystkim niesamowite kolory – wujek podzielił się swoimi wrażeniami. – Zarówno rafy koralowe, a mają one, jak nam tłumaczono, od pięciu do siedmiu tysięcy lat, jak i te wszystkie ryby i morskie stwory, które widzi się często pierwszy raz w życiu, mienia się intensywnymi barwami i odcieniami niespotykanymi na lądzie. I to wszystko jest dosłownie na wyciągnięcie ręki. Coś niesamowitego! – podkreślił wujek w niekłamanym zachwycie.

– To następnym razem my też musimy spróbować nurkowania – zwróciła się Ula do Sary.

– Na pewno warto – podkreślił wujek.

– Nie wiem, czybym się odważyła. – Sara miała wątpliwości.

– Tu są świetni instruktorzy, wszystko ci dokładnie wytłumaczą, zabezpieczają cię pod wodą, nie ma się czego bać. – Wujek zachęcił Sarę do podwodnej przygody.

Bardzo udany wieczór przeciągnął się długo w noc, a później wszyscy wrócili do hotelu, aby następnego dnia z samego rana przygotować się do odlotu do Polski.

– Iwona wróciła? – Sara zapytała Ulę, kiedy tylko dotarła na lotnisko.

– Nie. – Ula była wyraźnie zdenerwowana.

– To chyba przyszedł czas na działanie – stwierdziła Sara.

– Też tak myślę – zgodziła się Ula. – Oddam tylko bagaże i kogoś poinformuję... Chyba najlepiej będzie zadzwonić do naszej ambasady...

– Tak, to z pewnością najlepszy pomysł. – Sara poparła koleżankę.

Ledwie Ula skończyła się odprawiać, kiedy na lotnisko wpadła rozpromieniona Iwona z Chalidem.

– Cześć, dziewczyny! – Iwona wprost tryskała energią i szczęściem. – Już myślałam, że nie zdążę!

– Iwona, zamartwiałam się o ciebie, mogłaś chociaż raz zadzwonić, żeby powiedzieć, że u ciebie wszystko w porządku! – Ula przywitała koleżankę wyrzutami.

– O co ci chodzi? – Iwona zdziwiona spojrzała na Ulę. – Przecież ci

mówiłam, że przyjadę dopiero na lotnisko.

– Tak mówiłaś? – W głosie Uli zabrzmiała wymówka. – Jakoś tego nie pamiętam.

Iwona zupełnie zignorowała uwagę Uli i jako ostatnia pasażerka, z pomocą Chalida, położyła swoje walizki na wagę. Kiedy miała już kartę wstępu do samolotu, zaczęła się czule żegnać ze swoim mężem.

– Iwona, przestań już, wejście nam zamkną! – Ula nadal była zła na koleżankę.

Iwona z trudem oderwała się od Chalida i z ociąganiem poszła z koleżankami do sali odlotów. Kiedy dziewczyny usiadły na krzesłach, Iwona wyciągnęła w ich kierunku rękę, pokazując na serdecznym palcu cieniutką złotą obrączkę.

– Gratuluję! – Sara wpatrywała się w błyszczący krążek.

Ula nic nie powiedziała, bo tylko jedno pytanie cisnęło jej się na usta: „Kto za to wszystko zapłacił?”

– Chalid pokrył wszystkie koszty – powiedziała Iwona, jakby czytając w myślach Uli. – Zapłacił za hotel w Kairze, za obrączki, a nawet zaprosił mnie na romantyczną kolację na statku na Nilu... Mój mąż jest cudowny!

Na twarzy Uli pojawił się grymas niedowierzania, ale nie skomentowała rewelacji Iwony.

– Na tym statku był pokaz tańca brzucha, mówię wam, oczu wprost nie mogłam oderwać od tej gorącej tancerki. Sam kunszt i mistrzostwo! Dziewczyny, jak te Arabki potrafią się ruszać, wierzyć się nie chce! Esencja seksu i zmysłowości! Obiecałam Chalidowi, że też nauczę się tak tańczyć.

Sara przypomniała sobie, z jakim zapałem jej mama chodziła na lekcje tańca brzucha, żeby odzyskać ojca. A zaraz potem stała się ta straszna tragedia... Sara aż się wzdrygnęła na samo wspomnienie przepelnionych piekącym bólem chwil. Nie uszło to uwadze Uli.

– Stało się coś? – spytała cicho.

– Nie, nic... – odpowiedziała Sara.

– Zaraz pokażę wam filmik z występu tej tancerki. – Iwona zaczęła szukać w telefonie nagrania. – O, ale przedtem zobaczcie to, mam tu zdjęcie spod piramid.
– Iwona przybliżyła telefon do koleżanek.

Sara zobaczyła uśmiechniętych od ucha do ucha Iwonę i Chalida, którzy siedzieli na dwóch wielbłądach, z rękoma w górze i splecionymi dłońmi, a w tle widać było piramidy.

– Widzicie, marzenia się spełniają. Ja o tych piramidach...

Iwona nie dokończyła, bo pasażerowie zostali zaproszeni do samolotu. Podróżni wchodzili po kolei i zajmowali swoje miejsca. Sara, Iwona i Ula usiadły obok siebie.

– Dziewczyny, idę spać, jestem po prostu nieprzytomna – stwierdziła Iwona, zapinając pasy. – Prawie nie spałam przez te wszystkie noce. Mmm... – zamruczała rozkosznie i zamknęła oczy z błogim wyrazem twarzy.

Samolot wzniósł się w powietrze i poleciał nieskończonymi, niezmiernymi przestworzami.

– Ty jej wierzysz? – Ula szeptem zapytała Sarę, zerkając na Iwonę, aby upewnić się, czy śpi.

– Na pewno była pod tymi piramidami, przecież ma zdjęcie.

– Nie o to chodzi... – Ula szeptała konspiracyjnie. – Czy ty jej wierzysz, że za to wszystko płacił Chalid?

– Trudno powiedzieć...

– Bo do tej pory nigdy nie miał pieniędzy, a teraz nagle stać go na takie wydatki. Czy to jest w ogóle możliwe?

– Ale mówiłaś, że Iwona też już nie ma kasy, że wydała wszystkie oszczędności, zapożyczyła się na wyjazd...

– Tak było...

– Czyli wszystko jest możliwe...

Zakochani mężczyźni obsypywali swoje kobiety diamentami, obwieszali je kosztowną biżuterią, kupowali im najdroższe samochody, zabierali na koniec świata. Zakochani mężczyźni tracili głowę i majątki. Dla zakochanego mężczyzny nie było rzeczy niemożliwych.

– Bo jeżeli to ona za wszystko płaciła? – drażyła Ula.

A jakie to ma tak naprawdę znaczenie? – pomyślała Sara. – Czy spełnienie marzeń nie jest warte każdej ceny?

Stewardesy roznosiły posiłki, koleżanki obudziły Iwonę, ale ona ze śmiechem powiedziała, że nie jest głodna, bo żyje miłością, poprosiła tylko o butelkę czerwonego wina, wypiła połowę i znowu zapadła w pełen erotycznych fantazji sen.

Im bliżej było Polski, tym bardziej Ula zdawała się być podminowana.

– Co się dzieje? – zainteresowała się Sara.

Ula nie odpowiedziała, jedynie patrzyła na widoczne za oknem białe pierzaste chmury.

– Krzysztof? – domyśliła się Sara.

– Tak... Dzwonił wczoraj, pytał, kiedy dokładnie ląduję. Nie wiem, co zrobić, gdy wyjdzie po mnie na lotnisko.

Sara nie chciała już więcej doradzać koleżance, to musi być jej decyzja.

– Zastanów się, czego tak naprawdę chcesz – powiedziała tylko.

Po wylądowaniu i wyjściu do sali dla oczekujących pierwsze, co Sara zobaczyła, to olbrzymi bukiet czerwonych róż w rękach wysokiego, przystojnego mężczyzny. Kiedy Ula z radością rzuciła się na szyję Krzysztofowi, Sara już nie

miała żadnych wątpliwości, jaką decyzję podejmie jej koleżanka. Tyle miłości wokół niej, a ona sama – ścisnęła ją w okolicach serca.

W domu wujostwa jej poprzednie przygnębienie dopadło ją z podwójną siłą. Wzmianka o tańcu brzucha przywołała na nowo całą rodzinną tragedię ostatniego roku. Poza tym... Iwona i Chalid, Ula i Krzysztof... A ona...

Sara jakby zupełnie straciła ochotę do życia. Cały czas spędzała pod kołdrą w swoim pokoju i nawet jej ulubione miejsce pod jabłónką już jej nie ciągnęło. Ciocia Agnieszka bardzo martwiła się o Sarę, ale zupełnie nie wiedziała, jak może jej pomóc. Sara zamknęła się w sobie i wymawiając się wielkim bólem głowy lub zmęczeniem, prawie z nikim nie rozmawiała.

Dwa tygodnie przed powrotem Sary do Kuwejtu zadzwoniła do niej Ula.

– Cześć, co słychać? – zaszczębiotała wesoło.

– Dobrze... – odpowiedziała Sara zmienionym głosem. – Dobrze...

– Co ty, chora jesteś? – zaniepokoiła się koleżanka.

– Nie... to znaczy... może trochę...

– To szkoda! – zmartwiła się Ula. – Bo miałam dla ciebie ciekawą propozycję...

– Jaką?

– Mówiłam ci, że wcześniej chciałam jechać do Tunezji, pamiętasz?

– Tak, oczywiście.

– I wczoraj zadzwonili z tego biura i powiedzieli, że mają świetną ofertę last minute, ale po tak atrakcyjnej cenie, to mogą sprzedać tylko dla dwóch osób, więc jeżeli jestem zainteresowana... I pomyślałam, że może ty...

– Nie, Ula, dziękuję ci bardzo, ale jakoś nie mam nastroju...

– Coś się stało?

– Nie... A nie możesz jechać z Krzysztofem? O ile oczywiście z nim jesteś...

– Jestem, jestem... Ale nie ma mowy, żeby Krzyś urwał się z pracy... na pewno nie jesteś zainteresowana? Bo cena taka atrakcyjna...

– A kiedy jest ten wyjazd?

– Pojutrze, wiesz, last minute, więc może...

– Nie, Ula, dziękuję ci jeszcze raz, ale nie.

– Jak uważasz, ale przemyśl to jeszcze i gdybyś zmieniła zdanie, to zadzwoń.

– Dobrze, Ula, ale nie sądzę, żeby coś się zmieniło.

– To skontaktuj się chociaż, gdy się lepiej poczujesz.

– Dobrze, zadzwonię, to na razie.

– Na razie. Do usłyszenia.

Do pokoju Sary weszła ciocia Agnieszka.

– Rozmawiałaś z kimś? – spytała zaintrygowana.

– Tak, Ula dzwoniła.

– Naprawdę? – Ciocia się ucieszyła. – To może zaprosz ją do nas na weekend.
– Ciocia widziała, jak dobrze Sara się czuje z Ulą w Szarm el-Szejk, więc miała nadzieję, że jej obecność pomoże wydobyć się Sarze z wyraźnie pogłębiającej się depresji.

– Nie, ciociu...

– Dlaczego? To taka fajna dziewczyna.

Sara nic nie mówiła i ciocia zastanawiała się nad tym, co może zrobić, żeby odpędzić stale goszczący na jej twarzy smutek.

– A co u Uli? – Ciocia chciała nawiązać z Sarą jakiś głębszy kontakt.

– Nic...

– Dzwoniła w jakiejś konkretnej sprawie? – nadal próbowała ciocia.

– Tak.

– A co chciała? – Trudno było z Sary cokolwiek wydobyć.

– Prosiła mnie, żebym pojechała z nią na wycieczkę do Tunezji.

– To ciekawe – ożywiła się ciocia. – I co ty na to?

– Że nigdzie nie jadę.

– Może ta wycieczka to nawet dobry pomysł – podpowiedziała ciocia. – To znaczy, nie zrozum mnie źle, nam jest bardzo miło, że tu jesteś, ale mi chodzi o ciebie, ostatnio... – Nie chciała wprost powiedzieć, że Sara całe dni spędza w łóżku. – Może gdybyś jeszcze raz wyjechała, i to z Ulą, lepiej byś się poczuła... Pamiętasz w Szarm el-Szejk? Chodziłyście sobie, rozmawiałyście...

– Nigdzie nie pojedę! – Sara cała nakryła się kołdrą.

Zrezygnowana ciocia opuściła pokój. Jednak jeszcze tego samego dnia wieczorem wróciła i usiadła na brzegu łóżka.

– Saro! – zaczęła poważnym tonem. – Chcę, żebyś wiedziała, że cokolwiek teraz powiem, to wynika tylko z głębokiej troski o ciebie. Jesteśmy bardzo bliską rodziną i możesz być ze mną szczerą. Chciałam cię zapytać, czy tam u was, w Kuwejcie, coś ważnego się stało?

Tak, ciociu, stało się, bardzo dużo się stało! – zaskowytały czarne demony w środku Sary. – Mój ojciec pieprzył się pod rodzinnym dachem ze służącą swojej drugiej żony, kiedy ciemnoczerwona krew leciała z podciętych żył mojej mamy.

Sara podniosła się na łóżku tak gwałtownie, że przestraszona ciocia aż odskoczyła.

– Nic się nie stało, ciociu – powiedziała lodowatym tonem. – Jadę z Ulą do Tunezji.

* * *

Samolot zniżał się do lądowania i widać było, jak na mapie, północny kontur Afryki wcinający się w błękitne wody Morza Śródziemnego.

– Tak się cieszę, że zmieniłaś zdanie. – Ula nie ukrywała radości. –

Zobaczysz, spodoba ci się, zwiedzimy mnóstwo ciekawych miejsc. Bardzo ci dziękuję, że tu się ze mną wybrałaś.

Sara nie powiedziała Uli, że zdecydowała się na tę podróż tylko po to, żeby ciocia Agnieszka nie zamęczała jej dociekaniem na temat sytuacji rodzinnej w Kuwejcie. Nie chciała przez następne dni, które zostały do końca wakacji, unikać krzyżowego ognia pytań cioci, która uważała, że ze względu na stan Sary, sytuacja dojrzała do pełnego wyjaśnienia.

– Słyszałam, że przy schodzeniu samolotu do lądowania można zobaczyć ruiny słynnej Kartaginy. – Ula z uwagą wpatrywała się w okno. – Położona jest niedaleko Tunisu i podobno całkiem nieźle ją widać.

Sary nie interesowało dosłownie nic. Ani starożytna Kartagina, ani inne tunezyjskie miasta i oazy, o których z przejęciem opowiadała Ula. Ona uciekała. Od wspomnień, od bólu, od osamotnienia i niezrozumienia. Od strachu. Ta ucieczka już była wpisana w jej los – z rodzinnego domu do Willi Farah, z Kuwejtu na Sri Lankę, do Polski, na Synaj, a teraz do Afryki. Może być Afryka. Cokolwiek. Gdziekolwiek.

Tunis, stolica Tunezji, na pierwszy rzut oka przypominał bardziej miasto europejskie niż typowo arabskie. Większość kobiet nie zasłaniała włosów, na ulicach można było zobaczyć odsłonięte ramiona, szorty, krótkie spódniczki i sukienki, a nawet gołe plecy. Wpływy dekad protektoratu francuskiego nad Tunezją, od roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego, widać było w secesyjnej architekturze, umieszczonych prawie wszędzie francuskich napisach, w powszechnej znajomości języka francuskiego i bagietkach, które można było kupić niemal na każdym kroku. Avenue Habib Bourguiba, wysadzana drzewami główna aleja Tunisu, wzdłuż której położone były liczne kafejki i sklepy, została zaprojektowana na wzór Pól Elizejskich. Kraj wyglądał na otwarty i tolerancyjny.

Hotel, w którym zostały zakwaterowane dziewczyny, nie był tak luksusowy jak te, w jakich Sara zazwyczaj się zatrzymywała, ale w tym momencie jej to nie przeszkadzało. Najważniejsze było to, że nikt jej nie będzie dręczył trudnymi pytaniami.

Pierwszego dnia zaplanowano wycieczkę do muzeum Bardo i Sara nawet zamierzała się do niego wybrać, aby uniknąć pytań: „A dlaczego nie idziesz?” albo nalegań: „A może jednak się wybierzesz?”. Przerabiała już to z Haną i jej mamą na Sri Lance, więc teraz nie chciała do tego samego wracać z Ulą.

– Z tego, co czytałam – mówiła Ula, przygotowując się do wyjścia – to w muzeum Bardo znajduje się wiele cennych mozaik rzymskich oraz kamiennych sarkofagów i rzeźb... Bardzo chcę je obejrzeć... Ale oprócz zbiorów kultury rzymskiej są również artefakty kultury punickiej, greckiej, chrześcijańskiej i arabsko-muzułmańskiej. – Ula włożyła buty. – A sam budynek to

dziewiętnastowieczny pałac Muhammada Beja, beja Tunisu, i w jednej z jego części mieścił się harem władcy. – Ula wzięła do ręki torebkę. – Ciekawe, jak wyglądały te haremowe sale, podobno było tam też haremowe patio z fontanną pośrodku...

Sarę zmroziło. Harem to ona miała u siebie w domu przez prawie pół roku i nie musiała chodzić do muzeum, żeby oglądać haremowe komnaty. „Joanno, to jest moja żona, Lara”. – W głowie zabrzmiały jej okrutne słowa ojca, którymi powitał mamę, kiedy ta wróciła z wakacji. „Lara zajmuje prawe skrzydło rezydencji, a ty, Joanno, będziesz mieszkała, tak jak dotąd, w lewym skrzydle. Lara wzięła ze sobą swoje trzy służące, więc twoje służące będą obsługiwały tylko ciebie. Ja będę was odwiedzać w waszych sypialniach na zmianę, to znaczy będę u każdej z was co drugą noc. Tak będzie sprawiedliwie”.

– Nie idę! – ostro powiedziała Sara, a Ula spojrzała na nią totalnie zaskoczona, bo pierwszy raz spotkała się z takim zachowaniem Sary.

– Dlaczego? – zapytała.

Znowu ta dociekliwość! Sara widziała przed sobą sympatyczną twarz nic nierozumiejącej Uli. Przemknęło jej przez głowę, że nie może stwarzać złej atmosfery już od samego początku ich podróży, więc machinalnie szybko złapała się za brzuch i pobiegła do toalety.

– Niedobrze ci? – zapytała z troską Ula, kiedy Sara wróciła. – Ale tak nagle... Może ty w ciąży jesteś?

Pewnie Ula nie przypuszcza, że jeszcze jestem dziewicą – pomyślała Sara. – Zupełnie nie zna realiów Wschodu.

– Nie, nie jestem w ciąży – zaprzeczyła. – To chyba od tego hotelowego jedzenia.

– Według mnie było całkiem w porządku.

– Jednak wolę nie ryzykować. Dzisiaj zostanę w hotelu, a do jutra na pewno mi przejdzie.

– Może ja też zostanę?

– No coś ty, nie ma sensu. Poradzę sobie.

– Na pewno?

– Tak. – Sara na siłę uśmiechnęła się do Uli. – I później opowiesz mi, jak było.

– No dobrze, to do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Kiedy tylko za Ulą zamknęły się drzwi, Sara pozwoliła sobie na głośny, tłumiony od wielu miesięcy histeryczny płacz.

* * *

Turyści chodzili wśród ruin założonej w dziewiątym wieku przed naszą erą

przez Fenicjan z Tyru Kartaginy, jednego z najważniejszych starożytnych ośrodków handlowych i politycznych. Szczyt potęgi miasta przypadł na trzeci wiek przed naszą erą i w tym samym stuleciu Kartagińczycy prowadzili szereg wojen z Rzymianami o wpływy nad zachodnią częścią basenu Morza Śródziemnego. Do historii przeszedł Hannibal, wyjątkowo utalentowany dowódca wojsk antycznej Kartaginy, który tak się dał we znaki Rzymianom, że ukuli oni powiedzenie mające ostrzegać przed nadciągającym niebezpieczeństwem: *Hannibal ante portas*, „Hannibal u bram”.

W drugim wieku przed naszą erą Kartagina stała się kolonią Rzymu i teraz Sara mogła zwiedzać ozdobione licznymi kolumnami ruiny rzymskiej willi. Ludzie tu żyli, rodzili się i umierali. Kochali i nienawidzili. Byli szczęśliwi i nieszczęśliwi. Śmiali się i płakali. A teraz tylko kamienie – myślała Sara. Przyjechała z Ulą, aby obejrzeć pozostałości po starożytnym mieście, ale kosztowało ją to bardzo dużo wysiłku. Kiedy się ubierała, jej ciało stawiało wręcz fizyczny opór i Sara miała wrażenie, że waży tonę. Teraz też z trudnością się poruszała, więc gdy po willi przyszła kolej na imponujące ruiny Term Antoniusza, łaźni rzymskich, w których starożytni mieszkańcy zażywali kąpiele, już po paru krokach stwierdziła, że musi odetchnąć.

– Ula, odpocznę chwilę – zwróciła się do koleżanki.

– Co, znowu ci niedobrze?

– Trochę, może od tego upału.

– Bo jeszcze czeka na nas wspaniała kolekcja rzymskich posągów, dawnych narzędzi, monet, a przede wszystkim wspaniałych mozaik. Szkoda tego nie zobaczyć.

– Za chwilę do ciebie dołączę, Ula.

– Dobrze, Saro.

Dziewczyna usiadła na liczącym sobie kilka tysięcy lat murku i zapatrzyła się w niebieskie wody Morza Śródziemnego. I znowu woda. Już trudno zliczyć, nad iloma wodami wpadała w zadumę w ciągu ostatnich miesięcy.

Następnym etapem objazdowej wycieczki było nad podziw malownicze, położone na wzgórzu nad Morzem Śródziemnym, biało-niebieskie miasteczko, a obecnie także ekskluzywna dzielnica Tunisu, Sidi Bou Said. Atmosfera tego absolutnie wyjątkowego miasta była tak szczególna, że upodobali go sobie francuscy filozofowie, malarze i pisarze. Siadali na matach lub dywanach w urządzonych w mauretańskim stylu dekadencjonalnych Café des Nattes i paląc kolejne nargile lub opium, rozprawiali o sztuce, literaturze i filozofii. Bywali tu Albert Camus, Jean Paul Sartre, Simone de Beauvoir, Colette, Michel Foucault, Henri Matisse – rywal Pabla Picassa, Paul Klee, którego największe dzieła powstały właśnie w Tunezji, i laureat Nagrody Nobla Andre Gide.

– Saro, tu jest dosłownie przepięknie! – Ula nie mogła ukryć zachwytu.

Dziewczyny wspinały się po idącej lekko w górę wąskiej uliczce, a z obu stron otaczały je białe domy z pomalowanymi na niebiesko okiennicami lub muszarabami, giętymi artystycznie drewnianymi kratami przesłaniającymi okna, i tego samego koloru drzwiami, które niekiedy ozdobione były czarnymi ćwiekami i zakończone łukami. Wszystko to tonęło w wiecznie kwitnących krzewach bugenwilli oraz pelargonii, hibiskusów i oleandrów, które bujną zielenią i kolorowymi kwiatami spływały kaskadami po bieli wiekowych murów. Niezwykły klimat czarownego miejsca dopełniał wszechobecny aromat jaśminu.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek w życiu widziałam piękniejsze miasteczko. – Zauroczenie Uli dwukolorowym Sidi Bou Said nie miało granic. – Usiądziemy tu gdzieś na kawę ?

– Jasne, wybierz tylko miejsce – zgodziła się Sara.

Koleżanki weszły do jednej z licznych kawiarni, z których rozciągał się wspaniały widok na zatokę i port jachtowy. Zamiast kawy dziewczyny zamówiły mocną i słodką herbatę z gałązką mięty i pływającymi po jej wierzchu orzeszkami pinii podawaną w wysokich, przezroczystych szklankach.

– I jak, Saro, podoba ci się tu?

– Oczywiście, bardzo. Ciekawa tylko jestem, skąd się wziął pomysł, żeby całe miasteczko było biało-niebieskie.

– Czytałam, że to zasługa francusko-niemieckiego arystokraty, barona Rudolfa d'Erlangera, który zachwycony arabską muzyką na początku dwudziestego wieku osiedlił się tu na stałe i na klifie wybudował imponujący, otoczony ogrodami pałac w stylu tunezyjsko-andaluzyjskim, nazwany An-Nadžma az-Zahra, Jaśniejąca Gwiazda. Rezydencja rzeczywiście olśniewała swoim urokiem i stała się inspiracją do zastosowania tych samych kolorów i tego samego stylu dla otaczającej ją architektury. Podobno niebieski kolor dobrze się tu przyjął, ponieważ w tutejszej tradycji odstrasza on dzinny.

– Tak, od dzinnów lepiej się trzymać z daleka – wtrąciła Sara.

– Dzinny, czyli złe duchy? – upewniła się Ula.

– Tak – potwierdziła Sara.

– Baron, który również był malarzem i muzykologiem, stworzył sześć tomów ksiąg o muzyce arabskiej, rozślawił to miejsce, zapraszając do siebie europejskich artystów i intelektualistów.

– Rzeczywiście, było tego warte – przyznała Sara. – A jak ci się układa z Krzysztofem? – zmieniła temat.

– Jak na razie dobrze. Ale zobaczymy, jak się zachowa na pierwszej imprezie. Od mojego powrotu z Szarm el-Szejk jeszcze nigdzie razem nie byliśmy.

– A co u Iwony? I co jej rodzina na to jej małżeństwo?

– Iwona jeszcze nic im nie powiedziała.

– A kiedy zamierza to zrobić?

- Nie mam pojęcia.
- A z Chalidem jak?
- Cały czas bezgranicznie w nim zakochana.
- I co planują dalej?
- Nie wiem. Z tego, co Iwona mówi, chcą zamieszkać razem, w końcu są małżeństwem, ale cały czas zastanawiają się, czy w Polsce, czy w Egipcie.
- To Iwona bierze pod uwagę Egipt?
- Tak, i mam wrażenie, że ona nawet by wolała takie rozwiązanie.
- Naprawdę? – zdziwiła się Sara.
- Tak. Mówi, że tęskni za ciągle świecącym słońcem, wiecznie zielonymi palmami, złotym piaskiem na plażach i lazurowym morzem.

Tylko że codzienne życie w kraju arabskim to nie tylko to... – pomyślała Sara.

– I może coś w tym jest... – powiedziała Ula, rozglądając się wkoło. – Zobacz, jak tu jest cudnie. Baron mieszkał tu przez kilkadziesiąt lat, filozof Michel Foucault przez kilka, a pisarz noblista Andre Gide miał tu swój dom.

Sarę zastanowiły słowa Uli. Może rzeczywiście chodzi o to, żeby odnaleźć swoje miejsce, takie szczególne, które współgra z twoją duszą, z całym tobą, i jeżeli już tam jesteś, to za niczym innym nie tęsknisz, nie uciekasz...

Następnym punktem objazdowej wycieczki było miasto Hammamet, typowy nadmorski kurort z ekskluzywnymi hotelami, piaszczystymi plażami, klubami i dyskotekami pełnymi rozbawionych gości. Ula lubiła cały dzień spędzać na plaży na opalaniu się i pływaniu, Sara zaś wytłumaczyła jej, że tego to ona ma pod dostatkiem w swoim kraju, więc woli zostać w pokoju. Ula akurat to rozumiała, w Szarm el-Szejk koleżanki też spotykały się dopiero późnym popołudniem, więc obyło się bez zbędnych pytań.

Hammamet było pełne turystów, a przede wszystkim turystek z Europy, i uprawiany przez Tunezyjczyków „bezness” rozkwitał w kurorcie w najlepsze. Tutaj mężczyźni, którzy wchodzili w relacje z kobietami w celach materialnych, określano niezbyt przyjemną nazwą *Tunisian love rats*, „tunezyjskie szczury miłosne”. Szczury, które wyciągały od kobiet pieniądze.

Metody były bardzo podobne do tych, które stosowali Egipcjanie, należało na plaży, na ulicy, w barze lub na dyskotece zawrzeć znajomość z Europejką, a później, przekonując ją o jej wyjątkowości i wielkiej do niej miłości, wyciągnąć od niej, za pomocą różnych metod, jak najczęściej dóbr materialnych. Poczynając od paczek papierosów, zaproszenia na piwo lub drinka, na obiad, kolację lub dyskotekę, poprzez drogie telefony, laptopy, ubrania czy zegarki, na dużych sumach pieniędzy, zaproszeniach do Europy, a wreszcie zdobyciu w niej wizy kończąc. I tu dużą rolę odgrywały zaklęcia miłosne: Jesteś najpiękniejszą, najśodsza kobietą na świecie. Jesteś moim życiem, moją miłością. Ja jestem dla

ciebie, a ty jesteś dla mnie. Kocham cię od pierwszego momentu, kiedy cię ujrzałem. Dopiero teraz moje życie nabrało sensu.

Wiele kobiet z Wielkiej Brytanii, Francji i innych krajów zostało oszukanych przez *Tunisian love rats* i na różnych forach, w celu ostrzeżenia innych kobiet, były tworzone imienne listy oszustów wraz z ich zdjęciami, gdyż okazywało się, że mężczyźni mogli mieć kilka relacji w tym samym czasie. Jednymi z najbardziej zranionych kobiet były te, które zawarły z Tunezyjczykami związki małżeńskie, a ukochani mężowie po paru latach, kiedy otrzymali wymarzony europejski paszport, znikali bezpowrotnie, aby założyć tradycyjną rodzinę ze swoją rodaczką.

Tunezyjczycy byli absolutnie przekonani co do tego, że Europejki wchodzą z nimi w relacje, bo europejscy mężczyźni są zimni i bardzo rzadko, albo i wcale, uprawiają seks. I w dodatku ten seks jest beznadziejny. Można się zgadzać z tą opinią lub nie, ale faktem jest, że tysiące Europejek, niezależnie od powszechnie znanych i tragicznie zakończonych historii o ich wręcz bezczelnym wykorzystywaniu materialnym przez mężczyzn zajmujących się „businessem”, nadal mniej lub bardziej świadomie wpadało w ich silne, gorące ramiona. Może zatem warto sobie zadać dość brutalne, ale niezwykle adekwatne, biorąc pod uwagę skalę zjawiska, pytanie: Czego brakuje europejskim mężczyznom, że kobiety szukają miłości i satysfakcji seksualnej w łóżkach egzotycznych kochanków?

Rozpalona słońcem Ula wróciła do pokoju.

– Morze fantastyczne! Ciepłe, czyste... Idę wziąć prysznic – powiedziała do Sary.

Z łazienki Ula wyszła odprężona i uśmiechnięta.

– Wiesz, Saro, dzisiaj na plaży jest *beach party*, może masz ochotę się wybrać? – zapytała.

Sara nie miała ochoty, ale wołała już wyjść na godzinę, później zawsze może powiedzieć, że źle się poczuła, niż znowu tłumaczyć się, dlaczego całymi dniami siedzi w pokoju.

– Dobrze, możemy iść – odpowiedziała.

– To świetnie – rozpromieniła się Ula. – Widziałam, że party już się rozkręca, wygląda na to, że będzie super.

Dziewczyny szybko się ubrały i udały na plażę oświetloną promieniami zachodzącego słońca. Pierwsze, na co zwróciła uwagę Sara, to panująca wokoło atmosfera swobody i wolności. Leciały aktualne hity europejskie i towarzystwo było już mocno rozbawione. Na plaży porzastawiane były niewielkie bary i Ula od razu przyniosła dwa drinki.

– Za naszą podróż! – wzniosła toast.

– Za podróż! – Sara podniosła swoją szklanę.

Dziewczyny wypily do dna i Ula poszła po następny alkohol. Na białym piasku setki bosych stóp wybijały rytm w takt muzyki. Dziewczyny i kobiety,

w większości w bikini, popijały barwne koktajle i świetnie się bawiły. Sara musiała przyznać, że roześmiani i wyluzowani Tunezyjczycy byli bardzo fun. I byli wyjątkowo przystojni. Widać było, że dbają o swoje ciała o ciemnej karnacji, pod skórą rysowały się twarde mięśnie, a ich sylwetki były niezwykle proporcjonalne. Prezentowali swe wymodelowane klatki piersiowe i bicepsy, gdyż zakładali zazwyczaj luźne spodenki przed kolana bez żadnych T-shirtów czy koszul. Kiedy się śmiali, śmiali się całym sobą, ich mowa ciała była niezwykle ekspresyjna, a śmiech prawdziwy, zaraźliwy.

Skąpo ubrane kobiety tańczyły z coraz większą werwą. Jedna z dziewcząt weszła na górujące nad plażą podwyższenie i z zapalem wyginała się na wszystkie strony. Miała na sobie minimalistyczny kostium, cieniutki paseczek wbijał się w rowek pupy, obnażone pośladki trzęsły się zmysłowo w rytm rozbrzmiewającego przeboju, a to wszystko w publicznym miejscu, rzecz nie do przyjęcia w większości krajów, gdzie dominującą religią jest islam. Utwór się skończył, dziewczyna zeszła z platformy, a jej miejsce zajął wyjątkowo przystojny Tunezyjczyk w białych szortach, które podkreślały ciemną tonację jego skóry i wręcz idealne, wypracowane na siłowni ciało. Oczy kobiet zwróciły się w jego kierunku, pewny siebie mężczyzna obracał się na wszystkie strony, uwagę zwracał rytmiczny, falujący ruch jego bioder i szeroka, mocna klatka piersiowa.

Tłum na plaży balował i wirował. Tunezyjczycy demonstrowali swoje nagie torsy, a na głowach mieli zazwyczaj albo czapki bejsbolówki, czasem włożone daszkiem do tyłu, albo kapelusze z niewielkimi rondami, jakie można zobaczyć w klasycznych musicalach. Kobieta może być ubrana tylko w perfumy. A facet w kapeluszu.

Sara zwróciła uwagę na bawiącą się obok parę, młodą Europejkę w bikini pływającą w rytm znanego przeboju i wirującego przy niej Tunezyjczyka, który z zapalem prezentował jej swe niewątpliwe męskie walory i umiejętności taneczne. Trudno się dziwić, że Tunezyjczycy potrafili uwieść i rozkochać w sobie prawie każdą kobietę. Bo jeżeli on tańczył wokół niej, to mogło być dziesiątki innych ludzi na plaży, dziesiątki innych kobiet, a ona czuła, że jest jedyna, że jest gwiazdą, wokół której krąży adorujący ją, istniejący tylko i wyłącznie dla niej męski księżyc.

Beach party rozgrzało jego uczestników do granic możliwości. Kobiety i mężczyźni tańczyli w pełnych zmysłowości ruchach, obiecując się do siebie uśmiechając, kokietując i uwodząc się nawzajem. Z armatki wystrzelono białą piankę, która spływając po piersiach, brzuchach i udach kobiet jednoznacznie kojarzyła się z wytryśniętą, po pełnym dzikiej satysfakcji stosunku seksualnym, obfitą spermą.

A wokoło wielu atrakcyjnych Tunezyjczyków z żarliwością w oczach prezentowało swoje obnażone, pociągające ciała. Ich image przesyłał wyraźne sygnały. Kolorowe szorty to figlarny, gotowy do każdej zabawy chłopak.

Zawadiacki kapelusz to silny, ale jednocześnie pełen humoru mężczyzna. Byli w tym bardzo seksy. Patrząc na nich, myślało się tylko o jednym: Jak tu z nimi jak najszybciej iść do łóżka? Weź mnie, *habibi*, tu i teraz. Za każdą cenę.

W Sarze coś drgnęło. Panujący na plaży beztrocki i podszyty namiętnością nastrój przywołał te chwile w Kuwejcie, kiedy zamykała się na klucz w swoim pokoju, wkładała dopasowane sukienki i tańczyła seksownie sama do lustra. A później, wymknąwszy się spod kontroli pilnującego jej ojca, brała udział w potajemnie organizowanych party, gdzie podczas paru godzin wykradzonej wolności mogła szaleć do woli w mieszanym towarzystwie.

– Potańczymy? – Uli też udzielił się klimat wakacyjnego wariactwa.

– Jasne, czemu nie. – Pobudzona kilkoma drinkami Sara dołączyła do plażowej zabawy.

Plaża udekorowana była różowymi i czerwonymi balonami, co nadawało otoczeniu buduarowy charakter. Ciepłe morze uderzało o brzeg romantycznymi falami, akcentując magiczny nastrój letniego wieczoru. Nagle na brzegu morza pojawili się dwaj jeźdźcy na koniach, wzbudzając powszechne zainteresowanie. Dosiadający koni Tunezyjczycy zatrzymali zwierzęta i zaraz wokół nich zebrał się tłumek zaintrygowanych plażowiczów, przede wszystkim kobiet. Jeźdźcy pozwalali gładzić lśniąca sierść swoich koni, o maści siwo-jabłkowitej i kasztanowatej, a kobiety, wznosząc oczy do góry i zalotnie się uśmiechając, próbowały wzbudzić zainteresowanie któregoś z nich. Jeden z Tunezyjczyków był szczególnie atrakcyjny, bardzo krótkie spodenki pokazywały silne, umięśnione uda, luźna, mocno wycięta koszulka odsłaniała duże mięśnie, dwudniowy zarost dodawał męskości jego ogorzalej twarzy, a wystające spod kapelusza kosmyki niesfornych włosów wносиły efekt pewnej filuterności. Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując rząd równych, białych zębów, i stojące najbliżej kobiety zapiszczały. Tunezyjczyk rozszerzył uśmiech, podniósł rękę i intensywnie wpatrując się w Sarę, pomachał do niej otwartą dłonią. Sara odwróciła się, bo nie miała ochoty na żadne nowe kontakty. Ale fakt, że taki mężczyzna przy wszystkich ją wyróżnił, mile połechnął jej kobiecość. Sarze Tunezja podobała się coraz bardziej.

Na drugi dzień dziewczęta jechały autobusem do kolejnego miasta na trasie wycieczki, Al-Dżamm.

– Daleko jeszcze? – Sara zapytała Ulę.

– Trochę jest.

– Bo strasznie trzęsie w tym autobusie. I chyba klimatyzacja źle działa, bo jest bardzo gorąco. Zaraz się tu roztopię.

– Wydaje ci się. To pewnie po tych wczorajszych drinkach i tańcach.

– Może.

– A ci Tunezyjczycy są całkiem niezli – stwierdziła Ula. – Mają w sobie jakiś nieodparty czar.

– Tylko się czasem w którymś z nich nie zakochaj. – Sara się uśmiechnęła.

– No coś ty, ja mam Krzysia – zachnęła się Ula. – Tak tylko mówię, że fajni faceci są.

Droga dłużyła się niemiłosiernie i kiedy wreszcie autobus dojechał do celu, Sara od razu pobiegła do łazienki wziąć już drugi tego dnia prysznic.

– Sara, pospiesz się, zaraz wyjeżdżamy! – Ula krzyknęła przez drzwi łazienki.

– Ja chyba zostanę w hotelu – odkrzyknęła Sara.

– Chodź, Saro, to tylko zwiedzanie jednego amfiteatru, pewnie nie potrwa długo, a jeśli już tu jesteś, to szkoda go nie zobaczyć.

Drzwi łazienki się otworzyły.

– Nie wiem, czy chce mi się wychodzić – zawahała się owinięta w ręcznik Sara.

– Oj, Saro, nie marudź, tylko szybko wskakuj w ciuchy, bo autokar już czeka

– Ula ponaglała koleżankę.

– No, dobrze... – Sara jeszcze rozgrzana tańcami poprzedniego dnia posłuchała koleżanki i szybko się ubrała.

Zafascynowana Tunezją Ula po drodze przekazywała Sarze zdobyte wcześniej informacje.

– Dobrze, że jedziesz, bo ten amfiteatr po prostu trzeba zobaczyć.

– A co w nim takiego szczególnego?

– Uważa się go za najbardziej majestatyczną budowlę Cesarstwa Rzymskiego w Afryce Północnej. Podobno jest lepiej zachowany od samego Koloseum i to trzeci pod względem wielkości amfiteatr na świecie.

– To rzeczywiście wyjątkowy zabytek.

– Tak, wpisany jest nawet na listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego UNESCO.

Ogromny amfiteatr, o kształcie elipsy o obwodzie ponad czterystu i wysokości prawie trzydziestu sześciu metrów, nawet na Sarze wywarł duże wrażenie.

– To prawdziwy kolos! – Zadzierając wysoko głowę, Sara oglądała efektownie prezentujące się ściany zewnętrzne z gładów piaskowca, w których widać było trzy kondygnacje z dużymi otworami zakończonymi łukami i poprzedzielanymi kolumnami.

– Wyobrażasz sobie, że mógł on pomieścić do trzydziestu pięciu tysięcy widzów? A zbudowano go w trzecim wieku naszej ery. – Ula też z podziwem oglądała rzymską budowlę.

Koleżanki weszły do środka, a następnie systemem połączonych galerii, korytarzy, schodów i przejść dostały się na sam szczyt widowni.

– Spójrz na tę olbrzymią arenę. – Ula spoglądała w dół. – To tu

organizowano widowiskowe spektakle ku uciesze widzów. Widzisz te dwa długie korytarze... To tędy wchodzili gladiatorzy biorący udział w krwawych walkach. I zwierzęta: lwy, pantery i niedźwiedzie... Ale nie tylko zawodowi gladiatorzy uczestniczyli w tych dramatycznych zmaganiach na śmierć i życie, gdzie krew lała się strumieniami. Do walk z dzikimi zwierzętami wysyłano również więźniów i jeńców wojennych, którzy osłabieni i wyczerpani nie mieli żadnych szans z drapieżnikami. Ale się wtedy zabawiali... – Ula pokiwała głową. – A wiesz, Saro, ze względu na to, że amfiteatr jest w tak świetnym stanie, to właśnie tu kręcono sceny do słynnego *Gladiatora*. I do naszego polskiego filmu *Quo vadis* również.

Po parunastu minutach dziewczęta zaczęły schodzić na dół.

– Amfiteatr spełniał też funkcje obronne – kontynuowała swoją opowieść Ula. – pod koniec siódmego wieku broniła się tu przed najazdem Arabów berberyjska królowa Al-Kahina.

– *Kahin* to po arabsku wieszcz, ktoś, kto potrafi przepowiadać przyszłość. *Kahin* to też kapłan i czarownik – wtrąciła Sara.

– Tak, czytałam o tym – potwierdziła Ula. – Berberyjskie imię tej najsłynniejszej królowej, ale też nieujarzmionej wojowniczką i przywódczyni armii, brzmiało Damiya. To Arabowie nazwali ją Al-Kahina ze względu na to, że umiała wróżyć i nieomylnie przepowiadać przyszłość.

– Ależ wielki ten amfiteatr! – Sara poczuła się już bardzo zmęczona. – Idziemy, idziemy i końca nie widać!

– Została nam tylko ostatnia kondygnacja – zauważyła Ula. – A wracając do Al-Kahiny, to była niezwykle dzielna kobieta. Istnieje legenda, że za młodu poślubiła tyrana, który gnębił jej lud. Zrobiła to tylko po to, aby w noc poślubną go zabić.

– To tylko się od niej uczyć! – Sara się zaśmiała.

– Odwagi na pewno! – przytaknęła Ula. – I zdolności przywódczych także. Kiedy pod koniec siódmego wieku Arabowie zaczęli długotrwałe oblężenie Kartaginy, aby w końcu ją zdobyć i zrównać z ziemią, to Al-Kahina zjednoczyła wojska berberyjskie w celu wygnania najeźdźców. I nawet jej się to udało! Odzyskała zniszczoną Kartaginę i pokonała wojska przeciwnika. Niestety ostatecznie, kiedy wrogowie wrócili, przegrała. Różne są przekazy na temat jej śmierci. Niektórzy podają, że zginęła na polu walki z mieczem w ręce, inni zaś, że popełniła samobójstwo, połykając truciznę, aby tylko nie wpaść w ręce wroga. – Ula dokończyła historię odważnej królowej Berberów.

– O, jest nasz autobus, nareszcie! – powiedziała z ulgą Sara. – Nóg nie czuję!

– To dobrze dzisiaj odpocznij, kiedy dojedziemy do hotelu – poradziła Ula. – Bo jutro czeka nas dłuższa podróż.

– A gdzie jedziemy?

– Daleko na południe, to ponad czterysta kilometrów.
– To kawał drogi! A co tam jest ciekawego?
– Jedziemy do Matmaty, to już jest skraj Sahary, mieszkają tam właśnie Berberowie, rdzenni mieszkańcy Afryki Północnej. Ich domy są wydrążone w miękkich piaszczysto-gliniastych skałach gór Dżebel Matmata.
– Nie bardzo to sobie wyobrażam.
– Ja też nie, dlatego jestem bardzo ciekawa i samych Berberów żyjących pod ziemią, i ich domów.

Następnego dnia, po długiej, kilkusetkilometrowej podróży, dziewczyny zostały zakwaterowane w hotelu w skałach, urządzonym w dawnym domostwie Berberów. Kiedy zmęczona podróżą Sara weszła do wydrążonego w skale pokoju, a raczej jaskini, od razu zrozumiała sens budowania tego rodzaju domostw. Na zewnątrz temperatura przekraczała czterdzieści stopni, a w grocie panowało przyjemne trochę ponad dwadzieścia. Odczucie było takie, jakby znalazła się w klimatyzowanym pomieszczeniu.

Sara położyła się na prostym łóżku i pierwsza myśl, która jej przyszła do głowy, była taka, że dla Berberów to jest ich miejsce na ziemi, niezależnie od tego, jak niezwykle to się wydaje innym. Tu żyli od setek lat, w prawie niezmiennym rytmie, i było to dla nich tak normalne jak to, że codziennie rano wschodzi piekące, saharijskie słońce.

Uli przed wyjazdem z Hammamet u dało się kupić książkę o Berberach i przez całą długą drogę zasypywała Sarę ciekawostkami na ich temat. Okazało się, że domy w skałach nie tylko chroniły przed rozżarzoną słońcem, ale również przed wiejącymi czasem z ogromną siłą pustynnymi wiatrami oraz przynoszonymi przez nie, wciskającymi się wszędzie ziarenkami piasku. W zimie zaś, kiedy temperatura na pustyni mogła być naprawdę niska, zabezpieczały mieszkańców przed zimą. Dawniej były one też schronieniem przed arabskimi najeźdźcami i dlatego do dnia dzisiejszego istniały plemiona berberyjskie, które nie poddały się procesowi arabizacji, zachowując tym samym własny język, kulturę i plemienną tożsamość. Ula jeszcze wspominała o wielu ciekawych rzeczach związanych z życiem Berberów, ale tego dnia, znużona długą jazdą Sara, nic więcej nie mogła sobie przypomnieć i po chwili zapadła w długi, kamienny sen.

– Jak się wyspałaś w tej jaskini? – Ula nazajutrz zapytała Sarę.
– Ja wspaniale. A ty?
– Ja też. To może w poprzednim wcieleniu byliśmy troglodytkami? – zażartowała Ula.
– Na pewno tak było! – Sara z uśmiechem na twarzy zgodziła się z koleżanką.

Następnie dziewczyny odwiedziły jedno z berberyjskich domostw, w którym do tej pory toczyło się normalne, codzienne życie. Rodzina składała się ze

starszego mężczyzny, jego córki i małej wnuczki. Mąż kobiety w lecie pracował w branży turystycznej na wyspie Dżerba.

I tym ludziom, tak jak wielu innym Tunezyjczykom, dodatkowy dochód zapewniali przybywający licznie do ich kraju turyści.

Okolice Matmaty stały się bardzo popularne, kiedy twórca *Gwiezdných wojen*, George Lucas, postanowił, że tereny te posłużą za scenografię do niektórych zdjęć plenerowych jego kultowej sagi. Wygląd planety, na której wychował się Luke Skywalker, i charakterystyczny podziemny dom jego rodziny został zainspirowany właśnie surowym, piaskowo-kamiennym, księżycowym krajobrazem południowej Tunezji i domostwami jej rdzennych mieszkańców.

Pochylił tunielem Ula i Sara weszły na wydrążony w skale na głębokość około sześciu metrów dość obszerny, niezakryty od góry dziedziniec. Wokół niego znajdowały się spełniające różne funkcje proste, wręcz spartańskie, pozbawione okien pomieszczenia. Wszystkie ściany były bielone, aby w ten sposób rozjaśnić panujący wkoło mrok. W sypialni na podłodze znajdowały się kolorowe kilimy w paski oraz materace z poduszkami i kocami. Kuchnia wyposażona była w wiele glinianych i metalowych mis, dzbanków, garnków i innych naczyń. Półki powstały naturalnie z wydrążonych w skale występów. W ten sam sposób wcześniej modelowano ławy do siedzenia i łoża do spania.

Na jałowej ziemi półpustynnych zboczy Berberowie tworzyli tarasy, na których zatrzymując muł i wodę deszczową, uprawiali kilka figowców, drzewek oliwnych, a czasami nawet palm daktylowych. Ze zbóż na mało urodzajnej glebie mógł rosnąć odporny na suszę jęczmień. Pozyskane z niego ziarno Berberki męły w tradycyjnych kamiennych żarnach, aby później wypiec z niego tradycyjne, duże, płaskie placki chlebowe. Kiedyś rolę paleniska pełnił umieszczony w ziemi niewielki gliniany piec w kształcie dzbana, teraz natomiast spotykało się czasem małe kuchenki gazowe i butle z gazem. Spiżarnie były umieszczane na pewnej wysokości, żeby nie dostawały się do nich zwierzęta i robactwo.

Kiedy rodzina Berberów się powiększała, domostwo łatwo można było rozbudować, drążąc w skałach kolejne nowe pomieszczenia i łącząc je korytarzami. Powstałe w ten sposób domy miały nawet do trzech dziedzińców.

– Świetnie się tu urządzili! I jaki wygodny rozkład pomieszczeń! – stwierdziła Ula. – Mają tu wszystko to, co potrzebne jest do życia.

– I żyją tak tym swoim rytmem od setek lat – dodała Sara.

– Tak, tylko niektórym ostatnio turyści przeszkadzają – zauważyła Ula. – Nawet swoje domostwa ogrodzili drutem kolczastym, żeby nikt im tam nie wchodził.

– A kto lubi, kiedy mu się jacyś obcy ludzie po domu kręcą? – Bolesny skurcz przeszył serce Sary, bo przypomniała sobie panoszącą się w rodzinnej rezydencji Larę i jej służące.

– Masz rację, chyba nikt – zgodziła się Ula. – Niektórzy wpuszczają turystów, żeby zarobić parę dinarów, a inni chcą po prostu spokojnie żyć, a nie wystawiać się codziennie na pokaz.

Koleżanki wróciły do hotelu i przy kolacji Ula podzieliła się z Sarą swoją wiedzą na temat berberyjskich strojów.

– Widziałas, Saro, jak pięknie te Berberki są ubrane? – zapytała.

– Ja zwróciłam uwagę przede wszystkim na kolory. Są tak różnorodne i intensywne... Tkaniny są zazwyczaj w pasy i te przeplatające się barwy, niebieski, czerwony, fioletowy, żółty lub zielony, wyglądają niezwykle plastycznie na tle pustynnego krajobrazu. I one te płachty materiału tak ciekawie układają wokół siebie.

– Właśnie to chciałam ci powiedzieć, że jest to wpływ Rzymian, którzy byli tu obecni przez kilkaset lat. Zauważ, że Berberki drapują tkaninę w sposób podobny do rzymskiej togi.

– Nigdy bym nie przypuszczała...

– I spinają ją wielkimi, okrągłymi, srebrnymi fibulami, czyli specjalnymi ozdobnymi broszkami. Berberki noszą przepiękną srebrną biżuterię i od ich wielkich naszyjników, bransoletek, pierścieni, kolczyków czy też koralów wprost oczu nie można oderwać.

– Ta Berberka, u której dziś byliśmy, miała niesamowite kolczyki, widziałas?

– Oczywiście, były tak wielkie, że sięgały jej ramion, a do tego były niezwykle misternie wykonane i zdobione.

– A na twarzy miała tatuaże.

– To bardzo charakterystyczne dla Berberów. Kiedy dziewczynka osiągnie dojrzałość płciową, robi się na jej brodzie pionowy tatuaż.

– Dlaczego?

– Ta pionowa linia, po bokach której często umieszcza się punkty, to symbol palmy i nasion, co z kolei odnosi się do płodności. Poza tym tatuaże umieszcza się wokół otworów w ciele, przez które mogą wchodzić dzinny, żeby opętać człowieka – traktuje się je zatem jako ochronę przed nimi.

– Ja jeszcze zauważyłam tatuaż między brwiami.

– I ten tatuaż, jak każdy inny, uważany jest za rodzaj talizmanu, który chroni przed złymi duchami i złym okiem.

– Pamiętasz, Ula, mówiłam ci, że w tym roku byłam na Sri Lance? – przypomniała Sara.

– Jasne, że tak.

– I tam były takie różne maski, na przykład maska pawia, maska węża, maska ognia... I mieszkańcy Cejlonu wierzą, że te maski posiadają moc ochrony przed złem.

- To bardzo ciekawe, co mówisz... Opowiesz mi o tym?
- Jeżeli cię to interesuje, to oczywiście, że tak. Posłuchaj... Maska węża to...

Cały wieczór Sara opowiadała Uli o lankijskich maskach i rytuałach, buddyjskich świątyniach, oceanie i wspaniałej przyrodzie równikowej wyspy.

* * *

– Co dzisiaj jest w planie? – zapytała Sara koleżankę następnego dnia przy śniadaniu.

- Oaza. Prawdziwa oaza na pustyni.
- Oaza... – powtórzyła Sara.
- Oaza Tauzar. – Ula odsunęła talerzyk. – Ja już skończyłam. Idziemy?
- Tak. – Sara wypila ostatni łyk herbaty i wstała od stołu.

Znużona monotonną jazdą ostatni odcinek drogi do Tauzar Sara przespalała. Kiedy się ocknęła, w jej oczy rzucił się powitalny napis przy wjeździe do oazy: *Voir Tozeur et revivre*. Sara wcześniej uczyła się trochę francuskiego, więc bez trudu zrozumiała: „Zobaczyć Tauzar i narodzić się na nowo”.

Położony wśród setek palm, zaprojektowany i urządzony w klasycznym stylu tunezyjskim pięciogwiazdkowy hotel bardzo przypadł Sarze do gustu, a Ula się wręcz nim zachwycała.

– Zobacz, jak tu jest cudnie, jak w bajce! – Ula rozglądała się wkoło, podziwiając wysokie kolumny, piękne mozaiki na podłogach, orientalne dzbany, obrazy przedstawiające sceny haremowe, arabskie dekoracje, stoliczki, kanapy i siedziska oraz wspaniałe zaaranżowaną zieleń w ogromnym holu.

– Tu jest za ładnie, żeby siedzieć w pokoju, chodźmy do baru na drinka – zaproponowała podekscytowana Ula.

– Dobrze – zgodziła się Sara.

W barze dziewczyny zastanawiały się, co zamówić, kiedy nagle jak spod ziemi wyrósł przy nich przystojny Tunezyjczyk.

– Proponuję pastisy – zasugerował, uśmiechając się przyjaźnie.

– A co to jest? – spytała Ula.

– To likier anyżowy, pije się go z wodą – wyjaśnił nieznajomy, po czym tylko spojrział w stronę baru, a już za chwilę przyszedł kelner i postawił na stoliku trzy szklanki z mlecznobiałym drinkiem.

– Ja zapraszam – powiedział Tunezyjczyk i zaraz zapytał, wskazując na krzesło: – Można?

– Proszę – odpowiedziała Ula.

– Aziz – przedstawił się mężczyzna.

– Ula.

– Sara.

– Skąd jesteście?

– Z Polski – odpowiedziała Ula.

– Witam w Tauzar. – Aziz podniósł do góry szklanę.

Dziewczęta poszły jego śladem, po czym zaczęły sączyć swoje drinki.

– Pierwszy raz w Tauzar? – zapytał Aziz.

– Tak – prawie jednocześnie odpowiedziały dziewczyny.

Aziz zaczął im opowiadać o oazie i o tym, jak bardzo się rozbudowała i zmieniła w ciągu ostatnich lat.

W szklankach zaświeciło dno i koleżanki chciały zamówić następne drinki, ale nie zdążyły tego zrobić.

– Jest piękna noc, warto zobaczyć las palmowy – niespodziewanie zaproponował Aziz.

Sara z Ulą spojrzały na siebie niepewnie.

– To tuż obok hotelu – zachęcił Aziz.

– W takim razie możemy się przejść – zdecydowała Ula.

Cała trójka wstała i udała się do szumiącego tysiącami liści palmowego lasu. Po paru minutach milczenia wszyscy usiedli, wsłuchując się w naturalne odgłosy oazy. Ula usiadła obok Sary z jednej strony, a z drugiej strony usiadł Aziz. Przysunął się do Sary i jego ramię delikatnie dotknęło jej ramienia. Była w tym jakaś tkliwość, jakaś miękkość, jakaś tajemniczość.

Rozdział VII

Oaza szczęścia

W świetle dnia oaza Tauzar z całą mocą ukazywała swoje unikalne piękno. Wyłaniająca się jak fatamorgana tysiącami palm daktylowych na bezwzględnym swą jałowością pustynnym pustkowiu, jawiła się jako arkadia dostatku, spokoju i błogości. Znana od wieków z licznych naturalnych źródeł, których było ponad dwieście, zapewniała mieszkańcom orzeźwiający chłód i ochronę przed bezlitosnym słońcem typowym dla gorącego, pustynnego klimatu północnego skraju Sahary.

Pochodzący z Tauzar wybitny uczyony Ibn Szabbat, pisarz i poeta, ale także twórca wielu dzieł z zakresu literatury, historii i inżynierii, już w trzynastym wieku stworzył w oazie wspaniały system irygacji, który doprowadził ją do rozkwitu. Nawodnienie pozwalało uprawiać nie tylko palmy daktylowe, ale również – pod ich zapewniającymi cień liśćmi – figi, cytryny, morele, śliwki, banany, winogrona, granaty oraz wiele odmian warzyw, ziół i przypraw. W czternastym wieku Tauzar stało się znanym w całym regionie i niezwykle aktywnym rynkiem, do którego docierały przemierzające Saharę karawany. Oaza dzięki wpływom z handlu niepomiarowo się wzbogaciła. W tym samym wieku powstała jej zachowana do dziś w prawie niezmiennym stanie stara część, medina Ouled El-Hadef, której unikatową architekturę można zobaczyć tylko tu i w oddalonej o dwadzieścia cztery kilometry oazie Nefta. W celu zwiększenia powierzchni ścian, które miały chronić przed silnymi promieniami słonecznymi, używane do ich budowy beżowe, małe cegły z gliny i piasku układano w taki sposób, aby na murach powstawały trójwymiarowe wzory układające się w geometryczne kształty. Dzięki tej wyjątkowej metodzie można podziwiać ściany, które przywodzą na myśl ozdobne, pięknie tkane dywany.

Bogata historia Tauzar sięga pierwszych wieków przed naszą erą, kiedy to oaza była częścią królestwa Numidia, historycznego państwa Berberów, i stanowiła ważny punkt postojowy dla karawan wędrujących z dzisiejszego algierskiego miasta Biskra do tunezyjskiego miasta Gabes. W drugim wieku naszej ery oaza dostała się pod panowanie Rzymian, którzy nazwali ją Thusuros. W siódmym wieku Afrykę Północną podbijali Arabowie i dotarli również do Tauzar – mimo silnego oporu Berberów zarabizowali je i zislamizowali. W piętnastym wieku oaza zyskała znaczenie jako ośrodek średniowiecznego subsaharyjskiego handlu niewolnikami, których kupcy wymieniali na występujące w oazie wyjątkowe odmiany daktyli. Kiedy Tunezja znalazła się pod protektoratem francuskim oazie

Tauzar udało się zachować stosunkowo dużą autonomię.

– Wczoraj ten Aziz całkiem ciekawie mówił o przeszłości Tauzar – zwróciła się Ula do Sary. – Nigdy bym nie przypuszczała, że oaza na pustyni może mieć tak długą i ciekawą historię.

– Mhhh... – Sara zapatrzyła się w płynący przez oazę dość duży naturalny strumień wody.

– Saro! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! – Ula powiedziała to nieco głośniej.

Dziewczyny siedziały nad brzegiem strumienia w chłodnym cieniu palm, a nad ich głowami rozlegał się kojący śpiew ptaków.

– Saro!

– Słucham, Ula. – Głos Sary był lekko zmieniony.

– Mówiłam, że Aziz...

– Aziz... – powtórzyła Sara rozmarzonym tonem.

Sara wciąż żyła tym momentem, w którym ramię Aziza subtelnie dotknęło jej ciała. Ogarnęło ją wtedy jakieś szczególne ciepło, dziwny rodzaj pełnego spokoju, którego nie czuła już od bardzo dawna. Oaza w nocy, rozgrzana całodniowym upałem, a jednocześnie orzeźwiająca ożywczym powietrzem wszechobecnej zieleni, silnie pachnąca jaśminem, którego mocny, nigdzie indziej niespotykany w takim natężeniu aromat przenikał wszystko dookoła, dawała jej wytchnienie po wypełnionych niechcianymi i trudnymi emocjami miesiącach. Czuła się tak, jakby wreszcie gdzieś dotarła, gdzieś, gdzie już nie musi myśleć o dalszej wędrówce.

– No właśnie mówię, że Aziz... Ciekawy facet...

– Też tak myślisz? – Sara zwróciła się w stronę Uli.

– Co myślę?

– Aziz... ma w sobie coś intrygującego, nie sądzisz? – Sara nie mogła przestać myśleć o nowo poznanym mężczyźnie.

– Tak, właśnie o tym mówię – zgodziła się Ula. – Posiada niezwykle dar opowiadania... Wczoraj to niemalże widziałam tu i tych Rzymian, i ciągnących za karawanami czarnych niewolników, słyszałam ryk wielbłądów, głosy targujących się kupców...

– A ta oaza... – Sara wciąż pozostawała w głębokiej zadumie. – Tyle tu się działo na przestrzeni stuleci, tyle narodów się przewinęło, a ona wciąż daje wytchnienie znużonym pustynnym wędrowcom...

– Bo niewątpliwie jest w niej jakiś nieokreślony czar... coś, co przyciąga i wabi...

Po Oskarze żaden mężczyzna nie zdołał zainteresować Sary w takim stopniu, jak zrobił to Aziz. I zdała sobie sprawę z tego, że były to zupełnie innego rodzaju uczucia niż te, które żywiła do Oskara. Teraz wydawało jej się, że wcześniej to było tylko zauroczenie spowodowane pierwszymi kradzionymi pieszczotami,

których słodczy pierwszy raz doświadczyła. Aziz natomiast zafascynował ją całym sobą, swoim sposobem mówienia, tembrem głosu, nieznacznym, tajemniczym uśmiechem, głębią spojrzenia... I ten jego dotyk, ta bliskość... Kiedy tak siedział koło niej, to chciała, żeby to trwało i trwało, żeby silne ramię mężczyzny zawsze było tuż obok, i żeby dawało jej to poczucie wewnętrznej harmonii i wyciszenia, którego tak nieoczekiwanie przy nim doznała w palmowym gaju.

– Przejdziemy się trochę po oazie? – zapytała Ula.

– Chętnie – odpowiedziała Sara.

Dziewczyny wstały i zaczęły spacerować wśród tysięcy strzelistych palm. Po drodze mijaly turystów, którzy albo chodzili pieszo po piaszczystej drodze, albo przemieszczali się niewielkimi zadaszonymi bryczkami zaprzężonymi w konie. Niekiedy można było zobaczyć starszego, ubranego w tradycyjną białą diszdaszę mężczyznę, który na dwukołowym wózku ciągniętym przez osiołka przewoził stos zielonych palmowych liści. To był widok niezmienny od setek lat. Natomiast młodzi Tunezyjczycy, ubrani po europejsku w długie spodnie i kolorowe koszulki polo, najczęściej poruszali się na niewielkich motorach.

W pewnej chwili koleżanki zauważyły dość sporą grupę turystów, która zgromadziła się wokół lokalnego przewodnika. Podnosili głowy do góry ku rysującym się na tle nieba wierzchołkom palm i z zaciekawieniem słuchali słów Tunezyjczyka, który objaśniał im metodę zbierania daktyli z wysokich drzew.

– Daktyle zbiera się ręcznie i trzeba wejść aż na sam czubek palmy.

– Ale jak to można zrobić? – zdziwiła się jedna z kobiet. – Przecież te palmy mają pewnie po dwadzieścia metrów wysokości.

– Albo i więcej – dodał stojący obok niej mężczyzna. – Niektóre mogą mieć i po trzydzieści metrów.

– To prawda – zgodził się przewodnik. – I dlatego na jedną palmę musi wspiąć się kilku ludzi jednocześnie.

– Jak to? – Kobieta nie zrozumiała.

– Na drzewo wspina się kilku mężczyzn i zatrzymując się na różnych wysokościach, tworzą idący w dół łańcuch, aby w ten sposób podawać sobie z rąk do rąk torbę z zerwanymi na górze daktylami.

– A ilu ludzi jest do tego potrzebnych? – zainteresowała się kobieta.

– To zależy od wysokości palmy – tłumaczył przewodnik. – Czasem wystarczy czterech, ale może być i pięciu, a nawet sześciu.

Tunezyjczyk zaprosił turystów, aby podeszli bliżej.

– Trzeba wspinać się na boso i stawiać stopy na tych schodach – żartobliwie powiedział przewodnik, wskazując na stwardniałe, dość duże, wychodzące z pnia występy w kształcie skierowanych do góry łusek.

– To chyba jest niebezpieczne – zauważyła przysłuchująca się z uwagą

słowom przewodnika kobieta.

– Tak, zbieracz daktyli to trudna i ryzykowna praca – potwierdził Tunezyjczyk. – Wypadki się zdarzają, szczególnie przy schodzeniu na dół. Dlatego mało młodych ludzi podejmuje się teraz tego zajęcia.

Przewodnik wziął do ręki stojący pod palmą pleciony koszyk z dużymi, ciemnobrązowymi, wyjątkowo słodkimi daktylami i poczęstował nimi turystów.

– Każda część palmy od stuleci była wykorzystywana przez człowieka – opowiadał. – Pnie służyły jako materiał budulcowy, liście świetnie nadawały się na dachy, a z elastycznych części drzewa wyplatało się różnego rodzaju maty i kosze. Z daktyli można było zrobić syrop i wino oraz używać ich do ciasteczek i innych wypieków. A dla wędrujących po pustyni Beduinów daktyle były podstawowym pożywieniem. Palmy są długowieczne, żyją około stu lat...

Ula z Sarą wyminęły grupę turystów i udały się w dalszą wędrówkę po oazie.

– Wczoraj Aziz wspomniał o znajdującym się w oazie grobie marabuta – przypomniała Ula.

– Pamiętam.

Aziz – zadzwęczało w głowie Sary.

– Może spróbujemy go znaleźć?

– Dobrze – zgodziła się Sara.

– A kto to w ogóle jest ten marabut? Bo nie bardzo rozumiem.

– Tak określa się muzułmańskiego świętego. – Teraz Sara mogła się pochwalić swoją wiedzą. – To był człowiek znany ze swojej pobożności i praktyk ascetycznych. Przez lokalną społeczność był obdarzany czcią, często zwracano się do niego o pomoc, o radę i traktowano go jak uzdrowiciela. Wierzano, że posiada moc czynienia cudów.

– Rozumiem.

– Kult marabutów upowszechnił się przede wszystkim w Afryce Północnej, gdzie w miejscach złożenia ich zwłok budowano charakterystyczne grobowce z białymi kopułami.

– To znaczy, że musimy szukać budowli z białą kopułą?

– Tak. Wierni odwiedzają te miejsca, bo uważają, że po śmierci marabuta źródłem łask staje się jego grobowiec. Budowlę tę również nazywa się często marabut.

– Czyli wypatrujemy marabuta?

– Tak. Ale ortodoksyjny islam nie uznaje kultu świętych i zabrania oddawania im czci – dodała Sara.

Po kilkunastu minutach oczom dziewcząt ukazał się charakterystyczny grobowiec świętego.

– Znalazłyśmy! – zawołała ucieszona Ula.

Marabut, którego bielone ściany i kopuła lśniły w słońcu, ciekawie wyglądał na tle znacznie go przewyższających, licznych zielonych palm i rosnących w jego pobliżu krzewów ukwieconych ciemnoróżowymi, drobnymi kwiatkami.

– Piękny obrazek! – Ula z uwagą przyglądała się budowli i otoczeniu. – Zobacz, Saro, a tu jest płot zrobiony z suszonych liści palmowych. – Ula wskazała na ogrodzenie otaczające jeden z palmowych gajów. – Rzeczywiście, dobrze mówił ten przewodnik, że palma daktylowa ma bardzo szerokie zastosowanie.

Dziewczęta pochodziły jeszcze trochę wkoło marabuta, po czym wróciły na biegnącą przez oazę ścieżkę.

– To co teraz robimy? – spytała Ula. – Wracamy do hotelu czy dalej zwiedzamy Tauzar?

Przez głowę Sary przewinęła się myśl, że w hotelu może spotkałaby Aziza. Poprzedniego dnia przy pożegnaniu Aziz nie zaproponował następnego spotkania, tylko życzył im udanego pobytu w jego oazie.

– Wiesz co, Saro, ja bym chętnie jeszcze zobaczyła stary suk – powiedziała Ula, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Jeżeli chcesz, to możemy tam iść. – Sara zgodziła się po chwili wahania.

Dziewczyny wyszły z gaju palmowego i udały się na zbudowany przed wiekami suk. Charakteryzowała go typowa dla Tauzar czternastowieczna architektura, a uroku dodawały zakończone łukami arkady, w głębi których kupcy porozkładali całe bogactwo swoich barwnych towarów. Na ozdobnych piaskowych ścianach wisiały ręcznie tkane wełniane kilimy i dywaniki, z produkcji których również słynęła okolica. Tradycyjnie tkaly je też Beduinki, a używano ich do wyściełania lektyk umieszczanych na wielbłądach lub wykładania namiotów rozbijanych przez wędrujących nomadów. Zachwycały bogactwem kolorów i mnogością geometrycznych wzorów, trójkątów, kwadratów i rombów, układających się w przyciągające oko kompozycje.

– Chyba się skuszę na taki kilim – stwierdziła Ula, wodząc oczami po różnobarwnej ekspozycji. – To będzie bardzo ciekawa dekoracja w Polsce.

– To ja kupię taki dywanik w prezencie dla cioci Agnieszki – podchwyciła myśl Sara. – na pewno się ucieszy. Spójrz na ten. – Wskazała na jeden z wiszących kilimów, który brązowymi liniami podzielony był na sześć dużych kwadratów, a każdy z nich zdobiły zupełnie inne wzory utkane w różnych odcieniach niebieskiego, w tym błękitu, granatu, jasno- i ciemnoniebieskiego, morskiego, ultramaryny, indygo... – Coś pięknego!

– A ja chyba wybiorę ten. – Uwagę Uli przyciągnęły stylizowane sylwetki wielbłądów. – Będzie mi przypominał, że byłam na pustyni.

– Też bardzo ładny – stwierdziła Sara.

– A pamiętasz, co wczoraj mówił Aziz?

– Aziz? – Sara mogłaby wymawiać to imię w nieskończoność.

– No tak, Aziz. Opowiadał, że w średniowieczu, w czasie największego rozkwitu oazy, mogło w niej przebywać nawet tysiąc wielbłądów, z których kupcy rozładowywali i na które załadowywali towary. Wyobrażasz to sobie?

Leniwa, pełna lokalnego kolorytu atmosfera oazy sprawiała, że nie było trudno przenieść się kilka wieków wstecz. Obserwując ulicę, od razu widziało się, że południe Tunezji było dużo bardziej tradycyjne niż północ, nie mówiąc już o nadmorskich kurortach. Rdzenne mieszkanki Tauzar, których nawet nie było widać dużo w przestrzeni publicznej, ubierały się w tradycyjne czarne abaje z charakterystyczną niebieską wstawką, która przypominała cienką wstążkę i przebiegała przez środek tkaniny. I nie były to abaje, które Sara знаła z Kuwejtu i Dubaju, uszyte jak czarne długie, a ostatnio dość bogato zdobione płaszcze. Tutaj abaje nie miały rękawów i były dużymi płachtami czarnej tkaniny, którą kobiety okrywały całe swoje ciało łącznie z głową, odpowiednio ją drapując i podtrzymując, najczęściej od wewnątrz, swoimi dłońmi. Kiedy kobiety szły ulicą, to z daleka wyglądały jak niekształtne, czarne postaci. Starsi mężczyźni ubrani byli w długie białe diszdasze, a głowy okrywali białymi prostokątnymi kawałkami materiału, które były albo luźno opuszczone, albo zawinięte w formie turbanu.

– Wystarczy spojrzeć na tych dziadków w ich długich białych szatach i turbanach na głowach, aby od razu znaleźć się tuż obok wielbłądów z odpoczywającą w cieniu palm karawaną. – Ulę zafascynował specyficzny klimat oazy. – Już widzę te majestatyczne zwierzęta, przykryte kolorowymi derkami, i siedzących lub kręcących się w ich pobliżu Beduinów. Aziz mówił, że bogactwo Tauzar opierało się głównie na najlepszych w całym regionie daktylach i rzemiośle, w tym przede wszystkim na tkactwie, dzięki któremu powstawały niepowtarzalne wełniane i jedwabne tkaniny. Aziz opowiadał, jak kupcy przywozili z Sudanu kość słoniową, strusie pióra oraz niewolników, aby później wymieniać ich na sól, przyprawy i jedwab.

Aziz... Aziz... Aziz... – powtórzyło echo w głowie Sary. Czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy?

– To co, Saro, potargujesz się o dobrą cenę tych kilimów? – zapytała Ula.

– Jasne, chodźmy do środka sklepiku, może jeszcze jakiś inny fajny drobiazg wpadnie nam w oko.

– Tak, ja muszę się rozejrzeć za prezentem dla Krzysia, już niedługo wylatujemy z Tunezji, a ja jeszcze nic dla niego nie mam.

Dziewczyny weszły do niewielkiego pomieszczenia, w którym porozstawiane były bogato zdobione wyroby ceramiczne, oryginalne wschodnie lampy, kubki w kształcie wielbłądów i innych zwierząt, wytłaczane miedziane talerze, oryginalne torby, portfele i buty ze skóry, tradycyjne, iskrzące złotymi zdobieniami suknie arabskie, wyplatane z włókien palmy koszyki oraz inne suveniry, które cieszyły się dużą popularnością wśród turystów.

– Zobacz, jakie wspaniałe srebrne wyroby. – Ula przystanęła przy stoliku, na którym leżały duże kolczyki, pierścienie, naszyjniki i bransoletki wykonane na wzór tradycyjnej berberyjskiej biżuterii. – Aż trudno się oprzeć. – Ula włożyła na rękę szeroką, grawerowaną bransoletę. – Wezmę ją – zdecydowała.

– To pomyśl, czy jeszcze coś chcesz, bo im więcej kupimy, tym lepszą cenę wytargujemy – zauważyła Sara.

– Na pewno muszę znaleźć coś dla Krzysia. Może portfel, jak myślisz? – Ula podeszła do półki z wyrobami skórzanymi.

– Dobry pomysł – przyznała Sara.

Ula wybrała ciemnobrązowy portfel i odłożyła na bok, po czym przeszła się po sklepie, oglądając pozostałe towary.

– Jakie cudne róże pustyni! – Ula podniosła różowawy, przepięknie uformowany kamień. – To najlepsza pamiątka z Sahary.

– Ula, cały sklep wykupisz – zaśmiała się Sara.

– A ja wiem, kiedy następnym razem tu przyjadę? A może już nigdy? – Ula zbliżyła się do rozwieszonych kilimów. – Trzy lata nie byłam na urlopie, tylko odkładałam pieniądze na wakacje, to teraz nie będę się liczyła z każdym groszem.

– Chyba że tak – uśmiechnęła się Sara. – Czyli poprosić sprzedawcę o zdjęcie tego kilimu dla ciebie?

– Tak, a ty co kupujesz?

– Tylko ten dywanik dla cioci – zdecydowała Sara.

Tunezyjczyk zadowolony z dobrych klientek poczęstował je mocną, słodką miętową herbatą w niewielkich szklaneczkach. Dziewczyny przysiadły na chwilę w sklepiku, aby wypić gorący napój.

I przez moment Sara odniosła nieodparte wrażenie, że ktoś ją intensywnie obserwuje. Odwróciła głowę w tę stronę i wydawało jej się, że po drugiej stronie ulicy stoi Aziz, a jego duże, ciemne oczy badawczo się w nią wpatrują. Przewożący turystów autobus przesłonił jej na chwilę widok, a kiedy przejechał, mężczyzny już nie było.

– Ja jeszcze poszłabym obejrzeć starą medinę. – Ula odstawiła szklaneczkę po herbacie.

– Ale to już nie teraz, Ula, może później – poprosiła Sara.

– No dobrze, jesteśmy w oazie jeszcze dwa dni, więc mamy na to czas – zgodziła się Ula.

Dwa dni, żeby być może spotkać gdzieś Aziza... Serce Sary zabiło mocniej. Dziewczyny wyszły ze sklepu i wolnym krokiem podążyły w stronę hotelu.

Po przybyciu na miejsce Ula od razu wyjęła swój kostium kąpielowy, aby pójść na położony wśród palm basen.

– Wybierzesz się ze mną, Saro?

– Nie, zostanę tutaj.

– Dobrze, to do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Ula wyszła, a Sara położyła się w dużym, wygodnym łóżu. Zamknęła oczy i próbowała zasnąć. Ale sen nie nadchodził. Myślała o Azizie. Kiedy wróciły do hotelu, od razu zaczęła go szukać wzrokiem w hotelowym lobby, przylegającym do niego barze, a nawet na basenie, gdzie Ula na chwilę zajrzała, żeby przekonać się, czy są jakieś wolne leżaki i parasole. Ale jego nigdzie nie było...

Ten krótki moment bliskości, jego dotyk uświadomił Sarze, jak bardzo brakuje jej męskiego ramienia. I jak bardzo jest samotna. Ula w Tunezji tryskała szczęściem i niespożytą energią, i w niczym nie przypominała przygaszonej, wiecznie zamyślanej dziewczyny z Szarm el-Szejk. Wyraźnie powrót do Krzysztofa ją uskrzydlił i teraz z pasją poznawała Tunezję, gdyż nie gnębiły jej tęsknota i liczne wątpliwości, tak jak to miało miejsce w Egipcie.

Aziz... Sarze wydał się on bardzo wyważony, a jednocześnie niesłychanie interesujący, co wzbudzało jej pragnienie, aby go jeszcze raz zobaczyć, spędzić z nim więcej czasu, bliżej go poznać. Ukołyszana marzeniami o kolejnym wspólnym wieczorze pod palmami w czarownej oazie wyrosłej na bezkresach pustyni, pogrążyła się w lirycznym śnie.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła cicho krzątającą się po pokoju Ulę.

– O, obudziłaś się, to dobrze – powiedziała koleżanka. – Bo niedługo w hotelu będzie pokaz tańca brzucha. Zejdiesz ze mną?

Sara nadal zatopiona w półśnie, w którym prowadzona przez opiekuńczego Aziza poznawała sekrety oazy, nie bardzo zrozumiała, o czym Ula mówiła.

– Słucham? – zapytała nieprzytomnym głosem.

– Mówię, że będzie występ tancerki, to znaczy nawet dwóch tancerek tańca brzucha, i ja idę na ich występ. Pamiętasz, jak Iwona zachwycała się arabskimi tancerkami? Chcę je zobaczyć na własne oczy. Skoro tu jestem, to nie mogę stracić takiej okazji. Pójdiesz ze mną? – powtórnie zapytała Ula.

– Tak, tak... – Samo przedstawienie akurat nie bardzo Sarę zaciekawiało, na hucznych arabskich przyjęciach bywała, od kiedy tylko pamiętała, i tańczące tam Kuwejtki niejednokrotnie werwą i umiejętnością dorównywały zawodowym tancerkom brzucha, o ile ich nie przewyższały. Sama Sara też sobie nieźle z tym radziła. Ale romantyczny sen, w którym Aziz był tuż przy niej, i obdarzając ją nieustanną uwagą i ciepłem, pokazywał jej najpiękniejsze zakątki oazy, dawał jej nadzieję, że może właśnie tego wieczoru jeszcze raz go spotka.

Dziewczyny podkreśliły urodę makijażem, włożyły krótkie, lekko błyszczące sukienki, Ula ciemnożółtą, a Sara amarantową, skropiły się perfumami o świeżym zapachu i już miały wychodzić, kiedy zadzwonił telefon.

– Halo! – Ula odebrała i szepnęła do Sary: „Krzysz”.

Twarz dziewczyny z przyłożoną do ucha słuchawką co chwilę rozjaśniała się

w czułym uśmiechu.

– Ja też. Tak. Bardzo – powiedziała w końcu. – To już niedługo, tylko parę dni. Całuję. Tak. Mocno. Bardzo mocno.

Sarę coś głęboko zakłuło w środku.

– Chodź już, bo się spóźnimy! – rzuciła może trochę za szybko i trochę za ostro.

Kiedy dziewczyny zeszły na dół, hotelową restaurację wypełniali goście i prawie wszystkie stoliki były już zajęte. Na zaledwie kilku wolnych stały karteczki z napisem „Rezerwacja”.

– I co teraz? – na twarzy Uli pojawiło się rozżalenie.

– Nie mam pojęcia. – Sara też nie wiedziała, co robić.

Koleżanki stały niezdecydowane, gdy nagle podszedł do nich kelner i zaprosił je do jednego ze stolików objętych rezerwacją.

– Robiłaś rezerwację? – zdziwiła się Ula.

– Nie, a ty?

– Też nie.

Ula starała się wyjaśnić kelnerowi, że to jakaś pomyłka, ale ten zapewniał, że na pewno nie, i wskazany przez niego stolik czeka właśnie na nią i jej koleżankę.

– Jeżeli ani ja, ani ty nie zamawiałyśmy stolika, to temu kelnerowi z pewnością coś się pokręciło – stwierdziła Sara.

– Pewnie tak, ale jeżeli nalega, to możemy usiąść, a kiedy ktoś później będzie dopominał się o ten stolik, to go najwyżej zwolnimy.

– Dobrze, tak zrobimy – zgodziła się Sara.

– Albo może przyjdą tylko dwie osoby i będziemy mogły zostać na tych miejscach – snuła przypuszczenia Ula.

– Też tak może być.

Dziewczyny nie zdążyły jeszcze nic zamówić, kiedy kelner przyniósł dwa pastisy.

– Ale my niczego nie zamawiałyśmy – zaproponowała Sara.

– To od hotelu – z uśmiechem oznajmił kelner, stawiając drinki na stole.

Ula otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie rozbrzmiała głośna arabska muzyka. Członkowie zespołu folklorystycznego ubrani byli w długie, czarne spodnie, białe koszule i czarne lub bordowe kamizelki, a na głowach mieli szaszije¹⁰. Palcami wybijali rytm na piszczałkach i bębnach, grając tradycyjną beduińską muzykę, śpiewali przy tym przeciągle. Zespół znajdował się na scenie, wokół której górowała dekoracja ze wschodnimi ornamentami. Po obu jej stronach stały wieloramienne lampy dające przyjemne światło. Siedzący przy stolikach turyści popijali wino i z niecierpliwością wyczekiwali na występ tancerek brzucha.

– Dostałyśmy wspaniale zlokalizowany stolik, jest tu świetny widok na

scenę – stwierdziła Ula.

– To prawda – przyznała Sara.

Po paru minutach ku wielkiemu zadowoleniu gości pojawiły się dwie tancerki brzucha. Obie miały na sobie bardzo skąpe, odsłaniające większość ciała kostiumy. Zaczęły tańczyć w rytm muzyki, przyciągając wzrok zgromadzonych turystów. Pierwsza z nich zwracała uwagę dość dużym, kształtnym biustem zakrytym ozdobionym licznymi świecącymi kamyczkami i cekinami stanikiem. Trzęsła nim miarowo, poruszając przy tym rozłożonymi na bok i lekko zgiętymi rękoma. Dużo poniżej pępka miała owiniętą charakterystyczną dla tancerek brzucha chustę z przyczepionymi do niej licznymi metalowymi blaszkami, które pobrzękiwały przy najmniejszym ruchu bioder. Do dołu spływała lśniąca tkanina z rozcięciem z boku, z którego od czasu do czasu wyłaniała się kształtna noga kobiety.

Druga tancerka miała podobny kostium, tylko jeszcze bardziej skąpy. Ze złotego, rzucającego blask na wszystkie strony stanika wyłaniał się jędrny biust, a do okręconej wokół bioder chusty doczepione były tylko trzy wąskie paski materiału w kolorze stanika, które pozwalały podziwiać jej zgrabne nogi.

Tancerki w płynnych ruchach biustu, rąk, nóg, bioder, pośladków, a przede wszystkim brzucha krążyły po scenie, zatrzymując się czasami, aby widzowie mogli z bliska admirować ich falujące i drgające brzuchy.

W pewnym momencie przystanęły obok stolika Uli i Sary, po czym dały dynamiczny pokaz orientального tańca nagrodzony rześnistymi brawami przez obecnych w restauracji gości.

– Iwona miała rację, kiedy mówiła, że wschodnie tancerki są wyjątkowe. – Ula podzieliła się swoimi wrażeniami z oglądanego występu. – One są naprawdę porywające. A tobie jak się podobają? – zwróciła się do Sary.

– Tak sobie – szczerze odpowiedziała Sara.

Dla Sary występ był gorzej niż przeciętny, ponieważ Kuwejtki z rodziny jej ojca, koleżanki, a nawet ona sama, tańczyły dużo lepiej.

– Sary! – zdziwiła się Ula. – Dlaczego? Przecież one były świetne!

– To jeszcze nie widziałas prawdziwego tańca brzucha... – zaczęła Sara, ale nie skończyła wyjaśniać koleżance, dlaczego pokaz jej nie olśnił, bo muzyka buchnęła głośniejsze, a tancerki, nie przestając w uwodzących ruchach całego ciała eksponować swych wdzięków, zapraszały turystów do wspólnej z nimi zabawy. Na parkiet wychodziły ubrane w krótkie sukienki na ramiączkach, a czasem nawet bez, Europejki, którym towarzyszyli ich europejscy lub tunezyjscy mężczyźni, i ze śmiechem próbowały naśladować ekspresyjne ruchy bioder i brzucha. Z podniesionymi do góry kieliszkami wtórowali im ich partnerzy i atmosfera stawała się coraz bardziej swawolna i rozrywkowa. To nie była już średniowieczna oaza, tylko współczesna Europa.

– Saro, wiesz, że w Tauzar jest międzynarodowe lotnisko? – nagle powiedziała Ula.

– Co ty mówisz? – zdziwiła się Sara.

– Ja też nigdy bym nie przypuszczała. Ale słyszałam, jak turyści rozmawiali o lotach do Paryża. Lot trwa tylko dwie godziny i czterdzieści minut.

– Ta saharyjska oaza naprawdę potrafi zaskoczyć – stwierdziła Sara.

– I to bardzo – potwierdziła Ula.

Kelner podszedł do stolika dziewcząt i postawił przed nimi następne niezamawiane przez nie pastisy. Dziewczyny tym razem nie oponowały, ale gdy tylko kelner się oddalił, zaczęły wymieniać się uwagami na ten temat.

– Saro, wszystko to jest jakieś dziwne, nie sądzisz? – podekscytowana Ula zwróciła się do Sary.

– Mnie też to zastanawia – przyznała tak samo przejęta Sara. – Ten znakomity stolik, bezpłatne drinki, popis tancerek specjalnie dla nas... – wyliczała.

– I jeszcze te kwiaty... – dodała Ula.

– Jakie kwiaty? – spytała Sara.

– Jaśmin, nie pamiętasz? Gdy dziś wróciliśmy z suku, to cały pokój wprost był zalany jaśminowymi bukietami.

– No jasne, że pamiętam, rozsiewały tak intensywny i przepiękny aromat...

– To sama widzisz.

– Ale ja myślałam, że to normalne, takie tutejsze standardy hotelowe.

– No właśnie nie.

– A skąd to wiesz?

– Od turystów na basenie.

– Jak to?

– Kiedy się opalałam, to wywiązała się taka luźna rozmowa na temat oazy i hotelu oczywiście, goście bardzo ten hotel chwalili, więc ja też swoje wtrąciłam, że dbają o najdrobniejsze detale, takie jak na przykład te duże ilości przecudnie pachnącego jaśminu, i wtedy wszyscy bardzo się zdziwili, bo nikt tego jaśminu u siebie w pokoju nie miał.

– To rzeczywiście zagadkowe... – Sara dłużej się zastanowiła.

Dziewczyny spojrzały na siebie.

– O tym samym myślisz? – zapytała Ula.

– Chyba tak...

– Aziz?

– Nic innego mi nie przychodzi do głowy. – Sara poczuła falę gorąca.

– Mnie też nie.

– Bo tyłu tu mają turystów, pewnie cały komplet, nie muszą jakoś specjalnie akurat o nas dbać.

– A wczoraj Aziz tylko spojrzął na kelnera, a ten od razu przyleciał

z drinkami – przypomniała Ula.

– To bardzo zastanawiające...

Na parkiecie zabawa trwała w najlepsze. Turyści między kolejnymi wypijanymi drinkami kręcili z zapalem biodrami i brzuchami, aby dorównać arabskim tancerkom. Grajek z tradycyjnym bębniem zszedł z podwyższenia na dół, przyklęknął i zaczął wybijać bardzo szybko i dynamicznie rytm. Jedna z tancerek najpierw zaczęła ponętne zarzucać pośladkami w jedną i drugą stronę, kręcąc się jednocześnie wokół własnej osi, a następnie stanęła i w takt muzyki wygięła się mocno w tył w kierunku bębniarza, falując przy tym zmysłowo obiema rękoma i dłońmi.

– Zobacz, Saro, co ona potrafi! – zawołała Ula.

Druga z występujących kobiet podeszła tanecznym krokiem do Sary i za rękę wyciągnęła ją na parkiet. Cały czas słychać było wybijany na bębnie szybki rytm, więc Sara od razu wprawiła w drgania biodra, a następnie, dołączając biust i brzuch, dała niesamowicie uwodzicielski pokaz wschodniego tańca. Tancerka, klaszcząc, wyraziła swoje uznanie dla umiejętności Sary, a pozostali goście okazali swój podziw gorącymi okrzykami. A kiedy Sara wróciła do stolika, zobaczyła siedzącego przy nim Aziza wpatrującego się w nią lekko zmrużonymi oczami.

– Doskonała! – powiedział głębokim głosem, nie odrywając od niej wzroku.

Rozgrzana tańcem brzucha i drinkami Sara uśmiechnęła się do niego zalotnie.

– Saro! – wykrzyknęła Ula. – Ty fantastycznie tańczysz! Musisz mnie koniecznie tego nauczyć!

Ula uniosła szklankę z pastisem.

– Za ten taniec! – wzniosła toast.

– Za taniec! – zawtórował jej Aziz.

Cała trójka wypila drinki do dna.

– Ja też bym chętnie potańczyła, tylko nie do takiej muzyki – powiedziała Ula.

– A do jakiej? – zapytał Aziz.

– Do jakichś współczesnych hitów. Przy takiej tancerce... – spojrzała na Sarę – ...nie będę się kompromitować jakimiś nieudolnymi próbami tańca brzucha.

– Przesadzasz... – stwierdziła Sara. – To tylko zabawa. Chodź, mogę ci pokazać... – zachęciła koleżankę.

– Nie, nie ma nawet mowy.

– To ja się zorientuję, co słychać w okolicy. Zaraz wracam. – Aziz wstał od stolika.

Sara od razu przysunęła się do Uli.

– Ula! Skąd on się tu wziął? – zapytała z błyszczącymi oczami.

– Przysiadł się, kiedy tańczyłaś. I cały czas tak na ciebie patrzył...

Przed dziewczynami znowu pojawiły się pastisy.

– Magia jakaś! – Rozweselona Ula sięgnęła po następnego drinka.

– Ktoś spełnia nasze życzenia, zanim zdążymy je wypowiedzieć... – Sara już sączyła pastis.

– Dokładnie!

Dziewczyny popijały drinki, obserwując mocno już podpitych i świetnie bawiących się gości hotelu. Po kilku minutach pojawił się wyraźnie zadowolony Aziz.

– Dowiedziałem się, gdzie odbywa się superparty. Jeśli chcecie, mogę was tam zabrać – zaproponował.

– Saro, co ty na to? – spytała Ula.

– A ty co sądzisz? – odpowiedziała pytaniem Sara.

– Ja bym gdzieś poszła, to ostatnie dni mojego zaległego urlopu, a później tylko praca, praca i praca... – monotonnym głosem zakończyła Ula.

– Dobrze, to chodźmy.

– W zasadzie to tam trzeba jechać – stwierdził Aziz.

– Jak to jechać? – chciała wiedzieć Ula.

– Bo to jest w Nefcie, sąsiedniej oazie. W Tauzar dzisiaj nic ciekawego się nie dzieje – wyjaśnił Aziz.

Dziewczyny były tak zaskoczone, że na chwilę zamilkły.

– A ile to kilometrów? – Ula pierwsza odzyskała głos.

– Trochę ponad dwadzieścia.

– A czym tam pojedziemy?

– Konie czekają. – Uśmiechnął się Aziz.

– Jak to konie?

– Nie widziałyście w oazie bryczek? – zapytał Aziz. – Bryczka zaprzęzona w konie czeka już na was przed hotelem.

Ula i Sara wymieniły spojrzenia, otwierając szeroko oczy.

– Zapraszam! – Aziz podniósł się z krzesła i gestem ręki dał znak, żeby dziewczyny podążyły za nim.

Koleżanki wstały, ale po drodze nadal szeptały między sobą.

– Saro, czy my na pewno dobrze robimy? – Ula miała wątpliwości.

– No przecież sama chciałaś gdzieś potańczyć.

– Ale czy to na pewno jest bezpieczne?

– Nie sądzę, żeby nam coś groziło, Tunezja to kraj turystyczny, w każdym hotelu jest mnóstwo ulotek reklamujących wyprawy na pustynię, nie widziałaś? – przekonywała koleżankę Sara.

– Widziałam.

– No właśnie, więc nie ma się czego bać.

Na podjeździe hotelu stała zaprzęzona w dwa białe konie i z wyprostowanym

woźnicą na koźle duża bryczka z wyściełanymi ciemnoczerwoną skórą siedzeniami. Była dużo bardziej okazała od bryczek, które wcześniej dziewczyny widziały w oazie. Aziz wsiadł pierwszy, po czym podał Sarze rękę, aby jej pomóc.

– Pojedziesz na party karocą jak ten Kopciuszek na bal! – zażartowała Ula.

– Bardzo śmieszne – mruknęła pod nosem Sara.

Bo Sara na pewno nie była Kopciuszkiem. Jej ojciec, kuwejcki biznesmen robiący interesy na całym świecie, miał miliony dolarów. Dziesiątki milionów dolarów.

Jazda nocą przez pustynię nie dała się porównać z niczym. Niebo usiane było tysiącami iskrzących się gwiazd, które zdawały się być tuż na wyciągnięcie ręki. Wokół panowała cisza i słychać tylko było stukot kopyt i parskanie koni. Było w tym coś tak bardzo szczególnego i magicznego, że nikt przez całą drogę do Nefty nie odezwał się ani słowem.

Lokal w Nefcie, do którego Aziz zaprosił dziewczyny, kojarzył się Sarze z nielegalnymi klubami w Kuwejcie, w których bywała tylko lokalna elita i wybrani przez nią cudzoziemcy. Sara od razu zauważyła paru Francuzów, którzy wyraźnie pod wpływem narkotyków rozprawiali o czymś zawzięcie. To pewnie ci, którzy na bezkresach pustyni szukali sensu życia...

Aziz przyniósł kilka drinków, dziewczyny je szybko wypily i rzuciły się w wir zabawy. Międzynarodowe towarzystwo szalało w rytm najnowszych europejskich przebojów przerywanych czasami lokalnymi hitami. Dziewczyny tańczyły z zapałem i Sarze nawet udało się namówić Ulę, żeby pokręciła trochę biodrami w rytm arabskich piosenek.

– Saro, Aziz tak sam siedzi, a my się tu bawimy, w końcu to on nas tu przywiózł, wypada go do nas zaprosić – w pewnej chwili powiedziała Ula.

– Masz rację, chodźmy do niego. – Sara pierwsza ruszyła w stronę mężczyzny.

– Aziz, dołącz do nas, prosimy... – powiedziała Ula, gdy znalazły się przy Azizie. – W ogóle nie tańczysz...

– A wy się dobrze bawicie? – zapytał tylko.

– Wspaniale! – odpowiedziały jednogłośnie.

– To mi wystarczy.

Po paru godzinach obłądnego tańca, śmiechu i żartów nastął czas powrotu. W drodze do Tauzar koleżanki chichotały i wygłupiały się, dość duża ilość wypitego tej nocy alkoholu mocno dawała o sobie znać.

Kiedy bryczka podjechała pod hotel, Aziz wysiadł z niej tylko po to, żeby pomóc dziewczynom zsiąść, po czym podziękował za miły wieczór i zaraz potem odjechał. Rozochociona Sara poczuła się trochę rozczarowana, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Aziz ją chociaż pocałował...

Koleżanki wróciły do pokoju, a myśli Sary wciąż były zaprzątnięte Azizem.

– Ale przygoda! – powiedziała Ula, kładąc się do łóżka. – Dziewczyny z pracy nie uwierzą!

Następnego dnia koleżanki spały do południa, a później zamówiły jedzenie do pokoju.

– Dawno się tak nie wybawiłam! – stwierdziła Ula, zjadając się sałatką. – Tylko głowa mnie teraz boli.

– Nic dziwnego. – Sara sięgnęła po kawałek pieczonego kurczaka. – Po tylu pastisach...

– Tak, już się przekonałam, że trzeba na nie uważać. Są trochę słodkie i łatwo zapomnieć o ich mocy.

– A Aziz... – Ledwo Sara się obudziła, mężczyzna znowu opanował jej myśli. – Zaprosił nas, a sam nawet raz nie zatańczył...

– Może akurat nie miał na to nastroju...

– Może... – Sara naląła do szklanki wodę mineralną i duszkiem ją wypila.

– Co, pastisy? – zaśmiała się Ula.

– Aha. A Aziz... Jutro wyjeżdżamy, a on się z nami nawet nie umówił. Szkoda...

– Umówił się.

– Jak to?

– Ma nam pokazać starą medinę.

– Kiedy?

– Dzisiaj.

– I ty dopiero teraz o tym mówisz?!

– Dopiero wstałyśmy.

– Nie tak dopiero... Zresztą nieważne... A jak to się stało, że ja nic o tym nie wiem?

– Byłaś wtedy przy barze czy w toalecie... Nie pamiętam już dokładnie. Usiadłam obok niego, żeby z nim trochę porozmawiać, bo tak sam siedział, i wspomniałam, że bardzo chciałabym zobaczyć medinę. I on od razu zaproponował, że może nas po niej oprowadzić.

– To świetnie! – ucieszyła się Sara. – I o której się spotykamy?

– O piątej.

Sara spojrzała na zegarek.

– Jest trochę czasu... Przecież muszę jakoś wyglądać...

Po południu dziewczyny poszły na suk, aby tam spotkać się z Azizem. Po drodze na medinę minęli ciąg ulokowanych na zewnątrz kafejek, w których popijając napoje i kawę siedzieli młodzi, ubrani po europejsku Tunezyjczycy i Tunezyjki. To były pewnie te zmiany, o których kiedyś wspominał Aziz. Mimo wszystko czasu nie da się zatrzymać.

Jednak kiedy weszli na starą medinę, znowu ogarnął ich duch średniowiecza.

Beżowe zdobione ściany były wysokie, bez okien, a uliczki wąskie i kręte.

– Dobrze, że Aziz jest z nami, bardzo łatwo jest się tu zgubić – zauważyła Ula.

Sara przejechała dłonią po czternastowiecznych murach. Ile one widziały, słyszały... – pomyślała.

Aziz zwracał dziewczynom uwagę na interesujące szczegóły architektury starej medyny. Pokazał im zadaszne przejścia, które dawały przyjemny, orzeźwiający chłód. W jednym z nich Aziz się zatrzymał.

– Spójrzcie do góry, cały ten sufit jest wykonany z drewna palmowego, a jego specjalna konstrukcja przynosi przechodniom ulgę w gorące i najgorętsze dni, kiedy temperatura przekracza trzydzieści czy czterdzieści stopni – wytłumaczył.

Ula przespacerowała się pod dachem w jedną i drugą stronę.

– Rzeczywiście ma się wrażenie, że z góry wieje zimny nawiew. Coś niesamowitego, nie uważasz, Saro!

Medina była pełna sekretów. Sarę zaintrygowały przede wszystkim drzwi. Wyróżniały się na tle jednolitych murów bez okien swoją masywnością, różnorodnymi kształtami i kolorami oraz ozdabiającymi je wielkimi okuciami i ćwiekami. Mogły być drewniane, zakończone łukiem i tak wielkie, że na dole w dwóch skrzydłach zrobione były jeszcze dodatkowe prostokątne drzwi – niebieskie, błękitne, szafirowe lub zielone, na których wyraźnie odcinały się czarne okucia i duże ćwieki ułożone we wzory, niektóre bardzo skomplikowane.

Sara zapatrzyła się na wielkie drewniane drzwi, których różne odcienie brązu i rdza wyraźnie wskazywały na upływ czasu, na działanie słońca, piasku, wiatru, rzadko deszczu. Cała trójka przystanęła, a Aziz wskazał na widniejącą na górze rękę Fatimy.

– To ochrona przed złymi mocami i złym okiem.

– Ręka Fatimy jest niezwykle popularna w Tunezji, prawda? – Ula zwróciła się w stronę mężczyzny.

– Tak – potwierdził Aziz. – I jest jeszcze to. – Dłoń Aziza przesunęła się na drugą stronę drzwi.

Dziewczyny podniosły głowy i zobaczyły przybitą na drzwiach, odwróconą do góry podkowę.

– Podkowa? – To było następne zaskoczenie, które spotkało Ulę w oazie. – Podkowa na szczęście jest też znana w Polsce.

– Naprawdę? – Teraz Aziz się zdziwił.

– Tak – potwierdziła Ula. – Wierzy się, że tak jak podkowa chroni kopyto końskie przed zranieniem, tak samo chroni człowieka przed nieszczęściem. Ale jest też inne wytłumaczenie.

– Jakie? – spytała Sara.

– Ma to związek z kowalstwem, które uznawane jest za rzemiosło szczęścia, ze względu na to, że kowal cały czas ma do czynienia z jednym z czterech żywiołów – ogniem.

– A te wielkie kołatki? Dlaczego są aż trzy? – Sara wzięła do ręki jedno z przymocowanych do drzwi ciężkich kół.

– Kołatka po prawej stronie przeznaczona jest dla mężczyzn, po lewej – dla kobiet, a ta najmniejsza na dole – dla dzieci. Każda z nich wydaje inny dźwięk, więc jak ktoś puka, to domownicy dokładnie wiedzą kto – wyjaśnił Aziz.

– Niezwykłe są te drzwi – stwierdziła Sara.

– W Tauzar, kiedy kobieta przechodziła przez te drzwi ze swojego domu rodzinnego do domu męża, to następnym razem je przekraczała, gdy wynosili ją na cmentarz – powiedział Aziz.

Sarę przeszył nieprzyjemny dreszcz.

– Czy ktoś jeszcze mieszka w tych domach? – zapytała.

– Oczywiście – Aziz odpowiedział takim tonem, jakby go bardzo zaskoczyło to pytanie.

Po ponad godzinnym spacerze po medinie Aziz, Sara i Ula wrócili na stary suk. Stała tam ta sama bryczka, która poprzedniego dnia zawiozła całą trójkę do sąsiedniej oazy.

– Proszę. – Aziz ponownie zaprosił dziewczyny do pojazdu. – Chcę wam jeszcze coś pokazać.

Cała trójka wsiadła do bryczki i pojechała w stronę ekskluzywnego hotelu, w którym mieszkały Sara i Ula. Niedaleko niego wznosiła się otoczona wysokim murem luksusowa rezydencja. Prowadził do niej szeroki podjazd z dużą fontanną przed frontowymi drzwiami. Woźnica zatrzymał białe konie i Aziz zaprosił dziewczętą do środka.

Piętrowa rezydencja pełna była marmurów, złocień, kryształowych lusterek i żyrandoli, ciężkich kotar, rzeźbionych mebli i bogato wytłaczanych tkanin. Typowy dom bardzo zamożnego Araba. Na Uli zrobił on ogromne wrażenie.

– Saro, czy ty to widzisz? – Wodziła oczami po otaczających ją bogactwach.

– Widzę. – Dla Sary był to normalny dom do złudzenia przypominający jej rodzinną rezydencję w Kuwejcie.

– Aziz, czy ktoś tu mieszka? – zapytała Ula, bo wspaniale urządzone i wyposażone posiadłość wyglądała na całkowicie niezamieszkaną.

– Jeszcze nie – odpowiedział Aziz. – Czeka na swoją panią domu – dodał, przyglądając się badawczo Sarze.

Ula zachwyciła się szczególnie łazienkami, które wyłożone rzadkimi marmurami były wielkimi pokojami kąpielowymi. Oglądała je uważnie, podziwiając koloryt i strukturę kamienia.

– Saro – powiedział Aziz poważnym tonem, kiedy Ula zniknęła na dłużej

w jednej z łazienek. – Saro – powtórzył i wziął głęboki oddech. – Wyjdiesz za mnie?

– Przepiękne są te łazienki. – Ula, która wyszła właśnie z jednej z nich, nie mogła ochłonąć z zachwytu. – Ta to jest chyba większa od całego mojego mieszkania w Polsce.

Dziewczyny jeszcze przez pół godziny oglądały rezydencję, po czym Aziz powiedział, że odwiezie je do hotelu. Przy wyjeździe Sara zauważyła sporą tabliczkę, na której piękną kaligrafią arabską wygrawerowane było nazwisko właściciela hotelu, w którym mieszkała.

Po kilkunastu minutach bryczka dotarła na miejsce.

– Zastanów się – powiedział Aziz na pożegnanie, patrząc Sarze głęboko w oczy.

Następnego dnia Aziz pojawił się przy autobusie, którym odjeżdżały dziewczyny. Pożegnał się z Ulą, a następnie poprosił Sarę, żeby z nim na chwilę odeszła na bok.

– Odjeżdżasz – powiedział.

– Odjeżdżam – odpowiedziała.

I wziął ją w ramiona, i mocno ją do siebie przytulił, i jej świat zawirował, i dotknęła gwiazd, i wszystko się w tym momencie zmieniło.

10 Szaszija (arab.) – męskie tradycyjne, cynobrowe nakrycie głowy, odmiana fezu; fez – zrobione z bordowego filcu i ozdobione zwisającym frędzlem męskie nakrycie głowy w kształcie przypominającym ścięty stożek, rozpowszechnione m.in. w Maroku. Tunezyjska szaszija różni się od marokańskiego fezu tym, że jest niższa, miękka i nie ma frędzla.

Rozdział VIII

Pustynne rozterki

Sara cieszyła się, że następny etap podróży, z Tauzar do Kairuanu, potrwa kilka godzin. Mogła zamknąć oczy i udawać, że śpi. To, co zdarzyło się przed jej wyjazdem z oazy, wstrząsnęło nią tak bardzo, że do tej pory czuła szybkie bicie serca i słyszała swój przyspieszony oddech. Nie chciała z Ulą na ten temat rozmawiać. Ani z nikim innym. To było zbyt ważne.

Miała wrażenie, jakby nagle powróciła do życia. Poczła to całą sobą, całą swoją zagubioną duszą i całym swoim roznamiętowanym ciałem. Był on i nic więcej. Nagle wszystko się zamknęło i otworzyło w nim. Wszystkie tęsknoty i pragnienia, zło i dobro, żale i nadzieje, trudy i rozpacz, i zwątpienie, i ukojenie. Coś zagrało, zgrało się, wygrało. Rozprawiło się z przeszłością, pogrzebało zniechęcenie i wskrzesiło otwarte nastawienie. Mogła żyć. Chciała. Musiała.

Dla oczu rozbawionych, dla rąk splecionych, dla cudowności wieczoru, dla muzyki płynącej, dla oazy nęcącej, dla słońca codziennego, dla księżyca roziskrzonego, dla rosy porannej, dla miłości zachłannej, dla siebie, dla niego, dla zmysłowości, namiętności, cudowności.

Ulę, aczkolwiek z zupełnie innych powodów, też poruszyło to, co się wydarzyło w oazie. Teraz Sara słyszała, jak jej koleżanka kręci się na swoim siedzeniu, i czuła na sobie jej wzrok sprawdzający, czy ona śpi. Kiedy po pół godzinie Sara otworzyła oczy, bo tak zaschło jej w gardle, że już dłużej nie mogła wytrzymać, Ula od razu zaczęła rozmowę.

– Saro, ta oaza jest absolutnie cudowna! I teraz, gdy z niej wyjechałyśmy, jeszcze bardziej doceniam jej urok! Te wiecznie zielone palmy, tysiące palm! Krystaliczna woda płynącego przez nią strumienia. I kwiaty! Krzewy obsypane delikatnymi kolorowymi kwiatuskami! Zapach jaśminu tak intensywny, jakby każda cząsteczka powietrza była jego płatkami. Ptaki śpiewające, ćwierkające, świergotące. Bajka! Muszę tam jeszcze kiedyś wrócić!

Muszę tam wrócić, muszę tam wrócić... – powtórzyło echo w sercu Sary.

– A Aziz! – Podekscytowana Ula nie mogła przestać mówić. – Fantastyczny facet! Tak potrafi zadbać o kobietę. I ta jego rezydencja! Ja nawet w katalogach nie widziałam takiego przepychu!

To jeszcze mało widziałas – przemknęło przez głowę Sary.

– Ciekawe, kim on jest – zastanawiała się Ula.

– Może synem właściciela hotelu – wyrwało się Sarze.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Przy wjeździe do rezydencji była tabliczka z nazwiskiem rodu.

– A wiesz, że to całkiem możliwe? I to by wszystko tłumaczyło. To, że kelnerzy byli dosłownie na każde jego skinienie, że dostałyśmy najlepszy stolik i miałyśmy pokój tonący w jaśminie... I ten jego dom! Tak samo piękny i luksusowy jak hotel. Tak, masz rację – stwierdziła Ula. – Aziz na pewno jest synem właściciela hotelu.

W tej chwili dla Sary nie miało to najmniejszego znaczenia. Najważniejszy był on. Mężczyzna. Jej mężczyzna. Jej mężczyzna? Przecież oddalał się wraz z każdym przejechanym metrem. Był dalej i dalej... A jednocześnie tak blisko, tu, przy niej, w niej, w jej myślach, w jej duszy, w jej sercu. Zamknęła oczy. Objął ją. Przytulił. Zagarnął. Do końca. Do słońca. Do życia.

Ula lekko szturchnęła Sarę łokciem.

– Śpisz?

– Mhmm...

– Bo wiesz, chciałam cię już dawno o coś zapytać, ale zawsze wylatywało mi z pamięci. Słuchasz mnie?

– Słucham. – Sara z trudem otworzyła oczy.

– Bo w tej oazie... – Ula wciąż nie mogła opuścić pustynnego rajku – bardzo często z różnych sklepików czy kafejek rozlegała się taka bardzo specyficzna arabska muzyka. Była nieodłączną częścią tej oazy. Bardzo mi się podobała i jest idealna na powrót myślą do naszej wspaniałej tunezyjskiej podróży. Wiesz może, co to było?

– Ula! Wiesz, ilu jest arabskich wykonawców! Skąd ja mam teraz wiedzieć, o co ci chodzi!

– Ta muzyka brzmiała dosłownie wszędzie! Przypomnij sobie!

– Nie pamiętam, Ula.

– Saro, proszę cię, skoncentruj się! Bardzo mi na tym zależy. Jeśli będę jej słuchać, to łatwiej mi będzie wspominać te wyjątkowe chwile, które tam spędziłyśmy...

– No dobrze, powiedz, czy to był piosenkarz, czy piosenkarka.

– Piosenkarka. I śpiewała takim charakterystycznym zawodzącym głosem. Trudno ją pewnie pomylić z kimś innym. I w tym śpiewie, mimo że nie znam języka, wyczuwałam jakąś nostalgię, melancholię... O, już wiem, gdy kupowałyśmy kilimy i inne rzeczy na starym suku, to w tym sklepie też słyhać było tę muzykę. Dobrze to pamiętam, bo wspaniale wpisywała się w panujący tam klimat.

– Myślę, że to była Umm Kulthum – powiedziała Sara po chwili zastanowienia, po czym poszukała w telefonie odpowiedniej melodii.

– O to ci chodzi? – Dała Uli do posłuchania.

– Tak, Saro, dziękuję! – zawołała Ula. – Teraz już mam wszystko! I piękny

kilim, i różę pustyni, i mogę słuchać tej piosenkarki, Umm... powiedz, proszę, jeszcze raz, jak ona się nazywała...

– Umm Kulthum...

– No właśnie, Umm Kulthum. Piękny ma głos.

– To jedna z najbardziej popularnych arabskich piosenkarek.

– Wiesz może coś więcej na jej temat?

– Wszyscy wiedzą. To Egipcjanka, urodziła się na początku dwudziestego wieku; najpierw śpiewała z ojcem w przebraniu chłopca...

– To ciekawe.

– Nazywana była „gwiazdą Wschodu”, a o jej niesłuchanej sławie i uznaniu świadczy fakt, że w jej pogrzebie uczestniczyło cztery miliony ludzi.

– Nie dziwię się, jej głos był niepowtarzalny.

– I śpiewała głównie o miłości... i o tęsknocie... – Tęsknota już łkała we wnętrzu Sary, powtarzając bez ustanku „Aziz, Aziz, Aziz...”.

Sara usłyszała sygnał informujący o nadejściu esemesa. „Jeżeli jesteś smutna, to pamiętaj, że jest ktoś na tym świecie, kto cię kocha” – przeczytała.

– Kto to? – spytała Ula.

– Aziz – szepnęła Sara.

– I co chciał?

Ożenić się ze mną – podpowiedziało jej serce.

– Tak tylko pisze – odpowiedziały jej usta.

Czy jeżeli będzie chciała zdławić w sobie buzujący w niej gejzer uczuć, to sprawi, że on wygaśnie? Czy może wybuchnie z ogromną, trudną do pokonania i poskromienia siłą?

– Myślę, że ty mu się bardzo podobasz – stwierdziła z przekonaniem Ula.

– To teraz jedziemy do Kairuanu, tak? – Sara, wiedząc, że Ula lubi się dzielić wiadomościami na temat odwiedzanych przez nią miejsc, chciała odciągnąć jej uwagę od Aziza.

– Tak, Kairuan to jedno z najważniejszych miast turystycznych Tunezji, posiada wiele wspaniałych zabytków związanych z historią islamu. To było pierwsze miasto muzułmańskie założone w Maghrebie i to już w sześćset siedemdziesiątym pierwszym roku przez arabskiego wodza Ukbę ibn Nafiego.

Akurat to wszystko było Sarze dobrze znane, ale pozwoliła mówić Uli, ponieważ nie chciała, żeby powracał temat Aziza. Telefon Sary znowu zapikał, bo przyszła następna wiadomość. „Kocham cię i nie mogę bez ciebie żyć”.

– Aziz? – domyśliła się Ula.

– Tak – potwierdziła Sara.

– Nie odpowiesz mu?

„Wyjdiesz za mnie za męża?” – zapytał w duszy Sary zakochany mężczyzna. „Zastanów się”. – Jego głos przepojony był błaganiem, uwielbieniem i marzeniem.

– Nie wiem – powiedziała Sara do Uli.
– Odpisz mu coś – zasugerowała Ula. – Zadbał o nas w hotelu, zabrał do Nefty na party, oprowadził po medynie. Nie wypada tak odjechać bez słowa.
„Odjeżdżasz” – powiedział. „Odjeżdżam” – odpowiedziała. „Bez słowa? Proszę, przyjedź do mnie jak najszybciej”. – Następny esemes.
– Znowu Aziz? – Ula odwróciła się w stronę Sary. – Co on tak wypisuje?
Dźwięk telefonu. „Jesteś moją kobietą, tęsknię za tobą, kocham cię, wyjdiesz za mnie?”
Wypisuje, bo kocha, bo tęskni, bo pragnie...
– Odpowiedz mu. Mówię ci, że nie wypada tak milczeć – naciskała Ula. – Musisz mu odpowiedzieć.
„Czekam” – zapikał telefon.
– Saro! – Ula podniosła głos. – No napisz coś wreszcie!
Sara spojrzała na litery na klawiaturze telefonu. Tak, nie, tak, nie, tak, nie...
– zapląsały w rozchwianym tańcu.
„Pomyślę” – napisała. „Jesteś cudowna, jesteś jedyna, jesteś moja” – odpisał.
– I co chcesz zwiedzać w Kairuanie? – Sara uciekła w pytanie skierowane do Uli.
– Na pewno Wielki Meczet, meczet Sidi Ukba, z siódmego wieku.
– A wiesz, że ten meczet był wzorowany na pierwszych meczetach w Medynie i Damaszku?
– Nie, tego akurat nie wiedziałam. Ale wiem, że był wielokrotnie przebudowywany i co ciekawe, jego dach wspiera się na filarach, które pochodzą z dawnych rzymskich miast z terenu Afryki, w tym również z Kartaginy.
– Kairuan rozkwitł w dziewiątym wieku, kiedy był stolicą emirów z dynastii Aghlabidów, którzy w imieniu kalifów abbasydzkich z Bagdadu panowali nad tymi terenami. – Sara przypomniała sobie zdobytą w szkole wiedzę. Mogła rozmawiać o wszystkim, tylko nie o Azizie.
– Tak, czytałam o tym – powiedziała Ula. – Był ważnym naukowym i religijnym centrum arabskiego świata ze słynną szkołą medyczną i filozoficzną.
– Tak było – potwierdziła Sara.
Autobus zmierzał w kierunku Kairuanu i Ulę zainteresowały plantacje drzewek oliwnych widziane za oknem. Niewysokie, rozłożyste, zielone drzewka rozciągały się na dużych połaciach ziemi.
– Zobacz, jaki ciekawy kolor liści mają te drzewka. Rzeczywiście oliwkowy.
– Ula, która przez dłuższy czas obserwowała krajobraz, odwróciła się w stronę Sary, ale jej oczy były już zamknięte.
A Sara rozważała propozycję Aziza. Zatapiała się w marzeniach, przypominając sobie tę magiczną chwilę, kiedy złączeni w krótkim uścisku byli jednością. A gdyby się zgodziła? na samą myśl o tym, że go zobaczy i znów wtuli

się w jego ramiona, robiło jej się gorąco. Obudzona namiętność drażniła zmysły, nie pozwalała zapomnieć, wywoływała ogniste pragnienia. Im bardziej Sara, rozpalona wyobrazeniami kolejnego spotkania z mężczyzną swojego życia, oddalała się od oazy, tym mocniej chciała do niej wrócić.

Tunezja wydawała jej się przyjazna i otwarta. Nie czuło się w niej restrykcyjnej atmosfery zakazów i nakazów, którą Sara знаła z Kuwejtu.

W klubach, hotelach i na plażach odbywały się taneczne party, alkohol był legalny, a dużo Tunezyjek nie zakrywało nawet włosów. W pełnym turystów z Europy kraju Sara czuła się nadzwyczaj dobrze i z łatwością mogła sobie wyobrazić, że mieszka w nim na stałe.

Kiedy dziewczyny dotarły do Kairuanu, zapadał już zmierzch. Zmęczone długą podróżą zjadły kolację i położyły się do łóżek. Sara, ze względu na targające nią silne uczucia, długo nie mogła zasnąć.

Na dobranoc dostała od Aziza wiadomość: „Miłych snów, moja najdroższa”.

Nazajutrz Ula wstała z samego rana, bo stwierdziła, że nie chce tracić czasu, jeżeli w Kairuanie jest tyle ciekawych zabytków do obejrzenia.

– Saro, ubieraj się, zaraz wychodzimy. – Ula była pełna energii. – Dzisiaj możemy zwiedzić Wielki Meczet i medinę, która podobno jest jednym wielkim bazarem.

– Nie, Ula, przepraszam cię, ale nie dam rady. Boli mnie głowa i ogólnie nie czuję się najlepiej – wykręciła się Sara.

– Jak chcesz, ale wiesz, że jesteśmy tutaj tylko jeden dzień? Jutro jedziemy do Tunisu, a pojutrze odlot do Polski.

– Wiem, Ula, wiem.

Pojutrze odlot do Polski, pojutrze odlot do Polski – tłukło się Sarze po głowie.

– Dobrze, Saro, nie będę cię namawiać, ale ja już pójdę, bo mi czasu nie wystarczy na to wszystko.

– Dziękuję, Ula, miłego zwiedzania.

– To do zobaczenia wieczorem.

– Do zobaczenia.

Sara naprawdę czuła się tak, jakby miała gorączkę. Całe jej ciało było rozpalone i niezwykle wrażliwe. Owinęła się miękką kołdrą na wygodnym hotelowym łóżku i ogromna tęsknota, która ogarnęła wszystkie jej zmysły, rozogniała jej wyobraźnię pełną namiętnych scen z ukochanym. Jak to jest być do końca z mężczyzną? Z tym mężczyzną? Przeżyła już niezwykle intensywne uniesienia miłosne z Farah, a jej rozbudzone ciało reagowało na Hanę nawet wbrew jej woli. Ale teraz to było zupełnie co innego... To był mężczyzna. Mężczyzna, którego pragnęła całym swoim nieskończonym uczuciem, które tak niespodziewanie eksplodowało, kiedy on wziął ją w swoje silne ramiona. Aziz...

Zadzwoił telefon. To był on.

– Halo! – Bała się, że on wyczuje jej pożądanie, które pulsowało w niej erotycznym żarem.

– Saro? – powiedział zmysłowym głosem.

Już sam jego głos wzmagął chęć, aby natychmiast wrócić do oazy i rzucić się w jego objęcia i całować się, całować, do utraty tchu, do szaleństwa...

– Saro... Myślałaś o tym?

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Tak, myślała, cały czas myślała, o tym i o nim, i o nich...

– Zdecydowałaś się? – Głos Aziza był spokojny i łagodny.

I to ją jeszcze bardziej ujęło, po tylu miesiącach, w których gwałtowne wydarzenia siały straszliwe spustoszenie w jej życiu, a ciosy spadały na nią jedne za drugimi, w jego głosie odnajdowała swoją oazę całkowitego wyciszenia i ukojenia.

– Ja tu na ciebie czekam – mówił. – Ja jestem i czekam... Przyjedź tu, Saro, będziesz szczęśliwa... Czekam.

Rozłączył się. Sara nie powiedziała ani słowa. Zamknęła oczy i w wyobraźni wróciła do Tauzar.

Wieczorem do pokoju wpadła Ula cała w skowronkach.

– Saro, żałuj, że nie poszłaś! Tyle ciekawych rzeczy widziałam! Meczet Sidi Ukba jest imponujący i zachwyca swoją unikalną architekturą. – Ula usiadła na krześle, sięgnęła po stojącą na stoliku butelkę, nalała wody do szklanki i duszkiem wypila. – Ależ zmęczona jestem! Tak gorąco! Ale warto było! – Przyjrzała się leżącej w łóżku Sarze. – A ty lepiej się czujesz? Bo taka rozpalona jesteś!

– Lepiej, Ula, dziękuję.

– Na pewno? Tak jakoś dziwnie wyglądasz? – Ula podeszła do Sary i dotknęła jej czoła. – Saro! Ty chyba masz temperaturę! Może wyjdę i kupię ci leki?

– Nie, Ula, dziękuję, nic mi nie jest.

– A brałaś już jakieś lekarstwa? Bo jak nie, to ja...

– Tak, Ula, coś tam wzięłam, znalazłam w torebce tabletki przeciwbólowe.

– To dobrze... na pewno nic nie potrzebujesz?

– Nie, Ula, dziękuję. Wszystko w porządku. Lepiej opowiedz mi, co dziś zwiedziłaś.

– Ach, mnóstwo fantastycznych zabytków. Ta Tunezja jest wprost cudowna!

Tak, jest cudowna – powtórzyła w myślach Sara. – Tunezja jest cudowna, oaza jest cudowna, Aziz jest cudowny.

– Wiesz co, Saro? – powiedziała Ula. – Pozwolisz, że teraz się wykąpię, a potem wszystko ci opowiem, dobrze?

– Oczywiście.

– Po całym dniu na mieście muszę się odświeżyć. Byłam na medinie, a tam taki tłok... Dosłownie człowiek na człowieku... – Ula zniknęła w łazience.

Po kilkunastu minutach wyszła w szlafroku hotelowym i z ręcznikiem zawiniętym na głowie.

– Od razu lepiej! – Usiadła na fotelu i ręcznikiem zaczęła suszyć sobie włosy.

Odezwał się telefon Sary. „Kochana, proszę, przyjeźdź. Ja czekam, oaza czeka, twój dom na ciebie czeka”. Oddech Sary od razu przyspieszył. Nie uszło to uwadze Uli.

– Aziz? – powiedziała domyślnie.

– Tak.

– Saro... – Ula uważnie przyjrzała się koleżance. – Czy jest coś, o czym nie wiem?

– Nie, nie... – Sara nie była gotowa, żeby rozmawiać z Ulą o swoich rozterkach. – I co z tym Wielkim Meczetem?

– Wspaniały jest! – powiedziała Ula z przekonaniem. – Czy jesteś w stanie sobie wyobrazić ponad czterysta kolumn z porfiru i marmuru, które z czterech stron, dwoma rzędami, otaczają wielki, wyłożony białym marmurem wewnętrzny dziedziniec, tworząc w ten sposób głębokie portyki? Przewodnik mówił, że wzniesione tu wielodzielne kopuły, łuki podkowiaste i minaret o masywnej prostopadłościennym formie stanowiły inspirację stylu meczetu w Kordobie.

– To już go sobie wyobrażam.

– Meczet ozdobiony jest przepięknym abstrakcyjnym, arabeskowym ornamentem, w którym przeważają motywy roślinne i geometryczne z inskrypcjami arabskimi.

– To typowe dla architektury arabskiej. A medina?

– Wielki Meczet znajduje się właśnie na medinie, która jest pełna wąskich i krętych uliczek.

– To tak jak w Tauzar... – wtrąciła Sara.

– Tak, ale oczywiście medina w Kairuanie jest dużo, dużo większa. Otaczające ją mury mają długość trzech kilometrów.

Sygnał telefonu. „Jesteś moją ukochaną kobietą, potrzebuję cię, przyjeźdź, proszę” – przeczytała Sara. Aziz, jak nie przestaniesz mnie kusić, to wsiądę w pierwszy lepszy autobus i natychmiast pojedę do oazy... Mojej oazy... – pomyślała Sara.

– Znowu Aziz? – spytała Ula.

– Tak – odpowiedziała Sara.

– Zakochał się facet, bo tak nie daje ci spokoju – stwierdziła Ula.

On się zakochał, ja się zakochałam... – Sara uśmiechnęła się do siebie, co nie umknęło uwagi koleżanki.

– Saro, ty coś przede mną ukrywasz – stwierdziła Ula. – Przyznaj się, rozmawiałaś z nim dzisiaj?

– Tak...

– I co?

– Nic, tak tylko rozmawialiśmy.

– Jakoś ci nie wierzę... I nie wiem, Saro, z czego ty robisz taką tajemnicę. Przecież ten Aziz to jest bardzo fajny facet. Może się podobać. I jaki bogaty... Ten jego dom... Bajka dosłownie! – zachwyciła się Ula.

Dom jak dom. Sarze stanęła przed oczami jej rodzinna rezydencja.

– Ula, lepiej opowiadaj dalej o tych zabytkach...

– A Aziz?

– Nie ma o czym mówić – wykręciła się Sara.

– Patrząc na ciebie, to myślę, że jednak jest – wyraziła swoje zdanie Ula.

Sara nic nie powiedziała i Ula doszła do wniosku, że lepiej nie drążyć dalej tematu.

– A w samym środku medyny jest jedna z większych atrakcji Kairuanu, źródło Bir Barouta. – Ula wróciła do swojej relacji z przebiegu dnia. – To bardzo interesujące, bo żeby napić się z niego wody, trzeba schodami udać się na piętro budynku, gdzie znajduje się koło czerpakowe napędzane siłą mięśni wielbłąda.

– Wielbłąda?

– Tak, wielbłąd, który jest przystrojony kolorowymi derkami i ma zakryte oczy, chodzi wkoło i uruchamia odpowiednie mechanizmy, które pozwalają czerpać wodę ze źródła, które uważane jest za święte.

– Teraz sobie przypominam, że chyba o nim już wcześniej słyszałam. To źródło połączone jest ze świętą studnią Zamzam w Mekce, prawda?

– Takie panuje przekonanie, dlatego wierni nie tylko piją wodę na miejscu, ale również zabierają ją ze sobą w butelkach. Saro, powiedz mi coś więcej o Zamzam? Dlaczego ta studnia jest święta?

– Źródło Zamzam znajduje się w pobliżu świątyni Ka'aba i według legendy Archanioł Gabriel wskazał je Hagar, służącej żony Abrahama, i Izmaelowi, synowi jej i Abrahama, kiedy ci umierali z pragnienia na pustyni. Następnie źródło to zostało zasypane, po czym ponownie odkryte przez dziadka proroka Muhammada. Ta święta woda zapewnia wiernym zdrowie.

– Rozumiem.

– A oprócz tej studni na piętrze, co cię jeszcze zainteresowało? – zapytała Sara.

– Wszystko było dość niezwykle, ale wrażenie zrobiły na mnie ogromne baseny Aghlabidów pochodzące z dziewiątego wieku, w których gromadzono wodę dla Kairuanu sprowadzaną z odległego o ponad trzydzieści kilometrów źródła. – Ula zaczęła ziewać. – Przepraszam cię, Saro, ale to był bardzo

wyczerpujący dzień, muszę się już położyć.

– Jasne, idź spać, odpocznij sobie.

– Tak zrobię, jeszcze tylko ci powiem, że piłam dziś wyjątkową kawę aromatyzowaną wodą różaną. Wyśmienita była. Dobranoc, Saro.

– Dobranoc.

Znowu zapikał telefon. „Słodkich snów, moja kochana” – napisał Aziz. I były słodkie. Była noc i był on. Blisko. Najbliżej. A ona taka roześmiana, ufna, rozkochana. A on taki wpatrzony, ciepły, troskliwy. Gładził jej dłoń. Wolno, delikatnie, pieśczołliwie. Tulił ją. Przytulał. Otulał. Ustami muskał jej włosy. Do ucha szeptał zaklęcia. A ona taka szczęśliwa.

„Najsłodsza, z Tunisu do Tauzar latają samoloty. Kocham. Czekam”. – Taki esemes obudził Sarę. A ona w tym śnie już tam była, w tej oazie, i z nim, i razem, i w tej miłości, i w tej radości, i w czułości.

Droga z Kairuanu do Tunisu zajęła trochę więcej niż dwie godziny. Dziewczyny po zakwaterowaniu się w hotelu wyszły pospacerować słoneczną centralną aleją Avenue Habib Bourguiba. Sara z przyjemnością chłonęła europejską atmosferę miasta tak różną od tej, która panowała w Kuwejcie. Kobiety, w tym też Tunezyjki, z odkrytymi włosami, nogami i ramionami, siedziały w licznych kawiarniach, popijając zimne napoje i kawę, czasami w mieszanym towarzystwie. Sara zaraz przypomniała sobie restrykcyjny Kuwejt, gdzie chłopak i dziewczyna mogli wylądować na posterunku policji tylko dlatego, że gdzieś się publicznie spotkali, a nie byli ze sobą spokrewnieni. I ona już niedługo będzie musiała wrócić do tych wszystkich ograniczeń...

– Saro, zobacz, ile tu kawiarni, jedna przy drugiej, usiadzimy gdzieś na kawę? – spytała Ula.

– Z przyjemnością – odpowiedziała Sara.

Dziewczyny usiadły przy jednym z wystawionych na ulicy stolików.

– Pięknie tu. – Ula skierowała twarz do słońca. – Aż żal wyjeżdżać.

– To prawda – potwierdziła Sara. – Żal wyjeżdżać – powtórzyła za Ulą i przed oczami stanęły jej słowa wiadomości wysłanej przez Aziza.

„Z Tunisu do Tauzar latają samoloty”.

Do stolika podszedł kelner, aby przyjąć zamówienie.

– Co chcesz, Saro? – Ula patrzyła w kartę.

– Cokolwiek, weź to samo, co dla siebie.

– Chcesz świeży sok z pomarańczy?

– Tak, poproszę.

– I kawę?

– Kawę na pewno.

– Jakieś ciastko?

– Może być ciastko.

Kelner przyjął zamówienie i podszedł do następnego stolika.

– Saro, chcę ci jeszcze raz bardzo podziękować za to, że tu ze mną przyjechałaś. – Ula z wdzięcznością zwróciła się do koleżanki. – Tę Tunezję to ja już od dawna planowałam, ale wiesz, po rozstaniu z Krzysiem byłam taka przybita, że Iwona zdołała namówić mnie na Egipt. Uważała, że w takim stanie nie powinnam nigdzie jechać sama. Ale wcale nie żałuję, bo poznałam ciebie! – Ula szeroko uśmiechnęła się do Sary.

– Dziękuję, Ula. – Sara odwzajemniła uśmiech. – Ja też nie żałuję, że namówiłaś mnie na Tunezję – powiedziała, myśląc o Azizie.

– Prawda, jaki to ciekawy kraj? – podchwyciła Ula. – Przeplatają się tu wpływy różnych kultur, co go czyni absolutnie wyjątkowym. Fenicjanie, którzy założyli Kartaginę, rdzenni Berberowie, Rzymianie, którzy mieli tu swoją prowincję, w związku z czym ziemie te uległy silnej romanizacji, później było tu nawet królestwo Wandalów i prowincja bizantyjska...

Kelner przyniósł soki, kawę i ciastka i poustawiał wszystko płynnymi ruchami na stoliku przed dziewczynami.

– Dziękujemy – powiedziała Ula. – na czym to ja skończyłam?

– Na Bizancjum...

– No tak, Bizancjum, a później tereny te podbili Arabowie i nastąpiła wielka cywilizacja arabsko-muzułmańska, która zdominowała wszystko... – Ula sięgnęła po kawę. – A potem imperium osmańskie i w końcu Francuzi... I te wszystkie kultury gdzieś teraz tu się przenikają, tworząc niezwykle barwną i ciekawą mozaikę. Wiesz, Saro, powiem ci szczerze, że czuję jakiś niedosyt tej Tunezji, więc mam nadzieję, że jeszcze kiedyś tu wrócę. Ten kraj wciąż mnie fascynuje i mam wrażenie, że jeszcze dużo miałabym w nim do odkrycia. Przepraszam cię na chwilkę. – Ula wstała od stolika. – Ale muszę...

A czy ja też tu kiedyś wrócę? Czy kiedykolwiek zobaczę jeszcze oazę i Aziza? – Te pytania Sara zadawała sobie bez przerwy, kiedy koleżanka odeszła.

– Saro, pij swoją kawę, bo ci wystygnie! – Ula, która pojawiła się po dłuższej chwili, usiadła na swoim krzeselku i zabrała się do puszystego, kolorowego ciastka. – Ummm, przepyszne. – Brała do ust kolejne kawałki. – To pewnie wpływy francuskie. – Zaśmiała się. – Nawet je tu tak nazywają: *gateau*. Nie inaczej tylko *gateau*. Jedz swoje *gateau*, Sara! – Ula kończyła już swoje ciastko.

Sara podniosła do ust filiżankę i pociągnęła łyk kawy. Ciastka nawet nie ruszyła. Wiedziała, że nie jest w stanie go zjeść. Smutek, który nagle ścisnął jej gardło, był tak wielki, że nie dałaby rady cokolwiek przełknąć. Słowa Uli uzmysłowiły jej, że już niedługo opuści Tunezję, a wtedy i oaza, i Aziz zamienią się w ulotną, pustynną fatamorganę. Czy naprawdę tego właśnie chciała? Czy chciała, żeby jej euforyczne uczucia i przeżycia stały się tylko drgającym w żarze

słońca mirażem?

– Sara, twoje *gateau*! – przypomniała Ula.

– Wiesz, jakoś nie mam ochoty, jeżeli chcesz, to możesz je zjeść – zaproponowała Sara.

– Na pewno go nie chcesz? – upewniła się Ula.

– Na pewno – potwierdziła Sara.

– W takim razie nie odmówię. – Ula sięgnęła po talerzyk i z ochotą zabrała się do następnego ciastka. – A wiesz, że kiedy byłam w łazience, to zadzwonił Krzyś?

– To świetnie.

– Naprawdę świetnie! I bardzo się cieszę, że dałam nam jeszcze jedną szansę. – Ula wzięła na widelczyk kawałek ciasta. – Bo ja uważam, że teraz jest nawet lepiej niż przed naszym rozstaniem. On stał się jakiś taki uważniejszy, bardziej się stara... Mój Krzyś...

Mój Aziz... – od razu pomyślała Sara. Z Tunisu do Tuzar latają samoloty...

„Nareszcie moje życie ma sens” – Sara odczytała następną wiadomość.

– A Aziz pisze i pisze... – zauważyła Ula.

Pisze i czeka, i kocha... – pomyślała Sara. Czy można tak szybko odrzucać miłość? I znowu to poczuła, to bicie serca, to gorąco, tę tęsknotę i to pragnienie, żeby nie zważając na nic, pójść za głosem serca, pobiec, polecieć...

– Jak sama widziałaś, Saro, w Egipcie ja też nie bardzo wiedziałam, co mam zrobić. – Ula bacznie obserwowała koleżankę. – Ale kiedy zobaczyłam Krzysia na lotnisku, to już nie miałam żadnych wątpliwości. Bo cóż jest warte życie bez miłości? A może taka prawdziwa miłość zdarza się tylko raz? A my się boimy, wahamy... A potem jest już za późno...

Do stolika podszedł kelner i zapytał, czy klientki jeszcze sobie czegoś zyczą.

– Zamawiamy coś więcej, Saro? – zapytała Ula.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Sara, zastanawiając się, czy jej rozterki są aż tak widoczne, że Ula pozwoliła sobie na taką uwagę.

Kelner przyniósł rachunek, dziewczyny zapłaciły, po czym udały się na długi spacer. Doszły do górującej nad otoczeniem, zakończonej obniżonym łukiem kamiennej Bab al-Bahr, czyli Bramy Morza, zwanej też Porte de France, Bramą Francji, która oddzielała nowoczesną część Tunisu od jego starej części.

– Saro, ja bym zajrzała jeszcze na medinę, znajduje się tam podobno jeden z najbardziej tradycyjnych arabskich suków. Pójdiesz ze mną?

– Nie, Ula, wolę wrócić do hotelu – odpowiedziała zamyślona Sara.

– No dobrze, jak chcesz. – Patrząc na koleżankę, Ula wiedziała, że nie uda się jej przekonać do dalszych wędrówek. Widać było wyraźnie, że z czymś się mierzy, z czymś, co na pewno nie jest ani proste, ani łatwe. Może potrzebuje czasu, aby w samotności to przemyśleć.

– To do zobaczenia później.

– Do zobaczenia.

Ula udała się w stronę krętych, zaciemnionych uliczek, a kiedy tam dotarła, od razu w jej nozdrza uderzyła mieszanina aromatów esencjonalnych olejków, jaśminowego, bergamotowego, różanego, cytrynowego, lawendowego, piżmowego, arganowego, z drzewa herbacianego i wielu innych, wzbogacona o zapachy mocnych wschodnich przypraw, garbowanej skóry, świeżych owoców, herbaty z miętą, kawy z kardamonem i smażonych wszelkich potraw, nie wyłączając słodkości. Jej oczy wodziły po bogactwie niezwykle barwnych orientalnych towarów, błyszczących sukni, złotej i srebrnej misternie wyrabianej biżuterii, pięknie tkanych dywanów, rozświetlonych, kolorowych lampionów, fajek wodnych, wyrobów ze skóry, mis, dzbanów i puzderek z drewna oliwnego, figurek wielbłądów, lamp Aladyna, róży pustyni i spreparowanych w gablotach węży i skorpionów. Wśród różnorodnych dźwięków, pokrzykiwań sprzedawców, targujących się klientów, gwaru rozmów kobiet i arabskiej muzyki, od czasu do czasu dawał się słyszeć miarowy stukot wybijanych ręcznie wzorów w miedzianych talerzykach. Labirynt wschodniego targu, kuszący obfitością dźwięków, obrazów i zapachów, wciągnął Ulę bez reszty.

A Sara wolnym krokiem wracała do hotelu. Mijała białe, kolonialne budynki, pogodnych Tunezyjczyków i Tunezyjki, roześmianych turystów. Już jutro wsiądę w samolot do Polski i to wszystko będzie tylko wspomnieniem – myślała. – Wsiądę w samolot do Polski? – Cały czas się wahała, ten pomysł, pomimo całego zawartego w nim szaleństwa, nie opuszczał jej ani na chwilę, kielkował w niej, rósł, oplatał ją coraz nowymi, bujnymi pędami pragnień i marzeń.

Kiedy tylko Sara znalazła się w pokoju, zadzwonił telefon. Aziz. Nie odbiorę. Nie mogę. Bo jak go usłyszę... Nie odebrała. Za chwilę znowu telefon. Dzwoni i dzwoni. Wzięła aparat do ręki. Aziz... Odrzuciła telefon na łóżko. Znowu dzwoni. Dlaczego on ciągle dzwoni? Wiadomość. „Odbierz, kochana, proszę”. Telefon. Nie mogę go odebrać, bo wtedy... „Odbierz, bardzo proszę”. Telefon. „Daj mi minutę, błagam”. Telefon. Odebrała.

– Saro, kochana, najdroższa, proszę cię, wyjdź za mnie, przyjedź, przyjedź dziś, teraz, natychmiast, błagam, nie opuszczaj mnie, ty jesteś jedyna, dla mnie, tylko dla mnie, wyjdź za mnie, Saro, błagam cię! Najdroższa moja! Proszę, wysłuchaj mnie! – żarliwie prosił Aziz.

– Aziz, nie mogę... – Sara powiedziała to z trudem.

– Dlaczego nie?

– To jest bardzo trudna decyzja... Decyzja dotycząca całego mojego życia...

– Kochana, ja... – Głos mu się załamał i się rozłączył.

„Życie jest tam, gdzie jest miłość” – napisał po chwili. – „Czekam”. Sara weszła do łóżka i cała zakryła się kołdrą.

Ula wróciła późnym wieczorem, jak zwykle podekscytowana nowymi wrażeniami z odkrywania kolejnych zakątków Tunezji.

– Saro, Saro... – zaczęła z pasją. – Ja się wcale nie dziwię, że najwięksi pisarze, poeci i malarze fascynowali się Orientem, inspirowali się nim i z niego czerpali. Bo tu wszystko jest takie pełne, nasycone, prawdziwe! Kolory! Spójrz na kolory! Jak biały to biały, tak biały, że aż kłuje w oczy tą białością. Albo czerwony. Czerwony czerwonością ognistą, parzącą. A niebieski. To niebo niebieskością nieba. A żółty cytryną w słońcu dojrzałą, a oliwkowy oliwką oliwkową, a zielony... Zielony tą oazą, tymi tysiącami palm na bezmiarze pustyni.

– Oazą... – powtórzyła Sara.

– Zapachy... mocne, drażniące, nęcące, kuszące, wabiące...

– Wabiące... – powtórzyła Sara.

– A dźwięki... dźwięczne dźwięcznością dźwięczną... wybrzmiały, śmiały, urzekliwe, żarliwe...

– Żarliwe... – powtórzyła Sara.

– I dlatego i ci pisarze, i poeci, i malarze... romantyzm w romantyzmie romantycznym... – Ula przerwała na chwilę. – Ja tu muszę przyjechać ze swoim Krzysiem. Tu się czuje, że się żyje.

„Życie jest tam, gdzie jest miłość” – zabrzmiało w głowie Sary.

– Albo te oazy, Saro...

Oazy... – zaszemrało wrażliwe echo.

– Istnieją sobie od wieków, gdzieś na krańcach świata, na rubieżach pustyni, a tu i Rzymianie, i Francuzi, i inżynieria, i filozofia...

– Filozofia?

– Od stuleci Tauzar uważane było za centrum intelektualne, gdzie w otoczeniu milczącej pustyni zajmowano się literaturą, nauką i filozofią. Stamtąd pochodzi jeden z największych współczesnych tunezyjskich filozofów i antropologów Youssef Seddik, który w swoich pracach zajmuje się antyczną Grecją i dziedzictwem kulturowym islamu. – Ula podeszła do podręcznego hotelowego zestawu i nastawiła wodę w czajniku elektrycznym. – Napijesz się kawy?

– Tak, chętnie, poproszę. – Kiedy tylko Ula wspomniała o Tauzar, Sara od razu się tam znalazła. Nad płynącym strumykiem, z Azizem, pod palmami, razem.

– Zainteresowały mnie te oazy, więc trochę o nich poczytałam – powiedziała Ula, zalewając kawę. – I nie zgadniesz, czego dowiedziałam się o Nefcie.

– O Nefcie? To tam, gdzie Aziz zabrał nas na party? – na wspomnienie Aziza serce Sary wpadło w melancholijny trans.

– Tak, bo gdy jechałyśmy, to zwróciłam uwagę na rzucające się w oczy marabuty. I okazało się, że w tej niewielkiej oazie jest ich aż ponad sto!

– To rzeczywiście bardzo dużo.

- I nawet nie przypuszczasz, dlaczego tak jest.
- Nie mam pojęcia.
- Nefta uważana jest za spirytualne centrum sufizmu. Proszę. – Ula podała Sarze filiżankę z kawą.
- Dziękuję.
- A sufizm to prąd mistyczny w islamie, prawda?
- Tak, łączy się z ascetyzmem. *Suf* po arabsku oznacza grubą wełnę i początkowo muzułmańscy asceci nosili zrobione z niej okrycia, w związku z czym mówiono na nich *sufici* – wyjaśniła Sara.
- W oazie znajduje się mnóstwo sakralnych budowli, samych meczetów jest ponad dwadzieścia, i pielgrzymki do Nefty ciągną ze wszystkich stron, nawet z położonej o niecałe dwadzieścia kilometrów Algierii – z zaangażowaniem opowiadała Ula.
- To rozumiałe, jeżeli powiedziałaś, że jest tam ponad sto marabutów, to wierni przybywają do nich z nadzieją na szczególne łaski, którymi mogą zostać obdarzeni, kiedy do nich dotrą. – Sara małymi łykami popijała swoją kawę.
- Tak, wierzy się, że przyczyniły się one do wielu cudów. Istnieje też lokalny mit, według którego Nefta została założona przez wnuka samego Noego, Kostela, który miał tu osiedlić się po potopie.
- To rzeczywiście bardzo szczególne miejsce – stwierdziła Sara.
- Dla wielu wiernych na pewno – zgodziła się Ula. – W Nefcie jest nawet cała dzielnica złożona tylko z budowli religijnych. Większość z nich to *zawije*¹¹, w których znajdują się groby marabutów i małe meczety, gdzie koncentruje się życie duchowe oazy. Mnóstwo sekretów kryją w sobie te oazy, Saro!
- O tym akurat Sara bardzo dobrze wiedziała. Największym sekretem dla niej było to, co z nią się działo od momentu pobytu w Tauzar. Ta burza gwałtownych uczuć, która ją ogarniała, nie pozwalając jej nawet na moment zapomnieć o Azizie, zaskoczyła ją zupełnie. Oaza szumiała w niej żarliwymi prośbami zakochanego mężczyzny, płynęła życiodajnym strumieniem obudzonych w niej nadziei, śpiewała wielogłosem ćwierkań jej najszybszych pragnień. On tam był i czekał. Wciąż jej to powtarzał. „Przyjedź tu, Saro, będziesz szczęśliwa”. Tak napisał. Sara próbowała przypomnieć sobie, kto z jej najbliższych ostatnio zatroszczył się o to, żeby ona była szczęśliwa. Na pewno nie mama, która sama ze sobą nie dawała sobie rady. Nie ojciec, który egoistycznie wziął drugą żonę, a później, żeby pozbyć się Sary, próbował wydać ją za męża za starego Kuwejtczyka, gotując jej tym samym los jego trzeciej żony. A jej siostra Fatma... Religijna Fatma przez większość czasu krytykowała jej niestosowne, według niej, zachowanie. Nadir, jej brat? Nawet jej nie zauważał, chyba że ojciec przypominał mu, że jego obowiązkiem jest jej pilnować. Kto tak naprawdę myślał o niej i jej szczęściu?
- Szkoda mi opuszczać Tunezję – powiedziała Ula. – Ale z drugiej strony

cieszę się, bo będę razem z Krzysiem... To już jutro.

Już jutro. – Echo na zawsze zamieszkało we wnętrzu Sary. – Już jutro...

Przed snem Sara sprawdziła odloty samolotów z Tunisu do Tauzar. Lot był o czternastej trzydzieści i trwał godzinę dziesięć minut. Godzina dziesięć minut i może być ze swoim ukochanym. Jeżeli się na to zdecyduje.

Rano dziewczyny poszły na śniadanie do jednej z ulokowanych na ulicy kafejek.

– Widzisz, Saro, niedawno w Szarm el-Szejk skarżyłam ci się na to, że ominęła mnie wycieczka do Tunezji, a nagle tu przyleciałam i zobaczyłam tyle wspaniałych rzeczy. – Ula uśmiechała się promiennie. – I z Krzysiem też tak dobrze się ułożyło... Czasem nasze marzenia spełniają się szybciej, niż przypuszczamy, że mogą się spełnić...

Do stolika podszedł sprzedawca z bukietami jaśminu. Ula kupiła dwa z nich, jeden podała Sarze, a swój przystawiła do nosa i mocno wchłonęła jego aromat.

– Przecudny zapach! – powiedziała z uniesieniem. – Jaśmin jaśminowy... od razu kojarzy mi się z Tauzar... Powąchaj, Saro!

Sara odruchowo spojrzała na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Jeśli bardzo się postara, to zdąży.

– Jaśmin... – Ula nadal upajała się zapachem kwiatów. – Saro, dopiero teraz mi się skojarzyło. Przecież Arabska Wiosna, która doprowadziła do obalenia tyłu reżimów w krajach arabskich, zaczęła się właśnie w Tunezji jaśminową rewolucją! Niezwykłe oazy, niezwykły kraj, niezwykli ludzie! – z emfazą powiedziała Ula.

Niezwykła miłość... – dodała w myślach Sara. Zabrzmiał sygnał informujący, że nadszedł esemes. „Kochana, czy zobaczę cię dzisiaj?”

– Aziz? – spytała Ula.

– Tak.

– Pozdrów go ode mnie. I podziękuj za wszystko.

– Dobrze.

„Ula cię pozdrawia i dziękuje” – napisała Sara.

„Też ją pozdrów. I przyjeźdź. Proszę. Błagam. Tęsknię. Kocham” – odpisał.

– Aziz też cię pozdrawia – Sara przekazała Uli.

– Dziękuję. To bardzo miły facet. – Ula wstała od stolika. – Nie skończyłam jeszcze się pakować, więc muszę iść już do hotelu. A ty idziesz, czy zostajesz?

„... Czy zostajesz?” – powtórzyło echo.

– Saro! Coś tak zamarła?! – Ula podniosła nieco głos. – Idziesz ze mną?

– Zostaję... – odpowiedziała Sara.

– To dobrze, tylko nie siedź za długo, żebyśmy się nie spóźniły na samolot.

Sara podniosła się tak raptownie, że przewróciła krzesło, na którym siedziała.

– Idę, Ula, idę z tobą – powiedziała szybko.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

W pokoju Sara nerwowo wrzucała swoje rzeczy do walizki, podchodząc od czasu do czasu do okna i spoglądając na przejeżdżające żółte taksówki.

– Jaki ten Krzyś jest kochany! – Ula zajęta była pisaniem wiadomości.

„...Kochany” – to było echo w sercu Sary.

– Krzyś ciągle pyta, na co mam ochotę, bo chce przywitać mnie dzisiaj uroczystą kolacją.

Sara zamknęła swoją walizkę. Tak, nie, tak, nie, tak, nie... Ktoś zapukał do pokoju.

– Transport na lotnisko już czeka – powiedział pracownik hotelu.

– A ja jeszcze nie jestem gotowa! – zawołała Ula. – Bo Krzyś... Saro, pomóż mi, mam w szafie sukienki na wieszakach, proszę, podaj mi je, a ja spakuję szybko buty. – Ula w pośpiechu dopakowywała swoje bagaże.

Sara pomogła koleżance i razem z nią wsiadła do taksówki, która miała je zawieźć na lotnisko międzynarodowe. Po raz kolejny uciekała. Tym razem przed uczuciem, przed marzeniem, przed namiętnością.

W samolocie do Polski z emocji było jej cały czas niedobrze. Chodziła ciągle do toalety i musiały opiekować się nią stewardesy.

– Słuchaj, Krzyś na mnie czeka, jest samochodem, może odwieziemy cię do cici? – zaproponowała Ula.

– Dziękuję, Ula, to nie ma sensu. To miał być wasz wieczór. Poradzę sobie, nie martw się.

– Ale jeśli tak bardzo źle się czujesz?

– Już mi lepiej, Ula.

– To zobaczymy, kiedy dolecimy. Jeżeli nadal nie będzie dobrze, to cię odwieziemy.

– Dziękuję.

Na lotnisku Krzysztof powitał Ulę bukietem czerwonych róż jeszcze większym niż poprzednio. Rzucili się sobie w ramiona i trwali tak przez długą chwilę. W oczach Sary pojawiły się łzy, bo przypomniała sobie moment, w którym Aziz objął ją na pożegnanie. Z wysiłkiem uśmiechnęła się do Uli i dała jej znak ręką, że wszystko jest w porządku i da sobie radę sama. Ula jej pomachała i szczęśliwa wtuliła się w ramiona Krzysztofa.

Ocierając ciurkiem lecące łzy, Sara taksówką pojechała do domu wujka i cici, którzy ją bardzo życzliwie przywitali. Sara, wymawiając się zatruciem, szybko poszła do swojego pokoju, rzuciła się na łóżko i schowała twarz w poduszkę, żeby nie zawyc z przeszywającego ją bólu. Co parę minut słychać było pikanie nadchodzących wiadomości.

Przez następne dwa dni, które zostały do powrotu do Kuwejtu, Sara miała wrażenie, że wszystko wokół niej jest jakieś zatarte, jakby było za mgłą, jakby było nierealne. Aziz pisał cały czas, a ona czytała, płakała, czytała i płakała.

W dniu wyjazdu ani wujek, ani Marek nie mogli odwieźć Sary na lotnisko, bo w hurtowni pojawiła się niespodziewana kontrola. Natomiast ciocia Agnieszka musiała zostać z Piotrusiem, ponieważ synowa jechała z drugim synkiem na umówioną dużo wcześniej wizytę do lekarza.

Sara przyjechała na lotnisko i od razu skierowała się do punktu sprzedaży biletów.

– Jeden bilet do Tunisu proszę.

W tym momencie dla niej realna była tylko oaza mocno pachnąca jaśminem. Leciała do swojej oazy szczęścia.

11 *Zawija* (arab.) – dosłownie: kąt, róg budynku; pierwotnie nazwa ta była stosowana na oznaczenie celi chrześcijańskiego mnicha na Wschodzie, później zaczęła oznaczać mały meczet lub pomieszczenie modlitewne. Około trzynastego wieku w Afryce Północnej termin ten pojawił się jako synonim *rabita* (arab.), czyli pustelni świętobliwego człowieka, w której żył on otoczony uczniami i zwolennikami. Kiedy pustelnie te rozbudowywały się, stawały się siedzibami bractw religijnych i termin *zawija* zaczął oznaczać budynek lub grupę budynków będących ważnym ośrodkiem życia religijnego. Typowa *zawija* obejmuje grobowiec marabuta, pomieszczenie do modlitwy, pomieszczenie przeznaczone wyłącznie do recytacji Koranu, szkołę koraniczną oraz izby dla podróżnych, uczniów i pielgrzymów.

Rozdział IX

Nowy dom

Zlotniska w Tauzar Sara pojechała do tego samego luksusowego hotelu, w którym wcześniej mieszkała z Ulą. Miała na koncie jeszcze trochę pieniędzy, które ojciec dał jej na wakacje, spodziewała się więc, że do ślubu jej to wystarczy. Była pewna, że później za sprawy materialne rodziny będzie odpowiedzialny Aziz, tak jak, od kiedy tylko pamiętała, jej ojciec. Poza tym utrzymanie żony było nakazaniem przez Koran obowiązkiem każdego muzułmanina, więc było dla niej oczywiste, że jeżeli mężczyzna proponuje kobiecie małżeństwo, to ze wszystkimi jego następstwami. Nie miała zatem powodów, żeby obawiać się o swoją przyszłość.

Recepcjonista w hotelu jakoś tak szczególnie jej się przyjrzał, kiedy się meldowała, a dwóch innych pracowników coś zaszepotało między sobą. Pomyślała, że to wynik szczególnej pozycji Aziza w oazie. Lokaj zaniósł jej bagaż do elegancko, a jednocześnie niezwykle przytulnie urządzonego pokoju, w którym królowało szerokie łóżko z baldachimem i misternie upiętymi po obu stronach leżącymi się, lekko przezroczystymi zasłonami. Wyglądało to niezwykle romantycznie i Sara od razu pomyślała o Azizie. Wtulić się w niego, a potem dać się całować, zacałować, pieścić tak upojnie, aby zmysły zaczarowane miłością niecodzienną szalały, zaszalały, wariowały w oddaniu, dawaniu, braniu, kochaniu. Aziz, mój kochany...

Pełna miłosnych obrazów z ukochanym Sara udała się do wyłożonej marmurami łazienki, gdzie w dużej wannie wzięła bardzo odprężającą kąpiel. Kiedy skończyła i z niej wyszła, cały pokój przepojony był intensywnym aromatem jaśminu, którego liczne bukiety porozstawiane były na stolikach i konsolach. Widocznie nie słyszałam, kiedy obsługa pukała. A Aziz już mnie wita... – pomyślała Sara, wycierając dokładnie do sucha całe swoje ciało. Upojona mocnym zapachem kwiatów ubrała się w swoją ulubioną turkusową sukienkę, zrobiła lekki makijaż, ułożyła włosy, popryskała się perfumami i usiadła na fotelu, czekając na swojego ukochanego.

Wiadomość do Aziza wysłała dopiero z lotniska w Tauzar. „Jestem w naszej oazie, jadę do hotelu” – napisała. „Moje serce, moje życie...” – tylko tyle odpisał. I aż tyle.

Pukanie do drzwi. Była tak wzruszona, że nie mogła wstać, żeby otworzyć. Powinna chociaż powiedzieć „Proszę” i nawet otworzyła usta, żeby to zrobić, ale głos uwiązł jej w gardle. Pukanie jeszcze raz. A ona znieruchomiała. Pukanie

i ciche otwarcie drzwi.

– Saro, ukochana moja... – Podszedł do niej, wziął ją za rękę, podniósł, przytulił i ustami musnął jej włosy. Dokładnie tak jak we śnie. A później przycisnął ją do siebie, do swojego serca tak mocno i mocno, najmocniej.

Poprowadził ją do łóżka, ale usiadł tylko na samym jego brzegu. A ona już taka jego, taka rozpalona. Odwróciła ku niemu twarz i przysunęła bliżej spragnione, nabrzmiące wargi. Zamknęła oczy.

– Saro, kochana, po ślubie – powiedział przejętym głosem.

Nie zdziwiło jej to, odebrała zachowanie Aziza jako wyraz szacunku. W jej kulturze, kiedy mężczyzna planował małżeństwo z kobietą, to z najintymniejszymi przeżyciami czekał do ślubu. Tak nakazywały religia i zakorzenione głęboko obyczaje.

– Zapraszam cię na kolację, pewnie jesteś głodna po podróży. – Aziz wstał i skierował się w stronę drzwi.

Nie, nie była głodna, ale za swoim mężczyzną poszłaby wszędzie. Opuścili pokój i przez olbrzymie lobby, w którym dwie masywne, wysokie kolumny podpirały częściowo przeszklony dach pozwalający rosnąć kilku różnego rodzaju palmom z imponującymi, rozłożystymi zielonymi liśćmi, przeszli do ekskluzywnej, klimatycznej restauracji.

Z tego wieczoru Sara najbardziej zapamiętała wpatrzone w nią roziskrzone, duże ciemne oczy Aziza, uwijających się przy ich stoliku jak w ukropie kelnerów i przepelniającą ją radość, że mężczyzna jej życia jest tuż przy niej i ona już nie musi tęsknić, marzyć i starać się tłumić gwałtownie dopadających ją uczuć. A później był jeszcze błogi spacer po oazie, ich oazie, gdzie tak pięknie szumią palmy i strumyk, śpiewają ptaki i grają cykady, a jaśmin pachnie prawdziwym jaśminem.

Aziz odprowadził Sarę pod drzwi jej pokoju, znowu ją przytulił na pożegnanie, a ona tak bardzo chciała, żeby ten ślub odbył się jak najszybciej, żeby nie było już tych pożegnań, tylko nieprzerwane życie we dwoje.

– Saro, najdroższa, śpij dobrze – ciepło powiedział Aziz.

– Bez ciebie? – zapytała spontanicznie.

– Już niedługo, kochana, niedługo. – Pocałował ją delikatnie we włosy.

I ona z tym pocałunkiem, jak z wpiętym cudownym kwiatem, położyła się do snu ukołyszana magią wspólnie spędzonego wieczoru.

Rano Sara obudziła się po nocy pełnej namiętnych snów z ukochanym. Ubrała się szybko i zeszła na śniadanie, bo poprzedniego dnia umówili się z Azizem, że zjedzą je razem w restauracji przy hotelowym basenie.

– Jak spała moja najdroższa? – Aziz powitał Sarę promiennym uśmiechem.

– Dziękuję, dobrze. – na twarzy Sary pojawił się nagły rumieniec. – A ty?

– Nie spałem. – Aziz nie mógł oderwać oczu od Sary. – Marzyłem o tobie.

Przyszedł kelner, który jak zwykle pojawił się błyskawicznie, kiedy tylko przy stoliku siedział Aziz.

– Życzysz sobie coś szczególnego, Saro?

– Nie, dziękuję, Azizie. Standardowe śniadanie całkowicie mi wystarczy. – Sara ostatnio nie jadła dużo.

Za parę chwil na stoliku pojawił się dzbanek z gorącą kawą, jeszcze ciepła bagietka, masło, zestaw dżemów w kilku smakach, francuskie croissanty z różnym nadzieniem i bez niego, talerz z dużym wyborem serów i wędlin oraz gotowane jajka. Sara odłamała tylko kawałek bagietki.

– Pyszna – powiedziała, sięgając po kawę.

Posiłek przebiegł w niezwykle miłej atmosferze, a na koniec Aziz oznajmił, że cały dzień będzie zajęty ważnymi sprawami, ich sprawami, jak podkreślił, i zobaczą się dopiero wieczorem.

– Dobrze, kochany. – Sara od dawna nie czuła się tak wspaniale.

Aziz poszedł, a Sara została jeszcze w zapełnionej po brzegi restauracji. Hotelowi goście w różnych językach nie mogli się nachwalić piękna oazy oraz luksusu wysokiej klasy hotelu.

– Te baseny tutaj są bardzo ładnie zaaranżowane – mówiła po angielsku siedząca niedaleko Sary kobieta do towarzyszącego jej mężczyzny. – Ten na zewnątrz świetnie prezentuje się wśród palm, a dodatkowego uroku dodają mu spadające po wysokich stopniach kaskady wody i bardzo dekoracyjna fontanna.

– A wiesz, że nawet gdzieś czytałem o tym hotelu jako o najpiękniejszym w całej Tunezji. – Mężczyzna sięgnął po szklanekę ze świeżo wyciskany sokiem pomarańczowym.

– Rzeczywiście może tak być – przyznała kobieta. – Spójrz chociażby na tę szklaną, przydymioną, o wschodnim kształcie kopułę nad zakrytym basenem, która wspaniale komponuje się z całością.

– I sam basen w środku też jest bardzo przyjemny – dodał mężczyzna. – Pływałem w nim wczoraj i przez tę kopułę oraz takie same ściany widać wszystko na zewnątrz, niebo, palmy, fontannę... Goście, którzy nie chcą się narażać na mocne promienie słoneczne, równie dobrze mogą tam wspaniale wypocząć.

– Tak, ja również uważam, że ten hotel jest wspaniale zaprojektowany – wyraziła swoje zdanie kobieta. – I to przejawia się zarówno w jego ogólnej konstrukcji, jak i w najmniejszych detalach.

– Zgodzę się z tobą, i to nie jest tylko moja opinia. – Mężczyzna odstawił pustą szklanekę po soku. – Ktoś opisał go jako wystawny saharyjski pałac, w którym goście mogą zaznać chłodnej, kojącej atmosfery oazy.

– Myślę, że jest to bardzo trafne określenie. – Kobieta rozejrzała się wkoło. – Mnie podoba się widoczne we frontowych ścianach nawiązanie do czternastowiecznej architektury starej medyny w Tauzar. Te wielowymiarowe

ornamenty są nie tylko niesłychanie oryginalne, ale też prześliczne.

Rozmowa o hotelu przywiodła Sarze na myśl rezydencję, w której Aziz jej się oświadczył. Czy to będzie jej nowy dom? – Sara przypominała sobie wspaniałe wyposażone wnętrza, którymi tak zachwyciła się Ula.

Przy stoliku po drugiej stronie siedziała liczna rodzina znad Zatoki Perskiej, która po arabsku również rozmawiała o hotelu.

– Dobry ten hotel, całkiem dobry – powiedział postawny Arab do swojej żony.

– Tak, masz rację – odpowiedziała kobieta.

Jeżeli goście znad Zatoki mówili, że hotel jest dobry, to znaczyło, że spełniał on najwyższe standardy pod każdym względem.

– A wiesz, że słyszałem o bliskim ślubie syna właściciela tego hotelu? – Mężczyzna ponownie zwrócił się do żony.

Sara poczuła gwałtowne, szybkie bicie serca.

– Na każdego przyjdzie czas – stwierdziła Arabka. – To przeznaczenie.

Czy to było przeznaczenie? Ona i Aziz? Czy to właśnie przeznaczenie przywiodło ją na skraj Sahary, aby tu poznała mężczyznę swojego życia? Jej Aziz... Dla Sary najważniejsze było to, że to ona sama wybrała swojego przyszłego męża. Po tym, jak przyprowadzony przez jej ojca starzec oglądał ją jak wystawiony na targu towar, Sara zawsze się bała, że ta sytuacja może się kiedyś powtórzyć. Nie ufała już ojcu i nigdy nie chciałyby ponownie przeżyć tego przeszywającego ją do głębi strachu, że ktoś zdecyduje o jej życiu i odda ją w ręce zupełnie obcego mężczyzny, który w dodatku wzbudzał w niej lęk i obrzydzenie. Jeżeli wyjdzie za mąż za Aziza, to jej ojciec nie będzie już miał nad nią żadnej kontroli.

– A wyobraź sobie, Jassim, że jedna z moich kuzynek, Amal, bała się w tym roku przyjechać z rodziną do Tunezji.

Małżeństwo rozmawiało głośno i do Sary docierało każde słowo ich konwersacji.

– Dlaczego?

– Pamiętasz ten atak terrorystyczny w tunezyjskim kurorcie Susa?

– Trudno o tym zapomnieć – westchnął mężczyzna. – To zdarzyło się dokładnie tego samego dnia, w którym terrorysta samobójca wysadził się w powietrze w szyickim meczecie w Kuwejcie, zabijając prawie trzydzieści osób i raniąc ponad dwieście.

– W Susie też wtedy doszło do strasznej tragedii – przypominała kobieta. – Zginęło chyba czterdzieści osób z różnych krajów i prawie tyle samo zostało rannych.

Słyszana mimochodem rozmowa przeniosła Sarę do Londynu, gdzie razem z mamą wstrząśnięte oglądały na żywo relację z tych dramatycznych wydarzeń. To

był chyba jeden z niewielu momentów, kiedy matka z córką nawiązały słabą nić porozumienia. Sara dobrze pamiętała, jak ostrzegła mamę przed zbytnim zafascynowaniem Fatmy ideologią ISIS. „Ty, mamo, lepiej na nią uważaj, bo jak tak dalej pójdzie, to za chwilę zostanie żoną jakiegoś dżihadysty!” – w głowie Sary zabrzmiały słowa, które wtedy powiedziała na temat swojej siostry. Sarę najbardziej poruszyło wtedy to, że Fatma bez szczególnego oburzenia patrzyła na zakrwawione ciała ofiar terrorystów.

– I Amal obawiała się, że to może się powtórzyć? – mężczyzna spytał żonę.

– Tak, Amal uważa, że Tunezja nie jest zbyt bezpieczna, i dlatego nie chciała z nami przyjechać. A szkoda, bo nasze córki bardzo lubią się bawić z jej dziewczynkami.

– W takim razie powinnaś mi wcześniej o tym powiedzieć, to może udałoby mi się ją przekonać – stwierdził Jassim. – Bo prawda jest taka, że dopóki istnieje tak zwane Państwo Islamskie i ludzie, którzy będą ulegać jego chorym ideom, to wszędzie jest tak samo niebezpiecznie, jak i bezpiecznie. Mam na myśli to, Husa, że ci szaleńcy mogą nagle zaatakować niewinnych ludzi w każdym miejscu i bardzo trudno jest przewidzieć, gdzie i kiedy to się stanie. Może to być Kuwejt czy Tunezja, tak jak to się zdarzyło ponad rok temu, a może to być każdy inny arabski lub europejski kraj. Nie możemy dać się przez nich sterroryzować i przestać normalnie żyć w obawie przed nagłą śmiercią.

– Przeznaczenie, Jassim. – Arabka spojrzała w górę na bezchmurne, błękitne niebo. – Przeznaczenie dotyczy tak samo miłości, jak i śmierci.

*Maktub*¹² – Sara od małego wiele razy słyszała to słowo zarówno w szczęśliwych, jak i nieszczęśliwych okolicznościach. *Maktub* – napisane, zapisane, coś, co musi się zdarzyć, los, przeznaczenie. To było już wcześniej zapisane, bo życie każdego człowieka jest już napisaną księgą, opowieścią, w której zawarte są wszystkie dotyczące nas zdarzenia, nasze radości i smutki, spotkania z ludźmi, którzy wpływają na nasz los, porywające miłości i straszliwe tragedie. Ale czy na pewno tak jest?

– Nie ma się czego bać, Husa, rozejrzyj się tylko wkoło. – Jassim powiódł wzrokiem po beztroskich turystach wypoczywających w luksusowych warunkach w uroczej oazie. – Jestem pewien, że właściciel hotelu należycie dba o nasze bezpieczeństwo. I chociaż wielu sytuacjom nie jesteśmy w stanie zapobiec, to przynajmniej możemy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby ochronić się przed złem.

A Sara właśnie uciekła przed złem. Przed tym całym złem, które spotkało ją w jej rodzinnej rezydencji.

Basen wypełniał się turystami, którzy pragnęli skorzystać ze słońca i niebieskiej wody w otoczeniu strzelistych palm. Sara została jeszcze chwilę przy stoliku, po czym poszła na górę do swojego pokoju, gdzie jaśmin pachniał

świeżymi, dopiero co porozstawianymi kwiatami. Sara usiadła na szerokim łóżku dokładnie w tym miejscu, gdzie poprzedniego wieczoru zaprowadził ją Aziz. Dzisiaj znowu go zobaczy, i jutro, i pojutrze, i zawsze...

Wzrok Sary padł na przyniesioną do pokoju arabską prasę, w której nagłówki informowały o narastającym w Tunezji problemie dżihadystów powracających z pola walki z syryjskich i irackich terenów, które kontrolowało tak zwane Państwo Islamskie. Gdyby nie rozmowa siedzącej na basenie w jej pobliżu pary małżeńskiej, to pewnie nie zwróciłaby na ten temat w tym momencie uwagi. Ale wzmianka o dwóch równoległych atakach terrorystycznych przywołała obrazy nienaturalnie poskręcanych ciał mężczyzn, którzy ponieśli śmierć, kiedy się modlili w meczecie, i zszokowanych turystów, którzy z przerażeniem w oczach opowiadali o strzelaninie na plaży, leżącej się strumieniami krwi i nagłej śmierci swoich bliskich. Sara pomyślała, że mężczyzna z basenu miał rację: to są szaleńcy. Dobrze, że jej radykalizująca się siostra w pewnym momencie przejrzała na oczy i zaczęła z większym krytycyzmem odnosić się do ekstremistów. Nawet nią wstrząsnęły informacje mówiące o sprzedaży porwanych nieletnich dziewczec, na które wystawiane były cenniki, i potworne gwałty na młodych jazydkach. Okrucieństwa i bestialstwa tak zwanego Państwa Islamskiego nie miały granic.

Lokalna prasa donosiła, że negatywnym efektem ubocznym prowadzonej przez świecki rząd walki z ugrupowaniami salafickimi¹³ był wzrost nastrojów radykalnych. Przeprowadzane co jakiś czas duże akcje antyterrorystyczne, podczas których aresztowano salafickich bojowników, prowadziły do zwiększania się liczby ich sympatyków. Przypominano, że po tym, gdy w lutym dwa tysiące piętnastego roku zatrzymano około stu ekstremistów islamskich, już w czerwcu doszło do tragicznego w skutkach ataku na muzeum Bardo w Tunisie, w którym zginęło dwudziestu trzech zagranicznych turystów, w tym z Japonii, Włoch, Francji i Polski, a ponad czterdziestu zostało rannych. Do obydwu krwawych zamachów, w muzeum Bardo i w Susie, przyznało się tak zwane Państwo Islamskie. Tunezyjscy terroryści, którzy przeprowadzili te ataki, trenowani byli w obozach ekstremistów w sąsiadującej Libii.

Pisano, że wpływom najbardziej radykalnej odmiany islamu często ulegali młodzi, niewykształceni, pochodzący z biednych rodzin Tunezyjczycy, którzy nie widzieli dla siebie żadnych perspektyw, w związku z czym łatwo ich było indoktrynować. Skuszeni wizją dżihadu i swojej szczytnej misji w walce z niewiernymi dołączali do dżihadystów w Syrii, Iraku i Libii. Również długa i nieszczelna granica z Algierią była obszarem działania różnych grup przestępczych, w tym przemytników broni i narkotyków, dżihadystów i terrorystów. Podkreślano, że państwo w koordynacji ze służbami z innych krajów podejmowało szereg działań, aby wykrywać i neutralizować potencjalne zagrożenia.

Sara odłożyła gazety z głębokim przekonaniem, że podobnie jak w Kuwejcie i innych krajach arabskich, wywiad oraz jednostki antyterrorystyczne dokładają wszelkich starań, żeby zapewnić w Tunezji bezpieczeństwo. Dotyczyło to też obszarów, z których dżihadyści przedostawali się przez granicę do obozów szkoleniowych w Libii. W słynnym na cały świat legendarnym miasteczku Tatoonie, które twórcy *Gwiezdnych wojen* zbudowali na Saharze, aby oddać klimat pustynnej planety, rodzinnego świata rodu Skywalkerów, znaleziono składy broni z raketowymi granatnikami i ponad dwudziestoma tysiącami sztuk amunicji. Inspiracją do nazwania fikcyjnej planety Tatoonie było tunezyjskie miasto Tatawin, zwane lokalnie z francuskiego Tataouine, ośrodek administracyjny położonego na południu kraju gubernatorstwa o tej samej nazwie. Ponieważ w rejonie tym zanotowano nasilenie działalności dżihadystów, od razu zwiększono tam liczbę funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa i wprowadzono przepustki, a rdzenni mieszkańcy pustyni zadeklarowali, że będą chronić turystów tak jak swoich bliskich. Sara miała pewność, że podobnie jak w całym świecie arabskim ekstremiści stanowią niewielki procent społeczeństwa, przeciwko któremu występują zarówno władze, jak i zwykli obywatele.

Powrót myślami do Londynu, mamy i Fatmy spowodował, że przed oczami Sary w błyskawicznym tempie, ale za to niezwykle wyraziście, przesunęły się dramatyczne wydarzenia, które dotknęły jej rodzinę w ostatnim roku. Sara nagle poczuła się bardzo znużona. Nie chciała o tym myśleć, nie chciała o tym pamiętać, chciała to gdzieś zostawić, daleko w tyle, za sobą, jak dawną, i już nieważną, mglistą przeszłość. Zacisnęła mocno powieki, stwierdziła, że najlepiej będzie, jak zaśnie, głęboko trwając w niebycie do momentu, aż pojawi się Aziz.

Wieczorem, kiedy przybył jej ukochany, tym razem poszli po prostu na spacer do serca oazy. Niewiele mówili, bo za dużo było do powiedzenia. Byli. Tak jak otaczająca ich natura, która nie musiała krzyczeć, żeby istnieć. I tak wszyscy ją widzieli. I oni też nie musieli nic mówić, ona przyjechała, on przyszedł, i szli po oazie marzeń razem. I tak było dobrze. Wtopieni w te palmy, w ten strumyk i w ten jaśmin. A gwiazdziste niebo nad nimi nawet się nie dziwiło.

Na pożegnanie Aziz wpiął we włosy Sary kwiat pocałunku, a potem ona popłynęła sama na łożo z baldachimem, które jak przystrojony ołtarz sakralny oczekiwało na spełnienie, wypełnienie, dopełnienie. Ale to jeszcze nie teraz, nie dziś, nie tej nocy, nie w tej ciemności, nie w samotności bólem pożądania poranionej. Zacisnąć oczy, zacisnąć pięści, zacisnąć wargi, aby nie chciały, nie wołały, nie pragnęły. Oszukać je snami, namiętными łzami złudnego zaspokojenia zakończonymi. Lepiej tylko spać.

Otworzyła oczy, zobaczyła baldachim i puste miejsce obok siebie. Jeszcze trochę. Jeszcze chwila. Zobaczy go wieczorem, bo podobnie jak wcześniej powiedział, że cały dzień jest zajęty ważnymi sprawami. Ich sprawami, jak znowu

podkreślił.

Powoli wstała, wzięła prysznic, ubrała się, zrobiła delikatny makijaż. Zeszła na śniadanie; hotel pełen gości, urokliwa oaza przyciągała swym niepowtarzalnym pięknem. Turyści często docierali tu z Matmaty, gdzie oglądali podziemne domy Berberów, lub z położonego wśród piaszczystych wydm Duz, miasta zwanego Bramą lub Wrotami Sahary, które w dawnych czasach, tak jak i Tauzar, było ważnym punktem postojowym karawan przemierzających szlak transsaharyjski. Teraz w Duz można było zapoznać się z folklorem beduińskim lub skorzystać z proponowanych tu wycieczek na pustynię, włącznie z nocowaniem w tradycyjnym namiocie, na które udawano się na koniach, wielbłądach lub samochodami terenowymi.

Droga do Tauzar wiodła przez Szatt al-Dżarid, Wielki Szott, słone, bezodpływowe jezioro na Saharze ulokowane w kotlinnym obniżeniu terenu. Był to największy słony obszar w całej Afryce Północnej, którego powierzchnia wynosiła ponad pięć tysięcy kilometrów kwadratowych. Jest ono pozostałością po morzu zajmującym przed piętnastoma milionami lat te tereny. Obecnie, ze względu na panujące tu ekstremalne warunki klimatyczne, temperatury dochodzące do pięćdziesięciu stopni i prawie całkowity brak opadów, woda z jeziora wyparowywała, a w miesiącach letnich nie było jej w nim prawie wcale. To sprawiało, że ogromne połacie Sahary pokryte były grubymi warstwami soli, która błyszczała w słońcu, a gra światła mogła wywołać obrazy niespodziewanych mirażów. Turyści przybywali tu licznie właśnie ze względu na wyjątkowe i niezapomniane widoki. Podziwiali spektakularne wschody słońca, które jasną, najjaśniejszą kulą odbijało się białym blaskiem na tle czerwono-pomarańczowego nieba, podkreślając zarysy widocznych w dali ciemnych pasm gór. Z niedowierzaniem patrzyli na pomalowaną w kolorowe pasy łódź, która z wystającym do góry pustym masztem, lekko przechylona, tkwiła nieruchomo wśród księżycowego krajobrazu. Zachwycali się oryginalnymi pejzażami malowanymi w przepięknej kolorystyce niepowtarzalnych barw, od srebrzystej poprzez białą, niebieskawą, czerwona aż po fioletową i różową.

Efektowna i absolutnie unikalna sceneria słonego jeziora Szatt al-Dżarid sprawiła, że właśnie nad nim powstała ikoniczna scena, w której filmowy Luke Skywalker obok widowiskowego krateru obserwuje na tle niebiesko-różowej poświaty nieba dwa zachodzące słońca, jedno białe, a drugie czerwone. Ale żeby doświadczyć fantastycznych zjawisk i cudów, nie trzeba uciekać w fikcyjne science fiction. Każdy może odnaleźć i zobaczyć swoje dwa słońca niezależnie od tego, w jakim punkcie globu się znajduje. Wystarczy tylko bardzo chcieć.

Tego dnia Sara postanowiła, że przejedzie się po oazie zaprzęzoną w konia bryczką. Wyszła przed hotel, gdzie od razu wsiadła do jednej z wielu czekających na turystów dorożek. Z pomocą przyjaznego woźnicy wspięła się na nią, usiadła na

wygodnym siedzeniu i ruszyła, aby dalej odkrywać oazę. Po drodze mijala turystów, którzy w swoich pustynnych wędrówkach eksplorowali pełne tajemnic przestrzenie tak różne od tych, do których przywykli na co dzień. Specyficzna atmosfera oazy Tauzar sprawiała, że twarze zwiedzających pełne były jakiejś ledwie uchwytej zadumy, pogłębionej refleksji muśniętej nutami zadziwienia i podziwu.

Jednym z obowiązkowych miejsc, które odwiedzali turyści, był oryginalny pomnik należącego do największych poetów tunezyjskich, urodzonego w Tauzar Abu al-Kasim asz-Szabbiego¹⁴. Jego słynny poemat *do tyranów świata* stał się manifestem skandowanym przez rozwścieczone tłumy na ulicach Tunezji i Egiptu podczas Arabskiej Wiosny. Siedemnastego grudnia dwa tysiące dziesiątego roku ubogi, dwudziestoosmioletni Tunezyjczyk, Muhammad Buazizi, który bez licencji sprzedawał owoce i warzywa z obwoźnego wózka, dokonał historycznego aktu samospalenia, wzniciając tym samym iskrę rewolucji obalającej arabskie reżimy. Młody mężczyzna zajmował się drobnym handlem, aby zaspokoić podstawowe potrzeby swojej matki i sześciorga rodzeństwa. Ciągłe narażony był na chamskie szykany ze strony policji, która niejednokrotnie przeganiała go z miejsca na miejsce, nie pozwalając handlować, lub wywracała mu wózek z towarem, który brudny i zniszczony nie nadawał się już do użytku. Zdarzało się, że jego lichy majątek konfiskowano. A kiedy brakowało tego i tak marnego dochodu, rodzinę Muhammada nawiedzało widmo głodu. I nadszedł dzień, kiedy upokorzenie młodego sprzedawcy sięgnęło zenitu. Znowu zabrano mu wagę i wózek z towarem, podstawowe źródło utrzymania jego licznej rodziny. Mężczyzna zaczął się skarżyć na niesprawiedliwość tego aktu, jednak funkcjonariusze byli bezwzględni. Policjantka po nieprzyjemnej wymianie zdań uderzyła go w twarz, a towarzyszący jej policjant go opluł. Poniżony i zdruzgotany sprzedawca próbował szukać pomocy u burmistrza, jednak lokalne władze całkowicie go zignorowały. Wtedy w ostatecznej rozpacz i bezsilności wykrzyczał: „Jeśli mnie nie widzicie, to się podpale”. W desperacji wylał na siebie benzynę z małego kanistra i zapalił zapalną. Zmarł po osiemnastu dniach w wyniku rozległych poparzeń.

Następstw tego popełnionego w absolutnej boleści czynu nikt nie mógł przewidzieć. Już niecały miesiąc później, czternastego stycznia dwa tysiące jedenastego roku, prezydent Ben Ali, który sprawował władzę przez dwadzieścia trzy lata, odleciał wraz z rodziną do Arabii Saudyjskiej. Zmusiły go do tego rozlewające się na cały kraj gwałtowne protesty Tunezyjczyków przeciwko bezrobociu, wysokim cenom, korupcji, nepotyzmowi, samowoli władz, uciskowi społecznemu i brakowi jakiegokolwiek przyszłości dla młodych ludzi zainspirowane samospaleniem biednego sprzedawcy warzyw i owoców.

Na wydarzenia w Tunezji z wysokim uznaniem i zazdrością spoglądali Egipcjanie. Wyszli na ulice najważniejszych miast dwudziestego piątego stycznia,

żądając ustąpienia sprawującego władzę przez trzydzieści lat prezydenta Hosniego Mubaraka. Setki tysięcy ludzi zdobyło się na odwagę, żeby w ten i następne dni, nie bacząc na policję, dobrze uzbrojone wojsko, granaty z gazem łzawiącym, gumowe pociski, czołgi i ułożonych na dachach strzelców wyborowych, głośno dać upust swojej wieloletniej frustracji wynikającej z biedy, uciemiężenia i wszechwładnego reżimu. Nieśli plakaty ze zdjęciem zmasakrowanej w straszliwy sposób twarzy dwudziestoosmioletniego Chalida Saída, którego pół roku wcześniej w bestialski sposób zakatowali na śmierć policjanci. Chalid Saíd z Aleksandrii w kafejce internetowej pisał na swoim blogu, kiedy nagle wpadli do niej policjanci po cywilnemu i żądając od obecnych w lokalu dokumentów, zaczęli wszystkich rewidować. Kiedy Chalid zaprotestował przeciwko ich obelżywemu zachowaniu, funkcjonariusze wpadli w szal i chwytając go za włosy oraz wykręcając ręce do tyłu, zaczęli tłuc jego głową o blat marmurowego stolika. Następnie policjanci, nie zważając na jego rozpaczliwe krzyki o pomoc, wywlekli go z kafejki, po czym w obecności przechodniów walili jego głową w żelazną kratę, bili go, kopali, a na końcu tej barbarzyńskiej akcji po nim skakali. Chalid zmarł na miejscu w męczarniach, a jego ciało było tak skatowane, że nawet opozycyjne gazety nie zdecydowały się na opublikowanie zdjęć, gdyż były za drastyczne. Zrobiona przed śmiercią fotografia potwornie zniekształconej twarzy Chalida trafiła jednak do internetu, a w pierwszych dniach rewolucji pojawiła się niesiona wysoko przez demonstrantów na egipskich ulicach. Widać na niej było złamany w kilku miejscach podbródek, wybite zęby, rozerwane usta, rozległe siniaki i duże, czerwone plamy krwi.

Dla wzburzonych tłumów zarówno na ulicach Tunezji, jak i Egiptu najbardziej odpowiednie w ich bezkompromisowej walce o podstawowe prawo do godności i wolności wydały się wersy, które wyszły spod pióra młodego poety z Tauzar.

O wy, despotyczni tyrani...

Ty, miłośniku ciemności...

Ty, wrogu życia...

Szydzisz z ran niewinnych ludzi, a twoje dłonie pokryte są ich krwią.

Wciąż idziesz, deformując urok istnienia i siejąc wzrastające ziarno smutku w ich ziemi.

Bywają dni, kiedy każdy z nas musi się mierzyć ze swoim zewnętrznym lub wewnętrznym tyranem. W domu, w pracy, w kraju, w życiu. Ale nigdy nie wolno się poddawać. Bo nieważne jest to, jak bardzo spiekota problemów i nieszczęść nas wypali, gdyż zawsze możemy dotrzeć do naszego wewnętrznego źródła mocy, które pozwoli w nas wybuchnąć bujnej oazie przemiany.

Sara wysiadła z bryczki i podążając za sporą grupą turystów, zadarła głowę, żeby przyjrzeć się górującej nad otoczeniem wyrzeźbionej w kamieniu twarzy Abu al-Kasima asz-Szabbiego. Owiewana przez pustynne wiatry, wystawiona na gorące, bezlitosne promienie słoneczne emanowała dumą i hardością. Przypominała o tym, że o słuszne sprawy warto walczyć nawet wtedy, kiedy z początku ta walka wydaje się skazana na niepowodzenie. Należy pamiętać, że determinacja i niezłomna siła zawsze doprowadzą do upragnionego zwycięstwa.

Sara wróciła do bryczki i pojechała dalej zwiedzać oazę. Minęła trzy siedzące, osiodłane i przystrojone kolorowymi derkami wielbłądy, które wraz ze swoimi beduińskimi opiekunami czekały na turystów chętnych na kilkuminutową przejażdżkę na ich grzbiecie lub tylko do zrobienia sobie z nimi pamiątkowych zdjęć. Później trafiła w pobliże starego suku, gdzie z Ulą kupowały suweniry. Ulica tętniła życiem, sprzedawcy zachwalali swoje towary, kupujący targowali się wschodnim zwyczajem, przebierając wśród przyciągających oko orientalnych przedmiotów, a w tle słychać było turkot przejeżdżających motocykli i stukot końskich kopyt.

Nagle do uszu Sary dotarły rytmiczne, dobiegające z oddali dźwięki, w których dominowało miarowe bębnienie bębnów.

– Słyszysz to? – zapytała powożącego dorożką.
– Co? – odpowiedział pytaniem woźnica.
– Te głosy.
– Jakie głosy?
– Bębny i śpiewy... – Sara usłyszała, że do muzyki dołączyło również zawodzące śpiewanie.

Siedzący na koźle mężczyzna wsłuchał się przez moment w dalekie dźwięki.

– To chyba banga.

– Banga?

– Tak, banga, to odprawiany w naszej oazie rytuał.

– Rytuał? – Tauzar wciąż odkrywało przed Sarą nowe oblicza.
– Tak, to rytuał o ogromnej mocy... – Woźnica odwrócił się w stronę dziewczyny i spojrzał na nią przenikliwie.

– Powiesz mi o nim coś więcej? – Sara chciała się jak najwięcej dowiedzieć o oazie.

– Demony, demony, demony... – powtórzył mężczyzna głuchym głosem, po czym wrócił do swojej poprzedniej pozycji i popędził konia, zmuszając go do szybszej jazdy.

– Poczekaj! – zawołała Sara. – Zwolnij!

Woźnica nie reagował i bryczka aż cała trzęsła się od galopującego konia.

– Nie pędź tak! – Sara krzyknęła głośnie, ale mężczyzna nadal poganiał zwierzę. – Zatrzymaj się natychmiast! – rozkazała w końcu stanowczo Sara.

Tym razem woźnica wstrzymał konia i po krótkiej wolniejszej jeździe bryczka stanęła w miejscu. Teraz nie było już słycać żadnych rytualnych śpiewów i muzyki.

– Dlaczego tak nagle wyrwałeś do przodu? – Sara zwróciła się z wymówką do powożącego.

– Demony... – odpowiedział cicho jednym słowem.

– Zawieź mnie tam – zażądała Sara.

– Gdzie?

– Tam, gdzie przeprowadzany jest rytuał banga.

– Nie mogę.

– Czemu?

– Rytuał odbywa się na starej medinie, tam bryczka nie wjedzie.

– To podjedź najbliżej, jak tylko możesz. Chcę zobaczyć ten rytuał.

– Nie sądzę, żeby to było możliwe – wyraził wątpliwość woźnica.

– Dlaczego?

– Nie wpuszczą nikogo obcego.

– Spróbuję, może mi się uda – zdecydowała Sara.

Pomimo życzenia Sary, mężczyzna jakby zastygł na chwilę, nieruchomo tkwiąc na koźle, i nie ruszał bryczki z miejsca.

– No jedź wreszcie! – poleciła zirytowana Sara.

Woźnica jeszcze przez krótki czas nad czymś się zastanawiał, a następnie zawrócił w stronę starego suku. Po kilkunastu minutach zatrzymał się, Sara zapłaciła za kurs, po czym zsiadła z bryczki. Wyteżyła słuch i zza czternastowiecznych ścian znowu dotarły do niej dynamiczne odgłosy bębnow. Spojrzała na ciasny przesmyk między murami i przez moment zawahała się, czy może tam sama wejść. Przypomniała sobie labirynt wąskich uliczek, którymi się przemieszczała, kiedy Aziz oprowadzał ją i Ulę po medinie. Walenie w bębny nasiliło się, wzbogacone o metaliczny głos grzechotek i śpiewne zawodzenia.

Ciekawość zwyciężyła i Sara wkroczyła na starą medinę.

Rytmiczne, coraz głośniejsze dźwięki prowadziły Sarę, która trzymała się wysokich, pozbawionych okien murów. Mimo że był dzień, to gdy przechodziła pod zadaszeniami, ogarniał ją złowrogi półmrok. Przyspieszyła, bo chciała jak najprędzej dotrzeć na miejsce.

Za każdym razem, kiedy pokonywała kolejny zakręt, wydawało jej się, że tuż za nim znajdzie swój cel. Jednak mimo tego, że odgłosy rytuału rozchodziły się po całej medinie, Sara wciąż nie mogła odnaleźć punktu jego odprawiania. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie potrafi zlokalizować dokładnie kierunku, skąd dochodzą muzyka i śpiewy. Dźwięki odbijały się w plątaninie licznych uliczek i dawały mylne wrażenie, że ich źródło znajduje się bardzo blisko, co nie było prawdą. Sara poczuła się trochę nieswojo i obejrzała się za siebie. Nic, tylko wąskie uliczki. I ani jednego człowieka. „Demony, demony, demony” – w głowie Sary zabrzmiały słowa woźnicy. Raptem na jedną ze ścian padł długi, ciemny cień. Odwróciła się gwałtownie, ale nikogo nie zobaczyła.

Zimny lęk złapał ją za gardło. Zaczęła biec krętymi uliczkami, żeby jak najszybciej wydostać się z nieznanego labiryntu. W prawo, w lewo, prosto, nie, to nie tu, trzeba wrócić, i w tę małą uliczkę, i znowu w prawo, to też nie tu, przecież przed chwilą tu była, spróbuje prosto, cały czas prosto, ale to ślepa uliczka, może w prawo, zawróci, i w lewo, tu nie ma przejścia, zgubiła się. Przystanęła na chwilę, piasek uwierał w butach, zgrzytał między zębami, wciskał się dosłownie wszędzie. Nagle zapragnęła wręcz od razu, w tym momencie, znaleźć się w czystym, ekskluzywnym, klimatyzowanym pokoju hotelowym. Słyszała uderzenia w bębny, metaliczne grzechotanie grzechotek, zawrozenia w języku, którego nie znała, i ten cały rytuał wydał jej się w tej chwili złowieszczy. Już nie chciała go poznawać, chciała tylko bezpiecznie wrócić do swojego luksusowego świata.

Sara szła szybkim krokiem, mając nadzieję, że już za następnym zakrętem zamiast kolejnych zaułków wyłoni się otwarta przestrzeń otaczająca medinę. Była już bardzo zmęczona, upał dawał się jej we znaki, pot lał się z niej strumieniami i o mało się nie rozplakała. Ściany, ściany, same ściany. I świdrujące, miarowe dźwięki przeprowadzanego rytuału. A czasami ogromne, ozdobne drzwi, które tak ją wcześniej zaciękawiły. Wszystkie zamknięte. Kluczyła, błędziła, prawie biegła. Wreszcie na końcu wąskiej uliczki zobaczyła światło, które obiecywało oswobodzenie z niekończącego się labiryntu. Podążyła z nadzieją w jego stronę. Przebiegała właśnie obok nieznacznie uchylonych drzwi, kiedy jakieś ręce wciągnęły ją do środka.

Z miejsca otoczyły ją przeszywające dźwięki rytuału banga. Znalazła się na wypełnionym ludźmi wewnętrznym dziedzińcu, na środku którego tańczyło boso sześciu ciemnych mężczyzn. Ubrani w długie do ziemi luźne szaty w różnych kolorach – białe, bordowe i ciemnożółte – ustawieni naprzeciwko siebie w rzędach

po trzech, trzymali w każdej ręce dość duże metalowe grzechotki, którymi energicznie potrząsali. Z boku stało trzech bębniarzy z zawieszonymi na szyi wielkimi bębnami, na których jedną dłonią i trzymaną w drugiej ręce drewnianą pałeczką intensywnie wybijali szamańskie tempo. Dostrajając się do niego, mężczyźni z grzechotkami odprawiali rytualny taniec, wykonując niezwykle ekspresyjne ruchy ciała. Przeszępowali z nogi na nogę, bujali przy tym żywiołowo swoimi ciałami na boki i z werwą podrzucali ramiona do góry, wywołując metaliczny brzęk grzechotek. Chodzili przy tym rytmicznie do przodu i do tyłu, wymijając się i zmieniając swoje położenie, co było niezwykle widowiskowe. Po pewnym czasie zarówno układ, jak i figury taneczne stały się jeszcze bardziej urozmaicone. Mężczyźni zbliżali się i oddalali od siebie, obracając się jednocześnie zamasyście na boki, aż w końcu zaczęli się kręcić dość szybko wokół własnej osi. Bębniarze śpiewali przy tym zawodzące pieśni, potęgując doniosłość całego rytuału.

– Niezwykłe, naprawdę niezwykle! – Przez głośne dźwięki przebił się mówiący po angielsku kobiecy głos.

Sara obejrzała się i zobaczyła tę samą parę, która rano przy śniadaniu zachwycała się hotelem.

– Tak, bardzo ciekawe – zgodził się mężczyzna.

– Dowiedziałam się, że banga to rytuał potomków czarnych niewolników, którzy kiedyś pracowali w tutejszych domach, na polach uprawnych lub przy kopaniu kanałów irygacyjnych – wyjaśniła kobieta.

– Mnie też się wydawało, że to są afrykańskie rytmy. A wiesz, w jakim języku oni śpiewają?

– Podobno to język hausa¹⁵.

– A jaki jest cel tego rytuału? – zainteresował się mężczyzna.

– Demony... – kobieta powtórzyła to, co Sara już słyszała od woźnicy.

– Masz na myśli egzorcyzmy¹⁶? – zapytał mężczyzna.

– Też, ale nie tylko.

– To znaczy?

– Podobno rytuał ten jest bardziej adorystyczny¹⁷ niż egzorcystyczny.

– Jak to rozumieć?

– Chodzi o integrację z bytami niewidzialnymi, o to, by poprzez rytualne śpiewy, a przede wszystkim tańce wpaść w trans, w którym traci się swoje ziemskie zmysły i w ten sposób można zintegrować się z bytami niewidzialnymi. I co ciekawe, byty te uważa się za uzdrawiające i wzmacniające, i niekoniecznie muszą być odbierane jako negatywne, nawet jeżeli z pozoru wydaje się, że takie są.

– Wiesz, ta oaza, te szumiące takim specyficznym szumem gaje palmowe mają coś takiego w sobie, coś tajemniczego, nie do końca zbadanego, coś, co przenika cię do reszty, do głębi, że właśnie tutaj te rytuały nabierają prawdziwego

magicznego wyrazu.

– Zgodzę się z tobą, spójrz na to... – Kobieta wskazała na jednego z tańczących mężczyzn, który zapamiętale kręcił się rytmicznie w kółko, sprawiając wrażenie, jakby zupełnie stracił kontakt z otaczającą go rzeczywistością.

Demony... Demony są w nas. Wchodzą niepostrzeżenie. Demony strachu, niepokoju, obaw. O siebie, o bliskich, o przyszłość. Nie pozwalają nam spać, nie pozwalają nam jeść, nie pozwalają nam żyć. Opanowują nasze myśli i ciała, ograniczają nasze możliwości, krępują nasze działania. Potrzebują całych naszych ciał, więc je opętują, przywłaszczając sobie nas samych jak siebie samych. A my spętani, opętani, wyklęci, poddajemy się im, nawet o tym nie wiedząc. Przyzwyczajamy się do nich, a w końcu je hołubimy.

Sara przypomniała sobie różnorodne lankijskie maski, których zadaniem było odganianie złych duchów i mocy. Ludzie wszędzie, niezależnie od tego, czy jest to Sri Lanka, Afryka, czy inny zakątek świata, próbują znaleźć magiczne sposoby, aby uchronić się od zła. Wydaje nam się, że do walki z ciemnymi mocami niezbędne są magiczne maski, rytuały i obrzędy, a nie wiemy, że źródło największej i najbardziej skutecznej magii znajduje się w czystej esencji naszego jestestwa.

Na dziedzińcu w oazie następny mężczyzna zatracił się w obłądnym tańcu, a później następny i następny... Dwóch innych tancerzy ukucnęło i cały czas wyrzucając grzechotki na obie strony, przemieszczało się do przodu. Potem, wybijając się stopami, skakało w rytm bicia bębnów, a następnie, ciągle w kucki, obracało się wkoło własnej osi. W końcu i oni wstali, aby wspólnym nieprzerwanym dzikim tańcem dopełnić odwiecznego rytuału. Przenikliwy, rytmiczny głos śpiewów, głos grzechotek, głos bębnów...

Po pewnym czasie muzyka umilkła i Sara zauważyła, że na dziedzińcu jest kilkoro turystów. Jedna z kobiet podeszła do cudzoziemców i zebrała ofiarowane przez nich pieniądze. Turyści wstali i skierowali się do wyjścia. Sara chciała zrobić to samo, ale siedząca obok niej kobieta mocno chwyciła ją za rękę.

– Zostań! – rozkazała mrocznym tonem. – Rytuał banga jeszcze się nie skończył!

Sara zrozumiała, że to, czego była świadkiem, to tylko część rytuału banga, która może być przeznaczona dla oczu obcych. Ale jest jeszcze coś więcej. Coś, co zobaczyć mogą tylko wtajemniczeni. Została.

Turyści wyszli, a kobieta starannie zamknęła na klucz, a następnie zaryglowała za nimi duże drzwi. Zapadał zmierzch. Muzyka znowu zabrzmiała. Niby te same rytmy, te same bębny, a jednak wszystko bardziej jęklive, bardziej przejmujące. Tym razem na środek dziedzińca wyszły kobiety. Kiedy Sara na nie popatrzyła, pierwsza myśl, która jej przyszła do głowy, była taka, że naprawdę

wyglądają jak opętane. Miały zupełnie nieobecny wzrok i sprawiały wrażenie, jakby nie panowały nad swoimi ciałami. Jedna z nich, w czerwonej sukience i z długimi, rozpuszczonymi ciemnymi włosami rzucała się na wszystkie strony w zupełnym bezwładzie. Dwie osoby musiały ją podtrzymywać, żeby nie upadła. Poruszała się schylona wół na ugiętych nogach, spuszczała głowę i machała rękami w nieskoordynowanych ruchach. Sara aż się wzdrygnęła. „Demony, demony, demony...” – zabrzmiały jej w uszach słowa woźnicy. Ciałem kobiety wstrząsały silne konwulsje i nie wiadomo było, czy to demon ją opętał, czy to ona sama jest demonem. Sara obejrzała się na drzwi, bo to, co widziała, sprawiało, że miała ochotę jak najszybciej stamtąd uciec. Ale drzwi były mocno zaryglowane, a wszyscy byli tak pochłonięci odbywającym się rytuałem, że nikt w tym momencie na pewno by ich nie otworzył.

Twarze obecnych były skupione i wpatrzone w rzucaną złym duchem kobietę. Ucichła muzyka, kobieta upadła na kolana na podłogę i zaczęła tak silnie i w tak szybkim tempie trząść głową w górę i w dół, że miało się pewność, że stoją za tym jakieś nadprzyrodzone moce. Człowiek sam z siebie nie byłby w stanie tak wściekle i z taką siłą rzucać swoją głową, jakby zupełnie już nie należała do reszty jego ciała. Znowu głośno zabrzmiały rytualne bębny i śpiewy, starano się ułagodzić i uspokoić szalejącego demona.

W drugim końcu dziedzińca inna kobieta również nie panowała nad ciałem i jej głowa odskakiwała na wszystkie strony. Zgromadzone wokół niej kobiety zarzuciły na nią, zakrywając ją całą łącznie z włosami i twarzą, charakterystyczną dla Tauzar czarną abaję z niebieskim paskiem i teraz przypominająca ducha ciemna postać ciskała się w konwulsyjnych drgawkach. Po paru minutach spazmatycznego tańca kobieta nagle padła bez czucia na ziemię. Kobiety odsłoniły jej potwornie wykrzywioną twarz i próbowały ją ocucić, spryskując wodą. Jednak kobieta nadal leciała im przez ręce i wokół niej rozlegały się pełne trwogi okrzyki.

Mężczyźni też brali udział w rytualnych tańcach. Jeden z nich z obnażonym torsem, przykładając sobie od czasu do czasu złożone dłonie do serca, z zamkniętymi oczami i wyrazem duchowego uniesienia na twarzy kiwał się miarowo w rytm magicznych śpiewów, które naraz uległy gwałtownemu nasileniu. Kobiecie, która wcześniej upadła na kolana, teraz podstawiono miskę z wodą, w której ta impulsywnie zanurzała twarz i włosy. Rytuał banga stawał się coraz bardziej gorączkowy. Kilku młodych mężczyzn wyginało swe ciała w neurotycznych ruchach przy coraz głośniejszym waleniu bębnow. W niektórych momentach jeden z nich tracił przytomność i inni uczestnicy rytuału zajmowali się nim, próbując go wrócić do życia. Zdarzało się, że mężczyźni sztywniały wszystkie członki i pozostali nieśli go z całkowicie wyprostowanymi nogami i rękami. Wyglądało to upiornie.

Cały rytuał nabrał bardziej egzorcystycznego charakteru. Częste użycie

wody, zakrywanie czarną płachtą, głośne, miarowe dźwięki, to były praktyki mające na celu wypędzenie złych duchów. Niektórzy uczestnicy rytuału wpadali w trans, inni zaś im w tym asystowali i banga pełnił rolę swego rodzaju katharsis dla całej zgromadzonej w tym tajemnym akcie społeczności.

Rozzuchwalone demony szalały w mroku oazy, ujawniając się z niespotykaną mocą. Sara poczuła nagle straszliwe łupanie w głowie, nieprzyjemne mdłości i ostre bóle pleców. Opanował ją dziwny niepokój, trudny do odparcia, ogarniający ją całą w pełzających, demonicznych spazmach. Zauważyła, że jej lewa dłoń zaczęła lekko drętwieć, i pomyślała, że jeżeli zaraz nie opuści tego miejsca, to znajdzie się we władaniu złych duchów. Drżącymi rękami wyjęła pieniądze i wzrokiem starała się odszukać kobietę posiadającą klucz do drzwi. Kiedy jej się to udało, podeszła do niej, wsunęła jej gruby plik banknotów do ręki i wzrokiem pokazała wyjście. Kobieta przyjęła pieniądze, po czym podążyła w stronę drzwi, które następnie odryglowała i otworzyła kluczem. Sara wyszła na uliczkę i w pierwszym momencie wydawało jej się, że na jej końcu zobaczyła Aziza. Za chwilę już go nie było i Sara stwierdziła, że uległa jakiemuś złudnemu wrażeniu. Szybko pobiegła w stronę nikłego światelka, które widziała, zanim została wciągnięta na dziedziniec, a kiedy do niego dotarła, odetchnęła z ulgą, że nareszcie opuściła czternastowieczną medinę. Wsiadła do czekającej na podróży bryczki i kazała się zawieźć do hotelu.

Kiedy jechała, dostała od Aziza wiadomość, że on bardzo przeprasza, ale dzisiaj wieczorem nie może się z nią zobaczyć, bo zatrzymały go pilne sprawy. Spotkają się następnego dnia jak zwykle na śniadaniu. „Dobrze, do zobaczenia jutro” – odpisała Sara.

W hotelu w luksusowej łazience z wielką przyjemnością wzięła długą kąpiel. Szczególnie starannie umyła włosy, bo było w nich mnóstwo drobnych ziarenek piasku. Cieszyła się, że znowu jest w klimatyzowanym hotelu, napawała się dotykiem miękkich dywanów pod stopami i wielkim, wygodnym łóżem z czystą, pachnącą pościelą. Mocne przeżycia tego dnia długo nie pozwalały jej zasnąć, bo gdy tylko zamykała oczy, słyszała chrapliwe oddechy demonów, które zbliżały się do niej ze wszystkich stron, żeby nią zawładnąć. Wstawała więc szybko i zapalała wszystkie stylowe lampki hotelowe. Dopiero wtedy czuła się bezpiecznie.

Rano nie była za bardzo wyspana, ale zeszła na śniadanie, żeby zjeść je wspólnie z Azizem. W restauracji znalazła się nieco wcześniej, więc usiadła przy stoliku i czekała na ukochanego. W hotelu pojawiła się nowa grupa turystów, którzy z wypiekami na twarzy dzielili się swoimi wrażeniami z przejazdu przez Szatt al-Dżarid.

- Widzieliście te duże białe stożki soli uzyskanej z jeziora?
- I wrak autobusu na tym pustkowiu, który wziął się tam zupełnie nie wiadomo skąd?

– A ja słyszałem o karawanie złożonej z tysiąca wielbłądów, która zniknęła w czeluściach słonego jeziora.

Sara pomyślała, że poprzedniego dnia na starej medynie też mogła przepaść bez śladu jak ta karawana z tysiącem wielbłądów, i po jej krzyżu przebiegł zimny dreszcz. Od pewnych mrocznych sekretów oazy lepiej się trzymać z daleka.

Przyszedł Aziz i przywitał się z Sarą serdecznie. Kelner podał śniadanie i przez chwilę jedli w milczeniu.

– Saro, kochana – Aziz zaczął ciepło przy kawie. – Niedługo nasz ślub.

– Tak, kochany. – Twarz Sary rozpromieniła się szczęściem.

– Wiesz, jeśli chodzi o wesele, to nie wiem, jak ty chcesz...

– Aziz! – Sara szybko mu przerwała. – Ja nie chcę żadnego wesela.

Wesela są dla rodziny – myśli jak błyskawica przelatują przez głowę Sary. – A moja rodzina co? Nawet pewnie nie pamięta, że istnieję! Mama i ojciec świetnie się bawią na morzu, Nadir rozbija się w Londynie ze swoimi koleżkami, a Fatma jest całkowicie pogrążona we własnym świecie. To dla kogo to wesele?

– Na pewno, Saro? – zapytał Aziz. – Bo jeżeli tylko chcesz, to...

– Nie, nie! Żadnego wesela! – zapewniła Sara. – I nie rozmawiajmy już o tym!

– Jak uważasz... – Aziz nie nalegał.

– Tak uważam – z przekonaniem stwierdziła Sara.

– I jeszcze... – Aziz przerwał na chwilę.

– Co kochany?

– Chodzi o złoto i podarunki dla ciebie... Ja wiem, że według zwyczajów powinienem ci je ofiarować, ale teraz...

– Aziz! – Sarę ogarnęło oburzenie. – Mnie nie zależy na żadnym złocie! – Złota to Sara miała pod dostatkiem w trzech dużych szkatułkach w Kuwejcie, w których przechowywała prezenty od bardzo bogatej rodziny ojca. – Złoto nie daje szczęścia! – wygłosiła Sara, pamiętając o rodzinnym dramacie ostatnich miesięcy.

– Bo jeśli cokolwiek chcesz...

– Nic nie chcę! – stanowczo zadeklarowała Sara.

– To w takim razie...

– Co, kochany?

– Jutro pójdziemy wziąć ślub! – zdecydował Aziz.

– Dobrze, kochany, dobrze.

Sara mówiła „dobrze”, bo kochała. Tak mocno kochała. Nie chciała wesela ani podarunków. Chciała tylko wyjść za mąż za mężczyznę, którego ona wybrała, a nie ojciec. I nigdy, przenigdy nie chciałaby znaleźć się w sytuacji, w której pozostawała jej matka, kiedy ojciec przyprowadził do domu drugą żonę. A Tunezja była jedynym krajem arabskim, w którym prawo zabraniało wielożeństwa. Sara

mogła więc być pewna, że horror poligamii jej nie groził.

Następnego dnia Aziz przyjechał po Sarę, a potem razem pojechali do urzędu, aby tam, w obecności przypadkowych świadków, podpisać dokumenty. Później wrócili do hotelu.

Weszli do pokoju. Ona była oczekiwaniem i pragnieniem, i tęsknotą, i miłością, i oddaniem, i namiętnością. Wszystkim była, bo trzeba być wszystkim w tej chwili pierwszego złączenia dusz nierozłącznych. Dotyk rozpalał, dotyk koił, dotyk kusił. Dotyk dotykał to, co niedotykalne. A usta wiedziały, co robić bez słowa. A ręce szukały, ale nie chciały znaleźć, tylko zgubić. Siebie i jego w rozkoszy namiętnej, gorącej, szalonej, gwałtownej, tej pierwszej prawdziwej. A piersi nabrzmiałe, a sutki napięte w jego dłoni, bo ta dłoń od zawsze na nie czekała. A kobiecość dla niego wilgotna, gorąca, płynąca. Nektarem ekstazy z niebios wybranym, zesłanym.

Żar namiętności porwał ich w wir pocałunków, uścisków, pieścizot wyrafinowanych, wyznań miłosnych zakłęciami kochanków mówionych, oddechów falami pożądania przyspieszonych, szeptów rajszych uczuciami skrywanymi szemranych, ciał ogniem zmysłowości rozpalonych. Płomienna eksplozja falowała, wibrowała, porywała w przestworza rozkoszy nieziemskiej, niebiańskiej, niezwyklej. Ich jedynej.

I tej nocy już nie odszedł. I był przy niej i z nią, i w niej. W tej miłości absolutnej rozkwitłej. Tak nagle, tak mimo, tak po to. Żeby kochać i żeby żyć, i żeby kochać, i żeby żyć, żeby żyć...

Rano Sara obudziła się z poczuciem, że oto przeżyła najpiękniejszą noc w swoim życiu. Aziz spał, a ona delikatnie gładziła jego ciało, że oto jest, tu, tak blisko, tak dla niej. Powiodła ustami po jego ramieniu, pogładziła jego brzuch, musnęła jego męskość. Był. Naprawdę był.

Aziz obudził się, uśmiechnął. „Jesteś moim życiem” – powiedział. Kochany, odpowiedziała, najdroższa, powiedział, najdroższy, odpowiedziała. Zbliżyli swe usta do siebie i nie wychodzili z pokoju przez cały dzień.

Nazajutrz po śniadaniu Aziz stwierdził, że czas już jechać do domu. Sara pakowała walizkę i myślała, że jej nowa rezydencja jest ogromna, więc pewnie będzie musiała przyjąć służbę. Zdecydowała, że nie będzie zatrudniać za dużo służących, gdyż chciała mieć więcej prywatności.

Za hotel Sara zapłaciła swoją kartą, w końcu w większości mieszkała w nim jeszcze jako niemężatka. Aziz i Sara wsiedli do bryczki i odjechali spod hotelu. Szczęśliwa Sara zamknęła oczy i wtuliła się w ramiona swojego ukochanego.

Kiedy otworzyła oczy, bryczka stała przed starą medyną. Aziz wysiadł pierwszy, ściągnął jej walizkę, podał rękę, żeby zeszła z bryczki, po czym polecił jej zapłacić woźnicy. Zdezorientowana Sara w ogóle nie wiedziała, o co chodzi, ale zrobiła to, co jej kazał mąż. Aziz zaczął ciągnąć walizkę z napisem „Gucci” po

zakurzonych, wąskich uliczkach, a Sara szła za nim. Parę razy skręcili w labiryncie medyny, po czym Aziz zatrzymał się przed dużymi, zniszczonymi przez pustynne wiatry i piasek drzwiami.

– Saro, to jest twój nowy dom.

12 *Maktub* (arab.) – napisane, zapisane.

13 Salafizm (arab. *salafija*, od arab. *salaf* – przodkowie) – ruch religijny i polityczny, który postuluje odrodzenie islamu poprzez powrót do jego pierwotnych źródeł, tzn. religii przodków. Salafizm oparty jest na surowej wykładni pierwszych muzułmanów i prezentuje ultrakonserwatywny prąd myślowy. Dwudziestowieczny fundamentalizm islamski, który powstał w łonie islamu sunnickiego, wywodzi się z salafizmu.

14 Abu al-Kasim asz-Szabbi (1909–1934) – niezwykle utalentowany, piszący od najmłodszych lat poeta tunezyjski, którego utwory drukowane były w najbardziej prestiżowych periodykach Tunezji i Bliskiego Wschodu. W kręgu jego zainteresowań znajdowała się zarówno literatura arabska, jak i europejska, w tym również romantyczna. W swoich utworach opiewał piękno przyrody oraz dotykał tak ważnych tematów, jak miłość i patriotyzm. Wersy jego poezji rewolucyjnej były recytowane, cytowane oraz zamieszczane na plakatach i murach podczas Arabskiej Wiosny. Zmarł w młodym wieku na wrodzoną wadę serca.

15 Język hausa – jeden z najważniejszych języków Afryki używany w południowym Nigrze i północnej Nigerii, gdzie zamieszkują ludy Hausa. Ponadto w Afryce pełni rolę języka kontaktowego, który służy do komunikacji międzyetnicznej i jako język handlowy.

16 Egzorcyzm – praktyka rytualna i duchowa powszechna w wielu kulturach, mająca na celu wydalenie lub uwolnienie z ciała człowieka, przedmiotu lub miejsca złego ducha lub innych bytów niewidzialnych.

17 Adorcyzm – w socjologii religii Luc de Heusch ukuł termin „adorcyzm” na oznaczenie praktyk, które mają na celu udobruchanie złego ducha w opętanej osobie lub miejscu. W przeciwieństwie do egzorcyzmu w adorcyzmie relacja z bytami niewidzialnymi jest potencjalnie pozytywna. Rytuał adorcyzmu jest czasem praktykowany podczas inicjacji spirytualnego kultu.

Rozdział X

Samotna palma

WTauzar, kiedy kobieta przechodziła przez te drzwi ze swojego domu rodzinnego do domu męża, to następnym razem je przekraczała, gdy wynosili ją na cmentarz – w głowie Sary zabrzmiały słowa Aziza, które wypowiedział, kiedy oprowadzał ją i Ulę po medynie. A teraz ona stała przed takimi drzwiami. Umieszczone były nieco w głębi zbudowanego z beżowych cegieł muru i składały się z dwóch szerokich skrzydeł. Drewno było już porządnie wypaczone i górne części skrzydeł się nie stykały. Kolor naturalnego drewna był niejednakowy, od jasnożółtego, ciemnożółtego poprzez pomarańczowy do jasnobrązowego i ciemnobrązowego, i te wszystkie barwy miały różne odcienie, co świadczyło o sędziwym wieku drzwi i zniszczeniu ich przez słońce, wiatr, piasek i deszcz. Drzwi dekorowały rozmaite wzory ułożone z wbitych w nie czarnych ćwieków. Przez środek ciągnęły się oddalone od siebie trzy linie, nad nimi znajdował się wzór w kształcie podków, a na samej górze było coś w rodzaju rozety. Dół zdobiły połączone ze sobą w różnych konfiguracjach strzałki. We wzorach brakowało niektórych ćwieków, a dolne elementy były mocno przybrudzone i zakurzone.

Sara instynktownie się cofnęła i znowu poczuła w sobie przemożną chęć ucieczki. Aziz zauważył jej ruch i złapał ją silnie za nadgarstek.

– Saro, to jest twój nowy dom – powtórzył twardo.

Popchnął masywne drzwi i Sara przeszła przez próg. Była w swoim domu.

– Tu jest sypialnia. – Aziz otworzył drzwi po prawej stronie niedaleko wejścia.

Wciągnął walizkę Sary do niewielkiego pomieszczenia, gdzie znajdował się tylko położony na podłodze materac obleczony najtańszą chińską pościelą nie pierwszej nowości.

– To jest nasza sypialnia i twój pokój jednocześnie. – Aziz postawił walizkę Sary w rogu pokoju. – Resztę pomieszczeń będziemy dzielić z moją mamą. Chodź, oprowadzę cię po całym domu.

Do wszystkich izb wchodziło się z położonego na środku otwartego dziedzińca, co było charakterystyczne dla architektury starej medyny. W nowym domu Sary na środku wewnętrznego podwórka rosła duża, wiekowa palma. Miała dość szeroki pień i rozłożyste zielone liście wystające ponad dach domostwa.

– Tu jest łazienka, a tu toaleta. – Aziz otworzył drzwi do dwóch sąsiadujących ze sobą malutkich kwadratowych pomieszczeń. W jednym z nich znajdował się prysznic z niewielką umywalką, a w drugim tylko mały sedes.

– A tu jest kuchnia. – Aziz wprowadził Sarę do większego pomieszczenia, gdzie przy blacie, na którym mieściła się kuchenka gazowa, stała odwrócona tyłem kobieta. – Mamo, to jest moja żona, Sara.

Kobieta się obróciła, wycierając ręce w ściereczkę.

– Azizie, dlaczego nie powiedziałaś, że już przyszliście! Nie słyszałam! I to jest właśnie Sara! – Kobieta uważnie przyjrzała się dziewczynie. – Ładna, synu, bardzo ładna. *Mabruk!*¹⁸ – pogratulowała mu.

Mama Aziza była nieco niższa od Sary i tęższa. Miała pełną, porysowaną zmarszczkami, dobrotliwą twarz i niezwykle przenikliwe oczy. I w tych oczach, mimo że Tunezyjka się uśmiechała, Sara zobaczyła ukryty smutek. Trwały smutek wynikający nie z przemijającej sytuacji, która wkrótce może się zmienić, ale z głębokiego smartwienia i troski, o których wiadomo, że nie znikną ani szybko, ani łatwo.

– Dzień dobry – powiedziała Sara.

– Dzień dobry – odpowiedziała mama Aziza, ciągle mierząc Sarę spojrzeniem od stóp do głów. – Gotuję dla was kuskus¹⁹. Niedługo będzie gotowy.

– Dziękujemy, mamó. Chodź, Saro, pokażę ci resztę domu. – Aziz opuszczał już kuchnię.

Sara wyszła za nim i znowu znalazła się na patio. Teraz łazienka i toaleta znajdowały się po jej lewej stronie, a po prawej było następne pomieszczenie i przejście do drugiej części domu. Aziz wprowadził Sarę do dość dużego pokoju.

– Tu jemy – objaśnił.

W pokoju nie było żadnych mebli, tylko całą podłogę pokrywały różnokolorowe, tradycyjne dywaniki, a w rogu stał duży telewizor.

– Mama lubi oglądać telewizję. – Aziz wprowadzał żonę w tajniki codziennego życia rodzinnego.

Przy jednej ze ścian rzuconych było kilka poduszek, które wskazywały na to, że tam zazwyczaj siedzi mama Aziza.

– Mamy jeszcze jeden dziedziniec. – Mężczyzna powiedział to z taką dumą, jakby posiadanie dwóch podwórek było oznaką największego bogactwa.

Wycofał się z pokoju i przeszedł korytarzem na następny dziedziniec, większy od poprzedniego. Nie rosło na nim żadne drzewo, dlatego był rozpalony od słońca i wydawał się bardzo nieprzyjazny. Cztery otwory drzwiowe prowadziły z tego dziedzińca do następnych pokoi. Sara zdała sobie sprawę z tego, że tylko jej sypialnia, łazienka i toaleta posiadają normalne, zamykane drzwi, a do reszty pomieszczeń wchodzi się przez wykute w ścianie prostokątne przebicia.

– Tutaj śpi mama.

W następnej izbie, którą Aziz pokazał Sarze, na podłodze leżał przykryty kocami materac, a przy ścianie piętrzyły się kolorowe sukienki i ubrania, zapewne należące do jego mamy.

– Chodź, Saro, zobaczysz, że mamy jeszcze więcej pokoi. W domu jest dużo miejsca, będzie ci tu bardzo wygodnie.

Jak na standardy czternastowiecznej medyny, gdzie w domach mieszkały zazwyczaj duże, wielopokoleniowe rodziny, i zdarzało się, że mąż i żona wraz z dziećmi mieli do dyspozycji tylko jedno pomieszczenie, to dom Aziza pod względem wielkości rzeczywiście był bardzo komfortowy.

– Tu mama pracuje. – Następny pokój wypełniony był włóknami z palm, wplecionymi koszykami różnej wielkości i niektórymi jeszcze niedokończonymi. – Mama wyplata koszyki, ty też się nauczysz i będziesz jej pomagać.

Sara była tak zszokowana wszystkim, co się działo, że nie do końca przyjmowała fakt, że oto zapoznaje się ze swoim przyszłym, prawdziwym życiem. W jakimś osłupieniu, na wpół przytomnie, czuła się tak, jakby nadal zwiedzała Tunezję, zgłębiając jej historię, tradycję i folklor.

– Chodźmy dalej. – Aziz wziął Sarę za rękę i zaprowadził ją do następnej izby. – Tu są moje rzeczy. – na podłodze walały się porozrzucane w nieładzie spodnie, koszule, slipki, skarpetki, podkoszulki i buty. – Straszny bałagan! – Uśmiechnął się. – Ale teraz mam żonę, to o mnie zadba. – Czule pocałował Sarę w policzek. – Kiedy się już zdomowisz, to przejrzyj te ubrania, wypierz co trzeba i ułóż je porządnie.

W oczy Sary obok niechlujnie rozproszonych części garderoby rzuciło się kartonowe pudło stojące w rogu pokoju.

– Dobrze? – zapytał Aziz.

– Co? – nie zrozumiała Sara.

– Zajmiesz się moją odzieżą.

Sara przez chwilę nic nie mówiła.

– Zajmiesz się moją odzieżą – powtórzył dobitnie Aziz.

– Dobrze – automatycznie odpowiedziała Sara.

Aziz pociągnął ją do ostatniego pomieszczenia, które świeciło pustkami.

– Ten pokój kiedyś zajmował mój starszy brat ze swoją rodziną, ale parę lat temu wyprowadził się do innego miasta – wyjaśnił mężczyzna.

– Aziz, kuskus gotowy! – z daleka rozległ się głos mamy Aziza.

– Idziemy, mamo, idziemy – odkrzyknął mężczyzna.

Aziz z Sarą wrócili na pierwszy dziedziniec, gdzie Tunezyjka już się krzątała między kuchnią a pokojem z telewizorem.

– Zapraszam, zaraz wszystko podam – powiedziała z uśmiechem mama Aziza.

– Mogę gdzieś umyć ręce? – machinalnie zapytała Sara.

– Oczywiście! – Aziz wybuchnął śmiechem. – I nie pytaj, przecież to twój dom! Tam jest łazienka – przypomniał, wskazując odpowiednie drzwi.

Sara weszła do maleńkiego jak dla niej pomieszczenia i stanęła przy

popękanej umywalce. Wszystko wkoło było już mocno podniszczone i zaniedbane. Z zardzewiałego prysznicza kapiała woda, brodzik miał wiele żółtych smug, a stare kafelki były mocno zanieczyszczone i poobtlukiwane. Sara odkręciła wodę, ale coś było chyba nie tak z ciśnieniem, bo pojawiła się tylko wąska strużka letniej wody. Na tyle, na ile mogła, Sara opłukała ręce i chciała je wytrzeć, ale obok wisiał jedynie zużyty i bardzo brudny ręcznik. Sara go nawet nie dotknęła i z mokrymi dłońmi wyszła na zewnątrz.

– Chodź, Saro, chodź już do nas, bo zaraz wszystko wystygnie. – Mama Aziza serdecznym tonem zapraszała synową.

Sara przecięła podwórko i udała się do pokoju, o którym Aziz wcześniej powiedział, że jest ich jadalnią. Wprost na podłodze stała jedna duża miska z parującym kuskusem, a obok leżały trzy łyżki. Wokół potrawy ustawiono trzy szklanki z wodą i położono pociętą na parę kawałków bagietkę. Aziz z mamą już siedzieli na podłodze przy potrawie i czekali na Sarę.

– Siadaj, Saro – zachęciła synową mama Aziza. – Ciekawa jestem, jak ci będzie smakował mój kuskus.

Sara usiadła na podłodze, a Aziz podał jej łyżkę. Później wziął do ręki swoją i razem z mamą zaczął jeść potrawę z jednej miski. Sara siedziała nieruchomo ze swoją łyżką w ręce i nie bardzo wiedziała, co ma robić.

– Proszę, Saro, jedz. – Aziz nabierał na łyżkę już kolejną porcję jedzenia. – Moja mama robi najlepszy kuskus w całej medynie.

Kuskus podany był w kształcie stożka, na środku którego znajdował się gęsty sos z widocznymi pokrojonymi warzywami.

– Dzisiaj jest mięso – podkreśliła mama Aziza, dając tym samym do zrozumienia, że w tym domu mięso podaje się tylko z okazji wielkiego święta.

– *Bon appetit!* – Gestem Aziz ponownie zachęcił Sarę do jedzenia. Wpływy francuskie ujawniły się nie tylko w podanej do kuskusu bagietce.

Sara nabrała z góry trochę sosu, po czym zmieszała z kuskusem i spróbowała całość.

– I jak, dobry? – spytał Aziz.

– Bardzo dobry – szczerze odpowiedziała Sara. Trochę ostra potrawa rzeczywiście smakowała wyśmienicie.

– Mama cię wszystkiego nauczy. – Aziz z zadowoleniem spojrzał na swoją żonę. – Nawet gotować najlepszy kuskus w medynie.

– A ty umiesz gotować? – spytała mama Aziza.

Dla Sary pytanie to było bardzo dziwne. Nigdy wcześniej nie sądziła, że ktoś będzie od niej wymagał umiejętności gotowania.

– Mama cię pyta, czy umiesz gotować. – Aziz zwrócił się do Sary, która milczała dość długą chwilę.

Sara nie mogła sobie nawet przypomnieć, czy kiedykolwiek wchodziła do

kuchni w rodzinnej rezydencji w Kuwejcie, gdzie wszystkimi czynnościami związanymi z prowadzeniem domu zajmowała się służba.

– Nie... – wykrzusiła. – Nie...

– Nic nie szkodzi. – Mama Aziza starała się być miła dla synowej. – Fadwa, gdy do nas przyszła, też nic nie umiała.

– Kto to jest Fadwa? – Sarze przemknęło przez myśl, że może Aziz miał już wcześniej żonę.

– Żona Salaha, mojego drugiego syna – wyjaśniła Tunezyjka. – Kiedy Salah ją tu przyprowadził, to też nic nie umiała.

– Nie przesadzaj, mamó, coś tam umiała – wtrącił Aziz.

– Ale nie tak dobrze, jak powinna. – W głosie mamy Aziza pojawił się ton wiecznie niezadowolonej z synowej teściowej.

– Fadwa była pracowita, wszystko chwytiała w lot. – Aziz pochwalił bratową.

– Gdy ją przypilnowałam, to robiła dobrze, ale sama to nie bardzo. – Widać było, że mama Aziza nie przepadała za nią.

– Ale dużo ci pomagała. – Aziz wciąż bronił Fadwy.

– Tak, dodatkowe ręce do roboty zawsze się przydadzą – stwierdziła Tunezyjka. – Dobrze, że teraz ty tu jesteś, Saro, bo Aziz od dawna potrzebował kobiety. Ja już stara jestem, siły tyle nie mam. A ktoś musi codziennie ugotować, uprać, sprzątnąć, dziedzińce pozamiatać... Najgorsze te dziedzińce... – Mama Aziza westchnęła. – Parę razy trzeba je dokładnie zamieść, bo wiatr przywiewa piasek z pustyni i później wszystko do środka się nosi. A mnie już kręgosłup boli, nie mogę tyle razy zamiatać. Teraz ty to będziesz robić, Saro – stwierdziła, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

Sara poczuła mocny skurcz w żołądku. Odłożyła łyżkę, bo wiedziała, że nie będzie już w stanie przełknąć ani kęsa.

– Już skończyłaś? – zdziwił się Aziz. – Przecież prawie nic nie zjadłaś!

– W hotelu też mało jadłam, pamiętasz? – powiedziała Sara ze ściśniętym gardłem. Pięciogwiazdkowy, luksusowy hotel zdawał jej się teraz leżeć na zupełnie innej planecie.

– I jeszcze te koszyki – dodała mama Aziza. – Mnie już palce cierpną, wzrok mi się też od tej roboty popsuł. Saro, musisz się jak najszybciej nauczyć pleść koszyki – postanowiła zdecydowanym tonem.

Przez następne parę chwil Aziz z mamą jedli kuskus, a Sara siedziała bez słowa. Było już jej wyjątkowo niewygodnie na podłodze i nie wiedziała, jaką pozycję przyjąć, żeby poczuć się bardziej komfortowo.

– A ty, Saro, masz rodzeństwo? – spytała Tunezyjka.

– Tak – odpowiedziała Sara, chociaż nie miała ochoty opowiadać o swojej rodzinie.

– Siostrę, brata?

– Siostrę i brata.
– Starsi, młodszy? – Mama Aziza musiała wyciągać od Sary każdą informację.
– Brat starszy, a siostra młodsza.
– Aha... A jak mają na imię?
– Nadir i Fatma.
– Nadir i Fatma... – powtórzyła mama Aziza. – Ładnie... A ja mam tylko Salaha i Aziza...

– Nasz tata zmarł, gdy byliśmy mali – wyjaśnił Aziz. – I mama już nie wyszła drugi raz za męża. Chociaż miała różne propozycje...

– Wami się chciałam zająć – wytłumaczyła mama Aziza. – A nowy mężczyzna pewnie chciałby mieć swoje dzieci, a was by odstawił na bok. Nie chciałam, żeby tak było. A kiedy później dorośliście, to już było łatwiej... I wszystko byłoby dobrze, gdybyś nie...

– Przestań, mamo! – ostro przerwał Aziz.

Mama Aziza spojrzała na syna i Sara zauważyła wielki ból w jej oczach. Natomiast wzrok Aziza skierowany na matkę był twardy i Sara odniosła wrażenie, że nakazuje jej milczenie. Zapadła niezręczna cisza, po której pierwszy odezwał się Aziz.

– Idę przynieść ciastka dla Sary. – Przed opuszczeniem pokoju jeszcze raz ostro łypnął na matkę.

Nogi Sary zupełnie już zdrętwiały, więc dziewczyna po raz kolejny zmieniła ich ułożenie. Nie na wiele to się zdało i siedzenie na podłodze sprawiało jej coraz większą trudność. Aziz przyniósł ciastka w pudełku, papierowe serwetki i napoje gazowane w puszkach. W opakowaniu były tylko trzy ciastka i Aziz dał po jednym w serwetce mamie i Sarze, a ostatnie wziął dla siebie. Następnie otworzył puszki i postawił po jednej przed każdą z kobiet. Trzecią duszkiem wypił do końca.

Sara wzięła niewielki kawałek ciastka do ust. Mój weselny tort – nasunęło jej się mimowolnie. Odłożyła napoczęte ciastko na podłogę.

– Zjedz, Saro, do końca – powiedział Aziz. – Kupiłem specjalnie dla ciebie.

– Dziękuję, Azizie, ale nie mogę.

– Nie smakuje ci?

– Za słodkie jest.

– Za słodkie... – nie wiadomo czemu mama Aziza powtórzyła za Sarą, która nagle poczuła lekkie mdłości.

– Saro, dobrze się czujesz? – Aziz zapytał żonę, widząc skurcz, który przebiegł po jej twarzy.

– Tak, dobrze – odpowiedziała Sara.

– Jeżeli nie chcesz tego ciastka, to odnieś je do kuchni, może później przyjdzie ci na nie ochota. I pomóż mamie posprzątać i pozmywać po obiedzie – polecił Aziz.

– Daj, synku, dzisiaj Sarze odpocząć – wtrąciła się mama Aziza. – Dopiero ją przyprowadziłeś. Do roboty weźmie się od jutra.

– Dobrze, mamó – zgodził się Aziz. – Ale jutro zacznij ją wszystkiego uczyć. Musisz przecież mieć jakąś pomoc.

– Tak, synku, masz rację – zgodziła się kobieta i z wielkim wysiłkiem podniosła się z podłogi.

Sara też wstała i z trudem rozprostowała zeszywniałe nogi.

– Ja teraz wychodzę – powiedział Aziz.

– A kiedy wrócisz? – zapytała Sara.

– Wieczorem – odpowiedział Aziz. – do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Sara od razu udała się w stronę pokoju, który Aziz przeznaczył na ich sypialnię. Pchnęła stare drzwi i weszła do środka. W środku panował półmrok, bo tak jak i wszystkie inne pomieszczenia w domu, to też pozbawione było okien. Korzystając z paru promieni słonecznych, które wpadały przez uchylone drzwi, Sara znalazła kontakt i zapaliła światło. Natychmiast uderzyła ją brzydota pokoju, który od tej pory miał być jej. Od dawna niemalowane ściany straszyły burym kolorem i trudno nawet było stwierdzić, jaka była kiedyś ich oryginalna barwa. W wielu miejscach widać było pęknięcia i odlatywał tynk. Na kawałku wolnej od materaca podłogi wałały się śmieci i kurz. Może to tylko powiew wiatru dmuchnął paprochem, a może to był pełzający robak, w każdym razie coś się poruszyło w brudnym kącie. Wzdrygając się z obrzydzenia, Sara szybko zgasła światło i usiadła na materacu, obejmując rękami kolana. Nie miała odwagi położyć się na przesiąkniętej stęchłąną pościeli. Trwała bez ruchu w tej samej pozycji, aż wszystkie mięśnie zaczęły ją boleć. Nagle zapragnęła wrócić do hotelu, wziąć kąpiel w luksusowej łazience i położyć się w wygodnym, czystym łóżu pod baldachimem. Podniosła się szybko pod wpływem tej myśli, wyciągnęła swoją walizkę z pokoju i podeszła do ogromnych wejściowych drzwi. Próbowwała je otworzyć, ale zorientowała się, że są zamknięte na klucz. Zastanowiła się, gdzie w tych pozbawionych jakichkolwiek sprzętów pomieszczeniach może być schowany klucz. Przyszła jej na myśl kuchnia, bo tylko tam znajdował się blat, na którym można było cokolwiek położyć. Skierowała się w jej stronę, mając nadzieję, że nie spotka tam swojej teściowej. Na szczęście kuchnia była pusta i Sara mogła się po niej rozejrzeć. Przeszukała ją dokładnie, zaglądając nawet do niewielu metalowych i plastikowych naczyń, ale nie znalazła tego, czego szukała. Zajrzała więc do pokoju, w którym zjadła obiad, i omiotła wzrokiem jego nagie ściany i wyłożoną dywanikami podłogę, lecz zobaczyła tylko drzemiącą w rogu teściową. Zrezygnowana stwierdziła, że albo teściowa ma klucz przy sobie, albo Aziz zamknął drzwi od zewnątrz. Sara po cichu, aby nie obudzić teściowej, wycofała się na podwórko. Usiadła pod palmą i oparła się o jej wiekowy pień. Czy

ta jedna palma na zamkniętym dziedzińcu, którego nie mogę nawet opuścić, ma być całą moją oazą szczęścia i miłości? – gorzko zapytała samą siebie.

Znowu wpadła w rodzaj półsennego letargu, tak jak zdarzało jej się to wiele razy, zanim poznała Aziza. Wsłuchiwała się w szum tej samotnej palmy, pozwalając mu zabrać ją na chwilę w krainę falujących liści, mruczącego wiatru, wirującego powietrza. Mogła tak sobie być i nie być, jak ta odosobniona palma stojąca na dziedzińcu z dala od tysięcy innych palm rosnących za murami starej medyny. Nie chciała myśleć o tym co wcześniej, co teraz, co dalej.

Po dość długim czasie usłyszała poruszenie w pokoju i zorientowała się, że teściowa się obudziła. Sara wstała, wciągnęła swoją walizkę z podwórka do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Po ciemku, bo nie chciała patrzeć na obskurne wnętrze, otworzyła walizkę i po omacku wyciągnęła z niej parę swoich rzeczy. Wyjęła dużą chustę, dwa wełniane sweterki i długi, miękki szlafrok. I perfumy. Swoje warte kilkaset euro ekskluzywne perfumy. Natychmiast się nimi obficie spryskała, kierując również parę kropel na wyciągnięte z walizki ubrania, pościel i powietrze w pokoju. Ogarnął ją ich mocny zapach i od razu poczuła się trochę lepiej. Na materacu rozłożyła chustę, pod głowę położyła sweterki i przykryła się szlafrokiem. W intensywnym aromacie perfum na moment powróciła do swojego świata.

A w nocy przyszedł on. Wystarczyło, żeby wziął ją w ramiona, gorącymi ustami wodził po jej twarzy, dłonią spragnioną pieścił jej ciało, zakłęcia miłosne szeptał, żeby zapomniała o uciążliwościach i niewygodach. Oddawała mu płomienne pocałunki, wodziła rękoma po jego męskim torsie, przeżyła ciało w falach erotycznej przyjemności, które raz po raz przepływały przez nią całą pod wpływem jego wyrafinowanej gry miłosnej. Namietność ją porwała, namietność ją poniosła, namietność ją uwolniła. Z przyziemności, bezradności, żalości. Bo miała bogactwa i miała pieniądze, i miała złoto. Kiedyś tak było. Ale nie miała miłości. I była pustka, i była bierność, i ponurość świata całego. A teraz ta eksplozja, ten szal wulkaniczny żarem nieokiełznanej żądzy rozniecony. I nic już nieważne, nic się nie liczy, nic nie ma znaczenia. Aziz, kochany, najdroższy, jedyne, nie przestawaj, całuj mnie, kochaj, rozpalaj, porywaj w upojne przestworza rozkoszy. A tam i ja, i ty, i ta miłość szalona ogarniająca swą mocą planety pragnień w uniesieniu ekstazy wirujące. On mówił kocham, ona mówiła kocham, kocham, kocham, i ciągle za mało.

Nazajutrz Sara dała Azizowi swoją kartę bankową i poprosiła, żeby kupił nową pościel oraz parę ręczników i talerzy. Kiedy wyszedł, otworzyła szeroko drzwi sypialni i wyniosła na dziedziniec materac. Tam porządnie go uprała i wystawiła na działanie gorących promieni słonecznych. Później nalała do miski wody, nasypała dużo proszku i dokładnie wyszorowała podłogę w sypialni. Na szczęście nie zauważyła w niej robactwa. Uprała też pościel, zamiotła parę razy

oba dziedzince i zajęła się ubraniami męża. Teściowa patrzyła na nią z wielkim uznaniem, że ona taka pracowita. A ona nie pracowita, tylko zakochana.

* * *

Następne tygodnie upływały w rytmie tradycyjnego życia starej medyny. Sara z teściową zajmowały się domem, a Aziz prawie całe dni przebywał poza nim. Jedzenie było bardzo skromne, na śniadanie zazwyczaj jajka, niekiedy mały serek topiony, na obiad makaron lub kuskus z sosem, bywało, że nawet bez warzyw, bagietka do wszystkiego, a na kolację zdarzało się, że nie było co jeść, teściowa żuła wtedy zawsze dostępne w domu daktyle.

Sara bardzo oszczędzała swoje perfumy, używała tylko malutkiej kropelki na żarliwe noce z ukochanym. Co pewien czas Aziz brał Sarę na spacer do oazy, i znowu była ta cudna oaza i on, Sara przynosiła wtedy pachnący jaśmin do ich skromnej sypialni.

Pewnego razu Sara zaparzyła dwie słodkie herbaty z miętą i dołączyła do oglądającej telewizję teściowej. Tunezyjka z uśmiechem odebrała herbatę w niewielkiej, przezroczystej szklaneczce. Polubiła swoją nową synową od pierwszego dnia, bo miała nadzieję, że ta ładna, miła i zakochana do nieprzytomności dziewczyna wpłynie na jej syna, który... Ciężki, trudny do zniesienia ciężar znowu przytłoczył jej zbolące piersi.

– Zamiotłaś jeszcze raz ten drugi dziedziniec? – zapytała synową, kiedy ta usiadła.

– Tak, od rana dużo piasku nawiewa – odpowiedziała Sara.

– Właśnie chciałam ci powiedzieć, że dzisiaj takie mocne wiatry wieją z pustyni. – Teściowa pociągnęła łyk herbaty.

– Jeszcze raz zamiotę przed wieczorem – obiecała Sara.

– To bardzo dobrze. – Teściowa ponownie obdarzyła synową serdecznym uśmiechem.

Kobiety przez następne pół godziny śledziły akcję popularnego arabskiego serialu.

– Mówiłam ci, że on do niej wróci – skomentowała zaangażowana w akcję teściowa.

– Ale tamta cały czas próbowała go prowokować. – Sarę też wciągnęły toczące się na ekranie perypetie bohaterów. – I jeszcze jakich bezczelnych i perfidnych sztuczek używała.

– Ale on nie taki głupi, żeby dał się na nie złapać...

Odcinek serialu się skończył i Sara podniosła się, po czym zebrała puste szklaneczki.

– Zrobić jeszcze herbaty? – zapytała.

– Tak, poproszę.

Sara poszła do kuchni, a po paru minutach przyszła ze świeżym, gorącym naparem.

– Proszę. – Postawiła szklaneczkę przed teściową.

– Dziękuję. – Twarz kobiety się rozjaśniła. – Wyjątkowo dobrą herbatę parzysz, Saro, wszystkiego jest w sam raz, i mięty, i cukru, i jest odpowiednio mocna – pochwaliła synową.

– Bardzo dziękuję. – Sarze widoczna na każdym kroku życzliwość teściowej pomagała w przystosowaniu się do zupełnie nowych dla niej warunków życia.

– A wiesz, że Fadwa nawet herbaty porządnie nie umiała zaparzyć i kiedy mnie przy niej nie było w kuchni, to zawsze jej coś nie tak wychodziło...

Znowu dała się wyczuć wyraźna niechęć Tunezyjki do drugiej synowej. Sara nic nie odpowiedziała, ale cieszyła się w duchu, że zdobyła sympatię teściowej, bo w przeciwnym razie ich wspólne mieszkanie byłoby nie do zniesienia.

– Niedługo w naszej oazie jest wesele, zaprosili mnie razem z tobą – powiedziała teściowa.

– To miłe – stwierdziła Sara.

– Ale nie wiem, czy pójdziemy we wszystkie dni, ja już za stara jestem na takie długie codzienne uroczystości.

– We wszystkie dni?

– Tak, ceremonie trwają kilka dni i są bardzo huczne. – Teściowa powiedziała to z lekkim smutkiem. – Ja zawsze chciałam, żeby Aziz miał duże wesele, to jest święto całej oazy, ale tak to wszystko się ułożyło...

Sara zdała sobie sprawę z tego, że rezygnując z wesela, myślała tylko o sobie, a nie brała pod uwagę Aziza i jego rodziny.

– Bo Aziz... – zaczęła teściowa, ale po chwili przerwała, jak gdyby nie była pewna, czy może powiedzieć Sarze o niektórych sprawach.

– Co Aziz... – podchwyciła Sara, bo od pewnego czasu miała wrażenie, że jej mąż z matką coś przed nią ukrywają, coś, co ma bardzo duże znaczenie.

Teściowa ciężko westchnęła i uważnie spojrzała na dziewczynę.

– Oj, dziecko, dziecko... – Ciemna chmura zasnęła oblicze teściowej, która nadal wahała się, czy może być do końca szczerą. – Aziz to dobry chłopak, ale...

– Co ale... – Sara odniosła wrażenie, że prawda nie może przejść teściowej przez gardło.

– Ach, nieważne – rzuciła szybko kobieta, jakby się bała, że jeżeli pewne słowa padną, to uruchomią coś strasznego i nieodwracalnego. – Wszystko dobrze się układało, dopóki pracował w hotelu – stwierdziła z wyraźnym żalem.

– Aziz pracował w hotelu? – Sara wiedziała tylko tyle o pracy męża, że zajmuje się jakimś biznesem, jak on to określił. Powiedział, żeby nie dopytywała, o co chodzi, bo to nie są sprawy dla kobiet.

– Tak, przez parę lat był barmanem w hotelu... W tym samym, w którym się

poznaliście.

To teraz rozumiem, dlaczego byliśmy z Ulą tak wyjątkowo traktowane jako goście – pomyślała Sara. – Aziz pewnie świetnie znał całą obsługę, więc nietrudno było mu to zorganizować.

– Wszyscy go tam bardzo lubili – powiedziała teściowa, jakby na potwierdzenie domysłów Sary. – I nawet do tej pory tak jest... Bo oni nie wiedzą... – W głosie teściowej pojawił się lęk.

– Czego nie wiedzą? – Sara była coraz bardziej ciekawa ukrywanych przez teściową informacji dotyczących jej męża.

– Nie, Saro, nie teraz. – Wyglądało na to, że teściowej już przeszła krótka chwila słabości. – Nikt nie wie, oprócz mnie, i niech tak zostanie. Nawet właściciel hotelu niczego się nie domyśla. Kiedy ostatnio wyjechał, to zostawił mu pod opieką całą nową rezydencję jego syna, który wkrótce się żeni. Tak ufa Azizowi.

I właśnie do niej zabrał mnie Aziz, żeby mi się oświadczyć... – przypomniała sobie Sara.

– A wracając do tego wesela – teściowa zmieniła temat. – To pójdziemy raz czy dwa... na więcej nie mam siły. Bo całość ceremonii może trwać nawet do tygodnia.

– To pewnie w tym czasie organizuje się „noc henny”, tak jak we wszystkich krajach arabskich – domyśliła się Sara.

– Oczywiście – potwierdziła teściowa. – A u nas to niektórzy urządzą ją nawet dwa razy, żeby utrwalić wzory. I jeszcze niezwykle ważna jest wizyta panny młodej w tradycyjnej łaźni hamman, gdzie zażywa kąpieli i poddaje zabiegom całego ciała.

– Piękne zwyczaje.

– Tak, prawie cała oaza bierze w nich udział. Jeden dzień przeznaczony jest też na przyjęcie dla panny młodej, podczas którego krewne, przyjaciółki i sąsiadki wręczają jej prezenty.

– I co tu się podarowuje?

– Pieniądze, naczynia, czajniczki do parzenia herbaty, tace... I oczywiście jest dużo tańców i śpiewów... Cała oaza się raduje... Piękne zwyczaje, jak powiedziałaś. Ale z wami było inaczej... – W tonie teściowej pojawiły się nutki rozżalenia.

Jeśli jest prawdziwa miłość, to musi być inaczej – wyszeptało serce Sary.

– I czasami, jeżeli rodziny nowożeńców mają beduińskie korzenie, tak jak w przypadku tego wesela, na które nas zaproszono, to panna młoda przewożona jest ze swojego domu rodzinnego do domu pana młodego w przystrojonej, zamkniętej lektyce na wielbłądzie.

– Chętnie bym to zobaczyła – zainteresowała się Sara.

– Dobrze, pójdziemy tego dnia, kiedy to może się zdarzyć, ale czasami

praktykuje się inny obyczaj i to zależy od rodzin, który z nich wybiorą.

– Jaki inny obyczaj? – chciała wiedzieć Sara.

– Do wielbłąda, na którego grzbiecie też jest przytroczona ozdobna lektyka, przyczepiane są walizki z ubraniami, kosmetykami i rzeczami osobistymi panny młodej. To takie symboliczne przeniesienie do nowego domu.

– Ciekawa jestem, jak będzie tym razem.

– Pójdziemy, to sama się przekonasz – stwierdziła teściowa. – Pij herbatę, bo już prawie całkiem ostygła.

– Rzeczywiście. – Sara wzięła do ręki szklaneczkę.

* * *

Zgodnie z obietnicą teściowa zabrała Sarę na wesele w odpowiednim dniu ceremonii. Jak wszystkie arabskie wesela, w których Sara od małego uczestniczyła, i to było niezwykle huczne, głośnie i kolorowe. Kobiety, które większość swojego monotonnego życia spędzały w domach, chętnie korzystały z okazji, aby tańczyć, śmiać się i bawić do woli. Uroczystości były urządzone osobno dla kobiet i mężczyzn, więc kobiety mogły zupełnie swobodnie świętować w swoim własnym gronie. Kiedy Sara z teściową przybyły na miejsce, zabawa trwała już w najlepsze. Żona Aziza jako nowa w oazie od razu wzbudziła niemałą sensację, więc zaczęły się liczne i normalne w takich okolicznościach pytania.

– Jak masz na imię?

– Skąd jesteś?

– Masz rodzeństwo?

– Jesteś już w ciąży?

– Jak się poznałaś z Azizem?

– Podoba ci się w Tauzar?

– A siostra już mężatka?

– A brat co robi?

Sara musiała bez końca odpowiadać na te same pytania, które zadawały ciekawe jej rdzenne mieszkanki Tauzar. Przy tym grała tradycyjna, hałaśliwa beduińska muzyka i Sara prawie krzyczała, żeby być dobrze słyszaną. A na środku dziedzińca roześmiane kobiety tańczyły rytmicznie, trzymając ręce w górze i klaszcząc w rytm tradycyjnych bębenków oraz piszczałek. Młode dziewczyny szeroko się uśmiechały i z zapałem kręciły biodrami, żeby jak najlepiej zaprezentować swoje wdzięki matkom, babkom i swatkom. Na rękach i nogach obecnych widać było misterne wzory zrobione z henny. Kobiety bawiły się zapamiętałe, wykonując coraz bardziej odważne i wyuzdane ruchy. Nagle jedna z kobiet obnażyła się zupełnie od połowy w górę i śmiejąc się bałamutnie, trzęsła w rytm muzyki swoimi dużymi, pełnymi piersiami. Inne kobiety rozochoczone tym aktem wprawiały w lubieżne ruchy biodra i pośladki. Z minuty na minutę

atmosfera robiła się coraz bardziej erotyczna.

– A gdzie jest panna młoda? – Sara zapytała teściową, bo nie widziała głównej uczestniczki ceremonii.

– Siedzi zamknięta w pokoju.

– Co?!!! – zdziwiła się Sara.

– To taki nasz zwyczaj.

– Jaki zwyczaj?

– Panna młoda siedzi odizolowana w zamkniętym, ciemnym pokoju i tylko od czasu do czasu się pokazuje. Zaraz zobaczysz.

Na dziedzińcu kobiety nadal szalały, widać było kołyszące się w takt dźwięków muzyki odkryte piersi i podniecone, drgające pupy.

– Saro, ty też zatańcz. – Teściowa chciała się pochwalić przed obecnymi swoją nową synową.

– Nie, nie... – wzbraniała się Sara.

– Proszę cię, Saro, niech wszyscy zobaczą, jaką Aziz ma żonę – nalegała teściowa.

Sara nie miała za bardzo ochoty na publiczny występ, ale ponieważ teściowej bardzo na tym zależało, postanowiła spełnić jej prośbę. Chciała chociaż w ten sposób odwdzińczyć się jej za dobre przyjęcie i traktowanie. Wyszła na środek i dała wspaniały popis tańca brzucha. Zebrane kobiety patrzyły na nią z podziwem, a teściowa, pyszniąc się, wodziła dumnym wzrokiem po obecnych na uroczystości ślubnej gościach.

– Świetnie, Saro, świetnie tańczysz – z satysfakcją pochwaliła synową, kiedy ta z powrotem zjawiała się obok niej. – A Fadwa to nawet tańczyć nie umiała. – Teściowa znów wbiła szpilę nieobecnej żonie drugiego syna.

Nagle na dziedzińcu zapanowało poruszenie i pojawiła się na nim panna młoda. Była całkowicie zakryta tradycyjnym beduińskim kawałkiem materiału w kolorowe pasy. Jej głowę i twarz dodatkowo okrywały leżące się i błyszczące równie kolorowe welony. Rozległy się tradycyjne okrzyki *zagharid* i panna młoda postawiona została na podwyższeniu. Wokół niej zgromadziły się podekscytowane kobiety. Sara zauważyła na nogach panny młodej wyjątkowo wielkie i grube bransolety ze złota. Wydało jej się to bardzo dziwne w oazie, gdzie większość ludności była stosunkowo biedna.

– Jakie ogromne bransolety! – wyraziła swoje zdumienie. – Wyglądają na bardzo ciężkie. Razem chyba ważą z pół kilo albo i więcej!

– Te bransolety należą do rodu – wyjaśniła teściowa. – Zakładane są przez członkinie plemienia tylko wtedy, kiedy wychodzą za mąż.

– Rozumiem. – Sara wciąż wpatrywała się w masywną biżuterię.

Panna młoda nadal znajdowała się w centrum zainteresowania i w pewnym momencie najbliższej stojące koło niej kobiety, z głośnymi okrzykami *zagharid* na

ustach, zaczęły ją odsłaniać. Ukazała się w długiej, tradycyjnej arabskiej sukni ozdobionej cekinami i obwieszona złotymi łańcuchami z przyczepionymi do nich okazałymi przywieszkami i wisiorami. Sara zwróciła uwagę na powtarzający się element ręki Fatimy. To pewnie przeciwko złemu oku – pomyślała.

Po całkowitym ceremonialnym odsłonięciu panny młodej zaczęto odprawiać rytuały charakterystyczne dla oazy Tauzar. Jedna z kobiet dużym grzebieniem z pietyzmem czesała bardzo długie i gęste włosy oblubienicy. Inne kobiety ze srebrnych flakoników o wschodnich kształtach lały na środek jej głowy mocne, orientalne perfumy, po czym zbliżając usta, wykonywały taki gest, jakby je piły. Zarówno rytualne czesanie, jak i powtarzające się picie perfum trwało dość długo. Sara z takimi obrzędami spotkała się po raz pierwszy.

– Czemu służą te tradycje? – zapytała teściowej.

– Mają przynieść szczęście pannie młodej, ochronić ją przed złymi mocami, złym okiem...

Kiedy skończono odprawiać rytuały, panna młoda ponownie została cała zakryta i zaprowadzona do osobnego pokoju, a kobiety wróciły do szalonej, swawolnej zabawy.

Po pewnym czasie oblubienica znowu opuściła swoje ciemne pomieszczenie. Tym razem odsłoniła tylko twarz i dołączyła do gości, tańcząc razem z nimi. Kobiety płały wokół niej, głośno przy tym śpiewając i klaszcząc w dłonie. Jedna z nich trzymała w górze w jednej ręce bogato zdobione naczynie z kadzidłem, a drugą ręką kierowała lecący z niego dym w stronę panny młodej. Sara nie pytała już o cel tego rytuału, bo sama wiedziała, że jak wszystkie poprzednie ma służyć przyniesieniu pomyślności i obronie przed złem.

– Wielbłąd, wielbłąd! – Przejęte dzieci, które mogły bezkarnie biegać między odizolowaną strefą kobiet a światem zewnętrznym, przyniosły tę ważną informację.

– Wielbłąd już przybył? – upewniła się Sara, zwracając się w stronę teściowej.

– Tak. Jeśli chcesz, to możemy teraz wyjść i przy wielbłądzie poczekać na pannę młodą.

– Dobrze, chodźmy już – zgodziła się Sara.

Teściowa z Sarą, przeciskając się przez rozbawione kobiety, opuściły dziedziniec i znalazły się przed domem. Siedział już tam przystrojony dostojny wielbłąd z przymocowanym na grzbiecie okazałym palankinem.

– To się nazywa *dżahwa* – wyjaśniła teściowa.

– Co? – nie zrozumiała Sara.

– To, co wielbłąd ma na grzbiecie. – Teściowa wskazała na palankin.

– *Dżahwa* – powtórzyła Sara, chcąc zapamiętać nowe dla niej słowo.

– Tak, *dżahwa* – potwierdziła teściowa.

Sara patrzyła na wielobarwne tkaniny palankinu i ozdobiące go koraliki, girlandy kwiatów, błyszczące łańcuchy i umieszczoną centralnie na samej górze wielką srebrną rybę, która też zapewne miała przynosić szczęście i odpędzać zło. Głowę wielbłąda dodatkowo upiększały liczne kolorowe sznurki, pomponiki i pompony. Wokół zwierzęcia zgromadził się już tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy z niecierpliwością czekali na pannę młodą. Kiedy się pojawiła, przywitały ją głośne okrzyki *zagharid*. Panowała odświętna, a jednocześnie wyjątkowo żywiołowa atmosfera pełna muzyki, śpiewów i nawoływań. Zaaferowani bliscy pomagali pannie młodej wsiąść do środka palankinu. Odchylali boczne, przezroczyste tkaniny i podtrzymywali ją tak, aby bezpiecznie znalazła się w środku *dżahwy*. Kiedy to się stało, okrzyki *zagharid* się nasiliły, a kobiety podchodziły bliżej, aby uściskać jej dłoń. Niektóre z nich żartowały, dając jej porady dotyczące życia małżeńskiego. Było przy tym mnóstwo śmiechu. Następnie wśród gromkich pisków, chichotów i pokrzykiwań wielbłąd się podniósł. Panna młoda poleciała przy tym trochę do przodu, co wywołało następne salwy śmiechu. Barwny i hałaśliwy korowód ruszył przez oazę, jednocząc w tej ważnej ceremonii jej mieszkańców. Na początku pochodu szli muzycy, grając beduińską muzykę na tradycyjnych bębnach i piszczałkach. Za nimi, ale przed wielbłądem, entuzjastycznie tańczyły i śpiewały kobiety. Szczęśliwa panna młoda machała do zgromadzonych, uśmiechając się przy tym promiennie. Orszak ceremonialnie przemierzał się po ulicach Tauzar, obwieszczając ślub młodej pary, a tym samym połączenie ich rodzin.

Korowód dotarł przed dom pana młodego i zatrzymał się, a mężczyźni wykonali tradycyjny taniec ze strzelbami. Pokazali przy tym mnóstwo kunsztu, prezentując dużo figur z kucaniem, skakaniem i obracaniem się przy jednoczesnym efektownym wymachiwaniu strzelbami. Po skończonym tańcu rozległy się strzały ze skierowanych do góry strzelb.

– I jak ci się podobało? – spytała teściowa Sarę.

– Niezwykle, absolutnie niezwykle. – Sara była pod wielkim wrażeniem całej tradycyjnej ceremonii ślubnej.

* * *

Wkrótce po uroczystościach weselnych, w których brała udział Sara, wydarzyło się coś strasznego. Sara sprzątała pokój, w którym Aziz przechowywał swoje rzeczy, i przesuwając stojące tam pudło, aby umyć pod nim podłogę, przypadkowo je przewróciła. Z pudła wysypały się kartki, ulotki i inne materiały. Sara zaczęła je zbierać, kiedy nagle jej wzrok przypadkowo padł na jedną z odbitek. Dziewczyna z przerażenia zamarła. Były to materiały propagandowe organizacji Państwo Islamskie. „Czy wasze domy, biznesy i bogactwa są więcej warte niż Allah?” Tę formułkę, która ściągała dżihadystów na tereny tak zwanego

Państwa Islamskiego, Sara słyszała niejednokrotnie. Czyżby Aziz...

– Saro, skończyłaś już tam? – usłyszała wołanie teściowej. – Bo na ten dziedziniec tyle piasku znowu przywiało...

Dziewczyna nie była w stanie się ruszyć. Czuła się tak, jakby ktoś wbił jej ostry nóż z zimnej stali prosto w serce.

– Saro, jesteś tam? – Głos teściowej się zbliżał. – Bo trzeba od razu zamieść ten piasek, żeby się nie... – Teściowa weszła do pokoju, zobaczyła Sarę z kartką w ręce i już nie dokończyła. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Coś go opętało... – Jej głos się załamał. – od jakiegoś czasu tylko o tym myśli... Dżihad... walka z niewiernymi... – Po policzkach teściowej leciały duże łzy.

– A on nie boi się tu tego trzymać? – Sara wskazała na papiery. – Przecież jest policja, służby...

– Nikt go nie podejrzewa... Nawet ty sama, tyle tu mieszkasz, sprzątasz, a dopiero dzisiaj... Też nigdy nie zajrzałaś do tego pudła.

– Nie wiem, myślałam, że tam są jakieś osobiste rzeczy Aziza, nie chciałam zaglądać bez pytania...

– Sama widzisz, że to nie takie proste. – Teściowa nie mogła powstrzymać płaczu. – A ich uczą, jak się dobrze kamuflować. I ożenił się z cudzoziemką... – Teściowa zamilkła, bo to mogło sugerować, że Aziz wybrał Sarę z wyrachowania.

– I chociaż rzucił pracę, to nadal kręci się po tym hotelu... – ciągnęła po chwili teściowa.

Sara aż się wzdrygnęła, bo przypomniała sobie straszliwą śmierć turystów w kurorcie Susa.

– I ten właściciel tak mu ufa... – Twarz teściowej była pełna bóleści.

W tym momencie, wcześniej niż zwykle, pojawił się w domu Aziz.

– Dowiedziała się – z obawą powiedziała teściowa, bojąc się reakcji syna na tę wiadomość. Ku jej zdziwieniu Aziz nawet bardzo się tym nie przejął.

– Nic się nie stało i tak miałem sam jej o tym powiedzieć – oznajmił. – za parę dni wyjeżdżamy do Algierii, bojownicy są potrzebni wszędzie.

Sarę chwycił za gardło śmiertelny strach i zaczęła się momentalnie przeraźliwie trząść. Mogła znieść najgorszą biedę, ale nie krwawy terrorizm. Wyjedzie na rozległe tereny największej pustyni świata, Sahary, a kiedy już tam dotrze, to nikt jej nigdy nie odnajdzie.

18 *Mabruk* (arab.) – gratulacje!

19 Kuskus – produkt spożywczy, który łączy cechy kaszy i makaronu, ma postać okrągłych maleńkich ziarenek, które otrzymuje się z pszenicy twardej. Kuskus to też nazwa przyrządzanej z niego potrawy charakterystycznej dla kuchni północno-zachodniej Afryki.

Rozdział XI

Piaski Sahary

Musiała się nauczyć patrzeć tak, żeby nie widzieć. Musiała osiąść taką sztukę, żeby przesuwające się przed jej oczami obrazy nie docierały do mózgu, do serca, do duszy. Ich porażające okrucieństwo było tak wielkie, że jeżeli by na nie patrzyła i widziała, to ich zacięte bestialstwo mordowałoby bezlitośnie jej człowieczeństwo sekunda po sekundzie. Więc musiała patrzeć, ale nie widzieć. A to nie było łatwe. Ekran był duży, sala, w której przebywała wraz z innymi kobietami, niewielka, a czujne oczy fanatycznych strażniczek bezwzględne.

Starła się na wyświetlane po raz kolejny i kolejny szokujące sceny nakładając swoje projekcje, ale siła oryginalnych odśłon była tak wielka, że przebijały się ze swoim zwyrodnieniem bez względu na to, ile by kolorowych, idyllicznych scenek na nie nałożyła. I teraz znowu. Kolejny seans, który ma przygotować młode mężatki do wychowania przyszłych dżihadystów.

Mały, może trzyletni chłopiec w kompletnym stroju dżihadysty wbiega do pokoju, trzymając w podniesionej ręce wielki, lśniący złowrogo nóż. Zbliża się do miejsca, gdzie w tle wisi czarna flaga ISIS. Podbiega do siedzącego na podłodze dużego białego misia, chwyta go jedną dłonią, a drugą sprawnie przykłada nóż do jego gardła, które od razu zaczyna podrzynać. Dziecko, mocno stojąc na lekko rozchylonych nóżkach, z pochyloną głową pastwi się nad misiem i z determinacją, a jednocześnie ogromną precyzją, odcina mu powoli głowę. Zbliżenie. Malutka dłoń mocno zaciśnięta na głowie misia, nóż szarpiący jego szyję i uśmiechnięta buźka poniżej czerwonego noska zabawki, która miała utulać dzieci do snu. Chłopiec podnosi na chwilę głowę, z dumą w oczach i szerokim uśmiechem podnosi błyszczący nóż do góry, po czym wraca do swojej pełnej barbarzyństwa czynności. Szarpie brutalnie misia i kończy odrzynanie głowy. Za nim dwie flagi tak zwanego Państwa Islamskiego, jedna wisi szeroko rozpostarta na ścianie, a druga stoi o nią oparta.

Dwie strażniczki świdrującym wzrokiem uważnie obserwowały kilka siedzących na podłodze kobiet. Jedna z nich przenikliwie przyglądała się Sarze, tak jakby umiała czytać w jej myślach. Sara musiała bardzo uważać, żeby najmniejszym grymasem czy drgnieniem mięśnia nie pokazać, jak bardzo jest przeciwko temu wszystkiemu, co się wokół niej działo. Trudno jej było nie reagować z odrazą na filmy, które propagowały szkolenie maleńkich dzieci na terrorystów. Ale nie mogła się z tym zdradzić, co przychodziło jej z coraz większym wysiłkiem i przeraźliwym lękiem o swoje życie.

– Sara! – krzyknęła strażniczka, która od pewnego czasu nie spuszczała z niej oczu.

Na wysoki dźwięk swojego imienia dziewczyna aż skuliła się ze strachu. Wołała ją Amira, której bały się wszystkie kobiety. Amira szczyciła się tym, że spędziła parę miesięcy w samej Rakce, nieformalnej stolicy Państwa Islamskiego, gdzie zasilila szeregi specjalnego oddziału kobiecej policji, której zadaniem było kontrolowanie w terenie przestrzegania islamskich reguł.

– Sara! – powtórzyła dobitnie Amira.

– Słucham – odezwała się cicho Sara.

– A ty jako pierwsze dziecko wolałabyś mieć chłopca czy dziewczynkę? – spytała Amira.

– Dziewczynkę – odpowiedziała Sara, bo chłopiec od razu skojarzył jej się z podcinaniem gardeł niewiernym.

– I dobrze! – stwierdziła zadowolona Amira. – To teraz patrz dobrze, czego masz ją uczyć.

Sara zobaczyła dziewczynkę wyglądającą na sześć lat, która ubrana była w długą czarną abaję, na głowie miała czarny hidżab, a całą twarz zakrywał jej spływający aż na piersi czarny nikab. Dziecko w jednej ręce trzymało dużą lalkę bobasa, taką, na której małe dziewczynki uczą się, jak być dobrymi matkami, a w drugiej ręce uniesiony ostrzem do góry długi nóż.

– Przypatrz się teraz dokładnie, Sara, jak będziesz uczyć swoją córkę zabijając innowierców.

To był właśnie ten moment, kiedy Sara musiała patrzeć i nie widzieć. Wyobraziła sobie potężny, wszechwładny ocean, który pamiętała ze Sri Lanki, zalewający całe zło świata. Ale nawet to nie wystarczyło i za chwilę z fal wypłynęła ucięta przez małą dziewczynkę głowa lalki bobasa.

– Widziałyście! – zahuczała groźnym głosem Amira. – Macie dokładne instrukcje dla syna i córki. Powiedzcie mi teraz, co zauważyłyście ważnego na tych filmach?

Kobiety spojrzały po sobie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Skoncentrujcie się! – Twarz Amiry ściągnęła się w kwaśnym grymasie. – Co trzeba koniecznie zapamiętać? Kto zna odpowiedź? – Amira powiodła surowym wzrokiem po obecnych.

Kobiety spuściły wzrok, bo żadna nie chciała być wywołana do odpowiedzi.

– Sara! – ryknęła Amira. – Co ty sądzisz?

Dziewczyna w tym momencie najchętniej zniknęłaby z powierzchni ziemi.

– Sara! – Amira uparła się, żeby nie dawać Sarze spokoju. – na co zwróciłaś uwagę na tych filmach?

Na zwyrodnialstwo, na nikczemność, na odczłowieczenie – pomyślała Sara.

– Chociaż spróbuj odpowiedzieć, pomyśl trochę. – Amira nie odpuszczała. –

No... – Patrzyła wyczekująco na Sarę.

– Nie wiem – wykrztusiła w końcu dziewczyna.

Amira spojrzała na nią morderczym wzrokiem, z którego można było odczytać: „Ja się jeszcze z tobą policzę”.

– A wy? – ponownie zwróciła się do reszty dziewcząt.

Na sali panowało milczenie.

– Dobrze, podpowiem wam. – Amira westchnęła. – Chodzi o zabawki... Jakie one były?

– Miś i lala... – nieśmiało odpowiedziała siedząca z tyłu kobieta.

– Miś i lala! – Amira prychnęła z niezadowolenia. – To każdy widział. Ale co z nimi?

Teraz już nikt nie odważył się zabrać głosu.

– Duże były! – ryknęła Amira. – Zabawki były bardzo duże, to tak trudno spostrzec!?

Rzeczywiście Sara zwróciła uwagę na to, że chłopczyk szamotał się z misiem prawie jego wielkości, ale nie domyśliła się, że właśnie o to chodziło Amirze.

– Ciężko się z wami pracuje. – Strażniczka otarła pot z czoła. – To teraz mi powiedzcie, dlaczego te zabawki były duże?

– Może żeby oduczyć dzieci strachu... – podsunęła siedząca obok Sary kobieta.

– Nareszcie! – Amira spojrzała na nią z aprobatą. – Tak, dokładnie o to chodzi! Dzieci trzeba nauczyć, że nie mogą się bać i każdemu są w stanie podciąć gardło. – Strażniczka napiła się wody ze stojącej na małym stoliku szklanki. – Idziemy dalej!

Sara też była bardzo spragniona, ale nie miała możliwości, żeby się napić. Woda w głębi pustyni jako deficytowy towar była pod bardzo ścisłą kontrolą i skrupulatnie ją wydzielano. Tylko wieczorem dostawała od Aziza dodatkowo małą butelkę wody. W zasadzie więc Sarze prawie cały czas chciało się pić. Warunki, w których przyszło jej teraz żyć, były spartańskie, w niewielkim pokoiku na podłodze spało prawie dziesięć kobiet. Mężczyźni żyli w oddzielnym pomieszczeniu, a z żonami spotykali się na krótko po kolei w wydzielonej do tego celu izbie. Wszystkim obiecywano, że kiedy wyjadą już na tereny ISIS, to rodziny dostaną piękne, umeblowane mieszkania, pieniądze i wszystko, co jest potrzebne do wygodnego życia. Młode kobiety przez cały dzień, z przerwami na modlitwy, miały różnego rodzaju zajęcia, włączając czytanie Koranu i naukę jego recytacji. Mężczyźni podlegali intensywnemu bojowemu treningowi, w tym także często w nocy. Jedzenie dla wszystkich przygotowywały dwie starsze kobiety, a odzież mężczyzn zajmowały się ich żony.

Długie przebywanie w pomieszczeniu, w którym odbywało się nauczanie,

mocno dawało się Sarze we znaki. Trzeba było siedzieć na twardej i zimnej podłodze przez wiele godzin. Problemem było też korzystanie z jednej toalety, która cały czas była brudna i często się zapychała. Ze względu na oszczędność wody każdy mógł skorzystać z prysznicy tylko raz w tygodniu. Sara obawiała się, że się przez to rozchoruje. Tęskniła już nawet nie za rodzinną rezydencją w Kuwejcie, ale za swoim obszernym domem w Tauzar, w którym miała własną sypialnię, kuchnię, stały dostęp do czynnej toalety i prysznicy, a podłoga w pokoju telewizyjnym wyłożona była miękkimi dywanikami. I zawsze mogła odpocząć na dziedzińcu pod swoją prywatną palmą. Teraz jej dom w oazie wydawał się szczytem luksusu. Zadziwiające, jak wszystko może być aż tak bardzo względne.

Kiedy Aziz powiedział jej o wyjeździe do Algierii, stanowczo się temu sprzeciwiła i powiedziała, że nie ma nawet takiej możliwości, żeby do niego dołączyła.

– Jesteś moją żoną, musisz robić to, co ci każe – oznajmił twardo.

– Nie muszę! – prawie wykrzyczała.

– Musisz. A co, u was w Kuwejcie jest inaczej? – zapytał ironicznie.

Nie było. Pojechała z nim do Algierii.

– Przyjrzyjcie się teraz, jakie są znakomite rezultaty dobrego wychowania. – Amira włączyła następny film.

Ocean, wielki, falujący ogromny ocean – przywoływała Sara w myślach.

Trzyletni chłopiec idzie po opuszczonym placu zabaw dla dzieci pełnym zniszczonych, kolorowych piłeczek. W tle leci charakterystycznie zmontowana, bardzo mocna pod względem socjotechnicznym, recytacja Koranu. W rogu graficznie powiewa flaga ISIS. Chłopiec zbliża się do ogrodzenia, przy którym za nadgarstki, z wysoko rozkrzyżowanymi i uniesionymi do góry rękoma przywiązany jest więzień. Dziecko dostaje broń od stojącego obok dorosłego, który ją przy nim odbezpiecza. Chłopiec dwoma rączkami unosi broń do góry i celuje w głowę mężczyzny, marszcząc przy tym w skupieniu swoją dziecięcą twarzyczkę. Pociąga za cyngiel. Celny strzał.

– Świetnie! – pochwaliła dziecko Amira.

Następne obrazy pokazują rozerwane na drobne kawałki ciało siedmioletniej dziewczynki. Głowa jest w całości i dokładnie widać jej odgarnięte do tyłu włoski, mały nosek i pełne, pulchne policzki. Chociaż głowa jest oddzielona od korpusu, to ma się wrażenie, że dziecko zaraz otworzy swoje przymknięte lekko oczka i ufnie uśmiechnie się do ciebie. Ta dziewczynka, terrorystka samobójczyni, wysadziła się na posterunku policji w Damaszku, raniąc trzech ludzi i pozostawiając po sobie gruzy zniszczonego budynku. Dziecko weszło na posterunek, udając, że chce skorzystać z łazienki, po czym zdetonowało ładunek. Według świadków dziewczynka przed wysadzeniem się była spokojna.

– Szkoda, że byli tylko ranni, a nie zabici – podzieliła się swoją uwagą

Amira. – Ale teraz najważniejsze – podkreśliła strażniczka. – Uczcie się od ojca tej dziewczynki, jak z nią rozmawia, kiedy ją wysyła na dżihad. Jest z nim też jego druga córka, która również jest przygotowywana do wzięcia udziału w dżihadzie. Przyglądajcie się i słuchajcie dobrze. Szczególnie ty, Sara, bądź uważna, bo przecież chcesz mieć dziewczynkę, prawda?

Ocean nie zakrył oderwanej od korpusu głowy dziewczynki dżihadystki. Był za mały.

– Prawda? – po raz kolejny zapytała Amira.

– Prawda – powtórzyła Sara, bo chciała, żeby strażniczka przestała ją w końcu zauważać.

– Bierzcie przykład z tego ojca – jeszcze raz dobitnie zaznaczyła strażniczka.

Zaciemniony pokój, na ścianie rozwieszona duża flaga ISIS. Ojciec z długą brodą, na głowie czarne nakrycie, po obu jego stronach dwie małe córeczki całe zakryte na czarno, na głowach czarne hidżaby. Mężczyzna rozmawia z córkami, jedną z nich obejmując, a drugiej trzymając dłoń na czole. Słychać recytację Koranu, która tym razem jest spokojniejsza i wprowadza pełen spokoju nastrój.

– Co zamierzasz zrobić? – kochającym tonem ojciec pyta córkę.

– Przeprowadzić operację bombową – odpowiada dziewczynka, a ojciec gładzi z czułością jej ramię.

– Chcesz ich zabić, prawda? – pyta ojciec.

– *In sza Allah*, jak Bóg zechce – odpowiada dziewczynka.

Wtedy ojciec odwraca się do swojej drugiej córki.

– Nie będziesz się ich bać? – pyta ojciec.

– Nie, *in sza Allah* – odpowiada dziewczynka.

Ojciec nakazuje córkom, żeby razem z nim mówiły *Allahu Akbar*. Siostry posłusznie powtarzają jednym głosem *Allahu Akbar*.

– Widziałyście? – Strażniczka chciała się upewnić, czy przyszłe matki na pewno dobrze odebrały film. – Widziałyście, ile tam ojcowskiej miłości? I z jaką ufnością dziewczynki odnosiły się do ojca? Dobrze to sobie wszystko zapamiętajcie. – Amira na chwilę zawiesiła głos, aby podkreślić rangę swoich słów. – A teraz coś równie dla was ważnego – dodała po chwili. – Matka dziewczynek.

Następny film pokazywał całą zakrytą na czarno, łącznie z twarzą, kobietę.

– To nie szkodzi, że one są małe, bo teraz jest dżihad – mówi matka opanowanym tonem przy stojących po jej obu stronach córkach.

Dziewczynka, która za chwilę wyjdzie z domu, aby dokonać krwawego zamachu, gładzi położoną na jej ramieniu dłoń matki w czarnej rękawiczce. Ojca nie widać w kadrze, ale też jest obecny, bo słychać jego głos. To rodzinne pożegnanie wysyłanej na samobójczą śmierć dziewczynki. Obie siostry są poważne i w skupieniu słuchają słów rodziców. Rozlega się *Allahu Akbar* i siostry

spontanicznie przytulają się do siebie ostatni raz. Matka też mocno je tuli do siebie, po czym puszcza je, aby mogły wyjść z domu. Jedna z nich już nigdy do niego nie wróci.

– Wy też niedługo będziecie matkami – powiedziała Amira do młodych kobiet. – Obejrzyjcie to jeszcze raz, ta kobieta dała wam przykład, jaką matką należy być.

Amira puściła cały materiał od początku, a Sara w myślach wróciła na plażę nad oceanem na Cejlonie.

* * *

Perfekcyjna maszyna propagandowa tak zwanego Państwa Islamskiego posługiwała się głównie obrazami. Ostatnio zaczęła używać zdjęć słoiczków Nutella i małych, słodkich kociąt, aby ocieplić wizerunek ISIS i przyciągnąć do swoich szeregów jak najwięcej młodych dziewcząt z Europy.

Bardzo niepokojącym zjawiskiem jest wychowywanie dzieci od najwcześniejszego wieku na dżihadystów oddanych bezwarunkowo ISIS. Wcześniej dzieci tylko patrzyły na egzekucje przeprowadzane przez dorosłych, teraz same ich dokonują. Tak było w przypadku samobójczego ataku na kurdyjskie wesele w Turcji, kiedy terrorysta wysadził się w powietrze tuż obok grającego na żywo zespołu, przy którym tańczyło dużo kobiet i dzieci. Zginęły pięćdziesiąt cztery osoby. Według śledczych terrorystą samobójcą był chłopiec w wieku od dwunastu do czternastu lat.

Ekstremiści obiecują małym dzieciom, że po dokonaniu samobójczego zamachu pójdą do raju i tam będą się dobrze bawić oraz dostaną wszystko to, o czym kiedykolwiek marzyły. Nastolatkom, nawet bardzo młodym, opowiadają o siedemdziesięciu dwóch hurysach, które tam na nich czekają. Bo raj jest zagwarantowany dla tych, którzy zabiją i będą zabici dla Allaha. I nawet czternastolatki ulegają tej chorej propagandzie, deklarując, że nie chcą jednej żony na ziemi tylko siedemdziesiąt dwie piękne, wieczne dziewice w raju.

W Afganistanie ISIS założyło specjalną szkołę dla dżihadystów. Uczęszczają do niej zarówno mali chłopcy, jak i dziewczęta. Pod tablicą wywieszona jest flaga ISIS. Nauczyciele w tej szkole uczą dzieci, że obowiązkiem dżihadysty jest dążenie do tego, aby wszyscy uwierzyli w Allaha. Na lekcjach pokazuje się dzieciom kałasznikowy i przepytuje się ich z możliwości ich zastosowania. Dzieci odpowiadają, że należy ich używać w obronie wiary.

- A w czyje głowy będziemy nimi uderzać? – pyta nauczyciel.
- Niewiernych – odpowiada dziecko.
- A to jest granat. – Nauczyciel pokazuje dzieciom trzymany w dłoni pocisk.
- I co należy z nim zrobić? – pyta.
- Wyciągnąć zawleczkę – odpowiada dziecko.

- A później co należy zrobić? – dopytuje nauczyciel.
- Rzucić go – odpowiada dziecko.
- Dobrze – chwali dziecko nauczyciel.
- A co to jest? – pyta nauczyciel, trzymając w ręce pistolet.
- Pistolet – odpowiada dziecko.
- A gdzie został wyprodukowany? – pyta nauczyciel.
- W Chinach – odpowiada dziecko.
- A na ile jest on kul – pyta nauczyciel.
- Na sześć – odpowiada dziecko.

Nauczyciel daje dziecku do ręki pistolet.

– Jak się go trzyma, żeby strzelać? – pyta.

– O, tak. – Dziecko odpowiednio chwytą pistolet w dłonie.

– Wystrzel teraz z pozycji stojącej – poleca nauczyciel, odbezpieczając pistolet.

Dziecko przyjmuje odpowiednią pozycję i strzela na pusto.

– A teraz ty. – Nauczyciel podaje pistolet następnemu dziecku.

Dziecko przyjmuje odpowiednią pozycję i strzela na pusto.

– I ty. – Nauczyciel podaje pistolet kolejnemu dziecku.

Dziecko przyjmuje odpowiednią pozycję i strzela na pusto. I tak się szkoli małych dżihadystów.

W materiałach rozpowszechnianych przez ISIS można zobaczyć idące w karnym porządku małe dzieci, które bez szemrania wykonują każde polecenie dorosłych. To są już dzieci urodzone na terenie tak zwanego Państwa Islamskiego. Wpaja się im od małego, że muszą słuchać i być posłusznymi. Tak tworzy się nową, niezwykle zdyscyplinowaną i podporządkowaną armię kalifatu.

Dzieciom bardzo często puszcza się nagrania z ataków samobójczych, aby powstała w nich chęć dokonania takiego samego czynu. Do zamachów zachęcane są również, przez odpowiednio dobrane nauczycielki, małe dziewczynki, nawet zaledwie dziesięcioletnie. Jak wszystkich terrorystów samobójców, przekonuje się je o tym, że od razu pójdą do raju.

Wszystkim dzieciom wszczepiana jest zasada, że należy zabijać niewiernych.

– Dlaczego należy go zabić? – pyta nauczyciel.

– Bo jest *kafir*, niewierny – sam sobie odpowiada nauczyciel.

– Dlaczego należy go zabić? – pyta jeszcze raz nauczyciel.

– Bo jest *kafir*, niewierny – jeszcze raz sam sobie odpowiada, żeby reguła na dobre wbiła się w głowy dzieci.

Później ISIS z dumą propagowało materiały, na których widać, jak małe dzieci z zimną krwią przeprowadzają egzekucje jeńców.

* * *

– Sara! – Amira uwzięła się tego dnia na dziewczynę.

– Słucham. – Sara siedziała ze spuszczoną głową, bo bała się nawet spojrzeć na strażniczkę.

– To powiedz, jak wychowasz swoją córkę.

Na dobrego człowieka – pomyślała Sara, ale nic nie powiedziała.

– Sara! Ja cię obserwuję i widzę, że ty jesteś za mało uważna. – Strażniczka podeszła bliżej dziewczyny. – I w ogóle nie angażujesz się w zajęcia. – Strażniczka stanęła tak blisko Sary, że ta poczuła od niej fetor lejącego się z niej potu i usłyszała jej ciężki oddech. – A jakby tak pomyśleć o jakiejś karze dla ciebie – zasugerowała strażniczka i Sara jeszcze bardziej skurczyła się ze strachu.

Amira przeszła się po klasie, wodząc wzrokiem po twarzach złękniionych kobiet.

– Bo my w Rakce... – zaczęła i taki początek nie wróżył nic dobrego. Kiedy tylko strażniczka wspominała o swoim pobycie w sercu kalifatu, od razu stawała się bardziej brutalna. – W Rakce... – powtórzyła, napawając się samą nazwą stolicy – stosowałyśmy różne kary... Chłostę... – Jej oczy zaświeciły się, bo pewnie nieraz z satysfakcją biczowała kobiety, które nie dostosowywały się do obowiązujących na terenach ISIS reguł. – Ale chłosta to nic... Miałyśmy jeszcze coś innego... Był jeszcze biter. – Strażniczka zaczęła się diabolicznie śmiać. – Biter... – Jej śmiech się nasilił.

Kobiety milczały, a Sara marzyła tylko o tym, żeby ten dzień wreszcie się skończył. Nikt nie wiedział, co to jest biter, ale jeżeli Amira zaczęła o tym mówić, to na pewno sama to wyjaśni. Wcześniej niejednokrotnie już udowodniła, że nawet samo mówienie o stosowanych przez nią torturach sprawiało jej jakąś sadystyczną radość.

– Biter... Karaliśmy tym kobiety, które publicznie karmiły dzieci piersią. – Amira podzieliła się swoimi przeżyciami.

Wyznanie strażniczki tylko udowodniło, że członkowie tak zwanego Państwa Islamskiego nie znali żadnej litości. Ani dla wrogów, ani dla swoich.

– Nieraz kobiety łądowały w szpitalu po naszej interwencji... – Amira chlubiła się swoją aktywnością na terenie kalifatu. – Jak ścisnęłyśmy takiej jednej czy drugiej piersi...

Sara od razu poczuła ten ścisk w swoich piersiach i przeszył ją w nich przeraźliwy ból.

– Używałyśmy metalowego narzędzia zakończonego z obu stron ostrymi hakami, w które wkładałyśmy pierś kobiety i gdy je zacisnęłyśmy... – Amira zbliżyła się do Sary. – A ty, jakie masz piersi, Sara?

Już przeszyte cierpieniem, okrucieństwem i tymi hakami bitera – pomyślała Sara.

Strażniczka omiotła bezdusznym spojrzeniem sylwetkę Sary, która poczuła, jak ostre haki bitera wbijają się ze wszystkich stron w jej delikatne piersi, okaleczając je na zawsze.

– Ty, Sara, musisz się bardziej przykładać. – Z całej postawy strażniczki były bezwzględność i zwyrodnienie. – Bo kiedy wyjedziesz na tereny kalifatu, to nie zapamiętasz tych wszystkich reguł. I będziesz karana. – Amira uśmiechnęła się bestialsko. – I będziesz karana – powtórzyła, widząc narastający w oczach Sary strach.

Kiedy Amira nie mówiła, w sali panowała głucha cisza.

– Wy wszystkie też musicie dobrze zapamiętać, za co możecie być poddane karze biter – strażniczka zwróciła się do pozostałych kobiet. – Możecie to sobie nawet zanotować.

Amira odczekała chwilę, aż kobiety przygotowują zeszyty i długopisy, po czym kontynuowała swoją lekcję.

– Karze biter można być poddanym, jak już zaznaczyłam poprzednio, za publiczne karmienie piersią... – Amira dyktowała wolno, żeby kobiety zdążyły zapisać. – za niewłożenie czarnych skarpetek. – Strażniczka chwilę odczekała. – za noszenie wysokich obcasów. Za wkładanie butów, które nie są czarne. Za wkładanie abai, która nie jest czarna. Za odchylenie z twarzy zasłony. Za posiadanie portfela, który nie jest czarny.

Kobiety skwapliwie notowały i Sara robiła to samo, bo chciała, żeby strażniczka wreszcie się od niej odczepiła.

* * *

Biter był starym narzędziem męki, którego używano w średniowieczu, aby zostawiać głębokie ślady po trudnych do wyleczenia ranach. ISIS używa tego piętnastowiecznego narzędzia do torturowania kobiet, które nie dostosowywały się do panujących w kalifacie rygorystycznych praw islamu.

Żeńska policja, której celem jest pilnowanie przestrzegania moralności, skonstruowała też następne przerażające narzędzie tortur, którym są metalowe szczęki używane do gryzienia, jak to określano, dzieci i kobiet popełniających przestępstwa. Głośnym echem, kiedy informacja o niej wyciekła do wiadomości publicznej, odbiła się śmierć dziesięcioletniej irackiej dziewczynki z Mosulu, która na chwilę wyszła poza próg swojego domu podczas jego sprząwania. Dziewczynki i kobiety na terenach kontrolowanych przez ISIS nie mogą same opuszczać swoich domów. Stosujące straszliwe metody strażniczki moralności postanowiły ukarać dziecko poprzez „gryzienie” go metalowymi szczękami, których zęby dodatkowo zanurzyły w truciznie. Ostre kły narzędzia „gryzły” zwierzęco, rozrywając ciało na strzępy. Dziewczynka wykrwawiła się na śmierć, zanim jeszcze trucizna zaczęła swoje zabójcze działanie.

Inny głośny przypadek zakatowania na śmierć dotyczył kobiety, która na targu lekko podniosła zasłonę z twarzy, gdyż nie mogła dobrze zobaczyć wystawionych towarów. Jej przestępstwo od razu zauważyły członkinie żeńskiej policji moralności, które kazały jej usiąść i na miejscu wymierzyły publiczną karę w postaci trzydziestu mocnych batów. Nikt nie był w stanie pomóc nieszczęsnej kobiecie, gdyż świadkowie obawiali się, że jeżeli zareagują, to również zostaną poddani brutalnej karze. Kobieta zmarła wkrótce po powrocie do domu na skutek poniesionych śmiertelnych obrażeń.

Wachlarz tortur i sposobów egzekucji, w tym często zbiorowych, stosowanych przez tak zwane Państwo Islamskie, jest niezwykle szeroki. Często wykorzystuje się chłostę, której podlegać mogą nawet ośmioletnie dzieci. W więzieniach stosuje się elektrowstrząsy i metodę „skorpiona”. Polega ona na tym, że więźniom wiąże się z tyłu nadgarstki na wysokości ramion, następnie za pomocą długiego haka i wyciągarki wiesza ich głowę w dół i pozostawia w tej pozycji na długie godziny. Tortury te odznaczają się przeraźliwą bolesnością oraz wysokim poziomem destrukcyjnego stresu.

Egzekucje jeńców, więźniów, szpiegów, uciekinierów z terenów ISIS oraz wszystkich tych, którzy występują przeciwko prawom kalifatu, są często nagrywane, a następnie wykorzystywane w filmikach propagandowych. Przedstawiają klęczących, ubranych w jaskrawopomarańczowe kombinezony mężczyzn z pochylonymi głowami, których szyje skute są ciężkimi, metalowymi obrożami z przyczepionymi do nich grubymi łańcuchami łączącymi wszystkich skazanych. Następnie dokonuje się na nich masowej egzekucji strzałem w tył głowy. Inny film przedstawia czterech ubranych na pomarańczowo mężczyzn zamkniętych w dużej metalowej klatce jak dla zwierząt. Klatkę opuszcza się na masywnych łańcuchach powoli pod wodę, aby w niej skazani dokonali swojego żywota. Kiedy indziej winnych zamyka się w samochodzie, a następnie za pomocą wystrzelonego pocisku doprowadza do jego eksplozji. Zdarza się, że materiały wybuchowe przyczepiane są wprost do ciała człowieka. Jeżeli przywiązywano materiał do samej szyi, to następowało oderwanie głowy, jeżeli zaś do jego korpusu, to eksplodował cały.

Wyjątkowo barbarzyńskie jest obcinanie przez kata głowy skazanego dużym mieczem, które jak większość egzekucji ISIS odbywa się publicznie. Na pustym placu kilkudziesięciu zgromadzonych mężczyzn stoi wokół skazanego, którego pilnują uzbrojeni w karabiny bojownicy. Jeden z mężczyzn donośnym głosem recytuje wersy Koranu. W pewnej odległości od nieszczęśnika stoi wysoki, dużej postury kat z wielką brodą, który trzyma w ręce długi miecz. W sfilmowanej kaźni, kiedy bojownicy chcieli położyć skazanego na ziemię, aby kat mógł obciąć mu głowę, ten w impulsywnym silnym instynkcie zachowania życia opierał się tak mocno, że kilku mężczyzn miało duży problem z tym, żeby go powalić. Trzech

innych bojowników musiało dołączyć do szamoczących się mężczyzn, aby w końcu winny znalazł się na ziemi. Skazany nadal się bronił i wrywał. Kat chodził wkoło jak rozjuszone, dzikie zwierzę, czekając, aż głowa skazanego znajdzie się w odpowiedniej do jej odrąbania pozycji. Kilku mordercom udało się w końcu z dużym wysiłkiem do tego doprowadzić. Dwóch z nich usiadło na ofierze okrakiem, a inni przytrzymywali jej ręce i nogi. Następny z oprawców zajął się głową. Klęcząc od strony głowy, wziął ją w swoje dwie dłonie jak piłkę i kręcąc nią na wszystkie strony, starał się ją umieścić w jak najlepszym dla kata położeniu. Wkoło rozlegały się rozgrzewające do działania donośne okrzyki pozostałych dżihadystów. Kat zniżony nieco na rozkraczonych nogach, trzymając mocno w obu dłoniach błyszczący w słońcu, lekko zakrzywiony miecz, czekał na odpowiedni moment do jego bestialskiego użycia. Kiedy to się stało, najpierw dotknął zimnym ostrzem szyi skazańca, przymierzając się do jak najlepszego ciosu, po czym jednym zdecydowanym ruchem odrąbał jego głowę. Wkoło rozległy się gromkie okrzyki *Allahu akbar, Allahu akbar*. Odcięta od korpusu głowa leżała przechylona nieco na bok, a wkoło niej rozlewała się wielka kałuża jasnoczerwonej krwi.

Następnym sposobem zabijania ludzi jest palenie ich żywcem. Ręce i nogi skazanych przywiązuje się do drewnianej ramy, a następnie podpala ją, aby ofiary spłonęły żywcem. Bojownicy ISIS dokonują też egzekucji przez zrzucanie winnych z dużej wysokości, na przykład z wielopiętrowego budynku. Zwyrodniali dżihadyści bezustannie szukają nowych metod, aby mordować swoich wrogów, narażając ich przy tym na jak największe cierpienia. Do stosunkowo nowych metod należą egzekucje przez przejechanie czołgiem, zanurzenie w kwasie azotowym i gotowanie w kotle.

* * *

– Zapisaliście wszystko dokładnie?

Ostry głos strażniczki sprawił, że Sarę znowu przeszył zimny prąd strachu.

– Zaraz sprawdzę. Pokażcie mi swoje zeszyty – poleciła Amira.

Strażniczka chodziła po klasie i zaglądała w notatki kobiet. Przy Sarze zatrzymała się i dłużej popatrzyła w jej zapiski. Sara skrętnie wszystko zanotowała i strażniczka nie miała się do czego przyczepić, więc tym razem zostawiła ją w spokoju.

Ten dzień dłużył się Sarze niemiłosiernie i wydawało jej się, że już nigdy się nie skończy. Strażniczka przedstawiała nowe fakty z życia kalifatu i Sarze coraz trudniej było to wszystko znosić. Nie mogła pogodzić się z tym, że na terytoriach ISIS kobieta mogła iść do więzienia za to, że odmówiła poślubienia bojownika.

– Pamiętajcie też, że cudzołóstwo w islamie jest jednym z najcięższych grzechów – grzmiała strażniczka. – za dopuszczenie się seksu pozamałżeńskiego grożą najsrozsze kary. Zaraz pokażę wam, co się stało z kobietami, które nie

przestrzegały tego prawa.

Nie, nie, nie, tylko nie to! – wykrzyczało w przerażeniu wewnątrz Sary. – Już mam dosyć! Nie chcę tego słuchać! Nie chcę tego oglądać! Nie chcę nawet tego wiedzieć!

Strażniczka znowu przygotowywała się do pokazania filmów siejących strach i terror. Krwiożercze obrazy, na których ISIS zbudowało swoją barbarzyńską potęgę. Oceanów świata nie starczy.

– Tak skończyły kobiety, które popełniły grzech cudzołóstwa – oznajmiła Amira z dziką satysfakcją, puszczając pierwszy film.

Nieeeeeeee!!! – zawyła w bólu dusza Sary.

Ciągnięta przez dżihadystę na zawiązanym w pasie powrozie jak zwierzę na rzeź, ubrana na czarno kobieta cały czas powtarzała cichym, lęklwym głosem: „Wybaczcie mi, wybaczcie mi, wybaczcie mi...”. Mężczyźni, którzy mieli wykonać na niej straszny wyrok ukamienowania, pozostawali niewzruszeni. Doprowadzono kobietę do wykopanej na pustyni dziury.

– Wejź tam – rozkazał jej jeden z oprawców.

Kobieta wypełniła polecenie i weszła do dołu. Nad ziemią wystawała tylko górna część jej ciała.

– Przywiąż ją! Przywiąż ją! – zarządził jeden ze stojących obok bojowników.

Dżihadysta przywiązał ją do przygotowanego wcześniej kołka. Mężczyźni wzięli w ręce kamienie. Sara nie chciała tego oglądać. Strażniczka akurat znajdowała się z tyłu klasy, więc Sara zamknęła oczy. Słyszała tylko dzikie okrzyki, które mówiły, że dżihadyści nie przestaną rzucać ciężkimi, kanciastymi kamieniami w głowę i piersi kobiety, aż ta cała zakrwawiona, w przeraźliwych cierpieniach, padnie martwa.

– Widzicie! – triumfalnie obwieściła strażniczka, kiedy film się skończył. – To są prawa Boga. I to was czeka, jeżeli nie będziecie wierne swoim mężom.

Drugą kobietę straszna egzekucja spotkała w pobliżu ronda, w mieście pełnym ludzi. Ubranej na czarno kobiecie z zawiązanymi do tyłu rękoma kazano klęknąć, a dżihadysta z długą brodą, otoczony podobnymi sobie bojownikami dzierżącymi w dłoniach karabiny, przytaczał wersy Koranu, przypominając o obowiązujących na ziemi zesłanych przez Boga prawach. Najgorsze dla Sary zarówno na pierwszym, jak i na drugim filmie było to, że głosy mężczyzn były spokojne, co ewidentnie wskazywało na to, że wierzyli oni dogłębnie w swoją misję zaprowadzania prawa boskiego na ziemi. Kobieta zginęła wśród kilkudziesięciu przyglądających się temu bez żadnych emocji dżihadystów, zabita jednym strzałem w tył głowy.

Lepiej szybko zginąć, niż żyć w takim państwie – pomyślała Sara.

Po paru następnych godzinach wreszcie ten ciągnący się dla Sary w nieskończoność jak średniowieczne tortury dzień się skończył. Leżała teraz wraz

z innymi kobietami ściśnięta na swoim materacu w unoszącym się zaduchu brudnych ciał i licznych nieświeżych oddechów.

– Już się nie mogę doczekać, kiedy pojedziemy do kalifatu – zaczęła rozmowę jedna z kobiet.

Tej nocy mężczyźni brali udział w intensywnych szkoleniach, więc w pomieszczeniu znajdowały się wszystkie kobiety, co tylko zwiększało poczucie niesamowitej ciasnoty.

– Ja też – podjęła dialog inna, leżąca obok Sary.

– Pięknie będzie – ciągnęła uduchowionym tonem pierwsza z rozmówczyń.

– Dostaniemy duże, pięknie umeblowane mieszkania, pieniądze i wszystko, co nam będzie potrzebne.

– Tak, strażniczka mówiła, że jak urodzimy dzieci, to o nic nie będziemy się musiały martwić.

– Słyszałam. Dadzą nam pampersy, mleko, odżywkę i zabawki – potwierdziła kobieta.

Tak, lalki i misie, żeby wasze dzieci mogły podrzynać im gardła – pomyślała Sara.

– Dobrze, że jest takie państwo, w którym można żyć według prawdziwych zasad islamu. Jestem taka szczęśliwa, że już niedługo tam będę! – egzaltowanym głosem krzyknęła kobieta wprost do ucha Sary.

To utopijne wizje, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością – myślała Sara. – Słyszałam o tym wiele razy, kiedy moja siostra, Fatma, była zafascynowana ISIS. Wiara w doskonałe państwo, w którym wszyscy żyją dokładnie tak samo według tych samych perfekcyjnych zasad.

– Ja też tak się cieszę, że tam jadę! – do rozmowy włączyła się następna kobieta. – Mam koleżankę, która już mieszka w kalifacie. Ciągle przysyła mi zdjęcia swoje i swojej rodziny. Jest na nich taka szczęśliwa!

Jak można w ogóle w coś takiego wierzyć? – zastanawiała się Sara. – I w dodatku nie widzieć szerzącego się wokoło zła i terroru? Nawet Fatma, wcześniej zagorzała fanatyczka ISIS, zmieniła zdanie, kiedy tylko usłyszała o tym, co ci szaleńcy wyprawiają z małymi jazydkami, robiąc z nich swoje seksualne niewolnice.

Sara znowu przypomniawszy sobie straszliwe historie małych jazydek, które zostały porwane, a następnie bestialsko wykorzystane seksualnie przez dżihadystów. Na terenach, gdzie obowiązywała ścisła separacja świata mężczyzn i kobiet, bojownicy nagminnie podniecali się filmami pornograficznymi, a następnie traktowali młodzieńki, niewinne dziewczynki jak doświadczony prostytutki. Każdego ranka były one ustawiane nago w rzędzie na pokaz wojownikom, którzy je oglądali i obwąchiwali, po czym wybierali te, które im odpowiadały. Dochodziło do grupowych gwałtów, po których bardzo młode

dziewczynki zachodziły w ciążę. Pojawiały się informacje o ciążach kilkunastolatek, a nawet dziewięciolatek. Dżihadyści często stosowali techniki sadystyczne, torturując dziewczynki podczas aktów seksualnych. Sprawiało im to wyjątkową przyjemność. Jeżeli dziewczynki odmawiały zaspokajania ich dewiacyjnych zachcianek, w straszliwy sposób je karali. Wymierzali im karę chłosty lub oblewali uda wrzątkiem. Zdarzały się akty spalania lub potwornego, trwałego okaleczenia. I ktoś może naprawdę wierzyć, że to jest doskonałe państwo? – Sara bezustannie zadawała sobie to pytanie.

Sara przeżywała poważny konflikt wewnętrzny dotyczący jej uczuć do Aziza. Kochała go tak mocno, jak tylko kobieta może kochać mężczyznę, ale to, co robił i w co wierzył... Z rozmów kobiet i tego, czego uczyła ich Amira, zorientowała się, że przebywający w obozie planują wyjazd na tereny tak zwanego Państwa Islamskiego. Czy Aziz też o tym myślał? Dla niej to było zupełnie nie do przyjęcia. A jeżeli Aziz rzeczywiście myślał o wyjeździe do kalifatu, to czy miała jakąkolwiek szansę, żeby go odwieść od tego zamiaru? Czy był tak zaślepiiony ideologią dżihadu, że nic nie było w stanie go przekonać do zmiany poglądów? Ale przecież Fatma też przez wiele miesięcy mocno sympatyzowała z ekstremistami, a później jednak zmieniła zdanie. Czy tak się stanie w przypadku Aziza? Sara biła się z myślami przez całą noc.

Następnego dnia Sara jak na szpilkach od rana czekała tylko na to, żeby zobaczyć się z mężem. Godziny wlokły się jak żółw, bo Sara nie była zainteresowana ani ciągłym czytaniem Koranu, ani nauką jego recytacji, a akurat tego było w tym dniu najwięcej. W dodatku dosłownie kleiły jej się oczy, bo w nocy nie zasnęła nawet na chwilę. Obmyślała różne argumenty, które mogłyby zniechęcić jej męża do życia w tak zwanym Państwie Islamskim. Była tak zmęczona, że w ogóle nie mogła się skupić na tym, czego wymagała od niej strażniczka. A tego dnia Amira była akurat w wyjątkowo złym nastroju. Za najmniejszy błąd wrzeszczała na kobiety i ciągle powtarzała, że jak się nie poprawią, to będzie musiała im wymierzać kary tak, jak robiła to na terenach ISIS. Sara odniosła wrażenie, że opowiadania Amiry poprzedniego dnia o torturach, które stosowała w stosunku do łamiących prawa kalifatu kobiet, obudziły w niej sadystyczne chęci, aby powrócić do praktyk bestialskiego znęcania się nad ofiarami. Tak jakby jej czegoś brakowało, jeżeli tego nie robiła.

Jedna z kobiet znowu pomyliła się w recytacji Koranu. Tym razem Amira naprawdę się wściekła.

– Głupie takie jesteście! – darła się w niepohamowanej złości. – Nic do was nie dociera! Wczoraj nie potrafiliście odpowiedzieć na najprostsze pytanie! Później w kalifacie powiedzą, jakie nierozgarnięte kobiety do nich wysłałam! Tam wiedzą, co robią! Trzeba karać, karać i karać! To jest jedyny sposób, żeby sprowadzić was na prostą drogę!

Amira nagle wypadła z sali i wróciła po paru minutach z długim biczem w ręce.

– Widzicie, co ja mam! – Triumfalnie podniosła bicz do góry. – I doskonale wiem, jak go używać! Jeżeli któraś z was jeszcze raz się pomyli... – Oczy Amiry płonęły w okrutnym zapamiętaniu.

Na kobiety padł blady strach. Strażniczka chodziła z zaciętym wyrazem twarzy, mocno ściskając w dłoni giętki bicz. Stała przy kobiecie, która wcześniej pomyliła się w recytacji Koranu.

– Jeszcze raz wyrecytuj z pamięci tę samą surę! – poleciła jej, stojąc z biczem nad jej głową.

Wywołana milczała w przeraźliwym lęku.

– Słucham... – Amira podniosła bicz do góry.

Kobieta wyteżyła wszystkie siły, żeby jak najbardziej się skoncentrować, po czym z jej ust popłynęła bezbłędna recytacja Koranu.

– No, dobrze, masz szczęście... – mruknęła Amira, ale już rozglądała się za następną ofiarą. – Sara! – ryknęła. – Twoja kolej!

Sara nie mogła wykrztusić ani słowa. Wiedziała, że tego nie zrobi. Była na to za śpiąca, za zmęczona, za bardzo przestraszona.

– Sara! – Strażniczka już stała obok niej. – Czekam!

– W imię Allaha Miłosiernego Litościwego... – zaczęła Sara, ale głos uwiązł jej w gardle i nie była w stanie już nic więcej powiedzieć.

Strażniczka odczekała chwilę, po czym przeszła na środek klasy.

– Sara! Podejdź tutaj! – rozkazała zimnym tonem.

Sara wstała i wyszła na środek klasy.

– Uklęknij! – Sara uklękła.

– Podnieś do góry sukienkę tak, żeby było widać twoje plecy!

Sara klęczała nieruchomo.

– Podnieś sukienkę tak, żeby było widać twoje plecy! – powtórzyła strażniczka.

Sara klęczała nieruchomo.

– Mona! – Amira zwróciła się do jednej z kobiet. – Zrób to za nią!

Mona wstała i obnażyła plecy Sary.

– Trzydzieści batów! – krzyknęła strażniczka, po czym, zanim jeszcze przebrzmiało ostanie słowo, zaczęła z agresywną dzikością okładać Sarę.

– Aaaaaa! Aaaaaa! Aaaaa! – krzyczała Sara za każdym razem, kiedy bicz smagał jej plecy, bo ból był tak straszliwy, że myślała, iż rozerwie jej ciało na kawałki.

W klasie słychać było świst bicza i jęki Sary. Niektóre kobiety próbowały odwracać głowy, ale strażniczka na to nie pozwoliła.

– Patrzcie! – darła się z furją. – Patrzcie i dobrze zapamiętajcie! To czeka

niewiernych i tych, którzy nie kroczą drogą Allaha!

Po kilkunastu batach Sara padła zemdlona na ziemię, ale strażniczka nadal ją okładała z taką samą siłą, aż wymierzyła trzydzieści batów.

– Weźcie ją stąd! – rozkazała, kiedy skończyła, patrząc na Sarę jak na padlinę.

Kobiety wyniosły zakrwawioną Sarę, zanosły ją do ich wspólnego pokoju i położyły na jej materacu.

Sara ocknęła się dopiero następnego popołudnia. Przez kolejne dni kobiety pomagały leczyć jej krwawiące obrażenia. Rany jeszcze się jąrzyły, kiedy Aziz przekazał, że koniecznie chce się z nią widzieć. Kobiety pomogły jej się podnieść i Sara, cała obolała, poszła na spotkanie z mężem.

– Sara, kochana – Aziz zwrócił się do żony. – Teraz jesteś już gotowa, żeby być prawdziwą żoną i matką żyjącą według praw czystego islamu. Wszystko już zorganizowane. – Oczy Aziza promieniowały bezmiernym szczęściem. – Niedługo, kochana, będziemy już żyć w naszym idealnym kalifacie.

Rozdział XII

Żona dżihadysty

W telewizji pokazywano zdjęcia Tunezyjczyka, który był poszukiwany w związku z atakiem terrorystycznym w Berlinie. Kierowana przez niego wielka, czterdziestotonowa ciężarówka wjechała w tłum ludzi, którzy robili zakupy na bożonarodzeniowym jarmarku na Breitscheidplatz. Dwanaście osób straciło życie, a prawie sześćdziesiąt zostało rannych.

– Byłem tak samo zszokowany jak każdy Tunezyjczyk, kiedy się o tym dowiedziałem – ze łzami w oczach mówił brat terrorysty.

Z domu rodzinnego zamachowca dobiegały przeraźliwe lamenty jego matki.

– Widzisz, Saro, jaka to dla nas tragedia. – Teściowa też miała łzy w oczach.
– Nie mogę nawet sobie wyobrazić, co przeżywa teraz matka Anisa. – Kobieta otarła łzy z policzków.

Tunezyjczyk, Anis Amri, dokonał morderczego ataku na ludzi robiących świąteczne zakupy na Boże Narodzenie, tuż przed swoimi dwudziestymi czwartymi urodzinami. Przedtem złożył przysięgę na wierność Abu Bakrowi al-Baghdadiemu, samozwańczemu kalifowi tak zwanego Państwa Islamskiego. Przysiągł całkowite mu poddanie i posłuszeństwo we wszystkim, co kalif mu rozkaże. Przysiągł pracę na rzecz zwycięstwa islamu i pełne oddanie Państwu Islamskiemu. Przysiągł też aktywne i ofiarne uczestnictwo w dżihadzie przeciwko wrogom Allaha, do męczeńskiej śmierci włącznie.

Związana z dżihadystami agencja opublikowała nagranie, na którym Anis składa powyższą przysięgę. Na filmie Anis nawołuje również zwolenników ISIS do ataków na „krzyżowców”, czyli świat zachodni.

– Moje przesłanie do krzyżowców bombardujących codziennie muzułmanów jest takie: ich (muzułmanów) krew nie będzie przelana na darmo, (...) pomścimy ich. Wzywam wszystkich muzułmańskich braci wszędzie, a ci, co są w Europie, niech zabijają świnie krzyżowców, każdy na miarę swoich możliwości – mówił na nagraniu Anis.

Anis wychował się w skromnym domu w położonym niedaleko Kairuanu słabo rozwiniętym mieście Oueslatia, które uważano za twierdzę salafitów. Był najmłodszym z dziewięciorga rodzeństwa, a jego rodzina była bardzo biedna. Ojciec dowoził do sklepów warzywa prymitywnym wózkiem zaprzęgniętym w osiołka.

Teraz krewni Anisa zebrali się w skromnym rodzinnym domu, który po ataku w Berlinie nawiedziły tunezyjska policja i liczne media. Panowała w nim

atmosfera żałoby. Twarze matki, ojca, sióstr i braci ściągnięte były w potwornie bolesnej mieszance niedowierzania i smutku, że ich bliski podejrzewany jest o popełnienie tak strasznego czynu.

– Ja wierzę, że mój brat jest niewinny – powiedziała łamiącym się głosem Sajida, siostra Anisa. – Najlepiej będzie, jeśli odda się w ręce policji i udowodni, że szukają niewłaściwego człowieka.

Sajida zamilkła na chwilę, ocierając lejące ciurkiem łzy.

– Ale jeżeli to, co słyszymy, okaże się prawdą... – głos Sajidy zadrżał – to Anis przyniósł hańbę zarówno naszej rodzinie, jak i całemu swojemu krajowi.

Siedząca obok Sary na dywanikach teściowa przeżywała telewizyjne relacje dotyczące zamachu w Berlinie tak, jak gdyby dotyczyło to jej osobiście. Nie mogła powstrzymać cisnących się do oczu łez, gdy tylko pojawiały się na ekranie zbolące twarze członków rodziny Anisa.

– Saro, ja tak bardzo boję się o Aziza – powiedziała z przejęciem. – Nigdy, przenigdy nie chciałabym znaleźć się w takiej sytuacji, w jakiej teraz jest matka Anisa.

Sara bardzo dobrze rozumiała teściową. Ona też doświadczała potwornej męki. Od powrotu z Algierii była jednym wielkim cierpieniem. Kochała swojego mężczyznę tak mocno, całą sobą. Ale im większa była jej miłość, tym większą udrękę przeżywała. Wiedziała, że Aziz uległ indoktrynacji ekstremistycznych salafitów, którzy przekonali wielu muzułmanów i neofitów o swojej wyłączności na dogłębną i prawdziwą wiedzę na temat islamu. Na taką manipulację szczególnie podatni byli biedni, niewykształceni mężczyźni, których życie pozbawione było celu i większych perspektyw na przyszłość. Nagle otwierał się przed nimi nowy świat wyższych wartości, misji i poczucia spełnienia w codziennej walce dżihadysty. I nawet jeżeli ta walka miała się zakończyć samobójczą śmiercią, to tylko zwiększało ich pewność, że wybrali najlepszą z możliwych dróg. Bo męczennik idzie do raju, gdzie będzie żył w wiecznej szczęśliwości i dostanie wszystko, o czym tylko zamarzy. I będzie miał dla siebie piękne, czarnoookie, wieczne dziewice, siedemdziesiąt dwie hurysy. Mężczyźni w to wierzyli i byli gotowi oddać dla tej nadziei swoje życie.

– Rozmawiałaś z Azizem? – Tunezyjka zapytała synową. – Próbowiałaś jakoś do niego dotrzeć?

– Niejednokrotnie. – Serce Sary ścisnęło się z żalu, kiedy tylko o tym myślała.

– I co? – Teściowa pokładała w swojej pięknej synowej nadzieje, że ta zdoła uratować jej syna przed wpływem ekstremistów.

– Nic... – ze smutkiem stwierdziła Sara.

Już w Algierii, kiedy Aziz powiedział jej o planach wyjazdu na tereny Państwa Islamskiego, od razu próbowała go przekonać, że to jest bardzo zły

pomysł.

– Tam się dzieją straszne rzeczy. Zobacz, co mi zrobiła Amira. – Sara z rozżaleniem pokazała mężowi plecy całe w ranach, które ze względu na brak odpowiednich lekarstw, bardzo trudno się goiły.

– Amira była w Rakce – powiedział Aziz z nutką podziwu. – I na pewno wie, co robi.

– Azizie! – Sara nie mogła uwierzyć, że poranione plecy nie zrobiły na mężu żadnego wrażenia.

– Muszę już iść, bo zaraz wyruszamy na trening w głąb pustyni. – Aziz wziął żonę za rękę. – Saro, ja cię bardzo kocham i chcę, żebyś była bardzo szczęśliwa. I dlatego pojedziesz ze mną do kalifatu, bo to jest najlepsze miejsce na ziemi. – Aziz uściśnął mocno dłoń Sary i odszedł.

– On już nawet nie chce ze mną rozmawiać – teściowa ze smutkiem poskarżyła się synowej. – Kiedy tylko zaczynam ten temat, od razu go ucina, mówiąc: „Mamo, ty nic nie wiesz”.

– Ze mną trochę rozmawia, ale tak mocno wierzy w ideę kalifatu, że zupełnie do niego nie dociera to, co mówię.

– Mimo wszystko ja ciągle mam nadzieję, że jednak kiedyś przejrzy na oczy. – Teściowa patrzyła w ekran, na którym widać było sześćdziesięcioletnią matkę podejrzanego o atak terrorystyczny Tunezyjczyka. Siedziała lekko pochylona w gustownie owiniętej wokół głowy ceglastej chuście i w dużych okularach z czarnymi oprawkami na nosie ze wzrokiem spuszczonego w dół. Jej ściśnięte usta i stężała w kamiennej zadumie twarz wyraźnie wskazywały, że nie tylko zraniła ją tragedia, która rozegrała się w Berlinie, i o sprawstwo której podejrzewają jej syna, ale też dręczy ją wiele trudnych i gorzkich pytań.

O czym ta biedna kobieta teraz myśli? – zastanawiała się Sara. – Pewnie najważniejsze pytanie, które w kółko i w kółko pojawiało się w jej głowie, brzmiało: Czy on to zrobił? Czy mój syn jest mordercą? Jak ogromne cierpienie pali serce matki, która musi stanąć przed tym pytaniem? – Sara spojrzała na posępną teściową, która obawiała się tylko potencjalnych akcji swojego syna, i to jej wystarczyło za odpowiedź, że jest to jedno z największych nieszczęść, jakiego może doświadczyć matka.

Siostry Anisa również miały opuszczone głowy, jakby ta hańba, o której wcześniej wspomniała jedna z nich, już je dotknęła. Anis rozmawiał z nimi zaledwie dzień wcześniej przed tym, gdy porwał ciężarówkę i z premedytacją wjechał w tłum ludzi z zamiarem zabicia jak największej ich liczby. Gdyby nie automatyczne hamulce ciężarówki, które uruchomił system alarmowy informujący o przeszkodzie na drodze, ofiar byłoby znacznie więcej. I tego właśnie pragnął Anis.

Przed domem zamachowca zgromadzili się międzynarodowi reporterzy.

Starali się jak najwięcej dowiedzieć o nim od rodziny i sąsiadów, bo próbowali dociec przyczyn złożenia przez Anisa przysięgi samozwańczemu kalifowi i wejścia na drogę dżihadu. Pytali o jego dzieciństwo, zamiłowania i rysy charakteru.

Tunezyjskie media nadawały obszernie materiały o Anisie i jego środowisku, jednocześnie zwracając uwagę na palący problem radykalizacji młodych ludzi po rewolucji jaśminowej. Tunezyjczycy zajmowali zdecydowanie pierwsze miejsce w liczbie cudzoziemców walczących na terenach kontrolowanych przez ISIS i szacowano, że jest ich około siedmiu tysięcy. To dużo, biorąc pod uwagę, że dżihadystów z Arabii Saudyjskiej, którzy zajmowali drugie miejsce, było dwa i pół tysiąca. Abu Bakr al-Baghdadi, który wzywał wszystkich muzułmanów do włączenia się w budowę ogarniającego coraz większe przestrzenie kalifatu, skierował też swoje słowa specjalnie do Tunezyjczyków, nazywając ich kraj miejscem, gdzie „wydano wojnę czystości i hidżabowi, i gdzie praktykuje się niewierność, prostytutkę i cudzołóstwo”. Dla gorliwych muzułmanów taki obraz jednego z najbardziej zeuropeizowanych krajów arabskich mógł wydać się prawdziwy.

Analizując zjawisko dżihadu, media wspominały również o dżihadzie *al-nikah*, który można rozumieć jako dżihadzkie małżeństwo lub świętą wojnę toczoną przez usługi seksualne. O seksualnym dżihadzie kilka lat wcześniej powiedział publicznie minister spraw wewnętrznych Tunezji, informując, że młode Tunezyjki wyjeżdżają do Syrii, aby świadczyć usługi seksualne islamskim rebeliantom. W przemówieniu wygłoszonym w parlamencie stwierdził, że kobiety uprawiają seks z dwudziestoma, trzydziestoma, a nawet z setką rebeliantów, a następnie wracają do kraju w ciąży. Minister oznajmił, że władze kraju nie popierają tego rodzaju praktyk i starają się z nimi walczyć, czego dowodem było odmówienie prawie sześciu tysiącom Tunezyjek wyjazdu do Syrii.

Liczba kobiet i dziewcząt, które wyraziły gotowość do wzięcia udziału w seksualnym dżihadzie, świadczyła o dużej sile oddziaływania ideologii salafickiej wśród niektórych kręgów tunezyjskich. Powiązany z salafitami saudyjski duchowny szejk Muhammad al-Arifi wydał fatwę, która wzywała kobiety do wyjazdu do Syrii i dawania seksualnej satysfakcji bojownikom walczącym przeciwko armii Baszszara al-Asada, aby w ten sposób wesprzeć ich w prowadzonej przez nich wojnie. Zaspokojeni bojownicy mogli bardziej skoncentrować się na walce, której celem było zwycięstwo islamu w Syrii. Setki młodych Tunezyjek, w tym również nieletnich, poczuły się w obowiązku odpowiedzieć na ten religijny dekret i zaczęły wyjeżdżać do Syrii, często w tajemnicy przed swoimi rodzinami, które zgłaszały władzom ich zaginięcie. W ten sposób sprawa ta ujrzała światło dzienne.

Fatwa saudyjskiego duchownego wywołała duże kontrowersje w świecie muzułmańskim, w którym obowiązują czystość przedmałżeńska i surowe kary za

cudzołóstwo. Niektórzy uważali, że nie ma ona nic wspólnego z islamem i jest zwykłym nawoływaniem do dobrowolnej prostytucji. Tak zwane małżeństwa zawierane były tylko na kilka godzin, więc kobieta mogła mieć wręcz nieograniczoną liczbę partnerów. Szesnastolatki lub siedemnastolatki często w krótkim czasie zaspokajały kilkudziesięciu dorosłych mężczyzn.

Zwolennicy dżihadu seksualnego sankcjonowali go ogólną regułą prawa muzułmańskiego, która mówiła, że „konieczność sprawia, że to, co zabronione, jest dopuszczalne”. Jeżeli istniała obawa, że pozbawieni seksualnej przyjemności bojownicy stracą morale i opuszczą pole bitwy, to należało im tej satysfakcji dostarczyć. Na tej samej regule oparła się jeszcze jedna szokująca fatwa wydana przez innego saudyjskiego duchownego, która dopuszczała seksualny dżihad między bratem i siostrą. Jeżeli nie było innych kobiet w pobliżu, bojownik mógł na krótko poślubić swoją rodzoną siostrę i mieć z nią stosunek seksualny. W ten sposób łamano obowiązujące prawie we wszystkich kulturach świata tabu incestu, czyli kazirodztwa. Istniały relacje świadków, które potwierdzały zawarcie tego typu małżeństw.

Radykalizacja Tunezyjczyków doprowadziła do masakry w muzeum Bardo, w kurorcie Susa i na jarmarku bożonarodzeniowym w Berlinie. Salafici rośli w siłę i posiadali mocne struktury nie tylko w Tunezji, ale również w Berlinie, gdzie w meczetach fundamentalistyczni kaznodzieje prowadzili szeroko zakrojoną akcję mającą na celu zachęcenie młodych ludzi do przystąpienia do ruchu salafitów prezentującego według nich prawdziwy, czysty islam. Media donosiły, że Anis Amri kilka godzin po dokonaniu zamachu terrorystycznego został nagrany przez kamery monitoringu w miejscu spotkań salafitów, którzy uważani byli za najbardziej dynamicznie rozwijające się ugrupowanie ekstremistyczne w Niemczech. Służby szacowały, że w kraju przebywało około dziesięciu tysięcy salafitów i ich liczba stale się zwiększała. Rekrutację młodych ludzi prowadzono w meczetach, na ulicach i poprzez media społecznościowe.

Rodzina Anisa Amriego nie była specjalnie religijna i jego samego też za takiego nie uważała.

– Dla Anisa nie było ważne, czy my nosimy hidżab, czy nie lub czy się modlimy, czy nie – wyznała jedna z jego siostr. – On nigdy nie był religijny. Pił, bawił się, słuchał muzyki pop. Był normalnym chłopcem.

Anis w wieku piętnastu lat przerwał naukę i wszedł na drogę drobnej przestępczości. Ukradł między innymi ciężarówkę i w obawie przed karą udał się łodzią nielegalnie do Włoch. Znowu popadł w konflikt z prawem i został osadzony w więzieniu na cztery lata. Tam nastąpiła jego dogłębna radykalizacja, tak jak w przypadku wielu innych groźnych dżihadystów, którzy ulegali intensywnej indoktrynacji w europejskich zakładach karnych. Z włoskiego więzienia wyszedł zupełnie inny człowiek. Kiedy później dostał się nielegalnie do Niemiec, związał

się z radykalnym salafickim kaznodzieją, który rekrutował ludzi na dżihad.

– A Aziz? – chciała wiedzieć Sara, która cały czas oglądała z teściową relacje dotyczące zamachu w Berlinie i poszukiwanego jego domniemanego sprawcy, Anisa. – Jak to się stało, że zwrócił się w stronę ekstremizmu?

– Też cały czas zadaję sobie to pytanie... – Teściowa patrzyła na wbitą w jarmarczne stragany potężną ciężarówkę, nad którą lśniła bożenarodzeniowa dekoracja w kształcie wstążki zawiązanej w kokardę.

– Bo mówią, że to głównie brak pracy popycha młodych ludzi w stronę ISIS. A przecież Aziz miał pracę i to dobrą... – zastanawiała się Sara.

– Tak było... – przytaknęła teściowa.

– Z tego, co widziałam, to hotel, w którym pracował, zawsze jest pełen gości, pewnie oprócz tego Aziz jako barman dostawał wysokie napiwki...

– Wszystko prawda... – potwierdziła teściowa.

– To co się stało? – Sara za wszelką cenę chciała poznać motywy kierujące postępowaniem jej męża.

– Może... – Teściowa się zastanowiła.

– Może?

– To samo, co mówił Anis... Codziennie giną tysiące muzułmanów i nikt, ale to absolutnie nikt się tym nie przejmuje. Tak mi to tłumaczył Aziz jeszcze na początku, kiedy ze mną o tym rozmawiał.

Sara się zamyśliła. To też był argument, którego Aziz używał w dyskusjach z nią. I ona nie miała na niego żadnej odpowiedzi.

– Zobacz, Sara – mówił Aziz, kiedy media zaczęły trąbić o masakrze w Berlinie. – Dwanaście osób zginęło, a rumor na cały świat. A ty wiesz, ile do tej pory ludzi straciło życie w Aleppo?

Sara wiedziała, ale miała wrażenie, że kiedy wypowie liczbę, to tak, jakby przyznała rację Azizowi.

– No powiedz... – Aziz poważnie patrzył na żonę.

– Nie wiem... – starała się wykręcić Sara.

– Powiedz! – naciskał Aziz.

– Dużo...

– Jak dużo?

– Bardzo dużo...

– Ile dokładnie?

– Czteryście tysięcy – wyszeptała Sara.

– Powtórz głośniej – polecił Aziz.

– Czteryście tysięcy – powtórzyła Sara.

– I czy ktoś o tym pisze codziennie na pierwszych stronach gazet i podaje w telewizji jako główną wiadomość dnia?

– Nie...

– To sama widzisz... – Aziz wpatrywał się uważnie w Sarę, czekając, aż ta przyzna mu rację, że dżihad jest jedyną drogą, na którą może wejść prawdziwy muzułmanin. – A wiesz, ilu ludzi zginęło z tej liczby w ciągu ostatnich dwóch lat?

– Nie... – Tego Sara naprawdę nie wiedziała.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy... Dwieście pięćdziesiąt tysięcy... – powtórzył Aziz. – To powiedz mi, jak to się ma do tych dwunastu osób, o których dziś z oburzeniem trąbi cały świat? No powiedz mi, jak?

Cóż Sara mogła powiedzieć?

Nad ranem Sarę obudziło głośne, głuche walenie w ogromne drewniane wrota starej medyny.

– Co to? – Sara podniosła się przestraszona, gdyż sypialnia znajdowała się niedaleko drzwi.

Aziz spał, bo poprzedniego dnia wrócił bardzo późno.

– Aziz, Aziz, obudź się! – Sara potrząsnęła ramieniem męża.

– Co, co się dzieje? – spytał zaspany Aziz.

Ponowne agresywne łomotanie rozniosło się echem po całej medynie.

– Aziz, wstawaj, ktoś wali do drzwi!

Aziz poderwał się i usiadł, przecierając oczy. Po chwili znowu ktoś zaczął się głośno dobijać.

– Otwierać! Otwierać! – rozległy się przeszywające wrzaski.

– Jeśli to policja, to wiesz, co mówić. – Aziz rzucił szybko i poszedł otworzyć drzwi.

Sara, usłyszawszy słowo „policja”, w jakimś samozachowawczym odruchu wyjęła ze swojej walizki zeszyt, w którym robiła notatki w Algierii, i szybko wsunęła go pod koszulę nocną za gumkę majtek. Potem narzuciła na siebie czarną abaję i chustę na głowę, a już za moment usłyszała wbiegających do domu mężczyzn. Ktoś kopnął drzwi butem i do sypialni wpadł mężczyzna po cywilnemu. Brutalnie ściągnął Sarę z materaca, po czym przewrócił go na drugą stronę i zaczął sprawdzać, czy nic pod nim nie ma. Później rozbebeszył całą pościel, rozrywając poduszki i kołdrę. Kiedy nic nie znalazł, rozejrzał się po pokoju i zobaczył walizkę Sary. Wyrzucił całą jej zawartość na podłogę, po czym zaczął dokładnie przerzucać osobiste rzeczy Sary.

– Pokaż mi, gdzie są jeszcze twoje rzeczy? – zażądał groźnym tonem.

– Nie mam nic więcej.

– Jak to nie masz nic więcej?

– Tutaj jest wszystko, co mam.

– W tej walizce?

– Tak, w tej walizce.

Mężczyzna spojrzał z niedowierzaniem na Sarę, a następnie jeszcze raz dokładnie sprawdził jej rozrzucone ubrania. Następnie zerknął na walizkę, wyjął

nóż i rozpruł wszystkie podszewki. Znowu rzucił wzrokiem na Sarę, jakby zdziwiony, że nic nie znalazł. Rozejrzał się po niewielkim pokoju, ale nie było już w nim nic innego, co można było przeszukać. Omiótł Sarę przenikliwym wzrokiem od stóp do głów i dziewczyna miała wrażenie, że zaraz każe jej ściągnąć abaję. Mężczyzna zrobił krok naprzód i Sarę przeszedł zimny dreszcz grozy. Jej zeszyt z notatkami był ewidentnym dowodem na to, że była szkolona w obozie dżihadystów!!!

Mężczyzna chciał się zbliżyć do Sary, ale nagle z zewnątrz zawołał go inny, prawdopodobnie dowódca.

– Chodź ze mną! – Mężczyzna popchnął Sarę i jej zeszyt się trochę przesunął.

Serce Sary biło jak szalone, bo wydawało jej się, że przy najmniejszym ruchu zeszyt wypadnie. I wtedy jest stracona! Zostanie podejrzana o terroryzm i osadzona w więzieniu!

Na dziedzińcu pod palmą stali Aziz i teściowa w otoczeniu czterech policjantów. Sara wiedziała, że w domu funkcjonariusze nic nie znajdą, bo Aziz przed wyjazdem do Algierii pozbył się wszystkich obciążających go materiałów. Podróż do Algierii była ryzykowna i nie było wiadomo, jak się skończy. Nie chciał zostawiać mamy w domu z taką tykającą bombą.

Funkcjonariusz kazał stanąć Sarze obok męża i teściowej. Sara wciąż czuła uwierający ją zeszyt.

– Znalazłeś coś? – zapytał dowódca najbliższego stojącego funkcjonariusza.

– Nie – zaprzeczył mężczyzna.

– A ty? – zwrócił się do drugiego.

– Też nie.

– A wy? – spytał pozostałych dwóch.

– Czysto. Nic nie znaleźliśmy.

Dowódca patrzył na Aziza bardzo podejrzliwie i wyglądało na to, że nie jest przekonany o jego niewinności, mimo że nic nie znaleziono w jego domu.

– Trzeba ich wszystkich przesłuchać – zdecydował po chwili namysłu. – Ale już teraz, od razu, żeby nie mogli uzgodnić zeznań – dodał.

– Zabieramy ich na komisariat? – zapytał jeden z policjantów.

– Nie, dziś tam jest młyn – stwierdził. – Przyprawiono już chyba ze dwudziestu podejrzanych.

Po ataku w Berlinie media, opierając się na oświadczeniach służb Włoch i Niemiec, informowały, że Anis Amri od dawna był na celowniku odpowiednich jednostek i wiadomo było o jego radykalizacji. Jednak popełnione kolejne błędy nie pozwoliły zapobiec terrorystycznemu atakowi. W związku z tym w Tunezji od razu przystąpiono do kompleksowych działań, aby sprawdzić każdego, kto był chociaż trochę podejrzany o sympatyzowanie z salafitami. Nie chciano, żeby

powtórzyły się dramaty z Bardo i Susy.

– To co robimy? – dopytywał mężczyzna, który przeszukiwał pokój Sary.

– Tu ich przesłuchamy – rozkazał dowódca. – W tym domu jest dosyć miejsca. Weźcie każdego z nich do oddzielnego pomieszczenia.

– Chodź ze mną! – polecił Sarze funkcjonariusz, który wpadł do jej pokoju.

Na czole Sary pojawiły się kropelki zimnego potu. Nie chciała podtrzymywać zeszytu rękoma, bo bała się, że policjant może zauważyć jej dziwne ruchy, ale czuła, że zeszyt przy jej najmniejszym kroku zmienia położenie i łatwo może wypaść.

Policjant zabrał ją do pokoju, w którym stał telewizor, ale nie pozwolił jej usiąść.

– Stań tam. – Wskazał środek pokoju.

Sara posłusznie stanęła, ale nagle wpadła w panikę, bo pomyślała, że nie da rady przez to wszystko przejść. Nie sprosta temu, żeby tkwić nieruchomo w trosce o zeszyt, kłamać tak, żeby funkcjonariusz się nie zorientował, i nie poplątać się w tych wszystkich łgarstwach.

Zachciało jej się wyć i krzyczeć, i płakać, i zniknąć sprzed surowego oblicza policjanta.

– Co robiłaś przez ostatni miesiąc? – Policjant zaczął przesłuchanie.

– Byłam w oazie. – Uwierający ją zeszyt przypominał jej, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znajduje.

– Cały czas?

– Nie.

– To gdzie jeszcze byłaś?

– W Algierii. – na dźwięk samej tej nazwy przed oczami Sary stanęły triumfalne czarne sztandary ISIS, które ciągle przewijały się w oglądanych przez nią propagandowych filmach kalifatu.

– I co tam robiłaś? – Oczy policjanta świdrowały Sarę przenikliwie.

– Odwiedzałam rodzinę.

– Masz tam rodzinę?

– Nie.

– To dlaczego mówisz, że odwiedzałaś rodzinę, skoro nie masz tam rodziny?

– drążył policjant.

– To była rodzina męża.

– Czyli mąż ma tam rodzinę?

– Tak.

– A kto to jest?

– Jego daleka kuzynka.

– Jak ma na imię?

– Maha.

– A gdzie mieszka?

– W El-Wadi.

– W El-Wadi mówisz?

– Tak, w El-Wadi – powtórzyła jeszcze raz Sara. Do tej pory wszystko szło w miarę dobrze, mówiła tak, jak ją nauczył Aziz.

– Sprawdzimy to. – Wzrok policjanta mówił, że nie bardzo wierzy Sarze. – Weźmiemy adres i to sprawdzimy. – Policjant przypatrywał się Sarze, sprawdzając jej reakcję na jego słowa.

– Dobrze – powiedziała tylko Sara.

Rzeczywiście Sara z Azizem zatrzymali się na kilka dni u kuzynki Aziza w leżącym niedaleko granicy tunezyjskiej mieście El-Wadi. Musieli poczekać na bezpieczny transport na pustynię i to zajęło trochę czasu.

– A w Algierii byłaś sama?

– Nie, z mężem.

– A jak długo tam byliście?

– Nie pamiętam już teraz dokładnie.

– Nie pamiętasz? – Policjant zmarszczył brwi.

– Nie.

– To przypomnij sobie.

– Nie wiem...

– To przypomnij sobie! – huknął policjant.

Sara aż podskoczyła na nagły wybuch mężczyzny.

– I co, przypomniałaś sobie, ile tam byliście?

Nagle powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk Aziza. Najprawdopodobniej funkcjonariusze siłą chcieli go zmusić do zeznań.

– Pewnie on też nie pamięta – ironicznie skomentował policjant.

Aziz znowu zawył z bólu, wyglądało na to, że policjanci go nie oszczędzali.

– Idę zobaczyć, co tam się dzieje – postanowił nagle policjant i wyszedł z pokoju.

Sara od razu poprawiła wypadający z jej bielizny zeszyt. Znowu rozległy się rozdzierające krzyki Aziza, do których zaraz dołączyły głośnie odgłosy uderzeń. Policja za wszelką cenę chciała wydobyć z Aziza prawdę. Sara usłyszała też przejmujący szloch teściowej. Pewnie nie była w stanie słuchać rozpaczliwych jęków syna. Teraz Sara przestraszyła się jeszcze bardziej. A co, jeżeli to teściowa ich wyda? Tak bardzo martwiła się o Aziza, więc może stwierdzić, że dla jego dobra najlepiej będzie, jeśli zajmie się nim policja. Tylko że po Algierii jakikolwiek los spotka Aziza, taki sam los spotka i ją...

Policjant wrócił do pokoju, uśmiechając się z zadowoleniem.

– Już wszystko wiemy – stwierdził pewnym głosem. – Twój mąż dokładnie nam opisał cały wasz pobyt w Algierii. Teraz ty też możesz się przyznać. Już nie

musisz dłużej ukrywać prawdy, bo i tak ją znamy. Mów...

Sara się zawahała. Aziz ostrzegwał ją, że policja może użyć takiego triku. Nie była pewna, czy funkcjonariusz w tym momencie blefuje, czy rzeczywiście jej mąż wyznał prawdę.

– Opisz nam dokładnie, co robiliście w Algierii...

– Już mówiłam, odwiedziliśmy kuzynkę męża.

– A twój mąż cały czas był z tobą?

To pytanie utwierdziło Sarę w przekonaniu, że policjant jednak blefuje. Pewnie myślał, że Aziz wziął żonę ze sobą do Algierii i zostawił ją u kuzynki, żeby mieć alibi, a sam dołączył do obozu dżihadystów.

– Tak, cały czas byliśmy razem – pewnie odpowiedziała

– Gdzie?

– Już mówiłam, u kuzynki.

– Jak ma na imię ta kuzynka?

– Maha.

I tak w kółko przez następnych kilka godzin. Pod koniec Sara była skrajnie wyczerpana. Pomyślała, że jeśli policjant jeszcze trochę dłużej ją pomęczy, to już wszystko mu opowie, żeby tylko dał jej spokój. W końcu ona też była przeciwko dżihadystom, w obozie znalazła się tylko dlatego, że zabrał ją tam mąż, a ona sama nienawidziła terroru i krwawego dżihadu z całego serca. Tylko kto jej w to uwierzy...

Do pokoju, gdzie była przesłuchiwana Sara, wszedł dowódca.

– I co? – zapytał.

– Nic.

– Nic nie powiedziała?

– Nie.

– My też nic nie mamy. – Dowódca rzucił nieprzyjemne spojrzenie w kierunku Sary. – Ale ja im nie wierzę. Czuję, że nie mówią prawdy. Na dzisiaj skończymy, ale jeszcze tu do nich wrócimy. I będziemy mieć was na oku – zagroził na odchodne.

Kiedy tylko funkcjonariusze wyszli, ledwie żywa Sara położyła się na dywanikach. Wkrótce dołączyła do niej teściowa. Sara podniosła głowę, bo chciała jej coś powiedzieć, i się przestraszyła. Teściowa wyglądała tak, jakby przybyło jej dziesięć lat. Przyszedł Aziz, cały obolały, z widocznymi licznymi siniakami i zakrzepniętymi plamami krwi.

– Synku! – zawołała teściowa. – I na co ci to było? – Zaczęła gorzko płakać.

– Masz piękną żonę, właściciel hotelu na pewno przyjąłby cię z powrotem do pracy, żylibyście sobie spokojnie tutaj w oazie... – Płacz teściowej zamienił się w zawodzący szloch. – Zaklinam cię na wszystko, porzuć te swoje niebezpieczne idee... Proszę cię tak jak matka... jak matka... – Teściowa nie przestawała

zawodzić.

Aziz pierwszy raz nic nie powiedział na obronę dżihadu i w serce Sary wstąpiła iskierka nadziei, że może jednak jej mąż się opamięta i porzuci myśl o wyjeździe do kalifatu. Poszła do kuchni, gdzie od razu spaliła zeszyt z Algierii. Później przyniosła miskę z wodą i ręcznik, po czym zaczęła obmywać Azizowi rany.

– Proszę cię, kochany, zostańmy tu, nie wyjeżdżajmy. – Ręcznik zabarwił się na czerwono. – Zostańmy tu...

– Posłuchaj swojej żony, synku, posłuchaj swojej żony... – Teściowa dołączyła do próśb Sary.

Dwa dni później media podały wiadomość, że Anis Amri został zastrzelony we Włoszech, w okolicy Mediolanu. Około trzeciej w nocy policjanci na dworcu autobusowym chcieli przeprowadzić rutynową kontrolę, kiedy terrorysta wyciągnął broń i zaczął do nich strzelać. Krzyczał przy tym *Allahu Akbar* i próbował uciekać. Wywiązała się strzelanina, w wyniku której zginął.

W tunezyjskiej telewizji znowu pokazywano, tym razem pogrążoną w żałobie, rodzinę Anisa. Na podstawie odcisków palców bezspornie ustalono, że to Anis był sprawcą zamachu w Berlinie.

– Jest nam przykro z powodu śmierci Anisa, ale on nie umarł dzisiaj, on umarł wtedy, kiedy złożył przysięgę na wierność samozwańczemu kalifowi tak zwanego Państwa Islamskiego, Abu Bakriemu al-Baghdadiemu – mówili jego bliscy.

– Jesteśmy w szoku i cała nasza rodzina jest chora – dodawał jego brat. – Wiedzieliśmy, że Anis miał historię kryminalną, ale nigdy nie przypuszczaliśmy, że zostanie terrorystą. Składamy kondolencje rodzinom tych wszystkich niewinnych ludzi, którzy zginęli przez jego straszną akcję.

W ciągu następnych dni władze tunezyjskie przeprowadziły serię aresztowań w pobliżu Kairuanu, likwidując następną komórkę terrorystyczną. Funkcjonariusze wzmogli również swoje działania, aby jak najszybciej wykrywać zwolenników salafitów.

Te wszystkie wydarzenia sprawiły, że Sara znowu zaczęła wpadać w depresję. Bała się następnego nalotu policji w jej domu, bała się, że służby algierskie, z którymi współpracowały służby tunezyjskie, mogą trafić gdzieś na ślad ich obecności w obozie dżihadystów, bała się, że Aziz zdecyduje się jednak na wyjazd na terytoria opanowane przez ISIS. Od wyjazdu do Algierii stała się też zakładniczką swojego męża. Musiała z nim być i całkowicie podporządkować się jego decyzjom. Wcześniej zawsze mogła, o ile by nie powstrzymała Aziza od zamiaru wyjazdu na teren tak zwanego Państwa Islamskiego, zgłosić jego plany na policję i w ten sposób odzyskać wolność. Teraz takie wyjście nie wchodziło w grę, bo wtedy Aziz na pewno opowiedziałby o jej pobycie w obozie. I wtedy ona też

z pewnością zostałaaby potraktowana jak dżihadystka. Miała tylko nadzieję, że nagłośniona sprawa Anisa Amriego uprzytomni jej mężowi ogrom cierpienia, który dotyka po akcjach terrorystycznych zarówno rodziny ofiar, jak i rodzinę zabójcy. I może to mu uzmysłowi, że terror to droga donikąd.

I nadszedł ten dzień. Dzień, w którym Aziz oznajmił, że pojutrze wyruszają do kalifatu. Polecą do Stambułu, a stamtąd zostaną przeschmuglowani na tereny ISIS.

– I nareszcie będziemy żyć w naszym idealnym kalifacie – dodał, tryskając szczęściem.

To, co Sara brała za dobrą monetę, wcale taką nie było. Aziz przestał mówić o wyjeździe na tereny tak zwanego Państwa Islamskiego, bo bał się, że jeżeli policja znów zawita w progi jego domu, to matka i żona nie wytrzymają presji i zdradzą jego zamiary. A tego by nie chciał. Bo oto jego największe marzenie, którym żył od dawna, właśnie się spełniało.

Mama Aziza płakała przez cały czas, a Sara myślała nawet, czy nie oddać się w ręce policji. Ale też się tego bała, wiedziała, że funkcjonariusze potrafią być bardzo brutalni. Poza tym po raz pierwszy od wielu miesięcy, po tych wszystkich ciężkich przeżyciach, które ją ostatnio spotkały, ciepło pomyślała o swojej rodzinie w Kuwejcie. Nie chciała, żeby jej bliscy musieli przechodzić przez takie cierpienie jak krewni Anisa Amriego. Córka dżihadystka! To zrujnowałoby reputację ojca, a tym samym byt całej rodziny. Jego konta z pewnością zostałyby zablokowane z obawy o wspieranie i finansowanie terroryzmu. A mama... Już raz miała za sobą próbę samobójczą w ekstremalnej sytuacji...

– Może mu się tam nie spodoba. – Sara mówiła do teściowej i nie wiedziała, czy bardziej chce przekonać ją, czy samą siebie. – Słyszałam o wielu przypadkach, że ludzie wyjechali pełni idealistycznych marzeń, a na miejscu bardzo się rozczarowywali. I później wracali...

– Oby tak było, oby tak było... – skwapliwie podjęła teściowa.

O tym, że ten powrót nie był już taki prosty, Sara nie mówiła. Uciekinierów czekały straszliwe tortury, a często również bestialska śmierć.

– Aziz zobaczy, jak to naprawdę z bliska wygląda, i na pewno zaraz wróci. – Teściowa uchwyciła się tej myśli i w kółko ją powtarzała.

W przeddzień wyjazdu matka Aziza jeszcze raz podjęła desperacką próbę, żeby zatrzymać syna w domu. Nie na wiele się to zdało, bo Aziz nie chciał nawet o tym słyszeć.

– Przestań, mammo, to i tak nic nie zmieni – stwierdził sucho. – Szkoda twojego czasu.

Matce został tylko płacz.

Nazajutrz przed murami medyny czekał już mały busik, w którym było kilka osób, kobiet i mężczyzn. Widać szykował się większy przerzut. Aziz kazał Sarze

włożyć czarną abaję, czarny hidżab i czarny nikab. Jej twarz była cała opuchnięta od niewyspania i płaczu, więc Aziz nie chciał, żeby ktoś zwrócił na to uwagę, a szczególnie policja.

Sara, gdy tylko włożyła cały czarny strój, odniosła wrażenie, że zaraz się udusi. A w kalifacie będzie musiała chodzić tak ubrana cały czas. Nie przeżyje tego.

Busik ruszył w długą drogę na lotnisko w Tunisie. Sara patrzyła przez okno, a po jej policzkach pod nikabem spływały duże, gorzkie łzy. Przed oczami stanęła jej cudna wycieczka po Tunezji z Ulą. Zobaczyła idącą poboczem Berberkę ubraną w swój tradycyjny, różnokolorowy strój i przypomniała sobie, jak Ula zachwycała się kolorami Tunezji.

– Jak biały to biały, tak biały, że aż kłuje w oczy tą białością.

A ona na czarno.

– Albo czerwony. Czerwony czerwonością ognistą, parzącą.

A ona na czarno.

– A niebieski. To niebo niebieskością nieba.

A ona na czarno.

– A żółty cytryną w słońcu dojrzałą.

A ona na czarno.

– A oliwkowy oliwką oliwkową.

A ona na czarno.

– A zielony tą oazą, tymi tysiącami palm na bezmiarze pustyni.

A ona na czarno.

Jechała do czarnego państwa. Z powiewającym wszędzie czarnym sztandarem. I wszystko tam musiało być czarne. Czarna abaja. Czarne buty. Czarne skarpetki. I portfel czarny nawet. Czarny świat.

Przypomniała sobie hasło, które powitało ją przy wjeździe do Tauzar. „Zobaczyć Tauzar i narodzić się na nowo”.

Zobaczyć Tauzar i umrzeć – sparafrazowała w myślach. – Ale nie na nowo. Na zawsze.

„On nie umarł teraz, ale kiedy złożył przysięgę na wierność kalifowi” – zabrzmiały jej w głowie słowa rodziny Anisa Amriego.

Kiedy w naszym życiu rodzimy się, a kiedy umieramy? I ile razy?

Dotarli do Tunisu, tak europejskiego na pierwszy rzut oka.

– Saro, pamiętaj, jeśli będą cię pytać, to lecimy na wakacje – pouczał ją mąż.

Na lotnisku w Tunisie bardzo źle się poczuła, tyle samolotów, wszędzie latają, a jakby tak wsiąść do któregoś z nich, gdziekolwiek, byle nie do Stambułu. Nie miała jednak pieniędzy, a Aziz nie spuszczał jej z oka. Ze swoją ukochaną żoną leciał do swojego wymarzonego państwa. Był trochę podenerwowany, ostatnio granica turecka była bardzo pilnowana, wiedział, że przerzuty są coraz

trudniejsze.

– Na pewno się uda, na pewno się uda – ciągle powtarzał Sarze.

A może się nie uda – myślała Sara.

W samolocie do Stambułu Sara nie mogła nic przełknąć, straszliwe obrazy z terytoriów zajętych przez ISIS ciągle przesuwwały jej się przed oczami.

Wylądowali, już coraz bliżej tej czerni, tej przemocy, tego terroru.

Szli do wyjścia, kiedy nagle jakaś kobieta w czarnej abai złapała Sarę za rękę.

– Szybko, biegnijmy do łazienki. – Kobieta mocno pociągnęła Sarę za sobą.

To było tak niespodziewane i błyskawiczne, że zanim Aziz się zorientował, Sara była już w sporej od niego odległości.

– Do łazienki! – jeszcze raz krzyknęła kobieta.

Sara z nieznaną wpadły do damskiej toalety, w której było kilka innych kobiet w czarnych abajach i z zakrytymi twarzami. Jeżeli któraś z nich wychodziła, to nie wiadomo było, kto to dokładnie jest.

– Musimy przejść na tranzyt, zaraz mamy samolot! – Nieznajoma odkryła twarz.

– Fatma!!! – Sara była tak zdumiona, że myślała, że śni.

– Sara! – Siostry padły sobie w ramiona.

– Ale jak, co, gdzie... – płątała się Sara. – Jak mnie znalazłaś? I skąd wiedziałaś, że ja dzisiaj...

– Ach, to długa historia, później ci opowiem.

– Ale jakim cudem ty tu, teraz...

– Szukaliśmy cię...

– Szukaliście?

– No tak, cała rodzina, ojciec, mama, nawet Nadir się włączył.

– Nawet Nadir?!

– Tak.

– Ale skąd wiedziałaś, że ja tu, dzisiaj...

– Dzwoniłyśmy do wujka i cici...

– Ale przecież oni nic nie wiedzieli!

– To prawda, ale skontaktowali się z tą twoją koleżanką Ulą.

– Z Ulą?

– Tak, i ona powiedziała o Tauzar i o Azizie... Dokładnie nam go opisała, a kiedy zdarzył się ten straszny zamach w Berlinie i głośno zaczęto mówić o dużym wpływie salafitów w Tunezji, to poszłam tym tropem...

– Ale nadal nie rozumiem, skąd wiedziałaś, że ja tu dziś będę...

– Miałam trochę swoich dawnych kontaktów przez media społecznościowe...

– Z nimi? – Sara miała na myśli dżihadystów.

- Tak... I dużo by mówić...
 - Bo jak się można dowiedzieć?
 - Są różne sposoby, hasła... Też powiedziałam, że chcę tam jechać...
 - Fatmo! To są bardzo niebezpieczne gry!
 - Nieważne! Najważniejsze, że się udało! – Fatma jeszcze raz uściskała siostrę. – Chodź szybko, bo się spóźnimy na samolot.
- Sara w ostatniej chwili wsiadła z siostrą do samolotu lecącego do Kuwejtu. Już nie była żoną dżihadysty.

Spis treści

Rozdział I. W poszukiwaniu siebie Rozdział II. Beach boys Rozdział III. Zagubienie Rozdział IV. Niespodziewana podróż Rozdział V. Romantyczny habibek Rozdział VI. Tunezyjskie impresje Rozdział VII. Oaza szczęścia Rozdział VIII. Pustynne rozterki Rozdział IX. Nowy dom Rozdział X. Samotna palma Rozdział XI. Piaski Sahary Rozdział XII. Żona dżihadysty

